

MARCIN WOLSKI

REKONKWISTA

2001

1. WYRWANE SERCE

Cisza morska jest przekleństwem. Wyzwaniem rzuconym powszechnej zmienności natury. Oto bowiem atramentowa toń morza trwa zakrzepła jak lodowa tafla i tylko opar, dusznica i słona lepkość przypomina, iż żywioł śpi jeno, gotów w każdej chwili zmienić się w szkwał, cyklon czy — jak mawiają poetyczni Kastylijczykowie — tornado. Trzeci dzień i czwartą noc kapitan Gaspar Froissart de Marie–Galante wychodził na mostek „Henrietty” i czekał na muśnięcie choćby zefiru. Nic. Płachty żagli wisiały jak moszna trzebieńca, a wielki księżyc w pełni błyszczał ponad statkiem zimny i bezwzględny niby ostrze katowskiego topora.

Wobec kaprysu aury bezradny był nawet wiekowy arawacki przewodnik, o wyglądzie starego żółwia wydłubanego ze skorupy, którego Froissart woził w charakterze tłumacza i po trosze czarownika. A Bóg? W świetle zadawnionych rachunków Gaspar wołał nie zwracać się do Wszechmocnego z jakąkolwiek petycją. Z tej strony nie mógł liczyć na żadną pomoc.

Nocną ciszę przerwało wycie. Brzmiało jak skowyt wilka, to znów zawodzenie gwałconej dziewczicy, zmieniało się w upiorny chichot, by ugrzęznąć wreszcie w przerażającym kaszlu. Sternik, młody Armand, przeżegnał się zabobonnie. Kapitan cicho zaklął. Czemuż zabrał na pokład tego zwariowanego klechę, czemu nie posłał go na dno wraz z płonącym galeonem i jego hiszpańskim dowódcą...? Czy urzekło go twarde wejrzenie sługi bożego, jego obojętność wobec niechybnej śmierci, czy wiek późny, sprawiający, iż *padre* przypominał mu kogoś z innego czasu, innego świata, innego brzegu? Zresztą nie mógł przewidzieć, że po tygodniu pobytu na „Henriecie” kapłan zwariuje.

Poczuł narastającą gorycz w ustach, charknął i splunął. Wycie ścichło.

Kapitan Gaspar Froissart de Marie–Galante mimo przywłaszczonego „de” nie był arystokratą. Nie był nawet szlachcicem. Był piratem. Jednym z tych śmiałych Francuzów, którzy nie bojąc się ni Boga, ni arcykatolickiego władcy Hiszpanii, buszowali po Morzu Karaibskim jak po własnym zapiecku, znacząc swój szlak wrakami galeonów, łunami złupionych miast, trupami mężów i brzuchami ciężarnych niewiast. A towarzyszył im grzmot dział i muszkietów, żałobny jęk dzwonów, zapach krwi, potu i prochu, smak sławy, nade wszystko jednak rozkoszny dotyk złota.

Zali wypełnić się miała wróżba Cyganki, którą poznał ongiś w La Rochelle?

Kiedy ujęła jego dłoń — ujrzał w ciemnych oczach przestrach, więcej, bojaźń głęboką, jaką w niedowiarku może wywołać tylko nagłe pojawienie się czarta. Zaraz potem zaczęła mu kłamać, mówić szybko a bełkotliwie.

Nie uwierzył. Zbliżył nóż do jej szyi.

— Gadaj prawdę. Nawet złą. Ale prawdę! Zginę?

— Zginiesz, jasny panie.

— Jak?

— Za morzem głębokim, za morzem dalekim.

— Nie czaruj mnie poetycznymi słowy, mów, jak umrę, babo!

Popatrzyła mu w oczy tak przenikliwie, że poczuł naraz dziwny chłód w krzyżach.

— Nie chcesz wiedzieć.

— Chcę!

— Wyrwą ci serce.

Roześmiał się. Od dawna nie miał serca. Od chwili, kiedy grzeszny występki stracił go ze ścieżki cnoty. Zmusił do czynów haniebnych, do ucieczki ze Starego Świata.

Albowiem nie zawsze był piratem.

13 maja AD 1610, dokładnie w dniu, w którym w Paryżu nóż Ravaillaca przebił grzeszne ciało Henryka IV, w Arras odbywała się prymicja młodego kapłana. Gaspar Froissart zostawał księdzem. Był podówczas szczupły, wiotki, nieomal dziewczęcy i czuł, jak w snopach światła przecinających nawę gotyckiej kolegiaty tańczą, obok drobin kurzu, jasne anioły.

Ale nie pasanie owieczek w Artois pisała mu Ananke.

Wszak urodził się w Calais, w ona straszną noc, kiedy brandery Drake'a i Hawkinsa wznieciły pożogę pośród Niezwyciężonej Armady. Luna, która oświetlała dziecinną kołyskę, prześwieciła również jego duszę i nazaczyła nić żywota. Poza tym spotkał diabła.

Najpiękniejszego diabła, jaki chodził po ziemi.

Agnes miała szesnaście lat i złociste, pszenicznemu łanowi podobne sploty, spadające na plecy. Posiadała też parę nóg godnych młodej gazeli, brzuch płaski i piersi jako dwoje bliźniąt sarnich... (Zrozumie to każdy, kto smakował Salomonową „Pieśń nad pieśniami”). Gaspar był już potępiony, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy przez kratki konfesjonału, pokornie, na klęczkach wyznającą dziecinne półgrzechy, ćwierćwiny.

— *Ego te absolvo*. Idź w pokoju, córko.

Odeszła wolno, posłusznie, nie wiedząc, że wraz z nią odchodzi spokój serca młodego księdza, który wychylony z konfesjonau poczuł właśnie, jak ogarnia go żar i mrok, i pochłania przepaść wiekuista.

Od tego dnia obraz dziewczyny pięknej jak madonny włoskich mistrzów towarzyszył mu stale. Wciskał się natrętnie między karty brewiarza, był cieniem igrającym wśród płomyków świec w zakrystii po niesporach, pojawiał nawet w oczach parafianek przyjmujących komunię:

Corpus Christi, Corpus Christi!

Potrafił jednak ciągle podążać ścieżką wąską, ostrzu brzytwy podobną, rozgraniczającą marzenia od rzeczywistości, a grzeszną pokusę od zatury zupełnej. Ich konfidencja nie przekraczała kręgu naturalnych relacji księdza i Penitentki. Marcin Wolski

Aż raz, kole południa, kiedy świątynia była pusta i cicha, przybiegła doń splakana, drżąca. Zrozpaczona. Na świętego Jana miał być jej ślub. Ślub? Egzekucja raczej! Przeznaczono ją bowiem pięćdziesięcioletniemu starcowi, Rene Basinowi, najbogatszemu kupcowi w mieście, łączącemu obrzydliwą posturę podstarzałego zalotnika z podłym charakterem lichwiarza. Rene pochował był już dwie żony, a teraz zapragnął młódki, iżby zagrzała mu wystygłe łożo swą niewinnością.

— Zali mogę opierać się woli rodziców, ojczy? — szlochała. — Są w wielkich długach, Basin skupił wszystkie weksle, jednego dnia może przejąć dom, aptekę... Serce taty tego nie wytrzyma. A kim ostanie moja matka? Żebraczką? A trzy moje młodsze siostry i bracia niedorośli? Cóż z nimi będzie?

I co jej miał powiedzieć. Ukrył ręce pod blatem stołu, bo drżały.

— Zawierz Bogu, córko... Powtarzaj: „Bądź wola Twoja”.

— Azali taka jest jego niewzruszalna wola? Czyż ludzie nie zostali stworzeni dla piękna, dla dobra, do miłości? — Tu skierowała nań precudne fiołkowe oczy, łzą na podobieństwo rosy przemyte.

I jakże miał ją pocieszać? Że i on walczył ze sobą, rok walczył, aby nie widywać jej w swych wizjach, w swych marzeniach. Chłostał plecy dyscypliną aż do omdlenia rąk, wodą się polewał. Nadaremnie. Złotowłosa dziewczyna nachodziła go w snach. I budził się przerażony, mokry od potu i polucji haniebnej.

— Będę się modlił za ciebie, Agnes — rzekł z westchnieniem.

Przypadła do jego rąk, wyciskając pocałunek, piętno najgłębsze, niezatarte, mocniejsze od wszystkiego, czego później zaznał, głębsze od sztychu Portugalczyka z Recife, którego

puginał ześlizgnął się po piątym żebrze, i silniejsze od jadu zielonej żararaki, przez którą zmarłby niechybnie, gdyby rany nie wysysała półkrwi Indianka — Ines.

Kanonik z Douai, któremu zawierzył boleści swej duszy, zalecał modlitwę, post i wytrwanie. Wszelako szatan okazał się sprytniejszy. W czas burzowy, na polnej miedzy splótł ścieżkę mężczyzny i kobiety, zagnał oboje do starego wiatraka.

Biegli, by ująć przed żywiołem. Wiatr szarpał ich włosy, a potem kubły wody chlusnęły z niebios.

Ciemnawe wnętrze pachniało chlebem i wiekowym drewnem, a mokra szata przyłgnęła do Agnes, wydobywając kształt piersi jędrnych, drobnych, ud krągłych, łona... Błyskawice rozdzierały niebo, a on wdzierał się w jej ciało, rozedrgane, oszalałe.

— Gaspar, Gaspar, Gaspaaar...! Kiedy to było? Miliard lat temu? Nigdy?

Czy wówczas, gdy jako muszkieter pana la Revardiere docierał do Cayenne i walczył w dżungli z Indianami, pamiętał jeszcze tamte dni z młodości, kiedy owładnęło go szaleństwo?

Bo czy nie było to szaleństwo? Na przekór wszystkiemu postanowił ją ratować — zamierzał pożyczyć pieniędzy, wykupić dłużni pigularza. Niestety był tylko biednym księdzem. Rodzice nie żyli, brat poległ we Flandrii. Tedy poważył się na czyn straszny, skradł kielichy i święte naczynia z własnego kościoła, przetopił je w tyglu i usiłował sprzedać pewnemu Żydowi w Lilie. Żył nadzieję, że starczy złota na wykup weksli i wyjazd z Agnes gdzieś na koniec świata. Pojmano go, uwięziono i choć uciekł z celi pod pałacem biskupim do Arras, przybył za późno. Agnes wzięła ślub z Rene, a następnie z wprawą godną aptekarskiej córki sama trucizną śmierć sobie zadała. I gdy mąż świeżo poślubiony przybył wieczorem do jej komnaty, rwać muśliny i kalać młode, wydane mu ciało, zastał trupa, chłodniejszego niż alabastrowe figury we włoskich pałacach.

Froissart, nie wiedząc jeszcze o tym, umarł wraz z nią.

Wspomnienia miały znacznie twardszy żywot. Choćby twarze tych trzech pierwszych Hiszpanów, których zabił, lądując na San Cristobal. Wracały doń po wielokroć, Przypominając z nagłą pobladłe lico Rene Basina. Ranek był chłodny, ale serce Gaspara, wchodzącego skrycie do Białego Dworu, skuł lód znacznie mroźniejszy i tylko zęby szczękały mu jak podczas ataku febry.

— Kim jesteś, panie, i czemu grozisz mi rapierem? — zawołał wyrwany ze snu kupiec na widok postaci, która wtargnęła do jego alkowy.

— Stawaj zdać rachunek! Zabiłeś ją!

Basin poznał go i zeskoczywszy z łoża, porwał za broń.

— A więc to ty, rozpustny klecho!

Mieli rapiery i noże. Żaden nie umiał walczyć. Dźgali się więc na ośle, koziółkowali po schodach, szarpali w wielkiej sieni jak dwa brytany, pianę z pysków tocząc. Basin chciał żyć, Gaspar pragnął umrzeć.

Zdarzyło się odwrotnie.

Kupiec konał. Jego chude nogi wierzgały spazmatycznie, niczym łapki kurczęcia, któremu oberżnięto łeb. Z jego ust wraz z krwawą pianą dobywał się charkot:

— Bądź przeklęty, bądź przeklęty!

Oparty o ścianę, broczący licznymi ranami Gaspar płakał. Modlić się już nie potrafił.

*

Kolejny wieczór przekłętej ciszy. Słońce znikło już poza horyzontem, atoli pozostał po nim wilgotny krąg purpury, rozświetlone pół nieboskłonu, które dopiero zaczynała pochłaniać ciemność.

— Czuję, że jutro będzie wiatr — obiecywał Armandowi. — Jutro powrócimy do domu.

Tylko gdzie miał być ten jego dom — w gorącym San Cristobal, kędy hamak, kochanka i butelka rumu...

Złotoskóra Ines przygotowuje na powitanie pieczeń z iguany i manati, napiekła już zapewne maniokowego chleba *cazabe*. Będzie patrzyła niczym wierny pies, jak jej pan macza chleb w sosie, jak wbija weń zdrowe zęby, a sos zawiesisty, ostry cieknie mu po brodzie. Potem klęknie rozsznurować mu buty. Jej piersi pełne, spiczaste, trącą jego kolana. Podniesie ją, poczuje zapach młodego ciała...

— Gdzie jesteś, Agnes?

Hiszpan znowu zawył. Cóż mu się stało? Przeczuwał coś?

Nim popadł w szaleństwo, robił wrażenie rozsądnego człeka, chętnie rozmawiał z Gasparem. Pochodził z Asturii, ze zubożalej szlachty, a haczykowaty nos i ciemna cera kazały domyślać się wśród jego przodków morysków czy maronów. Cechowała go też niezwykła ciekawość, równa tej, jaką miał Bartolomeo las Cascas. Nie traktował Indian jedynie jako wyznawców bałwanów. Pragnął zgłębić zagadkę ich upadłej cywilizacji. Nade wszystko zrozumieć, dlaczego przegrali. Postawili na gorszego Boga?

Z nagłą naszła go gorączka, ten szal, który dopadł go wraz z nastaniem przekłętej ciszy. Oto wczesnym rankiem wypadł nagi na pokład, krzycząc przeraźliwie:

— Nadchodzą, już nadchodzą!!! — Wzrok miał błędny, oddech płytki.

— Kto nadchodzi, *padre*? — usiłował uspokoić go Froissart.

— Oni, kapitanie, oni!

Byłaby to jakaś odmiana epilepsji, onej tajemniczej choroby, często *grand mal* nazywanej, właściwej ludziom wielkim, wszak cierpiał na nią sam Cezar? Zabobonni piraci mówili o szatańskim opętaniu. Wielu domagało się przeciągnięcia klechy pod stępką. Kapitanowi nie pozostało nic innego, jak zamknąć biedaka pod pokładem i czekać, aż się uspokoi lub zemrze. Zabijać go nie chciał. Na swój sposób *padre* Miguel był Gasparowi bliski. Kapitan miał przecie tę samą gorączkową ciekawość świata — ziół i kwiatów, zwierząt i ludzi. Kiedy nie pił, czytał książki, pisał pamiętnik. Od dnia, kiedy zabił Basina, ciągle przebywał w podróży, goniąc po bezkresie globu. We Francji nie było dla niego miejsca. Pozostawało morze. Tam nikt nie pytał, skąd kto przychodzi. Tam najłatwiej było uciekać od przeszłości.

Rzucając się w wir bitewny z rapierem w rękę, zawsze na przedzie, nie dbał o własne życie. Ani o łupy. I chyba ta pogarda imponowała Pani Śmierci. Traktowała go z wyjątkową wyrozumiałością. Stokroć winien już zginąć. A żył. a także młodszy kamraci: ryży Pierron, żartowniś chudy van Corn, Schultze nieznanego imienia, nie żyli. Jedni stali się karmą dla dennych muren, kości drugich gniły w bagniskach na skraju Costa Riki czy pod Maracaibo, jeszcze inni, ku satysfakcji drapieżnego ptactwa, wisieli na skrzypiących szubienicach Santo Domingo.

Gaspar na nic nie czekał, niczego się nie spodziewał — choć przybycie pana de Poincy'ego zapowiadało nowe czasy na Antylach. A kto wie, może stwarzało szansę powrotu? Toż dzięki kaperskim listom Froissart nie był już biednym flibustierem, tylko zamorskim sługą pana kardynała Richelieu.

Czyż jednak z jego przeszłością możliwa była zmiana żywota wolnego banity na egzystencję sokoła na uwięzi? Chociaż...? *Mon Dieu!* Zawsze jest jakaś przeszłość. Toż i pradziad Jego Eminencji, kapitan Antoine — świętym nie był.

A przeciwnie, jak wspominają paszkwilanci, ten człowiek złej sławy, głośny ze swych złodziejstw, bezbożności i bluźnierstw, przy czym wielki nicpoń i kurwiarz, znany we wszystkich zamtuzach, został zabity w Paryżu na *rue Lavandieres* przez takich jak on sam nicponi, gdy „bawił się z dziwkami”. A ojciec Pierwszego Ministra — François du Plessis, też nie miał opinii człeka poczciwego. Wszak plamiła go ponura wendeta, gdy z kamratami śmierć swego brata na niejakim Mussonie pomścił, szlachtując go podle brodu i by za owo skrytobójstwo gardłem nie odpowiadać, z Walezjuszem aż do Polski musiał uchodzić.

W czym od nich był gorszy eks-ksiądz i wieloletni pirat? Przecie gdyby teraz Gaspar skorzystał z otwierającej się możliwości służby dla burbońskich lilii, to kto wie, może i jego dzieciom (gdyby się takowych dorobił) pisane byłyby buławy, pastorały i kapelusze kardynalskie?

Armand Jean Duplessis Richelieu nie bez powodu uchodził za najtęższy umysł epoki. Był nie tylko bystrym politykiem, ale i wizjonerem. Przy okazji umiał biegle rachować. Choć o jego skapstwie krążyły legendy, bez wahania wniósł dziesięć tysięcy funtów własnego kapitału do spółki Association des Seigneurs des Isles de l’Amerique. Rychło też na San Cristobal zjawił się wysłany przezeń gubernator Filip de Lonvillier de Poincy, szlachetny mistrz zakonu Kawalerów Maltańskich.

Gaspar wiele dziwności w życiu widział, ale dosłownie zgłupiał, oglądając, jak ten wykwintny mąż wysiadał ze statku, zstępując na plażę, na której rozesłano chodnik czerwony, i szedł w rozwianym płaszczu, z białym krzyżem maltańskim na piersi i aksamitnym berecie zsuniętym na ucho.

— Słyszałem o was, Froissart — powiedział nowy gubernator czternastu wysp do pirata w połatanych portkach i kaftanie, zdartym przed paru laty z jakiegoś hiszpańskiego hidalgą. — D’Esnambuc twierdzi, że nie macie równych w boju. Czy to prawda, że samojeden nożem zwyciężyliście rekina?

— To nie był nóż, tylko maczeta — sprostował Gaspar, skromnie nie dodając, że wskoczył do wody, by ratować dwóch swych majtków reperujących ster „Henrietty”, gdy znienacka zaatakował ich żarłacz ludojad.

*

— Kapitanie! — głos sternika Armanda wyrwał go z zamyślenia. — Wydaje mi się, że coś widzę przed nami.

Równocześnie delikatny wietrzyk poruszył siwiejącym kosmykiem nad spalonym słońcem czołem Froissarta.

— Statek? — spytał Gaspar, któremu wiek przyćmił nieco dawny sokoli wzrok, ale szkieł w obliczu swych podwładnych, poza kajutą, nosić się wstydział.

— Licho wie co? Może i statek.

Armand zablokował ster na wypadek nagłego podmuchu wiatru i pobiegli razem ku dziobowi. Mimo mroku można było dostrzec brygantynę odległą najwyżej o ćwierć mili —

zarys kadłuba obu masztów odartych z żagli; ledwie kole bukszprytu ocalały jakieś resztki takielunku.

— Portugalczyk albo Hiszpan — mruknął sternik. — Dryfuje.

Coraz więcej piratów gromadziło się wokół nich. Wypatrywali oczy. Co rusz któryś spluwał przez lewe ramię.

— Wiatr idzie, odpływajmy stąd jak najrychlej — radził gruby André, zabobonny bardziej, niż to uchodzi pierwszemu z kanonierów. Ów artylerzysta pochodzący z Brestu był niewyczerpaną skarbnicą opowieści żeglarskich, tyle strasznych, co nieprawdopodobnych. O krakenach dziesięcioramiennych, gotowych wciągnąć w topiel cały galeon z załogą, o morzu wrzątku na południe od Malakki, w którym rozgotowywało się nawet drewno, o ludożerczych kurduplach z Terra Australis posiadających jeden mózg na dwóch czy wreszcie o wikingach zatopionych w lodowych górach niczym muchy w bursztynie, którzy po odmrożeniu opowiadali historie nie mieszczące się w głowie.

Najbardziej ulubionym z tematów André była wielowariantowa opowieść o statku widmie, sunącym po oceanach, nie dotykając fal, a wieszczącym śmierć i zatracenie śmiałkom, którzy się doń zbliżyli. W jednej wersji prowadził go martwy kapitan, a wyschłe trupy dalej snuły się po pokładzie w takt diabelskiej muzyki, wedle drugiej podróżowała nim Czarna Śmierć wraz z przyboczną armią szczurów, które po zejściu na ląd roznosiły zarazę po miastach i przysiółkach.

— Jedyna pożyteczna rzecz, jaką można uczynić, to odpalić salwę z lewej burty i posłać krypę do piekła — proponował kanonier.

— A jeśli są tam skarby? — zauważył Georges Mijon, etatowy rachmistrz. I zaraz wielu zaświeciły się oczy. — Bywa, że załoga okrętu wyginie, a złoto jest nieśmiertelne.

Wietrzyk wzmagał się, postawiono więc żagle i zbliżono się do dryfującej jednostki.

Dzięki księżycowi widać ją było doskonale. Od napisu: „Corazon de Jesu” po kształtną syrenę wspierającą bukszpryt. Bezruch, głębokie cienie i głucha cisza potęgowały jedynie upiorne wrażenie statku widma.

Naturalnie nie było żadnej muzyki, tylko silny zapach spalenizny drażnił nozdrza, nasuwając zarazem dość logiczne wytłumaczenie panującej na pokładzie martwoty.

— Wybuchł pożar, załoga uciekła, potem deszcz zgasił płomień.

— Ale łodzie, jak mieli uciec, zostawili przecież łodzie! Niejedno zatwardziałe, odporne na strach serce ściągnął lodowaty skurcz.

— Dajcie liny — rozkazał Froissart. — Kto idzie ze mną?

— Ja — bez namysłu rzucili Armand i Murzyn wyzwoleniec, zwany Hebanem, który od lat towarzyszył Gasparowi i bez zachęty w ogień by za nim skoczył. Dołączyło do nich trzech innych, w tym bosman Weigel, wielkolud okrutny. Wzięli ze sobą króćce i latarnie. I weszli na pokład.

Wszelako poza pozostałościami pożaru, który jakimś cudem nie dotarł do magazynu prochów, ani na dziobie, ani na rufie nie znaleźli żadnych śladów gwałtu czy walki. Porządek panował też w nadbudówce. Znikły jednak wszystkie mapy, zapiski i instrumenty pokładowe. Poszukiwaczy skarbów wielce rozczarowały ładownie dziobowe; jeśli nie liczyć zapasów wody i żywności, były puste. Najwyraźniej Hiszpan zmierzał dopiero do Nowego Świata. Długo nie natrafiano na ślad załogi, dopiero próba dotarcia do dolnej ładowni na rufie przyniosła ponure odkrycie. Kiedy grube wrota, stawiające pirackim siekierom niezwykle mocny opór, wreszcie ustąpiły, uderzył ich potworny trupi fetor.

Wszyscy cofnęli się, ale Froissart, przysłaniając twarz chustką, wziął latarnię i wszedł do wnętrza. Ciała leżały warstwami. Kilkudziesięciu żeglarzy z „Corazon” ułożono starannie — warstwa wzdłuż, warstwa w poprzek, warstwa wzdłuż... Wszyscy byli nadzy. Żadna twarz nie została okaleczona, natomiast każdy miał przerażające rany w klatce piersiowej. Wyglądały na identyczne.

Ruch jakiś uczynił się za plecami Froissarta.

— O co chodzi?

Na progu pojawił się *padre* Pedro, prowadzony przez arawackiego tłumacza. Ksiądz był całkowicie przytomny i ubrany.

— Chcę ich obaczyć, kapitanie — rzekł.

Froissart nie czynił przeszkód. Hiszpan przez dłuższą chwilę uważnie przyglądał się zwłokom, tak jakby był zawodowym medykiem, parokroć dotknął ręką krwawych ran.

— Zauważyłeś, mości kapitanie, w jak dziwny sposób umarli ci nieszczęśnicy? — zapytał na koniec.

— Od głębokich ran w pierś zadanych.

— Poniekąd. Ale dlaczego, na miły Bóg, wszystkim wyrwano serca?

W ciszy, która zapadła, chrapliwie zabrzmiał głos indiańskiego przewodnika:

Pierzasty Wąż. Pierzasty Wąż powrócił.

2. DWA LATA PÓŹNIEJ — POWRÓT DO ROSETTINY

— Skąd się tu wzięłeś?

— Nie wiem...

Świst! Sześć ołowianych kulek na rzemiennych postronkach, z impetem pancernych szerszeni opadło na moje plecy. Adrenalina tylko na moment zablokowała eksplozję bólu, który już po chwili niczym fala uderzeniowa rozszedł się ze zdwojoną mocą po całym organizmie. Padłem twarzą na podłogę Sali na Jednym Słupie, modląc się o rychłą utratę przytomności.

— Skąd się tu wzięłeś, il Cane? — powtórzył z naciskiem Ippolito, arcyksiążę Rosettiny i całego Przedgórza.

— Naprawdę nie wiem... — jęknąłem, przypatrując się trzewikom monarszym, pysznej umbryjskiej roboty, wzgardliwie wywalającym na mnie swe języki, zapewne z powodu satysfakcji, jaką musiało im sprawić moje znizenie się do ich poziomu.

— Nie wiesz...? To sobie przypomnij.

Cisza. Strużki krwi toczące się po moich żebrach.

Ippolito dobrą chwilę bawił się kandyzowaną gruszką, zanim wbił w nią drobne ząbki, upodabniające go do francuskiego buldożka, zaś oprawcy śledzili jego twarz jak psi, czekający tylko znaku, by podskoczyć ku ofierze.

— Wyznaj, synu, iż pomógł ci czart, a może choć duszę swą uchronisz od zatury — ozwał się *fra* Jacopo, pełniący rolę głównego śledczego chudy dominikanin o wąskiej twarzy, przypominającej miesiąc w ostatniej kwadrze, przy czym podobieństwo takie potęgowały liczne dzioby po wietrznej ospie, księżycowym kraterom podobne. — Nikt ciśnięty w trzewia Studni Potępionych nie powraca bez *auxilii* demonów.

— A jeśli pomogli mi święci anieli? — powiedziałem, z trudem cedząc słowa przez rozbite wargi.

— Nie bluźnij, anieli nie mogą sprzyjać kacerzom i czarownikom — zgromił mnie inkwizytor, a głos jego, przed chwilą łagodny, zabrzmiał niczym gwóźdź ciągniony po szkłe.

— Taki ze mnie czarownik, jak z wielebnego brata muszkietier! — odparłem i chowając głowę w ramionach, oczekiwałem kolejnego ciosu. Nie liczyłem na nic, marząc o jednym, iżby mieć to wszystko poza sobą.

Mnich zlekceważył zaczepkę. Skubiąc siwiejącą brodę, powtórzył standardową formułę:

— Mów prawdę i tylko prawdę!

Niestety, tego jednego nie mogłem uczynić. Jak miałem im powiedzieć, że ich nie ma — że cały ten siedemnastowieczny świat ze stubramną Rosettiną i z Jego Xiążęcą Mością, a nawet ze mną, Alfredo Derossim, zwanym il Cane, jest jedynie wytworem wyobraźni Aldo Gurbianie— go, literata amatora, nawróconego grzesznika, byłego milionera, niedawnego łajdaka, który, co więcej, prawdopodobnie już nie żył. Jak zareagowałby oprawca w czerwonych butach, unoszący do kolejnego ciosu swego „kota o sześciu ogonach”, gdybym go nazwał konfabulacją? O Santa Maria del Frari! Z pewnością posiadał w arsenale zawodowych chwytów sporo tortur nader wyrafinowanych, z którymi wolałbym się nie zapoznawać. Jak na płód fantazji ból bowiem był tak wściekle realny, że mógł iść w zawody jedynie z ogromem mej złości.

Zostawały mi tedy ciche jęki i powtarzanie w duchu: „Panie Mój, dlaczego?” ewentualnie: „Zali czyściec za nasze grzechy zawsze musi być taki odrażający?”

Nie chciałem tu być. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę. Kto przytomny po wyjściu z wieku pacholęcego wierzy w podróże do Krainy Fantazji?

To prawda, dorastałem dość długo i opornie, a będąc dzieckiem mało towarzyskim, przez całe lata wypełniałem swymi kulfonami zeszyty opatrywane tytułami: *Opowieści rosettińskie I, II* aż do *XXIX*. A nawet i później, wystukując na ojcowskiej maszynie do pisania marki Olivetti niewyczerpane ciągi dalsze, z rozkoszą odrywałem się od dwudziestowiecznej rzeczywistości, by żeglować po cudnych lądach wyobraźni. (O grach komputerowych się nie śniło!) W onej nierzeczywistości bywałem Alfredem Derossim, malarzem i kochankiem, medykiem i filozofem, — skazanym na koniec na haniebną śmierć w bezdennej głębi Studni Potępionych. Aby tchnąć życie w ów świat i uczynić go wiarygodniejszym nawę dla siebie, poczyniłem sporo studiów rozmaitych, przeczytałem dziesiątki monografii i pamiętników od Botticellego po Aretina, nie gardząc Makiawelem czy żywotami Galilea i Bruna.

Jednak bajka się skończyła. Dorosłem i brutalnie stykając się z dzikimi regułami gry, rozpoznałem ostatecznie linie demarkacyjne między snem a jawą.

Rychło uznałem, iż bycie łajdakiem realistą niesie więcej profitów niż kondycja cnotliwego idealisty, skoczyłem więc w ziemskie szambo z zapalem poławiacza perel. Ów wiek nurzałem się w onym paskudztwie, zaznając wszelkich rozkoszy dostępnych człowiekowi pozbawionemu jakichkolwiek zasad i gdyby śmierć powolna a pewna nie zajrzała mi w oczy, gdybym nie dokonał trzeźwego rachunku sumienia, skończyłbym zapewne w panteonie największych łajdaków postmodernistycznej epoki.

Zdarzył się jednak cud i ateusz Gurbiani uwierzył w Boga, stary rozpustnik ożenił się ze skromną pielęgniarzką, a właściciel plugawego imperium, które sam w pysze wieku męskiego erygował, zburzył je własnymi rękami.

Niemala w tym zasługa świątobliwego Raymonda Priestla, a także zamachu na me życie, po którym — utraciwszy świadomość — przez miesiąc z okładem żyłem utożsamiając się z własnym barokowym bohaterem. Zapewne byłby to materiał dla licznych dysertacji psychiatrów, ale wiercie mi, w najgłębszej swej jaźni cały ten czas czułem się Alfredem Derossim — artystą i prekursorem Oświecenia, który błędząc po Rosettinie dawnej i współczesnej, konfrontował własne marzenia z ich efektami.

Powróciłem do tożsamości Aldo Gurbianiego odmieniony dogłębnie. Niedługi czas życia, który mi był pisany, zamierzałem poświęcić pracy nad utrwaleniem nowej wizji mediów, działaniom charytatywnym, rodzinie.

Atoli onego czasu pozostało mi rozpaczliwie mało; guz, niewątpliwy współautor mych czasoprzestrzennych miraży, rozrastał się, zaczynałem mieć trudności z chodzeniem, z mową... Zdołałem wprawdzie doczekać narodzin małego Freddina, ale czułem, że pierwej sam stracę możliwość mówienia, niż usłyszę gaworzenie mojego syna.

Niewielkie pocieszenie przynosiła modlitwa i desperackie zabiegi Moniki, wyszukującej rozmaitych cudotwórców, Rosjan, Filipińczyków, aborygenów, którzy potrafili jedynie doić pieniądze, rozbudzać nadzieje, ale nie umieli poradzić sobie z nowotworem.

Wieczorami, z tarasu, na który Monika wyprowadzała mój wózek, mogłem przypatrywać się Rosettinie, podziwiać klucze ptactwa dążącego na południe, liczyć tygodnie, dni, godziny.

Aż któregoś dnia doktor Rendon przywiózł aż z Kalifornii Franka Masona, profesora Franka L. Masona, człowieczka o aparycji niepozornej — chudy był, drobny, bardzo nerwowy — lecz podobno o umyśle giganta.

— Rozumiem, że zdaje sobie pan sprawę, iż tradycyjne leczenie nie jest w stanie zahamować postępów choroby? — zaczął. Skinąłem głową. — Mój zespół pracuje obecnie nad nową metodą walki z nieoperacyjnymi nowotworami mózgu. Metoda nie ma jeszcze oficjalnego atestu i dotąd praktykowaliśmy ją głównie na zwierzętach... — zastrzegł się.

— Nie mam nic do stracenia, zgadzam się na rolę królika doświadczalnego — powiedziałem impulsywnie. — Na czym polega ta metoda?

— Postaram się to wyłożyć jak najprzystępniej... — zaczął. I wyłożył. Niestety z owego wykładu zrozumiałem niewiele. Mówił coś o ekranach, które wprowadzone do wnętrza czaszki miały powstrzymać rozrost guza, o cybernetycznych mikromodułach, działających jak armia szperaczy penetrujących zrakowaciałe tkanki. Ich rola miała polegać na „zaznaczeniu”

chorych komórek, uszkodzeniu ich kodu genetycznego tak, aby przestał oszukiwać białe ciała krwi nie mogące dotąd odróżnić „swoich” komórek od wrogich. W sytuacji, w której kancerkomórki zostaną rozpoznane jako obce ciała, organizm winien uporać się z nimi sam.

W populacji królików osiągnęliśmy w trzydziestu ośmiu procentach przypadków utrzymanie stanu *constans*, a w dwudziestu trzech nawet pełną remisję... — chwalił się Mason.

— Bierzcie się zatem do dzieła! — zawołałem entuzjastycznie. (Jeśli można wyobrazić sobie entuzjazm u człowieka, który już bełkocze, robi pod siebie i nie odróżnia smaku lodów waniliowych od śledzia w oleju.) Doktor Mason wyglądał na stropionego nadmiernym optymizmem pacjenta.

— Problem polega na tym, że chociaż znamy efekty: fizyczne terapii... może pan odzyskać władzę w kończynach, może poprawić się odczuwanie smaku, a także mowa... nie wiemy jednak, co będzie z osobowością. Niektóre szczury po zabiegu przestawały rozpoznawać się nawzajem, traciły instynkt stadny. Zapominały wyuczonej drogi przez labirynt. Może się zatem zdarzyć, że przejściowo będzie pan miał kłopoty z własną tożsamością.

— Rozumiem, doktorze, ale czy mam jakiś wybór?

*

Świat składa się z tchórzy i idiotów. Tak zwani ludzie odważni stanowią jedynie podgrupę wśród tych ostatnich. Aby dokonywać czynów naprawdę bez trwogi, trzeba być szaleńcem, pozbawionym wyobraźni kretynem, któremu wbito w łeb jakąś obłądną ideę, dano mundur, pałkę lub miecz. Albo nie mieć lepszego wyboru.

Jak ja.

Z głową ogoloną na modłę egipskiego arcykapłana jechałem na blok operacyjny rosettińskiej kliniki, która udostępniła swoje pomieszczenia i najlepsze kadry Masonowi i jego ludziom. Towarzyszyła mi dość spora eskorta, czy raczej kondukt, który jednak kurczył się w miarę mojej jazdy. Najpierw odpadli żurnaliści, błyskający fleszami. Fotoreportaż „Ostatnia droga Aldo Gurbianiego” stanie się niewątpliwie ozdobą porannych dzienników, na równi z doniesieniami o awarii w elektrowni atomowej nad Lago Vanina. Potem pożegnałem księdza Ernestal Weissa, który był starszym rosettińskiej wspólnoty krzyżobłękitnych i modlił się wraz ze mną o pomyślny wynik operacji, wreszcie przyszła kolej na moją żonę Monikę.

Chwilę widziałem jeszcze jej wzniesioną rękę na tle okna, za którym kipiało włoskie lato. Na koniec odsunął się nawet doktor Rendon, do ostatka trzymający mnie za rękę, a ja wjechałem do chirurgicznego królestwa wydzierzawionego Frankowi L. Masonowi.

Miałem być operowany „na żywca”, jedynie ze znieczuleniem miejscowym, czekało mnie nacięcie skóry i piłowanie czaszki. Perspektywa pełnej przytomności podczas zabiegu nie wzbudzała mego zachwyty, inna sprawa — dwa tygodnie podawania rozmaitych specyfików otepiło mnie do tego stopnia, że nie wymieniałbym już wszystkich faraonów z listy Mentehona ani nawet marek dziesięciu ulubionych trunków w moim barku. Do licha, kiedy ostatnio robiłem sobie drinka?

Bąłem się jak cholera.

Wprawdzie ksiądz Weiss gotów był dać mi na piśmie, że jakby coś nie wyszło, to Raymond Priestl czeka na mnie po drugiej stronie z otwartymi rękami i zaprowadzi do Szefa Szefów wejściem dla VIP-ów, jednak stanowiło to raczej iluzoryczną pociechę. Dlatego jak skazaniec w obliczu plutonu egzekucyjnego przystałem chętnie na założenie opaski na oczy, nie chcąc oglądać zastępu chirurgów, anestezjologów i instrumentariuszek, którzy tylko oczekiwali na hasło: „Avanti!”, by ruszyć z pełnym rynsztunkiem na moją biedną głowę.

Oszczędzę wam opisu wrażeń, jakich dostarcza borowanie czaszki lub komendy w rodzaju: „Skalpel, trepan, uwaga na lewą powłokę, elektroda, ostrożnie...!”

Zresztą wkrótce coś się zmaćiło w harmonijnym przebiegu ceremonii, poczułem nagły chłód przenikający całe ciało i niby pasażer szybkiej windy zacząłem opadać z zawrotną prędkością. (Zupełnie jak Derossi w Studni Potępionych!) Gonily mnie nerwowe okrzyki Masona: „Pięć miligramów! Na miłość boską, szybciej! Siostró, tlen!”

Wszelako poza spadaniem nie czułem niczego dokuczliwego, piętra przelatywały jak lata, miesiące, wieczory i zaranki. Wreszcie usłyszałem falset anestezjologa: „Boże, tracimy go!” I potem spowity mnie absolutna czerń. Ktoś wyłączył światło.

Czytałem wiele relacji spisywanych przez specjalistów od „życia po życiu”. Kiedy po zaledwie sekundzie odzyskałem świadomość (a przynajmniej zdawało mi się, iż była to sekunda) — wszystko się zgadzało z tamtymi opisami: korytarz wypełniony mgłą, gęstą, lepłą, i drobny świetlisty punkt przede mną. I cisza. Rozglądałem się pilnie w poszukiwaniu jakichś duchów, pomarłych przyjaciół lub wrogów, którzy winni na mnie czekać i służyć za przewodnika w dalszej wędrówce ku rzece zapomnienia. Na próżno. Może moja wizyta zaskoczyła zaświaty? Zrobiłem krok, chwiejny, drugi, trochę pewniejszy, mgła zagęściła się do tego stopnia, że stała się cieżką czy wręcz smrodliwą breją, aż zacząłem powątpiewać w wartość rajskiej przepustki wystawionej przez dobrego księdza.

Jeśli tak miało wyglądać służbowe wejście do raję, to sam Eden mógł okazać się bardziej krajem Trzeciego Świata. Czułem jednak, że wkroczyłem na drogę jednokierunkową i nie mam odwrotu.

Z każdym krokiem grunt w tunelu stawał się bardziej grząski, za to światłość potężniała i wzmagala się, aż musiałem oczy zmrużyć. I naraz ogarnęła mnie burza dźwięków i zapachów. Otoczył brzęk złocistych trzmieli i pszczoł miodnych, granie świerszczy, bzyk ważek. Wrażenia te wsparły wonie kwiatów, wilgotnych traw, liści. Jednak Eden!

Wreszcie, kiedy me oczy przyzwyczyły się do światłości, poznałem, iż jestem w baśniowym ogrodzie, pod niebem błękitnym. Opadające gałęzie poza mną jak kurtyna zasłoniły wyjście z podziemnego korytarza, na wprost zaś biegła ścieżka pomiędzy drzewa, zarośla, kwiaty...

Naraz dojrzałem anioła wśród tych zarośli, profilem do mnie ustawionego, ze skrzydłami tęczowymi. Anioł ów miał bujne włosy koloru ciemnokasztanowego (ciekawe, atoli możliwości istnienia anioła szatyna nie wykluczają żadne księgi święte) i wydawał się ciężko nad czymś mozolić, urokliwe rysy miał bowiem napięte, krew napłynęła mu do lic i wydawał odgłosy świadczące o nadzwyczajnym wysiłku.

Podszedłem bliżej, pokłonić się onemu cherubowi. Naraz rajską rzeczywistość rozdarł pierd tak straszny, że niechybnie zerwałby mi z głowy kapelusz, gdybym go miał na sobie.

Czar prysnął. Rzekomym aniołem okazała się dorodna piersiasta wieśniaczka, która barwną kieckę na plecy zarzuciła i kucnąwszy, oddawała się dość pospolitej czynności defekacji. Wycofałem się chyłkiem, miarkując, iżby w nic nie wdepnąć i poszedłem ścieżką w przeciwnym kierunku, zadziwiony wielce pokrętną fakturą owego snu nie snu. Albowiem jak na transcendentne zaświaty wiejski pejzaż zbyt przypominał mi mały realizm.

Uszedłem tak paręset metrów, aż otwarł się przede mną rozległy widok na osadę osobliwie znajomą — ze spiczastą wieżą kościoła, urwanym łukiem akweduktu i dymami unoszącymi się ponad chatami. Stałem osłupiały. I tkwiłbym zapewne tak długo jak pień uschły, aż do porośnięcia mchem od północnej strony, gdyby pośród cyprysów nie pojawił się chłopina chudy, dziobaty, niosący kosę na ramieniu, który na mój widok czapkę zdjął, pokłonił się nisko i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Pan Jezus i Matka Jego, *signore* Derossi.

Po raz pierwszy popatrzyłem po sobie: zniknęło szpitalne prześcieradło, którym winienem był być okryty. Teraz miałem na sobie pluderki grzeczne, ciemne, koszulę białą, trzewiki eleganckie — słowem wyglądałem dokładnie tak, jak Alfredo Derossi na chwilę przed ciśnięciem go do Studni Potępionych.

Wrażenie *deja vu* pogłębiło się, gdym dostrzegł opodal akweduktu znajome ruiny okalające sadzawkę rusalek.

Montana Rosa!

Znalazłem się w osadzie Montana Rosa pod Rosettiną. Znow jako Alfredo Derossi il Cane. A co najważniejsze, wszystko wskazywało, że dookoła trwał nadal XVII wiek.

*

Przekonany, że przeżywam złudzenie optyczne, stresowy omam, w końcu możliwy u wyłącznego autora onej rzeczywistości, począłem się szczytać, powiekami ruszać, usiłując doprowadzić do jak najszybszego przebudzenia. Ale się jedynie spociłem. Spróbowałem innej metody — skoro byłem kreatorem tej fikcji, zażądałem od swej imaginacji, iżby na gościńcu pojawił się kurier poczty cesarskiej, wąsaty jegomość na karynckim koniku, z sakwą.

Ale nikt się nie pojawił. Choćby gołowas na osle! Inne podobne życzenia, wyrażane w coraz bardziej kategorycznej formie z dodatkiem tłustych dwudziestowiecznych przekleństw, również pozostały niespełnione.

Odczułem wreszcie głód i pragnienie. To ostatnie ugasilem w strumyku. Owszem, był i strumyk. Dokładnie tam, gdzie go opisałem. Tworzył nawet niewielkie rozlewisko okolone sitowiem. Zanim łyknąłem wody, przejrzałem się w tym naturalnym zwierciadle.

O, w mordę! Zamiast egipskiej czachy Gurbianiego baczyłem szpakowate kędziory, wąs, w pomysłę zadziorny, dziś lekko zwisły, bródkę kaczemu kuprowi podobną; taką właśnie mi więzienny balwierz podciął, do kaźni szykując. (Dziś zapewne, gdyby robiono jeszcze publiczne egzekucje, wizażystka w trosce o mój *image* zrobiłaby *make up*.)

Postanowiłem spróbować innego eksperymentu i zdemaskować całe to złudzenie. W moich bajdurzeniach o Rosettinie nigdy nie opisałem drugiej strony strumyka; owszem, poniżej stawku był i młyn, i kapliczka świętej Cecylii, ale wyżej w górę potoku? Nie miałem pojęcia, co się tam może znajdować. Pewnikiem nic! Przebrodziłem więc strumyk i wyszedłem na gościńiec. Wnosząc po pogodzie i roślinności, musiała trwać pełnia lata.

Zaraz za zakrętem drogi ujrzałem obszerny dwór, z szarego trawertynu solidnie wzniesiony, z małym ceglany donżonem, charakterystycznym bardziej dla rejonu Bolonii niż Rosettiny. Dwór bogaty, ludny, rychło bowiem opadła mnie czereda psów, dzieci, sług i służebnic, prowadząc do pana, który w ogrodzie, w cieniu arkady, przy *impluvium* sjeisty zażywał.

Ów na mój widok podskoczył z energią, na jaką mu zażywny kształt pozwalał, ścisnął jak najlepszego przyjaciela, pocałunkami okrył i do brzucha, o istic wezuwiuszowej wypukłości, przygarnął.

Znałżebym go?

Wina, wina dla mego przyjaciela — wołał ów gościnny jegomość, wzywając jednocześnie rozmaite Petronele, Letycje i Laury. Jak się okazało, żonę i córę dwie, wdzięczne, modnie przyodziane, trzpiotliwie oczkami strzygące, aż niejeden mięsień w człowieku drgał. Myślę tu naturalnie o ścięgnach szyi, rządzących grdyką. Gdy już mnie wyściskał, przedstawił i napoił, pozwolił sobie wreszcie na okrzyk pełen zdumienia:

— A powiadali, że nie żyjesz, il Cane?

— Czego to ludzie nie mówią — odparłem wymijająco, cały czas spekulując w myślach, kim mógł być ów zażywny gospodarz.

— Prawda, prawda, toż zapowiadali z ambon kometę, która ludzki ród spopieli, jeśli grzesznicy się nie nawrócą. Kometa fiuu... przeszła, świat stoi, a ludzie grzeszą jak wprzódy. — To mówiąc, zleciwszy białogłowom nadzór nad przygotowaniem poczęstunku, w chłodny cień domostwa mnie wprowadził. — Dawnoś tu nie był, druhu miły, a jam swą skromną galeryję obrazów w parę lat wielce rozszerzył. Pokażę ci ją, nim nam do stołu nakryją.

Od razu doszło do małej konfuzji. W samym środku ściany, płótnami dość zróżnicowanej roboty zawieszanej, obraz wisiał, zbyt mały, izby przysłonić prostokąt jaśniejszego tynku.

— Ascanio! — ryknął mój *cicerone* do swego majordomusa. — A gdzie obraz jaśnie wielmożnego pana Derossiego?

— Za szafą — odparł prostodusznie ów kiep — ale już wyciągam.

— Strach przeżyliśmy duży, gdy wieść poszła, żeś w niełasce, uwięziony — tłumaczył gospodarz. — Książęcy oficjałowie Poczęli tropić twe dzieła. Ascanio przeskrobał wprawdzie podpis na płótnie, że niby Giorgione *pinxit*, ale bojąc się arcydzieła stracić, wolałem w bezpiecznym miejscu go przechować. Przetrzyj go, gapo, ścierką z tych pajęczyn! A żywo!

Obraz przedstawiał naszego gospodarza, dziesięć lat młodszego, z miną hardą, w stroju hiszpańskim wśród gołych muz, którym twarzy użyczyła donna Petronela, ciała zaś musiały pochodzić z najpiękniejszych wspomnień autora. Ja to namalowałem? Nie do wiary! W każdym razie boski Giorgione musiałby żyć pół wieku dłużej, by rysować wojownika w takim kostiumie.

— Mam też jeden z twych rysunków najpierwszych, ołówkiem na kartonie, gdyś chłopcem będąc, mego szczęsnego brata sportretował — chwalił się dalej kolekcjoner, grzebiąc w przepaścistym sekretarzyku. — O, jest!

Starczył mi rzut oka. Scypio? Tak, Scypio! Mój jedyny, towarzysz nieprzystojnych chłopięcych zabaw, tragicznie zmarły po upadku z okna Wysokiego Domu w Mauretańskim Zaułku. Tyle że w mojej opowieści Scypio nie miał żadnego brata, jeno pięć sióstr.

Udało mi się jeszcze dedykację zoczyć — „Drogiemu Catonowi”. No! Przynajmniej dowiedziałem się, że gospodarz ma na imię Cato. Co do reszty... *Porca madonna*, czemuż nigdy nie wymyśliłem Scypionowi żadnego nazwiska! — Tu z zaskoczeniem pomiarkowałem, iż klnę w duchu epoki, więcej powiem, od chwili, gdy w one czasy zstąpił, korcić mnie jęło do wyrażania się zgodnie z obowiązującym stylem. Mało tego, w swym pamiętniku na bieżąco pisanym, coraz częściej, bez szczególnego powodu wstawiałem zwroty łacińskie, wyrażenia dawno przestarzałe, moc słów, których Aldo Gurbiani żadną miarą znać nie powinien. (A może znał kiedyś, tylko zapomniał.)

Pragnąc poukładać jakoś narastający mętlik w głowie, poprosiłem Catona o możliwość kąpieli, bom z drogi przybył brudny i zmęczony. On stwierdził, że natychmiast mi to umożliwi — a mrużąc filuternie oko, zapytał:

— Łazienbnych chłopców wolisz czyli łazienbnice?

Zgodnie z mym *desideratum* dostałem dziewczkę hożą, piersiastą, jak się okazało, owego anioła szatyna z ogrodu różanego, gotową zaspokoić wszelkie me życzenia. Atoli, kiedy wspomniałem twarz Moniki i wyobraziłem sobie ją, czuwającą w aseptycznym korytarzu szpitalnym, wszelkie chucie we mnie opadły niczym zgaszony knot.

Biesiada przebiegła w atmosferze miłej, choć nie pozbawionej pewnej sztuczności. Jadło, aczkolwiek wykwiłne i pięknie podane, nie smakowało mi zbyt, a widok skowronków w śmietanie wręcz poraził. Cato gadał wiewa, sypał dykteryjkami, stroniąc wszelako, niczym czart od krucyfiksa, od aktualnej polityki. Nie pytał też wprost o moje niedawne przeżycia, choć z pewnością zżerała go ciekawość, skąd się wzięłem. Od mej kaźni, mającej miejsce wiosną, upłynąć musiało co najmniej parę miesięcy. Trudno było nie zastanawiać się, gdzie się przez ten czas podziewał, jak mogłem przybyć bez konia, powozu, sakwy podróźnej, a nawet sakiewki. Ograniczył się jeno do zapytania o moje dalsze zamierzenia artystyczne.

— W świat się wybieram — powiedziałem niezobowiązująco. Cato przyjął to z wyraźną ulgą. — Wpierw do Rzymu ruszę, a potem...

— Może do Nowego Świata? — zapytała lekko zezowata Letycja, nie wiem czemu chichocząc.

— Może i do Nowego Świata.

— Powiadają, że potwory tam straszne żyją, a ludzie całkiem nadzy chodzą — dopytywała się, pąsowiejąc jak wiśnia, ładniejsza od siostry Laura. (Ech, żebym tak był dawniejszym

Gurbianim, miałybyście obie rozkładóweczkę w „Minettio” i wspólny rejs moim jachtem na Seszele jak nic.)

Zaspokajając ciekawość pań, opowiedziałem co nieco o podróżach i przygodach Derossiego, które sam w młodości powymyślałem na podstawie pamiętników Celliniego czy romansów Dumasa. Opowiadałem więc o pojedynkach i wynalazkach, ze słynnym „żelaznym psem”, od którego urobiono mój przydomek, na czele.

Słuchacze byli zafascynowani i chyba zachwyceni.

— Żywot to niezwykły — powiedziała naraz donna Petronela. — Wszelako opowiedzcie, mistrzu, czemuście nigdy nie wstąpili w związki małżeńskie.

— Może za niewiastami nie przepada? — zachichotał dwuznacznie Cato.

— A może lubi aż nadto wszystkie, by zdecydować się na jedną — sparowałem sztych sztychem. — Wszelako wierzcie lub nie. powiadam wam, iż Alfredo Derossi pod tym względem nie miał dość szczęścia (o szczęściu Gurbianiego wołałem zamilczeć).

— Zali nigdyś waćpan nie spotkał tej jednej, jedynej? — zapytała Laura, kierując na mnie swe oczy błękitne ni to senne, ni rozmarzone.

— Spotkałem raz.

— I cóż z ową szczęśliwą wybranką...?

— Nie żyje.

Cisza zapadła, pokojowcy wykorzystali moment, iżby naczynia stołowe pozmienić. I słodkości wnieść. A ja przez moment doświadczyłem jakby dotknięcia ducha. Poczułem przelotną obecność Marii. Mojej Marii, arcyprincessy Rosettiny. Niestety wrażenie zaraz znikło, zostawiając smak miłości, za którą ona i Derossi zapłacili życiem. Przynajmniej na kartach mojej opowieści.

Wraz z wieczornym chłodem nastrój robił się coraz swobodniejszy. Ascanio grał na lutni, donna Petronela śpiewać zaczęła. Całkiem udatnie. (Być może ze względu na rozmiary pudła rezonansowego.) Wtórował jej małżonek, niestety dużo gorzej.

Uczestniczyłem w biesiadzie dość powierzchownie, bardziej zatopiony we własnych myślach niż błażej pogawędce, mimo iż nóżka siedzącej *vis-à-vis* mnie Laury, nie tak nieśmiałej, jak wypadałoby mniemać biorąc pod uwagę jej wiek, wyzbywszy się trzewiczka najpierw trąciła me stopy, później kolana, a następnie zadomowiła się między udami i droczyć się zaczęła niczym kocur jaki z ptaszkiem o przetrąconym skrzydle.

Być może i mój ptaszek mimo wszystko zerwałby się do lotu, w końcu jestem tylko człowiekiem, atoli gospodarz musiał chyba dostrzec błogostan malujący się na twarzy

młodszej córki, albowiem spać ją wraz z żoną i siostrą wyprawiał, mnie zaś przydzielił gościnny pokój na pierwszym piętrze.

— Moglibyśmy jeszcze długo rozmawiać — rzekł — ale miarkuję, iż mocno jesteście utrudzeni, a jutro też wstanie dzień.

Zgodziłem się skwapliwie. Ciągle żywiłem nadzieję, że po zapadnięciu w sen powrócę do swego czasu, do Moniki, do Freddina. Źle uczyniłem, winienem raczej prosić o konia, drobną pożyczkę i uchodzić ile sił.

Zali mogę mieć nadzieję — zapytała Laura na odchodnym, wokół paluszka pukle swych jasnych włosów kręcąc — że znajdzie jutro mistrz chwilę, aby moje niewprawne malunki obejrzeć i nauk mi udzielić.

— Uczynię to z rozkoszą — odpowiedziałem, dodając w duchu: „Jeśli podolam”. Gurbiani bowiem, jeśli chodzi o umiejętności plastyczne, potrafiliby namalować najwyżej Kaczora Donalda.

— Spać, spać, spać! — poganiała wszystkich donna Petronela.

Wykonałem jej polecenie. Wszelako, mimo wielkiego zmęczenia spałem krótko, a przebudziwszy się ze snu niedobrego, niespokojnego, nie znalazłem obok siebie włącznika lampy, telefonu komórkowego ni przycisku wzywającego siostrę oddziałową.

Noc była jeszcze pełna, głęboka, wszelako zza ściany dolatywały jakieś szmery, szepty, skrzyp schodów.

Czyżbym mógł spodziewać się wizyty Laury?

— Nie, Aldo, nie wolno, w żadnym wypadku nie wystawisz sobie takiej laurki — szepnąłem do siebie.

Wtem drzwi z dwóch stron komnaty otwarły się raptownie. Atoli postacie w nich nie przypominały sympatycznych dzierlatek. Obnażone rapiery, króciice, zapalone pochodnie.

— W imieniu najjaśniejszego arcyksięcia Ippolita, jesteście aresztowani — powiedział dowódca siepaczy.

Gdy mnie wyprowadzali do krytej kolasy, nigdzie nie dostrzegłem Catona ni Petroneli. Jedna Laura, powstrzymywana przez żołdaków w sieni, płakała żałośnie, wyciągając ku mnie swe ręce smukłe niby winne pędy.

*

Trudno przewidzieć, jakie wymyślne tortury szykował dla mnie Ippolito Rosettiński i jego doborowi oprawcy. Do pierwszego przesłuchania doszło na szczęście dopiero gdzieś po miesiącu od mego zatrzymania, gdy arcyksiążę z frontu północnego powrócił. Do tego momentu traktowano mnie dość wyrozumiale, tak jak traktuje się jeńców wojennych, nie więźniów, a strażnicy dawali mi do zrozumienia, iż ktoś możny interesuje się mną i opłaca lej warunki.

Miałem tedy masę czasu, aby rozmyślać nad moją kondycją, także nad sposobami salwowania się z opresji. W obu dziedzinach wyniki osiągnąłem nader mierne. Z lochu pod Czarną Wieżą nie było ucieczki. Gdybyż wzniesiono ją z wulkanicznego tufu lub piaskowca, dających się złobić nawet srebrną łyżeczką od *gelati* — po miesiącu przekopałbym się na drugą stronę Apeninów! Niestety, więzienne cele w istocie były jaskiniami wykutymi w granitowej skale, której skruszenie wymagałoby sporo trotylu lub brygady młotów pneumatycznych.

Zastanawiałem się wielokrotnie, jak działałby prawdziwy *il Cane*. Zaczął się i ogłuszył strażnika? Dwumetrowe chłopisko pozbawione poczucia humoru i choćby śladowej inteligencji nie było jednak najlepszym obiektem do tego rodzaju akcji...

Tak czy owak nie byłem *il Canem*, barokowym omnibusem, z zadatkami na supermana. Mimo postury Derossiego zachowałem świadomość Aldo Gurbianiego i wszelkie związane z tym ograniczenia. Co gorsza, uważałem swój los za przesądzony.

Przez cały miesiąc nie dokwaterowano mi do celi choćby zwariowanego księdza, na wąskie okienko nie przylatywał gołąb pocztowy, a próba zaprzyjaźnienia się ze szczurami (te były!) odniosła tylko ten skutek, że za dnia podłe gryzonie nie wytykały nosa ze swych dziur, nocą zaś, gdym usnął, gryzły mnie dotkliwie.

Oczywiście łudziłem się, że w każdej chwili mogę powrócić do rzeczywistości szpitalnej lub zapaść się w mrok śmierci, ale mijały dni, tygodnie i nic podobnego nie następowało. Wisiałem w onej fikcji nie fikcji, nie mając na nic wpływu, aż któregoś popołudnia bicie z dział, ruch na korytarzach, wreszcie gwałtowne otwieranie drzwi zwiastowało, iż okres refleksji się skończył, bo Ippolito powrócił. Pierwsza rozmowa z Najjaśniejszym Panem, czy raczej katowanie wstępne trwało parę godzin. Zapowiadało się na dłużej, atoli gdy gotowano już dla mnie buty hiszpańskie, ktoś odwołał Ippolita i jego inkwizytora. Czas jakiś leżałem w półżywy na posadzce, aż litościwszy z oprawców wylał na mnie kubek wody.

Wkrótce potem zaczął się poczęły rzeczy zadziwiające. To to bez wpływu mego intelektu beletrysty. Z katowni zabrano mnie do komnat, medyk opatrzył moje rany, nakładając na nie

rozliczne kataplazmy, dano mi nową, czystą szatę, a nawet kordzik w pochwie, dla dekoracji chyba, bowiem na wszelki wypadek pozbawiony klingi.

Cóż to mogło oznaczać? — łamałem sobie głowę, a nie mogąc znaleźć godziwego wytłumaczenia, czekałem dalszego losu bardziej ciekaw niż przerażony.

Wreszcie zaprowadzono mnie do małej komnaty, z jednym wąskim oknem na dziedziniec wewnętrzny wychodzącym. Cekał tam na mnie mężczyzna, niewysoki, szczupły raczej niż chudy, o twarzy pociągłej, myślącej i włosach długich, przerzedzających się nad czołem. Odziany był dziwnie, ni rycersko, ni jak ksiądz w podróży, z jednej strony rzekłbyś — urzędnik jakiś, z drugiej kupiec możny, czort wie kto. Czym go znał? Czy znać powinienem? Lico w każdym razie nie wydawało się całkowicie obce. Na mój widok oczekujący poderwał się z fotela, rękę mi po wojskowemu uściśnął.

— Przybyłem jak najspieszniej, mistrzu, dowiedziawszy się o waszym powrocie — rzekł. — Naturalnie jesteście wolni, a ten koronowany osieł zapłaci nawiązkę, jakiej tylko zażądacie. Prosiłbym jedynie o to, by wasze zmartwychwstanie zachować jakiś czas w tajemnicy.

Skinąłem głową, zastanawiając się, jak potężny musi być człowiek zdolny traktować Ippolita jak hetkę-pętelkę. Wybawca pojął snadź, iż nie wiem, z kim mam do czynienia, uśmiechnął się bowiem przeprasząco:

— Możecie mnie nie pamiętać, choć już w 1624 roku, gdym był jeszcze młodzieniaszkiem, spotkaliśmy się w Parmie. Postawiłeś pan dla mnie horoskop astrologiczny, wróżący mi świetną karierę, i to nie wojskową. Powiedziałeś też, bym w chwilach próby trzymał się francuskich lilii miast hiszpańskiej korony. Posłuchałem.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Tych szczegółów z życia Alfredo Derossiego kompletnie nie znałem.

— Astrologią dawno się nie param — zacząłem nieśmiało. — A co do pamięci...

— Trudno pamiętać byle żołnierza. Wybacz, mistrzu, iż się nie przedstawiłem — jeszcze raz potrząsnął moją ręką.

— Giulio Mazzarini.

— Kardynał Mazzarini!?! — wykrzyknąłem.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zakłopotanie.

— Nie jestem kardynałem, nawet nie mam święceń kapłańskich. Ot, skromny ze mnie nuncjusz Jego Świątobliwości przy dworze Najstarszej Córy Kościoła, a zarazem Wielkiego Kardynała skromny przyjaciel.

Zrozumiałem, że ma na myśli Richelieugo, ale nie rzekłem słowa, słuchając, co ma mi do powiedzenia.

— Nie mam upoważnień, a co więcej dość wiadomości, aby wyjawić panu powody, dla których Jego Eminencja, wzywa was do siebie. Mogę jedynie potwierdzić, że prosi, a nawet błaga, byście jak najrychlej wraz ze mną pospieszyli do Paryża.

Przeraziła mnie myśl, iż kardynał zażąda ode mnie rzeczy niemożliwych, przebudowy Luwru lub namalowania pocztu królów francuskich. Kto wie, jakimi umiejętnościami szczycił się prawdziwy il Cane — transmutacją metali, sekretem kamienia filozoficznego? Z drugiej strony, w obecnej chwili było to jedyne wyjście z klatki, w którą schwytał mnie Ippolito.

— Z najwyższą radością ofiarowuję wszelkie me siły Jego Eminencji — zadeklarowałem.

3. ITALSKA ŚCIEŻKA

Mazzarini oszczędził mi rozkoszy pożegnania z księciem Ippolitem, na *corte del Drogo* podstawiono nam ciemny powóz bez herbów i tablic rejestracyjnych, który powiózł nas do nuncjatury apostolskiej mieszczącej się w Pałacu Albertich za Murami. Firanki w oknach kolasy opuszczono szczelnie, uczyniłem jednakże dziurkę małą, chcąc chociaż rzucić okiem na ówczesną Rosettinę.

W porównaniu z miastem mej powieści domy zdały mi się o wiele biedniejsze, ulice bardziej brudne, a ludzie brzydsi. Nad śródmieściem unosił się dokuczliwy odór zgnilizny, uryny i tem podobnych pachnideł. Zaskakująca też była mnogość wszelkich kalek i żebraków, niewątpliwych odprysków trwającej wojny, nade wszystko czuło się smutek jakiś, schyłek, dekadencję, czort wie co. Zaiste, świat, który ja wymyśliłem, był znacznie barwniejszy i weselszy.

W Pałacu Albertich wskazano mi izbę czystą, przylegającą do sieni, gdzie podano całkiem obfitą wieczerzę. Mazzarini przeprosił, iż ze względu na obowiązki nie będzie mi towarzyszył, toteż posilałem się samotnie. A ledwo zaspokoilem pierwszy głód, przemyśliwać począłem, nie tyle nad ucieczką, w Rosettinie byłoby to szaleństwem, ile nad małym wypadem w miasto, choćby w celu odwiedzenia Mauretańskiego Zaułka, by obejrzeć dom mój, czy raczej Derossiego, o ile rzeczywiście il Cane kiedykolwiek tam mieszkał.

Jednak ledwie wyjrzałem do sieni, już na mój widok podniósł się braciszek, rozmiarami bardziej młodego Heraklesa niż mnicha przypominający, z pytaniem:

— Trzeba czegoś łaskawemu panu?

— Nie, nie, nie... Chciałem jeno zapytać, gdzie tu się wyłącza światło?

*

Wyjechaliśmy świtem bladym jak zwłoki topielca.

Na środek transportu Mazzarini obrał obszerną kolasę, bez ozdób i zbytków, przypominającą najwięcej dyliżans pocztowy. Wybór ten ucieszył mnie wielce, Aldo Gurbiani od dość dawna konie widywał jedynie pod postacią wędliny. A jazda nawet pozbawionym resorów wehikułem to zawsze lepsze rozwiązanie niż gniecienie

niewprawionego tyłka w siodle. Krom woźnicy towarzyszyło nam czterech jeźdźców o gębach trzeciorzędnych oprychów, wojaków zapewne wystarczająco sprawnych, aby zapewnić legatowi Papieskiemu minimalne poczucie bezpieczeństwa.

Zresztą i sam Mazzarini, wbrew wizerunkowi tchórza i słabeusza, jaki Aleksander Dumas ojciec zafundował mu w utworze *Dwadzieścia lat później*, potrafił nieźle zadbać o własne bezpieczeństwo. Ale o tem później.

Jechałem italskimi drogami, doświadczając ambiwalentnych uczuć niczym człek, który w *theatrum* spektakl ogląda, nie wiedząc, widzem jest czy aktorem, a może lada moment zostanie wywołany za kulisy. Jak długo mógł bowiem trwać ów stan zagubienia we własnej imaginacji? Co działo się z rzeczywistym Gurbianim? Życ chyba musiał, ale skoro miesiąc minął (nie miałem pojęcia, czy czas snu jest tożsamy z rzeczywistym), należało przypuszczać, że operacja się nie udała, chory trwa w śpiączce albo, co gorsza, nastąpiło rozdzielenie tożsamości i jej część kołacze się w XXI wieku, druga zaś w skórze Derossiego podróżuje po XVII stuleciu, nie wiedząc w dodatku, czy podlega dominacji ego, superego czy może libido?

Drugiego dnia podróży, opuściwszy rosettińskie doliny, dotarliśmy do gór. Okolice nie podniosła się jeszcze po krwawej łaźni, jaką sprawili jej niemieccy najemnicy, rozochoceni po słynnej rzezi Mantui. Ówdzie straszyły ruiny wyludnionych wsi, po miasteczkach pienili się żebracy, mówiono też o bandach maruderów, buszujących w zbożu, atoli przyszedł kardynał nie wydawał się przejmować żadnymi niebezpieczeństwami. Z wielką swadą rozprawiał o sztuce włoskiej, a był w tej dziedzinie nie lada ekspertem, cytował całe partie z Giorgia Vasariego, zachwycał się stylami i szkołami zeszłego wieku, przekładając napięcia wyobraźni u Parminianiego ponad perfekcyjne welony barw na płótnach Correggia, wyprane, jego zdaniem, ze wszelkiej metafizycznej tajemnicy. Gdy zapytał mnie o opinię w tej materii, zawstydzony własną niewiedzą zasłoniłem się chytrą formułą, że jeśli idzie o malarstwo, znam się jedynie na tym, co sam zmaluję.

— Ech, wy artyści egotyści — zaśmiał się Giulio i szybko skierował rozmowę na temat wojny europejskiej, która się w Czechach od praskiej defenestracji posłów cesarskich poczęła, blisko dwadzieścia lat już trwała, a końca jej nie było widać. Gdzieś w ferworze dysputy wyrwało mi się określenie: „wojna trzydziestoletnia”, co czujny Mazzarini natychmiast zauważył.

— Skąd wiesz, mistrzu, że potrwa jeno trzydzieści lat? Nie bardzom wiedział, co rzec, ale w tym momencie rozległ się wystrzał z pistoletu i kwik koni. Akurat posuwaliśmy się odludnym wąwozem górskim i, trzeba trafu, dwóch osiłków z naszej eskorty pojechalo przodem, zmianę koni przygotować, zaś ariergarda pozostała odrobinę z tyłu. Wykorzystując

tę okazję, banda kilkunastu opryszków zaatakowała nas ze wszystkich stron. Herszt i jeden z zuchwalszych oberwańców pochwycili końskie wędzidła i zatrzymali zaprzęg, inni podskoczyli od tyłu, rabować nasz bagaż.

Mazzarini zaskoczył mnie niebywale. Nie okazał strachu, a przeciwnie, porwawszy nóż w zęby i dwa bandolety w ręce, drzwiczki otwarł, wypalił do herszta, potem sam na kozieł wskoczył i nożem w brzuch drugiego łapserdaka dźgnął, po czym osobiście lejce w dłonie pochwycił. Woźnica, nie w ciemną bitą, dawaj za muszkiet, jak się okazało nabity, pali kartaczami do trójki rozbójników blokujących drogę. Ci, skowycząc, rozpierzchają się na boki. Ruszamy z kopyta, gubiąc przynajmniej jednego z rzezimieszków bobrujących od tyłu. Drugi wszelako już był wciągnął się na dach, z najlepszym zamiarem skoczenia na plecy przyszłemu kardynałowi. Atoli Giulio, chyba szóstym zmysłem wiedziony, odrzuca powrozy woźnicy, obraca się i w ostatniej chwili spada paruje cios noża, potem sam zadaje sztych. Przez okno widzę spadającego trupa. A już z tyłu nadciągają nasi zbrojni i reszta zbójcekiej hałastry Pryska w krzaki.

Wszystko trwało szybciej niż pacierz. Ledwie udało się wyjść ze zdumienia, było po walce. Gdym począł legatowi jego sprawności gratulować, roześmiał się tylko i powiedział, że służąc w regimencie piechoty papieskiej, nie w takich tarapatach bywał, a podczas studiów w Rzymie i Acala de Henares, gdzie oprócz różańca uczono i tańca, miał za nauczycieli najprzedniejszych fechtistrzów epoki. Toteż robił rapierem jak kastyljski hidalgo, a jako Sycylińczyk z pochodzenia i Rzymianin z awansu, od dziecka posiadał zdolność posługiwania się nożem. Zresztą cała jego kariera dyplomatyczna zaczęła się sławną kawalkadą pod Casal w październiku 1630 roku, kiedy to z okrzykiem: „*Pace! Pace!*” rzucił się między szykujące się do boju oddziały francuskie i hiszpańskie, powstrzymując samojeden bitwę, a wrychle doprowadzając do armistycjum.

— Bardziej niepokoi mnie, mistrzu il Cane, że od samej Rosettiny ktoś nas śledzi — rzekł, gdyśmy ujechali parę mil.

— Kto, na Boga?

— Tego nie wiem, wszelako kimkolwiek jest, wielkiej wprawy inwigilacyjnej nie ma, albowiem zawodowiec miałby się na większej baczności. Zresztą przekonajmy się, kto zacz.

— To mówiąc, ku krzakom mnie ciągnie, woźnicy i eskortie polecając, by jechali dalej i czekali nas za pół mili.

— Czy to nie jest zbyt ryzykowne? — pytam.

— Jakie ryzyko, toż słyszę tylko jednego konia? — zachnął się Giulio.

Czekaliśmy pięć minut może, aż ukazał się tropiciel, młody człek, z wiejska odziany, na koniu jednak nawet dla oka laika zbyt szlachetnym, by podążał nim byle hołysz. Szpada przy boku, bandolety za pasem i guldynka na plecach wskazywały, że dusza w młodzieńcu bitewna.

Minął nas, nie rozglądając się zbyt. I wówczas Mazzarini, błyskawicznie dopadł go. Jednym cięciem popręg przeciął, inwigilatora wraz z siodłem w pył drogi zwałił i już sztylet do ciosu uniósł...

— Litości — zaskomlił młodzian.

Takoż ja rękę Giulia powstrzymałem, wołając:

— Znam ja tego człeka, wasza dostojność!

— Kto on?

— Lorenzo — przedstawił się leżący, dygocąc z bojaźni.

— Lorenzo Catoni. Ośmieliłem się ruszyć za wielmożnymi panami, albowiem mistrz Derossi obiecał z dawna, iż uczniem jego ostanę.

— Ja? — zdziwiłem się.

— Jeśli prawdę gadasz, to czemuś krył się jak złodziej? — zapytał zgoła logicznie wysłannik Richelieugo.

— Z szacunku i obawy, że mistrz nie dotrzyma swej obietnicy w przytomności mego ojca uczynionej.

— A ojciec twój cóż na to? — powiedziałem, pomagając się podnieść pacholikowi i podając mu czapkę, która potoczyła się do rowu, iżby nakrył swe krótko podcięte płowe włosy, wskazujące na normandzkich lub gockich przodków, wplecionych przed wiekami w romańskie drzewo genealogiczne.

— Nic rzec nie mógł. Albowiem wkrótce po waszym pojmaniu apopleksją rażon ducha wyzionął, długi jeno i lichą rentę sierotom ostawiając. Szczęściem klejnotów rodzinnych nieco udało się zachować, a że cenę za nie dawali dobrą...

Myśl nagła mnie tknęła.

— Ty żeś za mój wikt w celi łożył?

— Nie mówmy o drobiazgach — zaczerwienił się Lorenzo. — Pomóżcie mi lepiej zapasowy popręg zaciągnąć.

— Tedy reperujcie siodło, a ja na oklep pomknę i nasz powóz zawrócę — powiedział Mazzarini i na grzbiet gniadosza niczym Zorro wskoczył.

— Cóż najlepszego wyprawiasz, Lauro! — zawołałem, gdy jeździec znikł za zakrętem. — Czyżbyś Joannie d'Arc kostiumu pozazdrościła?

Przebrana dziewczyna pokraśniała jeszcze bardziej, ale odparła, nie tracąc rezonu:

— Chcę być z tobą, panie, albowiem pokochałam cię od pierwszego wejrzenia.

Zatkało mnie tak bezceremonialne wyznanie prześlicznej młódki, szukałem chwilę właściwych słów, ale nie potrafiłem powiedzieć nic mądrego. Przecież nie mogłem jej wyznaczyć, że jesteśmy wszyscy, z nią włącznie, postaciami świata fikcji, śnionego przez faceta operowanego prawie czterysta lat później. Że w prawdziwym świecie mam żonę i opinię tak zaszarganą, iż każda panienka z dobrego domu winna się trzymać ode mnie z daleka.

Zanim jednak zdołałem przejść do tłumaczeń, powrócił powozem Mazzarini. Laurze wyznaczył miejsce na koźle, a mnie pociągnął do kolasy, chcąc dyskusję o wojnie europejskiej i jej możliwych politycznych konsekwencjach kontynuować.

*

Wieczorem stanęliśmy w klasztorze San Vitale, z oddali przypominającym plombę w zębatej krawędzi skalnej, zamykającej dolinę na kształt rygła. Braciszkowie z radością zaoferowali swą gościnę legatowi i mnie. Jak już zauważyłem, Mazzarini, szukając noclegu, przedkładał konwenty nad świeckie tawerny, albowiem w gościnie u mnichów będąc, za nic płacić nie musiał, nadto jako nuncjuszowi papieskiemu przysługiwał mu wstęp tak do zgromadzeń męskich, jak i żeńskich, klauzurowych nie wykluczając.

Okazało się wszelako, iż mnisi jeno dwie gościnne cele posiadają, tedy Giulio większą dla siebie zajął, mnie mniejszą pozostawiając.

— A Lorenzo...? — zapytałem.

— Chłopak będzie spać z czeladzią w stajni! — oznajmił przyszły kardynał, odbierając mi szansę szybkiego sprawdzenia, czy miłość panny Catoni jest w istocie tak wielka, jak zapewniała.

Zresztą może i lepiej, zyskiwałem czas na przemyślenie sytuacji w jej aspekcie moralnym. Bo na zdrowy rozum, kim ja właściwie byłem? Gurbianim obleczonym w ciało Derossiego czy Derossim napeklowanym jaźnią Alda?

Derossi, z punktu widzenia stanu cywilnego, był człowiekiem wolnym, z sercem otwartym na prawdziwe uczucie. Ból po stracie Marii zdołał w nim nieco osłabnąć. Zresztą czy związek z arcyksiężną, o ile w ogóle miał miejsce, oparty na podziwie, fascynacji i szalonym seksie, mogłem uznawać za pełny? Wszak był ukradkowy, grzeszny i pozbawiony sakramentalnej oprawy.

Jednak jako Gurbiani byłem już żonaty, szczerze zakochany w Monice. Co więcej, po mej odnowie moralnej, odczuwałem niechęć do sytuacji dwuznacznych i zwyczajnie bałem się konsekwencji grzechu. Dawny Aldo, napalony na wszystko, co się ruszało i nie uciekało na drzewo, należał do przeszłości (lub przyszłości — zależy od punktu widzenia). Zresztą, powiedzmy szczerze, moja renoma don Juana była wielce przesadzona, a czarna czy raczej różowa legenda Gurbianiego była bardziej dziełem propagandy plotkarskich mediów niż efektem rzeczywistych osiągnięć.

Przez ponad dwadzieścia lat mego dojrzałego życia zrazu rozpaczliwie poszukiwałem miłości, później zaś czyniłem wszystko, aby zabić myśl, że coś takiego może istnieć. Miewałem kobiety płatne (przy czym nieistotne, iż częściej od gotówki ekwiwalentem bywała kariera, którą mogłem im zapewnić), zaliczałem, i owszem, wyuzdane nimfomanki, erotyczne kolekcjonerki osobistości z pierwszych stron gazet, lecz najczęściej głupie gęsi idące szybciej na błysk niż szczupaki z Lago Azzuro.

Ile z nich przynajmniej lubiłem, ile mnie fascynowało? Nie pamiętam.

*

Po wieczerzy z ryb i wina się składającej Mazzarini znów ostawił mnie samego, oddalając się z przeorem w stronę klasztornej biblioteki. Udałem się do wirydarza, powietrza nocnego zaczerpnąć, z nadzieją spotkania Laury. Atoli przejścia do pomieszczeń gospodarczych zostały już na noc zawarte. Z kościoła dobiegał szmer modlitw komplety, przerywanych ściszonymi psalmami. Chwilę posiedziałem przy fontannie, po czym wąskimi schodkami obok chóru wspiąłem się na górny krużganek, popatrzeć na niebo gwiaździste nade mną i zastanowić się nad prawem moralnym we mnie (Immanuel Kant miał dokładniej zająć się tymi zagadnieniami dopiero za stulecie). Nim jednak doszedłem do jakichś konkluzji na temat bytu, przez wąski świetlik któregoś z pomieszczeń przy zakrystii dobiegły mnie szepty, dzięki wyjątkowej akustyce doskonale słyszalne.

— Jedenaście przypadków tylko w tym miesiącu, osiem bezspornie udokumentowanych... — mówił głos cichy, acz zdecydowany. — Obserwatorzy używają różnych słów i porównań, ale zgodność obserwowanych incydentów jest zastanawiająca, biorąc pod uwagę, iż każdy z wypadków był przecie odosobniony, a świadkowie nie kontaktowali się między sobą.

— Plotki szerzą się szybko — odpowiedział Mazzarini.

— Dokładamy wszelkich starań, aby się nie rozpowszechniały. Kilku kapłanów czyniących zbyt wielkie larum izolowaliśmy w odległych klasztorach. A prosty lud? Interpretuje to jako pojawianie się diabła, częstsze niż wprzód.

— *Bene, monsignore*. Informujcie mnie dalej tajną pocztą.

Chwilę trwała cisza. Wreszcie rozmówca Mazzariniego znów przemówił.

— Ojciec Święty pyta, kiedy dowie się, co to wszystko oznacza. Święte Officjum nie zajęło stanowiska. W żadnym z zarejestrowanych wypadków nie pomogły egzorcyzmy.

— Pokładajmy ufność w Panu i Najświętszej Jego Rodzicielce — mruknął Mazzarini, a potem głosy oddaliły się.

Długo nie mogąc zasnąć, analizowałem podsłuchane informacje. Wnioski nasuwały się same. Wybuchła epidemia, pojawiła się jakaś nowa zaraza, wobec której bezradne było ówczesne społeczeństwo. A jak mógł pomóc Derossi *vel* Gurbiani? Niczym szpargały z zagraconej szafy, z zakamarków mózgu poczęłem wydobywać fragmentaryczne informacje o Pasteurze, Kochu, o zasadach kwarantanny, aseptyki i tym podobnych. Wreszcie, gdym doszedł do wspomnień na temat Dżumy Camusa, ogarnął mnie sen.

*

Miasto płonęło, złotoczarne kłęby ognia wznosiły się ponad pozbawionymi dachów spichrzami, opodal *campanilla*, przypominająca florenckie arcydzieło Giotto, leżała ścięta jakby kosą olbrzyma żniwiarza, stromy brzeg atakowała fala dwakroć wyższa od wież strażniczych, a na horyzoncie majaczył charakterystyczny grzyb znany każdemu, komu przyszło urodzić się po Hiroszimie. W owym upiornym *spectrum* utrwaleni zostali również ludzie podobni muchom znieruchomiałym w obliczu zagłady.

Koszmary sen! Zamrugałem powiekami. Nieruchomy obraz niczym fotograficzna klatka nie chciał zniknąć. Dobrej chwili potrzebowałem, iżby zorientować się, że jest to tylko fantastyczny fresk wypełniający sklepienną kolebę w mej alkowie. Wieczorem nie zauważyłem go wskutek panującej pomroczości i własnego znużenia.

Za oknem wstawał dzień, a rumiany braciszek targał mną za ramię, mówiąc, że jego ekscelencja legat czeka, aby wspólnie wysłuchać *laudy*.

— Gościliście tutaj może Hieronima Boscha? — spytałem mnicha. Wydawał się zmieszany. Jeszcze raz zapytałem o malowidło *al fresco*.

— Namalował je Bartolomeo, młody, uzdolniony malarz z Urbino — wyjaśnił brat. — Chory był... — wymownie wskazał na głowę.

Z dalszych informacji wynikało, że autor apokaliptycznej wizji rok temu przybył do ich konwentu, błagając o schronienie przed demonami, które go opadły w drodze przez Abruzzi. Z opisanych objawów wynikało, że nieszczęśnik popadł w ciężką psychozę (zakonnik używał terminu opętanie) i ostatnie swe dzieło tworzył w zaryglowanym od wewnątrz pokoju, gdzie wkrótce zmarł.

— Jak doszło do tego opętania? — naciskałem.

— Spotkał skrzydlatego diabła. — Tu braciszek trzykroć się przeżegnał. — Wprawdzie z anielską pomocą uciekł mu, ale już nigdy nie był sobą. Stworzył ona polichromię i zgasł w zeszyły adwent.

Może wycisnąłbym i więcej szczegółów, ale właśnie pojawił się Mazzarini i Laura, która mijając mnie w wąskim korytarzu, polizała me ucho. Wspólnie wysłuchaliśmy mszy, a kierując się ku kolasie, zaszedłem jeszcze na chwilę do komnaty, obejrzałem malowidło, szukając wskazówek na temat sprawców zagłady. I wreszcie ujrzałem — za atomowym grzybem, na skraju horyzontu, drobną trójkątną plamkę, za którą ciągnął się warkocz spalin. Czyżby była to latająca superforteca?

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Wnosząc po częstych zmianach koni i krótkich popasach, legatowi z jakiegoś powodu niezwykle zależało na pośpiechu. Korciło mnie podpytać Mazzariniego na temat onej epidemii, ale Giulio był tego dnia dziwnie nierozmowny. Odwrotnie Laura, skryta w męskim kostiumie. Ta co popas zagadywała do mnie czule, a gdy nikt nie widział lub przynajmniej myślała, że nie widzi, ocierała się o mnie, naelektryzowana jak kotka.

Dobry Boże, jak długo będę mógł opierać się tak cudnej osiemnastoletniej pokusie?

Nie wiem, czy one zaloty postrzegł Mazzarini, w każdym razie, kiedy po obiedzie palnął filipikę na temat „miłości greckiej”, jak wówczas określać się zwykło „kochanie inaczej”, poczułem się niczym grzesznik na rozżarzonych węglach.

Przyszły kardynał nie miał wątpliwości, że antyk szczeł na skutek pedalstwa, które w jego wypowiedzi jawiło się jako najdotkliwszy wybryk wbrew naturze.

Powściągliwie milczałem. Jako Gurbiani (przed nawróceniem) propagowałem bowiem wolność dla wszelkich aberracji, co gorsza, sam miałem wiele lat temu pewien wstydlivy epizod z księciem San Stefano, chociaż grzech mój wynikał nie tyle ze skłonności do jaśnie wielmożnej kiszki stolcowej, ile stanowił cenę płaconą za możliwość stworzenia podstaw pornoimperium.

— Cywilizacje są jak fortece — perorował legat. — Pozbawione zasad moralnych stają się lupem pierwszego lepszego barbarzyńcy. Wandalowie, Goci, Hunowie nie położyliby kresu Rzymowi, gdyby ten wcześniej nie zniszczył się sam upadkiem zasad, które stworzyły jego wielkość. Rozwody, zatrata bojowego ducha w połączeniu z zaniechaniem edukacji doprowadziły do upadku Cesarstwa.

Nieśmiało wtrąciłem, że moim zdaniem na upadek *Imperium Romanum* złożyło się więcej przyczyn (z wiadomych względów powstrzymałem się od powoływania na prace Gibbona oskarżającego chrześcijaństwo o zagładę antyku, nie wspomniałem też o marksowskiej teorii „formacji”), ale Giulio upierał się przy swoim.

— Na zdrowym drzewie czerw nie siada!

Miałem ochotę zapytać, którą z minionych epok uznaje za najzdrowszą: czas krucjat, tyle szlachetnych w zamyśle, co barbarzyńskich w realizacji, występny Rzym Borgiów, Hiszpanię doby konkwisty i Torquemady, a może Genewę Kalwina, ponurą i nudną jak życiorys starej panny? — ale powściągnąłem język.

Zresztą Mazarin bez pytania zdradził imię swego ideału. Europa jutra!

W ocenie legata kontynent, jaki miał powstać po zaprzestaniu wojen, jawił się rajem. Katolicki półwysep Azii, przylądek Dobrej Nadziei dla ludzkości, pępek globu który całkiem niedawno wyłonił się z wieków ciemnych niczym cypryjska Wenus, mógł oferować światu nie tylko prawdziwą wiarę i prosty alfabet, ale przede wszystkim indywidualnego człowieka, kowala swego losu, jednostkę niepowtarzalną, autonomiczną, wolną.

Marnujesz się w tym siedemnastym wieku, pomyślałem patrząc na Mazzariniego, w Komisji Europejskiej zrobiłbyś karierę.

*

Na kolejny nocleg stanęliśmy na krótko przed zmierzchem w obszernym zajeździe wzniesionym z solidnych ciosów w dość odludnej kotlinie na pograniczu Wielkiego Księstwa Toskany. Prócz nas nie uświadczylbyś gościa, toteż unizony oberżysta począł skrzętnie stoły dla naszego posiłku sposobić. Nim jednak dorodny prosiak zdołał podpiec się na wielkim ruszcie, Mazzarini znów wymknął się na podwórzec. Wyjrzałem za nim, niby to *latriny* szukając. Giulio stał pod murem opodal kuchni i gadał z jakimś korpulentnym mężczyzną, w szarą opończę przyodzianym. Głową kiwał, słuchając, co tamten mu mówił, potem trzosik z kieszeni wyjął i swemu rozmówcy wręczył, ten poszedł w kierunku stajni, zaś Mazarini,

najwyraźniej czymś wzburzony, energicznie zawrócił ku izbie. Cofnąłem się w cień szkarpy, a gdy mnie minął, pobiegłem między budynkami, pragnąc rzucić okiem na męża w opanczy. Nie wiem czemu, przyszło mi do głowy, że mogę skądś znać rozmówcę mego opiekuna.

Pod studnią nieomal wpadliśmy na siebie. Kaptur spadł z głowy nieznajomego, ukazując twarz nalaną, błyszczącą i niestara, a co istotne, pośród onych tłustych wypukłości połyskiwały wcale inteligentne oczy.

— Wielkie nieba. Mój pan! — krzyknął na mój widok tłuscioch. Na kolana w pył podwórca padł, pod nogi jał mnie podejmować. — Nie poznajecie mnie, mistrzu? — wołał. — To możliwe, przytyłem nieco, aliści to ciągle ja, wasz Uczeń i pokorny sługa Anzelmo.

— Anzelmo?! — Furia zagotowała się we mnie niby płynna siarka. — Ty zdrajco! — Tu porwałem go z siłą, o jaką sam bym siebie nie posądził, do studziennej cembrowiny go przycisnąłem, tak że zawisł głową ponad głębią.

— Na Boga! — krzyczał w trwodze grubas. — Santa Madonna! Co wasza miłość czyni? Cóż ja takiego powiedziałem? W czymże was zawiodłem? Sam pan mnie z listem do księcia Mantui wysłał. A żeśmy nie zdążyli z pomocą na czas, to już nie moja wina.

— Z listem do księcia Mantui? Jakim listem? — Nie pamiętałem żadnego listu. Jednak poniechałem pierwszego impulsu, by Anzelma w sztolnię cisnąć, mimo że każdy nerw we mnie dygotał pragnieniem, iżby mu za niegodziwą zdradę odplacić.

— Na Boga, czyżby mistrz zapomniał?! Przecie po tem, jak książę Ippolito pozwał Waszą Miłość przed trybunał, celem egzekucji odroczenia i powołania nowych świadków obrony, miałem szukać pomocy w Mantui i Ferrarze...

Zawahałem się. Łgał szelma czy prawdę mówił? Przyznajmy z ręką na sercu, skąd brałem podstawę do mych oskarżeń? Przecież scena ogłaszania wyroku i przebieg kaźni Alfreda Derossiego była moim literackim wymysłem. Z zachowanych dokumentów wiedziałem jedynie, że mój bohater został skazany w niejawnym procesie i wrzucony do Studni Potępionych. Nadto w pamiętnikach niejakiego Pierra dela Naxia, które przed laty wpadły mi w ręce, wyczytałem jeszcze trochę o Wysokim Domu, słudze Anzelmie oraz kilku dziełach il Cane, które zniszczono. Reszta jednak: tragiczny w skutkach romans z arcyprincessą Marią (historia mówiła tyle tylko, że dwudziestoparoletnia Litwinka zmarła na gorączkę płożową), zemsta Ippolita, wreszcie podła rola Anzelma jako tajnego informatora o kryptonimie „Uczeń” były wyłącznym dziełem mej literackiej inwencji. Czyżbym niechęcący skrzywdził prawego człowieka?

— Puście go, puście, mówię! — zabrzmiał głos Mazzariniego.

Puściłem. Anzelmo bliski omdlenia osunął się na ziemię, oddychając jak świeżo wyłowiony karp.

— A cóż was tak zdenerwowało, mistrzu? — zapytał legat. — Toż gdyby nie poświęcenie twego sługi, nigdy byśmy tak szybko o waszym niezwykłym powrocie się nie dowiedzieli i dalszym torturom nie zapobiegli. A i dziś przybył z ostrzeżeniem, iż siepacze cesarza zasadzkę szykują, nocą pragnąc oberżę zaatakować i was pojmać.

Rzuciłem okiem na tłusciocha, ale ten tylko głową kiwał jak nakręcany pajac i na koniec wysapał:

— Wysłali piętnastu zbrojnych, polecając im w hultajskie stroje się przebrać. Mają za zadanie wziąć was żywcem.

— Dziwi mnie, że dopiero teraz — powiedziałem.

— W Arcyksięstwie Rosettiny chronił nas glejt papieski, przeciw któremu, mimo wielkiej oskomy, jawnie wystąpić nie mogli — wyjaśnił Mazzarini — a i tak byliśmy obiektem jednej nieudanej próby.

— Okrutnie was arcyksiążę pan nienawidzić musi — zauważył mój były sługa — boć powiadają, że dla innych artystów pan to hojny i szczodroblivy.

— Nie wiem, czy to wyłącznie nienawiść — Powiedział legat. — Gdyby tak było i zależałoby mu na waszej śmierci jeno, najęci siepacze użyliby sztyletu lub trucizny, skoro jednak chcą was wziąć żywym, *ergo*... — umilkł nagle jak człowiek, który zorientował się, iż rzekł za dużo i zwracając się do Anzelma, dodał: — Postanowiłem, że ruszymy niezwłocznie w dalszą podróż, omijając ziemię zdradliwych Medyceuszy. Wy zaś wracajcie do Florencji i miejcie tam oczy i uszy szeroko otwarte.

— Chyba już tam nie wrócę — westchnął mój uczeń, wskazując kurzawę podnoszącą się na gościńcu. Towarzyszył jej narastający tętent. Najwyraźniej spora grupa jeźdźców, nie czekając, aż nastanie noc, spieszyła co koń skoczy ku oberży.

Mazzarini nie wahał się ani chwili.

— Uciekajcie we dwóch — rzucił. — My ich powstrzymamy. Przez ziemie Modeny i Parmy dotrzecie do Genui, gdzie zgłosicie się na statek o nazwie „Święta Genowefa”. Jej dowódca, kapitan Lagrange, będzie wiedział, co cznić dalej.

— A pan, ekscelencjo, samosześć chce stawić czoła całej bandzie?

— Bywałem w większych tarapatach, mistrzu. Jeśli wpadnę w ich ręce, nie zabiją przecież papieskiego dyplomaty. A jeśli zginę w potyczce... Wypełnię zadanie. Istotne jest, abyś ty, il Cane, dotarł żyw i zdrowy do Jego Eminencji! O jedno tylko cię proszę. — Energicznym ruchem zdjął z szyi łańcuch złoty z medalionem, w kopercie wysadzanej drobnymi

brylancikami, i rzekł mi do ucha, tak by Anzelmo nie mógł podsłuchać: — Oddasz to królowej, Annie, królowej Francji!

To mówiąc, ścisnął mnie jeszcze raz, po czym pchnąwszy nas ku oczeretom, sam ku oberży zawrócił, krzycząc gromko, iżby eskorta gotowała się do obrony, nabijała muszkiety i barykadowała wierzeje.

Pomyślałem o Laurze, jednak nie wróciłem po nią. W ucieczce byłaby zawadą, zaś jej uroda stanowiła gwarancję, że przeżyje tę opresję, co najwyżej z drobnym uszczerbkiem.

W oliwkowym gaju czekał na nas muł i koń, którego wspaniałomyślnie ustąpił mi Anzelmo. Chwilę później jak Don Kichot i Sancho Pansa puściliśmy się na północ. Ścigał nas rejwach bitewny, grzechot strzałów, kwik koni i psów ujadanie.

Przez moment zdjął mnie strach, że być może ufając tłuściochowi, popełniłem błąd i naiwnie oddałem się w ręce zdrajcy, ale czy miałem wybór...

— Jak ci się wiodło we Florencji? — zapytałem, gdyśmy zwolnili po drugiej stronie wzgórza.

— Nie najgorzej — odparł wymijająco.

— A czym się tam zajmowałeś?

— Wszystkim po trosze, ostatnio byłem bibliotekarzem u Medyceuszów. To, że byłem pomocnikiem waszej miłości stanowiło przednią rekomendację. Nadto w spekulacjach pieniężnych święty Antoni mi pobłogosławił. Da Bóg, z czasem może i własny bank mieć będę.

Ujechaliśmy jeszcze może pół mili, gdy cień jakiś z oczeretów wychynął.

— *Halt, wer da?*

Jasne, obstawili teren czujkami.

— Jestem Anzelmo, złapałem poszukiwanego il Cane — odparł po niemiecku mój sługa, łapiąc mego rumaka za uzdę, drugą ręką mierząc we mnie z króciicy. — Pomóż ściągnąć mi go z konia, kamracie!

Zimny pot oblał mnie od stóp do głów. Realizował się najczarniejszy scenariusz. Zostałem zdradzony! Przebrany z hultajaska knecht zbliżył się do nas, lecz nim ściągnął mnie z wierzchowca, tłuścioch porzucił krócicę i zajeżdżając mułem od tyłu, pętlę najemnikowi na gardło zarzucił, targnął i zaciągnął.

Był jednak zbyt słaby, by zadusić Niemca sycylijską metodą, ten zaś, wielki jak północny niedźwiedź, ryczeć począł nieludzko, a szarpać się. Pewnikiem dałby sobie radę i z Anzelmem, i z jego mułem, gdybym nie zmacał przy siodle czekanika z inkrustowaną rękojeścią, którym całą mocą w łeb germański stuknąwszy, rozstrzygnąłem walkę na naszą

korzyść. W tem momencie mój były uczeń zsunął się z muła i z wprawą zawodowego kata ostatecznie dodusił przeciwnika. A gdy już było po wszystkim, oświadczył:

— Santa Madonna, jak ja nie lubię tych plugawych cudzoziemców. A teraz w konie, mistrzu!

Umykaliśmy dalej. Nim zmierzch zapadł, pokonaliśmy kolejne wzgórze, pogrążając się w mrok gajów. Niebo jeszcze było jasne, ale już pojawił się księżyc. Nie słyszeliśmy odgłosów pościgu, a i zgiełk bitewny utonął w mgłach podnoszących się znad łąk.

Jechaliśmy w milczeniu, krótki popas czyniąc dopiero koło północks. Stanęliśmy opodal opuszczonego smętarzyka, okolonego smukłymi cyprysami na podobieństwo panien żałobnych.

Anzelmo nie obawiał się pościgu, twierdząc, że najemnicy nie ośmielą się rozdzielić i szukać nas w nieprzyjaznej im okolicy, gdzie na dźwięk luterskiej mowy widły same pchają się do rąk wieśniakom.

— Możemy skierować się, gdzie tylko zechcesz, panie.

— Gdzie zechcę? Przecież pan Mazzarini kazał nam...

— Byłem zawsze zawsze pańskim sługą. Legatowi zaśię świadczyłem jedynie usługi. Przeto dokądkolwiek rozkażesz, byśmy się udali, mistrzu, poprowadzę was bezpiecznie.

Dzięki za wierność, ale tam, gdzie chciałbym się udać, nie możesz mnie zaprowadzić, pomyślałem, wspominając mój rosettiński taras i ukochaną Monikę.

— Świat nie kończy się na Cesarstwie i Francuzach — kusił dalej mój rezolut, dorównując elokwencją Mefistofelowi. — Możemy, idąc wzdłuż Padu, dotrzeć do Wenecji, a stamtąd dążyć ku Stambułowi. Tacy artyści jak pan znajdą mecenasa i u Wielkiej Porty. A jeśli brzydzi was pohaniec, możemy pociągnąć na północ ku Rzeczypospolitej Polonii. Kraj to miły, zasobny, wojną nie ogarnięty. Mój kuzyn Luciulli prowadzi skład winny w Krakowie i wielce chwali tamte strony, które choć chłodne, obfitują w gościnnych ludzi i blondyny urody nadzwyczajnej, a zarazem tak subtelnej, iż żadnej Teutonce równać się z nimi nie sposób.

Trudno było oprzeć się równie kuszącej propozycji. Zwłaszcza gdy nie wiedziałem, jak długo jeszcze pozostanę w krainie, którą ciągle uznawałem za wytwór mej fantazji. Z drugiej strony Mazzarini... Zaryzykował dla mnie życie. A jego słowa o wadze, jaką przywiązywał do mej osoby Richelieu... Do licha! Jeśli nawet nie mogłem im w niczym pomóc, czy nie winienem przynajmniej dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi?

Wyciągnąłem medalion przekazany mi przez legata. Zalśnił w księżycowym blasku całą szlachetnością kruszcu. Otworłem kopertę, natrafiając w środku na miniaturowy portrecik niewiasty, niemłodej wprawdzie, ale wciąż powabnej, o rysach krągłych, z charakterystyczną

dla domu habsburskiego wydatną wargą. Twarz można by uznać za pospolitą, gdyby nie dobyte przez miniaturzystę splendor i wewnętrzne dostojeństwo, pod którym czuło się dumę, zaprawioną wszelako goryczą. Miniatura była dwustronna, na jej rewersie znalazłem konterfekcik ślicznego, może półtorarocznego berbecia, prawdziwego kupidyńka o dziarskim wejrzeniu, opatrzony podpisem: „Ton Loulu”.

Dobry Boże, ile daliby nie tylko historycy za taki dowód poufalitych stosunków Mazzariniego i Anny Austriaczki wraz z „owocem ich wspólnych modłów”, którego poczęcie bardziej przypisywano błogosławieństwu świętego Norberta niż osobistym staraniom Ludwika XIII, gustującego, jak wiadomo, w męskim towarzystwie.

— Zatem jaka jest twa decyzja, panie? — powtórzył pytanie Anzelmo. — Dążymy do Wenecji czy do Genui?

— Genua! — powiedziałem szybko, w strachu, że mogę się rozmyślić.

Na twarzy mego ucznia odbiło się zdumienie.

— Ale... ale dlaczego!?

— Honor — odparłem krótko. — Honor, przyjacielu. Podziw, który pojawił się na licu tłuściocha, sprawił, że nie pożałowałem tych słów.

4. ŁĄDEM I WODĄ

Dużo by pisać o naszej wędrówce bezdrożami i zagajnikami. Ostatecznie podążyliśmy nie ku Modenie, jak radził nam Giulio, lecz ku znacznie bliższej Lukce, gdzie mój przewodnik miał ponoć wpływową rodzinę. Zresztą gdzie jej nie miał? Wiele wskazywało na to, że jego dziadkowie i pradiadkowie pozazdrościli chuci królikom. Rodzice byli powściągliwsi, ale też sprawili mu dwóch braci i aż pięć sióstr. Atoli sam Anzelmo pozostawał w stanie bezzennym, gdyż — jak twierdził — na przeszkodzie ożenku stała mu zawsze niepomiaralna ciekawość świata i niewiast, w szczególności zaś ograniczenie się do jednej białogłowy utrudniałoby mu prowadzenie szeroko zakrojonych badań w tej materii.

— Uważasz tedy, że przez Lukkę wiedzie bezpieczniejsza droga? — zapytałem. — Wszelako pan Mazzarini radził...

— Pan Mazzarini może być nieomylny w sprawach polityki, rozeznanie w terenie niech ostawi mnie. Wiem, co robię. Mam was do Genui bezpiecznie odstawić i na zęby świętej Zyty, uczynię to. Sądzę, że przez Lukkę będzie bezpieczniej, boć wygląda na to, iż dopotąd ktoś zawczasu wasze zamiary poznawał i wrogom o nich donosił.

Tak więc, maszerując bocznymi drogami i śpiąc po stodołach, tudzież na smętarzykach (zajazdów i klasztorów z wiadomych powodów woleliśmy unikać), po czterech dniach znaleźliśmy się w słynnej ze znamienitych żeglarzy Republice Liguryjskiej.

Po drodze jedzenia nie brakowało, Anzelmo bez skrupułów myszkował po sadach pełnych dojrzewających owoców, czasem skubnąwszy trzosa otrzymanego od Mazzariniego, wyprawiał się do mijanego miasta, skąd wkrótce powracał, to z bochnem chleba, to z flaszą wina, a bywa często, że i z pętem kminkowej kiełbasy lub dobrze uwędzoną *prosciutto bolonese*. Mimo jego aprowizacyjnych sukcesów, nienawykły do fizycznego wysiłku, wychudłem podczas tej eskapady na wiór. Za to Anzelmo, ku memu zaskoczeniu, jeszcze przytył. Snadź należał do ludzi, którzy nabraliby wagi nawet hermetycznie zamknięci w bunkrze głodowym.

Swoją drogą bliższe poznanie postaci literackiej, która wyszła spod mego własnego pióra, było zaiste niezwykłym doświadczeniem. Oprócz imienia Anzelma powieściowego od rzeczywistego różniło prawie wszystko. Mój sługa, opisywany w *Żywocie Derossiego*, był raczej chudy, choć wysoki, czerniawy, w gębie potulny, za to nieprzyzwoicie chciwy. Krótkoszyi, obły egzemplarz Italczyka, który mnie wiódł przez góry i lasy, wydawał się być

istotą znacznie bardziej skomplikowaną. Dziecię gminu, które w służbie Derossiego liznęło świata, stanowiło zaskakujący zlepek sprzeczności: ludowego rozsądku i wielkich ambicji, sporej, choć fragmentarycznej wiedzy z różnych dziedzin, i sądów tak uproszczonych, że aż wstyd. Również w swych odruchach Anzelmo zdawał się nieprzewidywalny. Raz był rozbrajająco poczciwy, wręcz szlachetny — widziałem, jak na gościńcu kole Carrary cygańskiego dzieciaka prawie spod kół powozu wypchnął — to znów okrutnie bezlitosny. Długo nie zapomnę sceny, jak doduszał powalonego Niemca, czego wcale nie wymagały okoliczności.

Równie trudno przychodziło zgłębić motywacje jego działań. Jeśli w istocie tak dobrze wiodło mu się w Toskanii, czemu chciał mi nadal służyć? Dlatego, że kiedyś uratował mu życie (gdzie i jak, pytać wprost go nie mogłem) czy raczej z powodu bałwochwalczej wiary w geniusz mistrza il Cane? A może po prostu spodziewał się sówitej zapłaty...

Nie raz nocami, gdy w stogu czy polnej bruździe spał u mego boku, zastanawiałem się, jak potraktowałby mnie, poznając prawdę. Gdyby dowiedział się, iż nie jestem tym, za kogo mnie biorą, *ergo* jedynym zyskiem z mego towarzystwa mogą być większe lub mniejsze turbulencje. Czasem łapała mnie obawa, czy już w nim samym nie rodzą się wątpliwości na ten temat? Bywało, zwłaszcza podczas popasów, że zmrużywszy swe świńskie, paciorkowate oczka przyglądał mi się czujnie.

— O co chodzi, Anzelmo?

— Zmienił się pan, mistrzu.

— Ja? Być może. Któż by się nie zmienił po takich przeżyciach?

— Prawda, prawda, wszelako jest pan pierwszym człowiekiem, o jakim słyszę, który wskutek doznanych przeżyć z mańkuta stał się praworęczny.

Kiedy indziej zaskakiwała go moja niewiedza na temat gastronomicznych specjalów ówczesnej doby, a już zupełnie nie mógł pojąć, kto namówił mnie na idiotyczne i jego zdaniem wielce szkodliwe czyszczenie zębów.

— Panie mój, to najlepszy sposób osłabiania szczęk. Widział pan, żeby czyniły coś podobnego konie lub psi?

Nie mając na podorędziu sensownej riposty, co rychlej zmieniłem temat, pytając mego ucznia o powody, dla jakich, jego zdaniem, tak pilnie mnie ścigano.

— Wieść o waszym zmartwychwstaniu uczyniła hałasu co niemiara — tłumaczył. — Ludzie gadać poczęli, że wasza miłość zna tajemnice wskrzeszania zmarłych. Niektórzy posuwali się do twierdzenia, iż jest pan inkarnacją samego Szymona Maga, którego od dwóch tysięcy lat w różnych wcieleniach po bożym świecie wędruje, jeszcze inni rozpoznawali w

was Żyda Wiecznego Tułacza i nie dawali wiary moim gorącym zapewnieniom, iż jesteście, mistrzu, taki sam dobry katolik jak każdy z nas, tyle że niewierzący Mówiono mi również, że Ippolito chętnie by z was życie wydarł, gdyby nie cesarz Ferdynand, któren osobiście polecił was wybadać na temat onej tajemnic nieśmiertelności... — Tu splunął czemuś przez lewe ramię — Wielce uczony to władca, naukami tajemnymi zainteresowany, choć daleko mu do pasji jego stryjecznego dziad Rudolfa, zwanego nie bez powodu Cesarzem Alchemików niech biesy mają litość nad jego grzeszną duszą. Tedy mniemam, iż was ścigają, aby za wszelką cenę dobyć z was całą wiedzę sekretną, jak nie po dobroci, to siłą.

— A czego mogą chcieć ode mnie Francuzi? — spytałem próbując odgonić dreszcz przerażenia, który wzbudziły jego ostatnie słowa. — Zali też myślą, że podaruję im receptę na eliksir młodości?

Zamyślił się.

— Bardzo im na was zależy, bo zabiegów dokonali wiele, a i kosztów musieli ponieść co niemiara, skoro pan Mazarin dostał w waszej sprawie osobiste pismo od Ojca Świętego, jednak o co tu naprawdę chodzi, pojęcia nie mam. Kaznodzieja wielkiego księcia Toskany, z którym w karty do niedawna grywał, twierdzi, że po rozmowie z Mazarinem papież noc całą w Bazylice Laterańskiej krzyżem leżał, wstrząśnięty wielce. Jednak, o czym dwóch gadali, nawet swym nepotom nie wspomniał. Sądzę więc, iż nie chodziło jedynie o zagadkę waszego ocalenia, jeno o coś zgoła poważniejszego.

— Domyślasz się, o co?

— Nikt nie wie, choć klechy jak zwykle końca świata wypatrują, apokalipsą straszą, a przecie, zważywszy okrucieństwa obecnej wojny, z której wieści włosy ludziom na głowie jeżą, apokalipsa ta już trwa! — Tu westchnął głęboko. — Gołym okiem widać, że idzie ku gorszemu. Zimy coraz surowsze, klęski głodu cięższe, wszelkie robactwo i szarańcza wyrają się częściej niż egipskie plagi, nie dziw, że ludzie prości dają posłuch gadaniom księży. Są rzeczy na ziemi i niebie, które się nie mieszczą w głowach... A właśnie, powie mi wasza miłość, jak udało mu się ująć niechybnej śmierci w czeluści studni?

Odpowiednią wersję miałem naszykowaną zawczasu. Zrelacjonowałem mu więc, jak po przeleceniu kilkunastu stóp szybem Studni Potępionych ugrzęzłem w nieczystościach, nagromadzonych na wystęпах wiekowej sztolni, na pewien czas przytomność tracąc.

— Mogłem to podejrzewać — zaaprobował tę wersję — wszelako jakim cudem, *maestro*, wyszliście stamtąd? Toż po waszej egzekucji *sbirri* Ippolita wlot studni zamurowali i dodatkowo jeszcze przywalili poświęconą płytą z abruzyjskiego granitu.

— Szczęście miałem. Macając wokół siebie po omacku, odkryłem rozpadlinę tajną, nadmiar wód odprowadzającą, która od niepamiętnych czasów łączyła ona studnię z lochami zalegającymi pod miastem. Pełznąć jak ślepiec podziemnym labiryntem, dzięki nieprawdopodobnemu uśmiechowi Fortuny, napotkałem pocziwych żebraków, którzy zaopiekowali się mną jak jednym ze swoich. — I dalej opowiedziałem, nieznacznie tylko zmieniając realia, moje przygody przeżyte wcale niedawno wśród współczesnych mieszkańców rosettińskich kanałów: Toto, Ricca i Lina.

— Aliści czemu z podziemi nie daliście swemu wiernemu słudze najmniejszego znaku, iż żyjecie? Pospieszylbym z pomocą. Myśleliście, iż was zdradziłem? Ja, Anzelmo, syn Bonawentury...

Tę mieliznę zeznań ominąłem, tłumacząc się zanikiem pamięci.

— Dwa lata żyłem w onych smrodliwych czeluściach, nie wiedząc, kim jestem i skąd przybyłem, ba, wychodziłem nawet w stroju łachmaniarskim na świat boży, aby żebrać podłe Santa Maria del Frari.

— I nikt was tam nie poznał?

— Jak? W łachmanach, ze skołtunioną brodą i strąkami wiszącymi aż do ramion... Gdybym któregoś dnia nieoczekiwanie nie odzyskał pamięci wśród rzymskich ruin w Montana Rosa, pewnie do dziś prosiłbym o wsparcie w zaułkach wokół Piazza d'Esmeralda. Nie wiem zresztą, czy dawne zdrowie wróciło mi do końca. Sam mówisz, że zmieniłem się. Gorzej, nie wiem nawet, czy potrafiłbym jeszcze malować.

— No to niech się pan przekona. Takich rzeczy się nie zapomina.

Na jakimś murze koło la Spezia, kawałkiem węgla spróbowałem narysować Anzelma na jego mule. Byłem przekonany, że wyjdzie mi najwyżej jakiś prymitywny bohomasz, a tymczasem dziwna sprawność wstąpiła w moje palce, tak jakbym nie do końca dzierżył nad nimi kontrolę. Paru pociągnięciami nakreśliłem okrągłą gębę mego sługi wychyloną ponad uszami chabety, dodając całą złożoność jego charakteru i ów błysk wrodzonej inteligencji pozostający w jaskrawej sprzeczności z bezgraniczną głupotą malującą się na pysku muła. Z rozpędu uwieczniłem jeszcze gołębia siedzącego na gałęzi, bez żenady dokonując plagiatu słynnego rysunku Pabla Picassa. Ukończywszy dzieło, ku swemu zaskoczeniu całkiem udatne, chciałem zmasać rysunek, ale Anzelmo zawołał, że byłby gwałt dokonany na własnym talencie. Pojechaliśmy dalej, pozostawiając troskę nad konterfektem deszczom i wiatrom.

Wspomniany eksperyment zachęcił mnie do dalszych ćwiczeń. Niestety nie potrafiłem przypomnieć sobie alchemicznych proporcji rozmaitych mikstur, ani języka tureckiego,

którym jako Derossi winienem perfekcyjnie władać. Jeśli idzie o sprawdzenie umiejętności fechtunku, nie miałem dopotąd okazji. Aliści nie utyskiwałem nad tym przesadnie.

Trzy dni później dojechaliśmy do Rapallo, będącej podówczas, podobnie jak pobliskie Portofino, jedynie rybacką dziurą z jedną tylko, dość podłą oberżą.

Spragnieni wypoczynku, brudni i wymęczeni postanowiliśmy tym razem zanoć pod dachem, a przy okazji wziąć gorącą kąpiel i zjeść dobrą kolację. Ledwie dzień drogi dzielił nas od Genui, czyli prawie byliśmy w domu.

By relaks był pełen, Anzelmo zaproponował jeszcze sprowadzenie paru dziewczek do towarzystwa, ale odrzuciłem tę sugestię.

Ostatnie purpurowe zorze zagasły na nieboskłonie i noc nastała kruczoczarna. Wyciągnięty na łożu w alkwie oddawałem się sennym konfabulacjom. Śniły mi się poplątane filmy akcji, ni to „bondy”, ni spaghetti westerny, w których obsadzony w roli bohatera, dokonywałem cudów heroizmu, skacząc z samolotu bez spadochronu lub kochając się z gibką, jakby z kauczuku wykonaną agentką KGB na ceglanych blankach Wieży Spasskiej.

Obudziłem się, czując dławiący ciężar na piersiach. Czyżby serce? Nie! Ciężar pochodził bowiem z zewnątrz, nie od wewnątrz. A oddech docierający do mej twarzy zdradzał, że mam na sobie gościa. Cień wiszący nade mną przysłał resztkę poświaty wlewającej się z zewnątrz do izby. Chciałem sięgnąć po puginał, który schowałem byłem pod poduszką, ale obie ręce miałem przyciśnięte pledem, unieruchomione. Próbowałem więc krzyknąć, ale usta zatkały mi czyjeś wargi miękkie i słodkie. Zglupiałem. Czyżby Anzelmo wbrew mej woli przysłał mi grzeszny prezent? Usiłowałem strącić z siebie natarczywą niewiastę.

— Mistrzu, to tylko ja... — usłyszałem znajomy szept. Poniechałem obrony.

— Laura? — W odpowiedzi koniuszek wilgotnego języka musnął moją górną wargę, czubek nosa, powieki. — Wielkie nieba, dziewczyno, jakżeś mnie tu odnalazła?

— Szukałam cię, najmiłszy, wszędzie, ku Genui spiesząc. Aż zaprowadzona sercem na białym murze koło La Spezia ujrzałam twój rysunek doskonały, sługę waszego Przedstawiający. O, ukochany, teraz już nic nas nie rozdzieli!

Kolejny pocałunek nieomal odebrał mi dech. Nie na tyle jednak, bym po chwili nie zapytał:

— A co z Mazzarinim?

— Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje — w głosie panny Catoni zabrzmiał nagły smutek. — Bronił się dzielnie przed przeważającymi siłami mimo odniesionych ran, wszelako, kiedy płomienie z podpalonych stajni ogarnęły dach gospody, poprosił pardonu. Cesarscy powieźli go ze sobą, pewnikiem do Florencji.

— A ty, jak ci się udało?

— Umknęłam pod osłoną ciemności, cudem ratując życie, gdy się bowiem okazało, iż ciebie nie ma w gospodzie, Niemce popadli w taką furję, że nikogo krom legata ostawili żywym.

— Moje dzielne maleństwo — zawołałem, a ponieważ zdołałem już wyswobodzić rękę, przygarnąłem ją do siebie, odkrywając zniecka, iż pod luźnym płaszczem dziewczyna jest całkowicie naga. W dodatku rozpalona, drżąca...

Stało się to zdecydowanie za szybko. Zaiste trudno czynić mi wyrzuty, bo nie znam mężczyzny, może poza arcyksięciem Ippolitem, który nie uległby szczupłemu, gorącemu ciału, które lgnie do niego, oplata ze wszystkich sił. Okoliczności ułatwiały sprawę. Spałem bez odzienia a Laura błyskawicznie pozbyła się płaszcza. I zatraciliśmy się w szaleństwie pieaszczot. Czyż może być bowiem coś cudowniejszego niż świeżość pierwszej młodości połączona z dojrzałą wirtuozerią starszego pana. Przy okazji ta młodzianka panna zaskoczyła mnie perfekcją swych pieaszczot, tym wspanialszą, że dyktowaną przez intuicję i uczucie, w którego moc nie śmiałem i nie chciałem wątpić.

Raz jeden krzyknęła boleśnie, gdym wchodził w nią na podobieństwo zdobywcy krain nieznanych, jednak kiedy się zawahałem, czy nie poniechać, mocniej nogi za mną splotła, żądając, bym nie ustawał. Nie ustawałem tedy, zachęcany czułymi słowami, krzykiem rozkoszy i płaczem ze szczęścia, gdyśmy wspólnie pokonywali Apeniny zespolenia, dążąc ku Himalajom orgazmu. Wybacz Moniko! Wybacz błogosławiony Raymondzie! Chyba nie udało się wam ocalić mej grzesznej duszy!

Do świtu brałem ją jeszcze pięciokrotnie, zaskoczony własną witalnością i jej zapalem.

— Pohamujmy się może — proponowałem co pewien czas. — Jestem świadom, iż zadaję ci ból.

— To najbardziej rozkoszny ból świata — odpowiadała Laura. — Widzisz, mój jedyny, nawet nie krwawię.

Trudno byłoby oddać ogrom zaskoczenia Anzelma, gdy rankiem zastał nas oboje razem, w pościeli zmierzwionej, nasyconych sobą i w półomdlałych ze szczęścia.

— Panu to dobrze spotykać na dzień dobry anioły.

— Na dobranoc też mi się to zdarza — odparłem, otwierając z wysiłkiem jedno oko.

— Powinniśmy ruszać w dalszą drogę — zaproponował bez przekonania.

— Później, Anzelmo, później — usiłowałem odgonić go jak natrętą ćmę.

— Jeśli wyruszymy później, nie dotrzemy na noc do Genui.

— Nie powinniśmy tam jechać — ziewnęła Laura — i wiem, co mówię, boć dopiero co wróciłam stamtąd. Wszędy pełno cesarskich szpiegów, czekających na pana Derossiego. Posiadają wasz najświeższy rysopis.

— Jednakże tam właśnie czeka na nas w porcie „Sainte Genevieve”.

— Kapitan Lagrange, z którym rozmawiałam ledwie wczora, dzieląc me obawy, obiecał wypłynąć nocą w naszym kierunku. O zmierzchu ma pojawić się kole przystani w Portofino. Na razie mamy dla siebie cały długi dzień, który wypada poświęcić na *dolce far niente*. Mógłbyś przynieść nam śniadanie do łóżka, miły Anzelmo.

— Znasz pani moje imię? — wybełkotał jeszcze bardziej zdumiony sługa.

— Któż go nie zna.

*

Spodziewałem się przybycia paromasztowego galeonu, tymczasem „Sainte Genevieve” po wypłynięciu spoza Przyłądka okazała się dużą płaskodenną galerą o dwóch masztach. Ponad wyższym łopotała flaga z burbońskimi liliami, niższy ozdobiono banderą Stolicy Piotrowej. Okręt zbliżył się do brzegu na odległość głosu. Załoga, miast puścić łódź, poczęła wzywać nas, byśmy brodząc, dotarli na pokład od strony dziobu. Woda tego dnia była spokojna jak w Jeziorze, toteż Anzelmo nie wiele się zastanawiając, wziął mnie na barana, obiecując Laurze wrócić po nią za chwilę. Dziewczyna jednak, jak na odważną amazonkę przystało, puściła się śmiało przez wodę ku galerze.

Jeszcze chwila, a na pokład nas wciągnięto. Tam jednak miast wyciągniętych rąk powitały nas wymierzone muszkiety.

— W imieniu Jego Cesarskiej Mości jest pan aresztowany, panie il Cane — powiedział kapitan, chudy, brodaty południowiec o aparycji przerośniętego krasnala.

Ośłupiały spojrzałem na Laurę, ta jednak odwróciła głowę, unikając mego wzroku. Ośłupiały spojrzałem na Laurę, ta jednak odwróciła głowę, unikając mego wzroku.

— Chodu! — wrzasnął Anzelmo, próbując skoczyć ku burcie, atoli natychmiast parę sztyletów zagroziło mu drogę.

— Powstrzymajcie się — kapitan rzucił swym zbirom. — Przyda się każda para rąk do wiosłowania, jeśli chcemy szybko przybyć do Livorno. Jak pan widzi, il Cane —zwrócił się do mnie — wszelki opór jest bezcelowy. — Proszę uznać się za mego jeńca.

— Ależ kapitanie Lagrange...

— Nazywam się Joachino di Xlendi z Malty — odparł dowódca i zwrócił się do bosmana:
— Dajcie sygnał wyjścia w morze.

Umieszczono mnie niczym pochwyconego zwierza na rufie, w komórce tak małej, że nie szło w niej ni stać, ni leżąc wyprostować nóg. Cóż za upokorzenie dla intelektualisty i czołowego autorytetu moralnego epoki! Chociaż i tak, muszę przyznać, potraktowano mnie lepiej niż Anzelma, którego bez skrupułów włączono do ekipy galerników, stłoczonych pod pokładem. Di Xlendi dał mi do zrozumienia, że w wypadku nieposłuszeństwa doszłusuję do mego sługi. Co się tyczy Laury, ta po wejściu na pokład znikła w kajucie kapitana i nie pojawiła się więcej.

Zachodziłem w głowę, czemu mnie zdradziła. Chociaż im dłużej się zastanawiałem, tym dokładniej poczęły do siebie pasować wszystkie elementy ostatnich zdarzeń. Skąd cesarscy znali nasze *itinerarium*, w jaki sposób Laura tak łatwo mnie odnalazła... Również biegłość erotyczna młodziuteńkiej dziewczyny, tak przekonująco udającej dziewicę, przestała być dla mnie zaskoczeniem. Od początku kierowała się zleconym jej zadaniem, a nie miłością do podstarzałego artysty. Tajemnicą pozostawało jedynie, jak ją do owej roli przymuszono. A może wcale nie musiano przymuszać? Czy będę miał jednak okazję ją o to zapytać?

W Italii z pewnością czekały na mnie nowe przesłuchania i tortury. Ich wizja była tym bardziej przerażająca, że przecie żadne męki nie mogły wydobyć ze mnie tajemnicy kamienia filozoficznego, której nie posiadałem.

*

Nieszczęśni galernicy, podnieceni uderzeniami bębna i świstem biczów, wiosłowali znaczną część nocy i wznowili swój trud o świtanie. Z tego, com mógł przez szparę w poszyciu zauważyć, posuwaliśmy się wedle starożytnej metody żeglugi, nie tracąc z oczu wybrzeża, które z takim wysiłkiem przemierzyliśmy z Anzelmem w dniach poprzednich. Nie wyglądałem żadnego ratunku. Bo i skąd? Na cud specjalnie nie liczyłem. Morze było gładkie jak stół i żadna nawałnica nie miała zamiaru przeszkadzać żegludze. Pozostawało mi jedynie czekać i modlić się.

Czy odniosło to jakiś efekt? Drugiego dnia, koło południa okrzyki biegnące od rufy ku dziobowi, jak i towarzyszące im poruszenie wyrwały mnie z odrętwienia. Nie znałem maltańskiego dialektu, ale z wrzawy wyłowilem powtarzające się słowo: „Okręt, okręt”. Czyż jednak byle okręt na morzu mógł stanowić aż taki ewenement? Zdwojony rytm bębna, świst

bicza i gwałtowne przyspieszenie wiosłujących galerników świadczyły, że galera próbuje umknąć pościgowi. Chwilę potem sternik zakręcił ku wybrzeżu, jakby tam chciał szukać schronienia. Dobra nasza. Czyżby arabscy piraci zapuścili się aż na wody Ligurii... z mej komórki krom bryzgów piany nie mogłem niczego obaczyć. Potem gruchnęła salwa od lewej burty i aż do mnie dotarły strugi wody. Di Xlendi, którego głos dominował nad wrzawą, kazał jeszcze przyspieszyć.

Kolejna salwa. Tym razem jednak nie były to jedynie śmiertelne kartacze, lecz smoliste główne, mające za zadanie wznieść pożogę. Parę z nich musiało upaść między wiosłarzy, wywołując pod pokładem panikę i zgubienie rytmu. Rozległ się trzask łamanych wiosel i skowoty poparzonych. Rychło na podobieństwo węży zewsząd jęły wypęlać potoki dymu. Desperacko napałem na drzwiczki mego aresztu. Nie ustąpiły.

Dobry Boże, zanim się utopię, spalę lub uwędze... przemknęło mi. Począłem więc wołać:

— Kapitanie di Xlendi, na rany Chrystusa, otwórzcie drzwi!

Moje wezwania o pomoc grzęzły jednak w ogólnym tu mulcie. Naraz zgrzytnął klucz i opadła kłódka. Ponownie napałem na drzwi, tym razem ustąpiły. Mój wybawca zdążył już odbiec, toteż zdołałem ujrzeć tylko skrawek błękitnej sukienki i szczupłe nóżki w jedwabnych cizmach. Laura!?

Nie miałem czasu jej gonić. Obok słycać było przerażające jęki ciągle skowanych galerników. Statek tonął. Wybiegłem na górny pokład, w przeważającej części ogarnięty już pożarem. Załoga opuszczała go w pośpiechu, a kapitan już siedział w łodzi oddalającej się od jednostki.

— Czekaj na mnie, czekaj, tchórze! — wołała Laura, wspinając się na dziobnicę. Di Xlendi nawet nie odwrócił głowy. Dziewczyna nie wahając się ni sekundy, pozbyła się cizem i skoczyła w fale. Rozejrzałem się, nie wiedząc, co mam czynić. Iść w jej ślady? Tuż koło mnie chrapliwie rzeził tęgi bosman przygnieciony reją.

— Klucz, klucz od kajdan! — wrzasnąłem do niego. Zrozumiał i wskazał na swój pas.

Pokonując strach i krztusząc się kłębami buchającego zewsząd dymu, wbiegłem na pokład wiosłarski. Powietrze było tam gęste do dymu, przesycone zbijającym z nóg zapachem potu, krwi, moczu i fekaliiów. Zaskoczony własnym spokojem i precyzją, manipulowałem przy zwornikach okowów, oswobadzając kolejne szeregi galerników.

— Anzelmo, Anzelmo, gdzie jesteś!? — nawoływałem. Znalazłem go wreszcie nieprzytomnego przy trzecim wiosle, od stóp do głów obryzganego krwią martwego sąsiada. Zacząłem go szarpać, ciągnąć, ale tłuste cielsko nie dawało się nawet oderwać od ławy.

— Pomóżcie mi — zawołałem do oswobodzonych galerników.

Uciekali bez słowa, wszelako jakiś rośły Maur ulitował się i wspólnie z nim wywlekliśmy Anzelma na pokład. Czas był najwyższy. Detonacja prochów rozerwała tuż za nami część nadbudówki, a podmuch cisnął nas do wody.

Anzelma natychmiast przykryła fala. Szczęściem jego czerwona koszula była doskonale widoczna pod wodą, toteż bezzwłocznie zanurkowałem i wywlekłem go na powierzchnię. Przynajmniej częściowo odzyskał przytomność, prychał, bił wodę dłońmi, wreszcie przywarł do mnie, kurczowo obejmując mnie jak zdesperowana pijawka.

— Puszczaj, bo zginiemy obaj — wrzasnąłem, sam krztusząc się wodą. Nie usłuchał.

Naraz wielki cień padł na mnie. I usłyszałem z wysoka głos zdający mi się śpiewem archanioła.

— Lina, lina, mości kawalerze!

Obok mnie plusnął w fale koniec sznura. Obwiązałem nim Anzelma.

— Ciągnijcie — zawołałem. I dopiero mogłem się rozejrzeć. Nade mną kołysał się dziób sporego galeonu, a gdym ujrzał pod bukszprytem figurę świętej Genowefy, pojąłem, kim są nasi wybawcy.

Jeszcze chwila, a sam znalazłszy się na pokładzie mogłem uścisnąć dłoń kapitana Lagrange'a.

Powietrze wokół nas rozrywały kolejne detonacje, a kiedym skierował wzrok ku galerze, obaczyłem, iż ostał z niej już tylko wyniesiony w górę dziób. Łódź z kapitanem di Xlendi oddalała się coraz bardziej. Na wodzie wokół prawdziwej „Sainte Genevieve” unosili się nieliczni żywi jeszcze rozbitkowie. Lagrange, jak na marynarza w służbie papieskiej przystało, kazał spuścić łódź i wylawiać tonących, w pierwszej kolejności galerników, wśród których nie brakło jeńców wojennych. Popłynąłem z nimi, rozglądając się za wielkim Maurem i równie gorliwie wypatrując niebieskiej sukienki panny Catoni. Galernik przepadł, jednak po dłuższym czasie obaczyłem zdrajczynię, uczeponą kurczowo kawałka drewna. Wyłowilem ją.

— Niepotrzebnie to czynisz — powiedziała dziewczyna i straciła przytomność. Mnie też niewiele brakowało, nogi miałem miękkie, a przed oczyma latały mi szkarłatne plamy.

Gdym wrócił na pokład, kapitan, nakazawszy przyodziać mnie w suche szaty, zaprosił co rychlej do swej kabiny, urządzonej z wykwinnym smakiem rzymianina. Oczekiwał mnie tam ciemno odziany mąż z ręką na temblaku, mimo bladości na licu wielce uradowany.

— *Ma foi*, nie wiem, czy diabeł nam sprzyja, Wszechmogący niewątpliwie tak — powiedział Giulio Mazarini.

*

Kiedym ochłonął z wrażenia, legat opowiedział mi własną wersję wydarzeń.

Onego wieczoru w zajeździe bronił się przed najemnikami aż do zmierzchu, odnosząc jedynie lekkie draśnięcie. Potem poddał się cesarskim, wierząc, że udało nam się wespół z Anzelmem oddalić na bezpieczną odległość. Wbrew kłamstwom Laury nijakiej rzezi nie było. Glejt papieski spełnił swoją rolę. Już nazajutrz Mazzarini wolny mógł pospieszyć do Pizy, skąd statkiem dotarł do Genui, planując zaczekać tam na mnie. Tamże Laura, do tej pory konsekwentnie udająca Lorenza, zniknęła.

— Nie ufałem jej od początku — wyznał legat. — Nie zmyliły mnie ani jej strój męski, ani okazywany ci afekt. Szybko postrzegłem też sekretne znaki, które zostawiała pościgowi, depczącemu nam po piętach. Nie czyniłem jednak niczego, by ją zdemaskować, hołdując bowiem zasadzie, iż lepiej wiedzieć, kto jest zdrajcą we własnych szeregach i kontrolować go, niż przedwcześnie go spłoszyć i czekać, aż podeślą innego, w niecnym fachu sprawniejszego. Atoli jej nagłe zniknięcie w Genui wielce mnie zaniepokoiło. Wrychle dowiedziałem się o maltańskiej galerze, która nocą popłynęła w stronę Rapallo. Kazałem tedy kapitanowi „Sainte Genevieve” ruszać jak najszybciej za nocnym żeglarzem. Wszelako, nim udało się zwołać załogę i wyjść w morze, zdobył nad nami wiele godzin wyprzedzenia. Aliści, jak widzisz, nadciągnęliśmy w porę.

— Jestem waszym dozgonnym dłużnikiem, *monsignore* — podziękowałem legatowi.

Giulio uściśnął mnie raz jeszcze, po czym zapytał, czy mam jakieś sugestie co do dalszych losów Laury Catoni.

— A co pan radziłby z nią począć, ekscelencjo?

— Dalibóg, najchętniej ostawiłbym ją rekinom. Mimo młodego wieku i precudnej buzi to kobieta zła i zepsuta. Zginęli przez nią moi ludzie. Pański los, panie il Cane, był zagrożony. Cóż, w Marsylii bezzwłocznie oddam ją pod sąd i tuszę, iż kat szybko się sprawi.

Zadrzałem. Myśl o kaźni Laury, z którą tak niedawno oddawałem się upojnej namiętności, przejęła mnie grozą.

— Nie żałuj jej, mistrzu — legat ujął mnie za rękę. — Jego Eminencja, kardynał Richelieu, wielokroć przestrzegał mnie przed podobnymi anielskimi blondynkami.

— Nie podważam jej przewin, ekscelencjo. Jednakoż uratowała mi życie — odparłem i opowiedziałem o wym uwolnieniu z komórki na płonącej galerze.

— *Mon Dieu*, snadź może nie jest tak złą, jak uważałem. Tedy, jeśli chcesz, oddam ją tobie, *maestro*. Uczynisz z nią, co zechcesz. Bądź wszelako ostrożny, albowiem, jak mawiają na Sycylii, kto raz zdradził, przy następnej okazji uczyni to powtórnie.

Dopiero nazajutrz rano zdobyłem się na wizytę w zaimprovizowanej celi, znajdującej się w ciemnym kącie dolnej ładowni. Laura wyglądała bardzo blado, jakby nie spała całą noc, a na jej brudnej twarzy łyzy wyżłobiły prawdziwe kanały.

Kazałem Anzelmowi przynieść wody, po czym wyszedłem, pozwalając dziewczynie dokonać ablucji. Poleciłem też dostarczyć jej pożywienie z kajuty kapitańskiej.

Rozpłakała się, gdym odwiedził ją ponownie.

— Wiem, że nigdy mi nie uwierzysz, Freddino, ale ja cię naprawdę pokochałam — wyznała cicho, kiedy siadłem naprzeciw niej.

— Zauważyłem — odparłem cierpko.

— Wiem, żeś mnie już osądził. Jednak jeśli możesz, wysłuchaj mnie, bo choć wielokrotnie przewyższasz mnie wiedzą i eksperyencją życiową, nie możesz wiedzieć wszystkiego o ludzkiej doli. Mniemasz, że zawsze jesteśmy kowalami swego losu? Zali Bóg i szatan nie poddają nas Próbowi, którym przeważnie nie potrafimy sprostać?

Zaskoczyła mnie nadzwyczajna powaga w ustach tak młodej podwiki. Słuchałem nie przerywając.

— Jak wiesz, mam lat osiemnaście. Jeszcze dwa lata temu byłam czystym i ufnym dzieckiem, o naturze może nazbyt żywej i ciekawej świata, lecz zarazem sentymentalnej. Z woli rodziców oddano mnie na nauki do klasztoru benedyktynek koło Saltony, gdzie przez niecałe pół roku świątobliwe siostrzyczki nakłaniały mnie do wieczystego oddania się służbie bożej. Zabiegała również o to moja matka, chcąc, aby cały nasz majątek, nie podzielony, mógł stać się godziwym wianem dla mej starszej siostry. Nie powiem, by żywot mniszki zdał mi się szczególnie pociągający, ale pokorna jak cieliczka gotowa byłam poddać się połączonej woli nieba i rodziny. Zanim jednak ubiegł miesiąc nowicjatu, w sprawę wdał się szatan w osobie *monsignore* Carlo Ferriego, obecnego sufragana rosettińskiego.

— Znam go — powiedziałem, wspominając męża nieprzyzwoicie eleganckiego jak na księdza, który zegnał mnie i Mazzariniego, gdyśmy opuszczali rosettińską nuncjaturę.

— Tedy łatwiej pojdziesz wrażenie, jakie wywarł na mnie ów prałat. Miał lat czterdzieści i był piękny jak święty Jerzy. Zdało mi się, iż przypadłam mu widać osobliwie do serca, albowiem pod pozorem dbałości o doskonalenie mej duszy, rozmowy prowadził ze mną długie, na spacerach poza konwent zabierał. Wnet ja, naiwna, pokochałam go tak, jakbym pokochała ziemskie wcielenie samego Chrysta. Niepomna nauk matki ni ostrzeżeń ksieni, bez

wahania oddałam mu swoją duszę, potem ciało. Jak mogłam tak postąpić? Ferri wmówił mi, iż nasze zespolenie nie jest grzechem, a jedynie ostateczną próbą przed poświęceniem się Bogu. „Musisz wiedzieć, czego się wyrzekasz” — powtarzał.

— Uwierzyłaś mu?

— Uwierzyłam, bo chciałam uwierzyć. Wiesz, że krew mam nazbyt gorącą. Toteż gdy minął pierwszy strach, oładnęła mną fascynacja i gorączka, prawdziwa *febrę amorosa*. Uwierzyłam też zapewnieniom *monsignore*, iż kocha mnie nad życie, a sam Bóg udziela nam dyspensy.

I byłam zaślepiona jak ćma dążąca do świecy, póki nie znalazłam dowodów, iż prócz mnie miewał inne. Jednego dnia nasza bibliotekarka, siostra Lucella, wyznała mi z płaczem, iż ona również była jego kochanką.

— I coś wtedy uczyniła?

— Uciekłam z klasztoru, wyznałam prawdę mojej matce. Wybaczyła mi, choć podobnie jak ja sama, nie wiedziała jeszcze najstraszniejszego, tego mianowicie, iż noszę już pod sercem grzeszny owoc haniebnego zauroczenia. W czwartym miesiącu ciąży, targana rozpaczą przybyłam do mej ciotki w San Vitale, o której mówiono, że włada sztukami czarnoksiężskimi, a w każdym razie pomaga zhańbionym kobietom. Ublagana moimi łzami, dokonała spędzenia płodu. Tak, *maestro!* Razem zabiłyśmy moje dziecko! Czyż jakikolwiek mężczyzna wie, czym jest taki czyn dla kobiety... Tydzień długi leżałam w gorączce, wyglądając śmierci i żałując, iż nie nadchodzi. Przeżyłam. Miałam nadzieję, iż oznacza to możliwość bożego wybaczenia. Ostatniej Wielkanocy, odwiedzając Rosettinę, postanowiłam się wypowiedzieć. Szczerze wyznałam najstraszniejsze grzechy pewnemu dominikanowi w konfesjonale kościoła San Marco. I myślałam w swej głupocie, iż uzyskałam rozgrzeszenie. Niestety z łap Lucypera dostałam się w szpony Belzebuba. *Fra Jacopo* docenił wartość złożonego wyznania.

— *Fra Jacopo?* — Poczulem gwałtowne przyspieszenie pulsu.

— Tak, zausznik arcyksięcia. Zaiste człek z piekła rodem. Ponieważ nie wyznałam mu mego imienia, zadał sobie wielki trud. Odszukał mnie, moją ciotkę, mogiłę na uroczysku... Potem odwiedził mnie w Montana Rossa i poprosiwszy o chwilę rozmowy na stronie, pokazał mi kocyk z rozkładającymi się szczątkami. „Wielki Boże!”, szepnęłam. A potem zaniemówiłam z przerażenia. A on groził mi potępieniem, ogniem wiekuistym, spaleniem ciotki na stosie, procesem całej mej rodziny. Ale równocześnie pokazywał szansę. „Możesz zmazać wszystkie swe występki, córko — kusił — służąc sługom bożym”. „Jak mam służyć?” „Pokażemy ci, posiadasz bowiem cenne przymioty, jakich nie mają inni nasi

współpracownicy”. Jeszcze nie wiedziałam, że chodzi o moje ciało i wiek dziewczęcy. Szybko Przyszło mi się o tym dowiedzieć. Muszę wyznać, iż *fra* nie wykorzystywał mnie nadmiernie. Raz udając mniszkę, grzałam łożo pewnemu kardynałowi z Urbino, cuchnącemu capią zgnilizną, ale zdobyłam dowody jego kontaktów z Francuzami. Drugi raz skradłam listy posłowi rosyjskiego cara. Mój niewinny wygląd był wedle *fra* Jacopo moim największym atutem. Mamił mnie też obietnicą, że gdy odsłużę trzy lata, pozwoli mi wyjść korzystnie za mąż. Z jego strony uzyskam rozgrzeszenie i odpust zupełny. Uczepiłam się tej nadziei, odsuwając od siebie oczywistą prawdę, iż nie zostanę uwolniona nigdy. Nie po to inkwizytor uczył mnie fechtunku i jazdy konnej, posługiwania się sztyletem i trucizną, podsłuchiwania przez ścianę przy pomocy przyłożonej szklanicy i pisaniu sympatycznym atramentem, bym dożyła swych dni jak kura domowa. W międzyczasie, wybaczyć szczerze, oszukiwanie ludzi zaczęło mi się podobać, a uwodzenie mężczyzn... Wiesz sam, grzech ponętniejszy jest od cnoty. A potem wszedłeś w dom mego ojca. I stało się coś dziwnego. Naprawdę zafascynowałeś mnie.

— I dlatego doniosłaś o mym przybyciu ludziom Ippolita

— Na Matkę Przczystą, nie! Doniósł na ciebie Ascanio rękodajny ojca, nie ja. Ten bękart zawsze smalił do mnie cholewki! Ja, gdy cię uwięziono, pojęłam, iż cię naprawdę kocham. Czyniłam wszystko, by ci pomóc. Uzyskałam od brata Jacopo obietnicę, że będą cię lepiej traktować, umierałam prawie, słysząc, iż wzięto cię na tortury i szalałam z radości na wieść o przybyciu pana Mazzariniego.

— I dlatego ochoczo podjęłaś się roli Judasza.

— Gdyby nie ja, wysłano by innych szpiegów. Chciałam być z tobą. Zresztą *fra* Jacopo twierdził, że będę cię mogła chronić przed Francuzami. Obiecywał też, że gdy już zostaniesz pojmany, pojedę z tobą na dwór wiedeński, gdzie wstąpisz na służbę cesarza. Wierzysz mi?

— Uniosła ku mnie swoje wielkie oczy pełne łez. — Wierzysz mi?

— Chciałbym, Lauro — powiedziałem, starając się okazać wzruszenia. — Atoli potrzebuję czasu, aby zapoornieć. — Po czym skłoniwszy się, wyszedłem z jej klitki.

Koło południa Mazzarini za mym wstawiennictwem pozwolił dziewczynie opuścić ładownię. Był ciekaw, spróbuje usidlić kogoś z załogi. Nie zauważyliśmy, by podejmowała takie próby. Przebrana jak wprzódy za giermka, całymi godzinami przesiadywała na dziobie, patrząc na rozstępujące się fale. Przyglądałem się jej z oddali, nie potrafiąc ani podejść, ani zaniechać obserwacji.

Czwartego dnia podróży, minawszy posępne mury twierdzy If, „Sainte Genevieve” weszła do portu w Marsylii.

5. PRÓG TAJEMNICY

O nadziejach, jakie Wielki Kardynał łączył z moją osobą, najbardziej świadczyła eskorta, oczekująca nas przed portem. Dziesięciu zuchów w płaszczach ze znakami królewskich muszkietierów to stanowczo zbyt wielka świta jak na nieoficjalne powitanie papieskiego legata i włoskiego intelektualisty. Oddziałkiem zawiadywał młodzik niespełna trzydziestoletni, szczupły, o wąskiej twarzy, której ostre łuki brwi nadawały wyraz przebiegły, za to szelmowski uśmiech zdradzał naturę otwartą i szczerą.

— Poznaj, mistrzu, pana podporucznika Charlesa de Baatza — przedstawił mi zawadiakę Mazzarini. — Tuszę, że ostaniesz jego przyjacielem, albowiem nic tak nie szkodzi zdrowiu, jak być wrogiem pana de Baatza.

— Właściwie to ja nie mam wrogów — odparł z uśmiechem podporucznik.

— Jak to możliwe?

— Wszyscy nie żyją — odparł spokojnie młody dowódca. Chciałem zachnąć się na podobną fanfaronadę. Mazzarini jednak tylko się uśmiechnął.

— Dobrze, że Jego Eminencja tego nie słyszy, jest bowiem wielkim wrogiem pojedynków i już dwadzieścia lat temu wydał ich kategoryczny zakaz, który oczywiście nigdy nie dotyczył naszego przyjaciela.

— Walczę wyłącznie w obronie swego honoru i mego króla — odparł zuch, podkreślając wąsa. Już w kolonie legat dodał, iż podporucznik jest naprawdę pierwszym rębajłą Paryża i wielokroć zasługiwałby na loch w Bastylji, wszelako mimo młodego wieku oddał już Koronie i Kościołowi wielkie usługi, a co się tyczy pojedynków, no cóż, we Francji jest mnóstwo młodszych synów zbiedniałych rodów szlacheckich, dla których braki patentów odpowiednich ich stanowi, *ergo* pojedynki stanowią możliwie najszlachetniejszy rodzaj selekcji naturalnej tego dzielnego narodu.

Na nasz orszak, nie licząc dwóch furgonów z zaopatrzeniem, składały się trzy kolasy. Nam przypadła pierwsza, najbardziej wyściełana, drugą podróżował medyk, wypożyczony legatowi przez biskupa Marsylii, także kucharz Hiszpan i karzeł Grek, którego rola była mi nieznana, trzecią wreszcie zajmowali Laura, Anzelmo i młody piętnastoletni kuzyn Giulia, udający się do Paryża na nauki. Można rzec: cała świta. Mazzariniemu jednak nie za leżało na rozgłosie, a przeciwnie, wszędzie wietrzył szpiegów habsburskich. Ledwie więc zatrzymał się w miejscowości Salon, na zamku arcybiskupa Prowansji, natychmiast wystarał się dla swych

muszkietarów o stroje mniej rzucające się w oko i odziawszy ich, wbrew protestom podporucznika, jak łapserdaków, podzielił całą ekspedycję na trzy mniejsze grupki. Dopiero po tym zabiegu mogliśmy ruszyć dalej, na północ. Minęliśmy bez wywoływania większego zainteresowania gawiedzi prastare Arles, pół dnia i noc popasając jedynie w Awinionie, gdzie uparł gościć nas w dawnym pałacu papieskim tamtejszy wicelegat Stolicy Piotrowej — Francesco Sforza.

Z popołudniowej drzemki wyrwał mnie szczęk kling Zerwałem się i podskoczyłem ku oknu. W wyschniętej fosie, opadającej ku rzece, na której ciemniał urwany w połowie słynny most Świętego Benezeta, dostrzegłem zaraz pana de Baatza, rozdzanego do pludrów i koszuli, potykającego się z jakimś młodzikiem o podgolonym z cudzoziemska łbie, najwyraźniej równie biegłym w fechtunku co nasz podporucznik. W stosunku do obrazków znanych mi z filmów płaszcz i szpada pojedynków miał bardziej charakter konwencjonalnego tańca toczzonego na oczach sekundantów, niż rzeczywistej walki o życie. Chociaż... Przeciwnik mego muszkietera nagle przyspieszył, a misterne cięcia zmieniły się w istną lawinę ciosów. Pan Charles cofać się począł, jakby z rytmu wybity, wybieg to jednak musiał być z jego strony tylko, albowiem naraz zwód wykonał i pchnął straszliwie. Przewierciłby niechybnie śmiałka na wylot, gdyby ów znajdował się tam, gdzie być powinien, tymczasem podgolony głębokim skłonem uniknął ciosu, a następnie gwałtownym młynkiem wytrącił szpadę podporucznika. De Baatz stanął zdumiony i wyrwawszy zza pasa krótki sztylet, dyszał ciężko, czekając ataku.

— Panowie, szpady do pochew! — zawołał naraz ktoś z boku, a chwilę potem nadbiegł zagniewany Mazzarini i hrabia Sforza. Podporucznik wykonał rozkaz, jak na żołnierza przystało. Jego adwersarzowi nie pozostało nic innego, jak pójść za jego przykładem, acz uczynił to niechętnie.

— Spotkamy się w Paryżu, mości d'Artagnanie — zawołał z silnie cudzoziemskim akcentem.

— Będzie to dla mnie zaszczyt, wasza książęca mość — odparł nasz podporucznik.

Pobudzony ciekawością, podczas wieczerzy przysiadłem się do muszkietera pożerającego właśnie ogromny udziec jeleni i spytałem:

— Pan jesteś t e n słynny d'Artagnan?

— I owszem — odparł, nie przestając żuć mięsiwa. — Jako młodszemu synowi pana de Baatza, hrabiego Castelmore — tu wypluł jakąś chrząstkę — wypadło mi szukać szczęścia w wojaczce, przyjąłem tedy panieńskie nazwisko mej matki pochodzącej z włości Artagnan. Ale cóż takiego, jeśli wolno spytać, mówiono waćpanu o mnie?

— Słyszałem o pańskich przewagach pod la Rochelle... — Urwałem, widząc jak brwi młodzieńca unoszą się na kształt *accent aigu*.

— Tedy kiepskich miał pan informatorów, mości il Cane! La Rochelle!? Pacholęciem wtedy jeszcze byłem i słuchałem opowieści o szturmie twierdz hugenotów jak bają o żelaznym wilku czy raczej — tu spojrzął na mnie znacząco — o żelaznym psie.

— Wiele też opowiadano o pańskich pojedynkach i niezrównanej kompanii trzech muszkieterów...

— Tylko trzech? — Znow popatrzył na mnie zdziwiony, ale nie dodał słowa więcej, bowiem w drzwiach ukazał się jego niedawny rywal. Gaskońska grdyka drgnęła, a dłoń machinalnie poszukała nieobecnej szpady.

— Kim jest onże rywal waszmości? — spytałem muszkietera.

— Książę litewski, bogatszy niż niejeden król, zowie się Boguslas Radziwiłł. Szermierz zeń zawołany, a jeszcze większy samochwał. Imaginuj sobie, mistrzu, Jego Książęca Mość śmiał przechwalać się publicznie, iż lepszy jest ode mnie.

— W fechtunku?

— Taki głupi to on nie jest, w podbojach serc niewieścich! Jednak gdym mu szczerą prawdę wyznał, zażądał satysfakcji.

— Jakaż to była straszna prawda?

— Że białogłowy patrzą przeważnie na jego trzos, a u mnie na mój mieszek. — Tu poniżej brzucha wzrok skierował.

Radziwiłł musiał ową gestykulację zauważyć, bo ruszył gwałtownie w naszym kierunku, jednak Mazzarini w porę drogę mu zastąpił, pod ramię ujął i zaraz poczęli szeptać coś na boku.

— Dyplomacja, konwersacja! — zgrzytnął zębami d'Artagnan. — A każdy dworak i tak wie, że ten polski magnat kręci się w okolicy, próbując uwolnić z Sisteronu więźnia pana kardynała, królewicza polskiego Jana Kazimierza, który za szpiegostwo na rzecz cesarza w tamtejszej twierdzy siedzi.

Chętnie pociągnąłbym dłużej ów frapujący temat, ale pojawili się muzykanci i kilka panien nadobnych, toteż Charles de Baatz natychmiast stracił wszelką chęć do rozmowy i do pojedynków.

Z Awinionu przez Orange, Montelimar, Valence, robiąc niekiedy kilkadziesiąt mil dziennie, dotarliśmy do Vienne, a potem do Lyonu. O naszej podróży można by mówić wiele; brak amortyzatorów w powozach, a jeszcze bardziej ogumienia kół, sprawiał, że po każdym, nawet krótkim etapie czułem się wytrzęsiony, jakbym pięćset razy zjechał gołym tyłkiem po Schodach Hiszpańskich w Rzymie. Mazzariniemu jednak to wcale nie przeszkadzało. Wiele czytał, pisał listy, czasem wdawał się ze mną w deliberacje na najróżniejsze tematy.

W ogóle wytrzymałość ówczesnych ludzi była zdumiewająca. Długo trwało, zanim przyzwyczałem się do ich diety, nader ostrej i na mój smak nazbyt tłustej. W żaden jednak sposób nie potrafiłem zaakceptować wszechogarniającego brudu. Nawet wyjątkowo higieniczny Mazzarini poprzestawał jedynie na codziennym zmienianiu bielizny, ograniczając mycie wyłącznie do pobieżnego opłukania rąk i przecierania twarzy wilgotną chustą. Widząc mnie, jak przy każdej sposobności zażywam kąpeli, również w rzece, gdzie znajdowałem towarzysza w D'Artagnanie — przestrzegał mnie przed zgubnymi skutkami takich zabiegów.

— Igrasz z losem, mistrzu — mawiał. — Codzienne kąpiele w podróży to niechybny sposób na zatrącenie zdrowia. Mój medyk uważa, że po gorącej ablucji trzeba co najmniej na dzień lub dwa poniechać wychodzenia na dwór.

— A to czemu?

— Pan się pyta? Pan, o którego wiedzy medycznej krążą legendy! Wiadomo przecie, iż kąpiel, szczególnie gorąca, otwiera pory skóry, czyniąc ją bezbronną wobec złego powietrza, z którego złe humory przedostają się do organizmu, sprzyjając jego zepsuciu. Już wiek temu odkryto, iż nadmiar publicznych łaźni w Rzymie czy Florencji sprzyjał tylko szerzeniu się hiszpańskiej zarazy, a także czarnej śmierci, nie wspominając o innych epidemiach.

Usiłowałem polemizować z tą opinią, tłumacząc, że syfilis nie przenosi się za pomocą powietrza, a w zdecydowanie bardziej intymny sposób, tego jednak legat słuchać nie chciał. Także gdy chciałem mu opowiedzieć o wirusach i bakteriach, rękami tylko machał, twierdząc, że jako człowiek nowoczesny może uwierzyć jedynie w istnienie czegoś, co widać. Nie przyjmował również moich porad i puszczał je mimo uszu, gdy odradzałem jego medykwowi stosowanie zbyt częstych lewatyw i poniechanie systematycznego upuszczania krwi przez przystawianie pijawek. — Drogi il Cane — powtarzał Mazzarini. — Cała wielowiekowa praktyka medyczna dowodzi, że puszczenie krwi, eliminujące nadmiar humorów z organizmu, nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Pozostaliśmy przy swoim, on przy ekspurgacjach, ja przy gotowaniu mleka przed spożyciem.

Tymczasem w Lyonie przyszło mi pożegnać się z Laurą. Z jakiegoś powodu Giulio nie chciał, by towarzyszyła nam dalej. Podczas podróży wiele nie rozmawialiśmy ze sobą. Widziałem, że dziewczyna cierpi z tego powodu, lecz cóż miałem jej powiedzieć. Ze chętnie bym korzystał nadal z jej usług, ale nie mogę być, nawet w nieformalnym związku, z kobietą, do której nie mam zaufania. Anzelmo, który spędzał z nią większość czasu w kolasie, utrzymywał, że niedawna trzpiotka cały czas czytała pobożne książki otrzymane od Mazzariniego, a jeśli otwierała usta, to jedynie by jeść lub mówić o Bogu.

W tej materii mój uczeń nie był najlepszym interlokutorem. Miał do Najwyższego stosunek zdecydowanie interesowny. Wzywał Jego pomocy w potrzebie, ale na codzień głosił się materialistą i zwolennikiem światopoglądu naukowego.

W Lyonie powierzyliśmy pannę Catoni opiece miejscowych mniszek, co przyjęła nad wyraz spokojnie, nie licząc paru łez, które zakręciły się jej w oczach. Żegnałem ją z ulgą, czując, iż jest to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich. Może poza Anzelmem. Ten nieoczekiwanie wyznał mi, że gdybym mu kazał i bardzo nalegał, mógłby się z tą biedną dziewczyną ożenić.

— Uwiodła cię, szelmo? — zapytałem zaskoczony. — A może ty sam coś uczyniłeś? Gadaj, hultaju!

— Bez pańskiej zgody, mistrzu, nigdy bym nie śmiał. Zresztą wraz z nami podróżuje cały czas ów sycylijski panicz, więc i sposobności do konfidencji nijakiej nie było.

Żegnając Laurę, życzyłem jej zdrowia i szczęścia.

— Będę się za ciebie modlić — odpowiedziała ze szlochem. — Ale ostaw mi nadzieję, powiedz, że wrócisz!

— Jeśli będzie mógł, wróci — odrzekł za mnie pan d'Artagnan.

Przesiedliśmy się na łódzie i dzień cały posuwaliśmy się w górę Saony, kąsani przez komary dokuczliwe i wielkie tego lata jak osy.

Nie wiem, czy mijane krajobrazy, czy wspomniane insekty wpłynęły na gadatliwość Giulia, w każdym razie Mazzarini na mą prośbę naszkicował mi wreszcie aktualną sytuację międzynarodową. Końca wojny trwającej od dwudziestu lat nie było widać. Narastały kłopoty na froncie w Niemczech, gdzie z najwyższym trudem przychodziło koordynować plany wojenne ze szwedzkim sojusznikiem, niestałym i chimerycznym, zwłaszcza od śmierci pod Liitzen „Lodowego Króla” — Gustawa Adolfa. Stery nawy państwowej, nominalnie kierowanej przez małoletnią Krystynę, dźwżył kanclerz Oxenstierna, który miał dokładnie tyle zaufania do Richelieugo, co kardynał do niego. Co gorsza, głównodowodzący Szwedów generał Baner w ogóle nie bywał trzeźwy. Nie wygasały też problemy na froncie

hiszpańskim. Kolejne negocjacje z księciem Olivaresem stanowiły w istocie krótkie intermedium walk o Pireneje i władzę zwierzchnią nad Katalonią. Do tego dołączały się komplikacje wewnętrzne, ciągłe spiski książąt marzących o pozbyciu się kardynała, który po niedawnej śmierci jedyne go człowieka, któremu ufał — ojca Józefa de Trembly, zwanego „szarą eminencją” — czuł się coraz bardziej osamotniony. Richelieu od lat toczył swą subtelną grę z królem, który kochał go i nienawidził równocześnie. Oczywiście Ludwikowi XIII udawało się czasem urwać ze smyczy swego ministra, ale tylko po to, by stwierdzić, że Armand du Plessis jest niezastąpiony. Ze słów Mazzariniego nie była nadmierna atencja do Jego Królewskiej Mości; oczywiście nie mówił wprost o seksualnej orientacji Ludwika XIII, który, jak powiadał d'Artagnan, „wielce lubił kobiety do towarzystwa i konwersacji”, po zmroku przedkładając jednak męskie towarzystwo.

Spytalem o pana Cinq-Marsa — legat zmarszczył brwi i nie odpowiedział.

Później zorientowałem się, że młody i piękny jak Apollin faworyt królewski dopiero znajdował się na krzywej wznoszącej, która z czasem miała doprowadzić go do klęski. Jednak żadna ze wspomnianych spraw, acz poważnych, nie wyglądała na taką, w których Alfredo Derossi mógłby służyć radą i pomocą Wielkiemu Kardynałowi. Gdym jednak próbował dociekać głębiej, Mazzarini po prostu zmieniał temat.

W miejscowości Macon znów przesiedliśmy się na konie. Giulio z tylko sobie wiadomego powodu pomknął przodem, ja z d'Artagnanem i Anzelmem wyruszyliśmy dobrą godzinę po nim. Grupka muszkietarów pozostała z tyłu. Nawet nie wiem, czy pojechali za nami.

Ledwie oddaliliśmy się od rzeki, zwróciłem uwagę na brak ruchu na gościńcu, który porastać zaczęła gęsta trawa. Również im dalej ku wzniesieniom, tym bardziej zmieniała się atmosfera panująca we wsiach. Jeśli wokoło Saony było gwarnie, ruchliwie, tu wśród wieśniaków wyczuwało się niepokój i nastrój dziwnego wyczekiwania.

— Co się tu dzieje? Czego boją się ci ludzie? — pytałem d'Artagnana. Ten jednak milczał. Na koniec w osadzie La Roche zdybałem jakiegoś księdza modlącego się z gromadką dzieciarni pod krzyżem i poprosiłem o wyjaśnienie dręczącej mnie kwestii.

— *La peste* — wytłumaczył krótko. — Czarna Śmierć nawiedziła okolice Cluny. Wojsko otoczyło cały teren kordonem ochronnym, poddając wszystkich uciekających wieśniaków kwarantannie. Na razie nie słyhać o rozprzestrzenianiu się zarazy. Mam brata we wsi Taizé, ale od miesiąca nie mogę się z nim porozumieć, nie wiem nawet, czy żyw, czy zmarł.

Epidemia, wiedziałem, przemknęła mi chępliwa myśl.

Zaraz za wsią napotkaliśmy na posterunek wojskowy, zawracający wszystkich z drogi. Nas przepuszczono dopiero po krótkiej rozmowie d'Artagnana z dowodzącym oficerem.

W osadzie widocznej za posterunkiem nie zastaliśmy już ani pół człowieka, jedynie świeże kopce ziemi z wbitymi krzyżami, zdradzające miejsca pochówku nieszczęsnych mieszkańców. Także drzwi każdego domu znaczyły, uczynione smołą, krzyże świętego Andrzeja zdradzające, iż tędy przeszła śmierć.

Gorączkowo usiłowałem przypomnieć sobie, co wiem o dżumie, jej odmianach: dymienicznej, dychawicznej i posocznicowej, zarażaniu metodą kropelkową lub przez ugryzienie pchły pasożytującej na szczurach. Niewiele tego było.

Tymczasem dotarliśmy do Cluny, wielkiego i słynnego opactwa, którego mury wznosiły się dumnie ponad okoliczne wzgórza, a ogromna pięcionawowa bazylika, okolona od strony prezbiterium dziesiątką małych kaplic, grzybkom opieńkom podobnych, zdawała się urastać do samego nieba. Część benedyktyńskiego kompleksu nie podniosła się jeszcze ze zniszczeń długich wojen religijnych, straszła zwłaszcza wypalona bryła biblioteki, zaś brak pielgrzymów, a nawet przekupniów, zazwyczaj tak licznych przy klasztorach, dodatkowo wzmagał wrażenie, iż oto oglądam jakąś gigantyczną dekorację.

Jednak czy aby na pewno sprawiła to dżuma? W opactwie nie zauważyłem jej śladów. Dziedzińce zastaliśmy wymiecione, zdobne krzewy przycięte, a na dachach wśród blanków i arkadek tryforium dostrzegłem licznych łuczników i muszkieterów w pełnej gotowości.

Pulchny przeor, polecając Anzelmowi zajęcie się moją kwaterą, zaprosił mnie do refektarza, gdzie przy wielkim stole, na którym znajdował się puchar wina, stały jedynie dwa krzesła. Jedno zajmował mąż przygarbiony, siwy, o cerze niezdrowej, wskazującej na gastryczne kłopoty. Kiedyś zapewne pokaźnej postury, ostatnio musiał bardzo schudnąć, bowiem szata wisiała na nim jak kaftan po starszym bracie. I tylko oczy głębokie lśniły nieustępliwym blaskiem.

Kiedy spoczął na mnie jego wzrok, naraz poczułem nie tylko moc, jaką dają zespolona władza i inteligencja, ale zarazem ową nieprawdopodobną siłę ducha, pozwalającą mu być Guliwerem wśród karzełków. Może zresztą było to specyficzne moje odczucie — ja wiedziałem nie tylko, kim Richelieu jest, orientowałem się, kim będzie. Znałem Jego pośmiertne losy, jego prawdziwą wielkość, którą na dobrą sprawę odkryją dopiero w wieku XIX, kiedy inaczej zacznie się postrzegać istotę *raison d'Etat*. W jego czasach, jeśli wierzyć ulotnym pismom, najczęściej wydawanym w Brukseli (w Paryżu, pod nosem Eminencji, gdzie twardo dzierżył władzę Laffemas, szef tajnej policji, mniej było odważnych krytyków), uważano go za krętacza, intryganta i chciwca, zazdrosnego o swoją pozycję u boku króla — bezlitośnie zwalczającego wrogów własnych (a przy okazji Francji), bez jakiegokolwiek liczenia się z parantelami książęcymi czy tytułami marszałków Francji. Nie doczekawszy się

miłosierdzia, położyli głowy panowie Marillac i Montmorency, których dawniejsze zasługi w obliczu zdrady nie powstrzymały impetu katowskiego topora.

Nie potęgowało to miłości do Jego Eminencji. Pieniły się frywolne piosenki, opisujące jego nieudane umizgi choćby do księżnej Gonzagi, późniejszej królowej Polski, powszechnie dowcipkowano o jego hemoroidach i nieustannie szacowano legendarne bogactwa. Ja jednak, gdym go ujrzał, stanąłem jak wryty, porażony charyzmą Pierwszego Ministra.

— *Laudetur Jesus Christus, signore Derossi* — powiedział Richelieu. — Cieszę się, że przyjął pan nasze zaproszenie.

Kłęknałem i ucałowałem pierścień. Richelieu zaraz kazał mi powstać i siadać. Wyglądał na człowieka wielce zaszępionego. Czyżby aż tak się przejmował epidemią? Dziwne! Od kiedy to jakakolwiek zaraza, kosząca głównie pospólstwo, przydawała strapiień wielkim tego świata?

Spytawszy o drogę i wysłuchawszy mych konwencjonalnych podziękowań, kardynał wstał i podszedł ze mną do okna, przez które widać było oświetlane zachodzącym słońcem wzgórza, lasy, a niżej rozsypane zabudowania, wiejskie.

— Piękny kraj — powiedział. — Serce Francji, serce Europy, serce świata... — A potem wlepiając we mnie oczy, dodał śmiertelnie poważnie: — Kiedym wiele lat temu w przebraniu mieszczanina chodził na pańskie wykłady, il Cane, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę musiał zwracać się do pana o pomoc. Nie brak mi wprawdzie ani medyków, ani inżynierów, służą mi rozmaici alchemicy i astrologowie, o filozofach i teologach nie wspomnę, każdy jednak posiada skłonność ograniczania się do swej specjalności, nie potrafi spojrzeć śmieiej, dalej, odważniej. Pan zaś — popatrzył mi głęboko w oczy tak, jakby chciał przez nie sięgnąć aż do mózdzku, przysadki i szyszynki i natrafić tam na jaźń Aldo Gurbianiego — przypomina ludzi zeszłego wieku, Leonarda czy Kopernikusa, zdolnych ogarniać więcej i patrzeć szerzej od innych. Potrzebuję pana.

Chciałem spytać, w jakim celu, ale nie śmiałem przerywać Pierwszemu Ministrowi, ten zaś nie kwapił się jeszcze, by mnie od razu we wszystko wtajemniczyć.

— Wierzy pan w diabła, il Cane? — zapytał.

— Wierzę w Boga — odparłem — i w świat, w którym istnieje również zło osobowe.

— W to akurat każdy wierzy — mruknął. — Chodzi mi jednak o szatana fizycznego, szatana z krwi i ciała, posługującego się w swych działaniach bronią, nie pokusą.

— Raczej nie. Znaczy, na pewno nie!

Moje wyznanie sprawiło mu wyraźną ulgę.

— Tedy rację mam, szukając pomocy nie u księży, a wśród uczonych — rzekł i nie chcąc trzymać mnie dłużej w niepewności, dodał: — Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi grozi nam katastrofa na miarę Armageddonu.

A jednak epidemia, nie myliłem się, pomyślałem.

Kardynał upił trunku, nie zastanawiając się, jak to często bywa u ludzi wielkich, czy może mnie też nie zaschło w gardle, po czym w dłonie klasnął. Pojawił się d'Artagnan.

— Wprowadźcie świadków! — rzucił mu książę Kościoła. Zaraz z bocznego wejścia, którego istnienia dotąd nie zauważyłem, wyszło trzech ludzi: pięćdziesięcioletni potężny mężczyzna o wyglądzie wysmaganego wiatrami żeglarza, drobny śniady ksiądz i brunatne monstrum przypominające wysuszone jądro orzecha, które z bliska okazało się sędziwym Indianinem ubranym z europejska.

Richelieu przedstawiał ich krótko: kapitan Gaspar Froissart de Marie-Galante, ojciec Pedro Gomez i przewodnik indiański, który na chrzcie świętym przyjął imię Migné!. Skinąłem im na powitanie głową, a wszyscy prócz Indianina odpowiedzieli podobnym ukłonem.

— Opowiedzcie mistrzowi il Cane to, coście mnie opowiedzieli przed dwoma miesiącami w Blois.

*

Dobre pół godziny słuchałem opowieści starego pirata, zakończonej ścinającą krew w żyłach relacją o odkryciu dokonany w ładowni statku „Corazon de Jesu”. O setce ciał z wydartymi sercami.

Historia brzmiała zgoła fantastycznie, toteż zastanawiałem się, co sprawiło, że nie uznano jej za jeszcze, jedną żeglarską legendę, czemu tak przejął się nią ostrożny i myślący racjonalnie Richelieu i z jakiego powodu opowiadano ją właśnie mnie.

Z relacji Gaspara de Froissart wynikało, iż po spenetrowaniu wnętrza hiszpańskiego okrętu, osobiście nakazał swoim ludziom podpalenie wraku i powrót na „Henriette”. Kamraci oczekujący ich na pokładzie zarzucili zwiadowców pytaniami, lecz wszystkie zgasły przygniecione głuchym milczeniem grupki śmiałków. Armand stanął za sterem. Wiatr, dotąd ledwie zauważalny, wzmagał się, toteż wnet wydeły się podniesione żagle i w trzy dni powrócili do pirackiej bazy w San Cristobal, gdzie Froissart złożył stosowny raport wysłannikowi kardynała.

Prawdopodobnie gdyby Gaspar należał do pospolitych, i żądnych złota piratów, zlekceważyłby odkrycie dokonane na „Corazon”. Pozostało w nim jednak zbyt wiele dawnej dociekliwości, by powróciwszy na pokład swego okrętu nie wysłuchać wszystkiego, co mieli na ten temat do powiedzenia hiszpański ksiądz i Miguel Arawak, którym przypadek albo Opatrzność kazały równocześnie zjawić się w onym czasie na pokładzie galeonu. I co ważniejsze, Froissart nie potraktował ich zwierzeń jako rojeń nie zrównoważonych osobników.

W tym momencie Richelieu podziękował starymu korsarzowi i udzielił głosu księdzu Gomezowi. Chudy kapłan, z twarzą przywodzącą na myśl drapieżnego ptaka, dość biegle mówił po francusku i mimo imputowanego mu szaleństwa, z rzadką myślową dyscypliną zwięźle i precyzyjnie przedstawił swoje *curriculum vitae*. Od ukończenia dwudziestego piątego roku życia przebywał w Nowym Świecie. Początkowo był wikarym w Vera Gruz, potem otrzymał probostwo w samym Meksyku, gdzie z czasem ostał na krótko spowiednikiem samego wicekróla i wraz z nim odbywał liczne podróże, w tym daleką i obfitującą w pasjonujące odkrycia wyprawę do wicekrólestwa Peru. W trakcie tych wojaży mógł oddawać się swej pasji, jaką było zbieranie informacji na temat wierzeń i gusel miejscowych Indian. Gomez, podobnie jak jego wielki poprzednik, Bartolomé de Las Casas, uważał pierwotnych mieszkańców Ameryki za ludzi — a jako motto swego diariusza przyjął słowa owego niezwyklego biskupa diecezji Chiapas:

Bóg stworzył te niezliczone ludy pełne prostoty, nie znające złości ni obłudy, bardzo posłuszne, niezwykle wierne swoim prawowitym panom, najcichsze, najsprawiedliwsze, najbardziej w świecie pokojowo nastawione, nie— skłonne do sprzeczki, zamieszek, kłótni, bójki, nie chowające uraz, nie żywiące zawiści ani mściwości. Zaiste, ludy te byłyby najszczęśliwsze na świecie, gdyby poznały Boga.

Oczywiście Gomez nie podzielał przesadnej idealizacji de Las Casasa, tym bardziej że słynny dominikanin miał więcej doświadczenia z pokojowo nastawionymi Majami, a ksiądz Pedro zetknął się przede wszystkim z kulturą Azteków. Najważniejsze jednak było, że w oczach jego przełożonych zainteresowania kapłana uchodziły za niegroźne hobby, zaś głęboka wiara Gomeza nie budziła niczyjej wątpliwości. Mówiono nawet, iż otrzyma sakrę biskupią i gdyby nie choroba...

— Właśnie! Opowiedzcie panu Derossiemu więcej o swej przypadłości — przerwał mu kardynał. Hiszpan zmieszał się i zamilkł, ale Richelieu dodał uspokajająco: — Nasz przyjaciel, *maestro* il Cane, jest znakomitym medykiem. Między innymi.

*

Czy krokami jego kierował sam Pan, czy mroczny demon?

Któregoś dnia, wizytując z polecenia biskupa Vera Gruz południe diecezji, ojciec Pedro zgubił drogę. Można było oskarżać łajdackiego przewodnika, który uszedł nocą, kradnąc naczynia liturgiczne, lub zastanawiać się nad winą samego Gomeza. Miast zawrócić, ksiądz próbował iść na przełaj, za słońcem, i rychło wpadł w tereny bagienne, wśród których w parę dni postradał konie, wiernego sługę, a nawet indiańskiego tłumacza. Jednak mimo głodu i osamotnienia szedł dalej, wytrwale torując sobie drogę maczetą, dążąc tam, gdzie spodziewał się natrafić na morski brzeg.

Świątynia, która o świcie, całkiem nieoczekiwanie wyłoniła się zza zasłony liści, porażała swym ogromem i bogactwem barbarzyńskich rzeźb. Dotąd Gomez widywał jedynie ruiny, ułamki reliefów, teraz barbarzyńska sztuka otwarła się przed nim całym bogactwem nienaruszonego piękna. Ogarnął go zachwyt, a jednocześnie strach ugiął mu kolana. Do tej pory wobec okruchów azteckiej kultury odczuwał jedynie ciekawość pomieszaną z politowaniem, teraz majestat budowli wzniesionej na chwałę demonów wydał mu się nieomal równy katedrom z Sewilli i Toledo. Przytłoczony wielkością stał w cieniu świątyni, zastanawiając się, czy wstąpić na one schody gigantów. Naonczas poranne słońce przekroczyło grań piramidy. Snopy światła zalały Pedra, zdało mu się, że przenikają go na wskroś, jednocześnie postyszał muzykę, głęboką, wszechogarniającą, narastającą przeraźliwym tremolo. Zaraz też doznał zadziwiającego wrażenia, że kamienny mur z reliefami gęstymi od upiornych postaci, ugina się przed nim, jak gdyby był jedynie swoim własnym odbiciem w tafli wodnej. Postąpił bliżej, dotknął ściany ręką. A dłoń jego przeniknęła kamienie. Zali te mury cyklopie utkane były tylko ze światła? Drżąc cały i modląc się żarliwie, postąpił dalej. Spodziewał się mroku kamiennego korytarza. Miast tego ogarnęła go jeszcze większa jasność, a muzyka sfer wzmogła się. Zewsząd atakowały go obrazy barwne: procesje ludzi w płaszczach z piór, sceny bitew i odrażających kaźni przeplatały się ze zgoła sielskimi widokami wznoszenia świątyń i pulsowania bazarów. Cały ten świat płynął wokół osłupiałego księdza barwnymi strumieniami obrazów, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Potem widok zmienił się, ściemniał, naraz Gomezowi zdało się, że otoczyło go czarne niebo, wybite gwiazdami niby rozpalonymi gwoźdźmi. Niebo to kręciło się jak karuzela i raptem Pedro dostrzegł mały punkcik w tym wirowisku. Punkt ten rósł w oczach i wnet przeobraził się w kulę zielonobłękitną, z żółtymi pasami pustyń i bielą czap

lodowych. A potem sam Gomez znalazł się wewnątrz pejzażu, wśród skał i drzew fantastycznych, wśród których pasły się gady olbrzymie, wielkością swą dorównujące budynkom królewskiego klasztoru w Escorialu. Jeden z potworów obrócił swój nieproporcjonalnie mały łeb i popatrzył na księdza. Ruszył ku niemu. Kapłan chciał się cofnąć, ale sparaliżował go strach. Echo kroków giganta wypełniało całą przestrzeń. Jeszcze chwila, a struchlały ojciec Pedro ujrzał, że na grzbiecie gada znajduje się coś na kształt siodła, z którego człekopodobna istota kieruje potworem. Gomez rzucił się do ucieczki, ale poślizgnął się i upadł, uderzając w coś głową. Stracił przytomność.

Odnaleźli go Indianie znad rzeki San Juan, odkarmili troskliwie, a gdy wydobrzeł, doprowadzili do najbliższej misji. Pytani o niezwykłą świątynię, utrzymywali, iż Hiszpan musiał ulec halucynacji, albowiem w ich okolicy takich budowli nie ma. Toż samo twierdzili ojcowie jezuici. Wnet sam Gomez uwierzył, iż był to jeno sen i omamy wynikłe z wyczerpania i głodu. Dziękował Bogu, iż ten zachował go przy życiu, i wnet zapomniał o swej przygodzie.

Gwałtowne bóle głowy, które dopadły go mniej więcej po trzech miesiącach od onego zdarzenia, brał początkowo za objawy gorączki błotnej. Wierzył, że wysokogórski klimat stolicy Meksyku szybko go uzdrowi. Ataki jednak miast ustępować, wzmogły się. W ich trakcie Pedro przestawał kontrolować swe odruchy. Nie pamiętał, co się z nim dzieje. Wstrząsany drgawkami, tarzał się po posadę zakrystii, tocząc pianę i wywracając oczyma. Wszelako i ta faza minęła, i gdzieś rok temu zastąpiły ją sny. Realistyczne sny, w których nawiedzali go dawni bogowie Tenochtitlanu i odgrywali przed nim swe przerażające misteria. Majaki przypominały jako żywo obrazy dawnych obyczajów meksykańskich, które niejednokrotnie kopiował z płaskorzeźb świątynnych, zanim słudzy kościoła zdążyli je rozbić. Kiedy indziej zdawały się ciągiem dalszym obrazów widzianych w piramidzie.

— I był wśród nich Pierzasty Wąż i odbywał się rytuał wrywania serc? — zapytałem.

Pedro Gomez pokręcił głową.

— Podobnie jak wielu, z Arawakiem Miguelem — włącznie, i ty, panie, mylisz dwóch azteckich bogów — powiedział. — Quetzalcoatl, czyli Pierzastego Węża, którego od niepamiętnych czasów czczono w Meksyku jako boga założyciela, i strasznego Huitzilopochtliego, zwanego Piórem Kolibra i utożsamianego ze Słońcem. Jemu właśnie dawniejszymi czasy składano w ofierze krew jeńców i wrywane im serca.

— Okropność — powiedziałem, udając, że pierwszy raz słyszę o obyczajach Azteków. — Zali możesz powiedzieć mi, ojcze, czemuż tak czyniono?

— Nawet dzisiejsi potomkowie Azteków nie wiedzą dokładnie, skąd się wziął ten zabobon, zresztą kogóż miałem o to wypytywać, wybiliśmy ich kapłanów, spaliliśmy prawie wszystkie księgi święte... Z tego, co udało mi się ustalić, wolno mi mniemać, iż ci pożałowania godni barbarzyńcy wierzyli, że ich zamieszkujący kosmos bogowie stale potrzebują krwi. Krew zabezpieczać miała ruch sfer niebieskich, utrzymywać życie Słońca, a za jego pomocą i w ogóle egzystencję wszechświata. Toteż potrzebowano stałych wojen, ciągłego dopływu jeńców, no i ofiar.

— Interesujące są to rozważania, dokończ jednak, księże, swej opowieści — upomniał Gomeza kardynał.

— Trzy miesiące temu mój stan znów się pogorszył. Królewscy medycy byli bezradni, podobnie tubylczy szamani. Bywały tygodnie zupełnego uspokojenia. Po czym nagle przychodziły ataki coraz mocniejsze, sny splecione z konwulsjami. Wreszcie sam arcybiskup Meksyku nakazał mi powrót do Hiszpanii, gdzie jak wiadomo żyją najświetniejsi egzorcyci. Gdyby się okazało, że i ci nie pomogą, miałem udać się na pielgrzymkę do samego Rzymu, kędy moce nękające mnie winny być ostatecznie roztarte w proch. Zgodnie z tym zaleceniem wsiadłem na pokład jednego z galeonów Srebrnej Floty. A potem — westchnął ciężko — znalazłem się w przymusowej gościnie u kapitana Froissarta. Tam właśnie doświadczyłem najgorszego z ataków, ujrzałem bowiem w moich zwidach całkiem wyraźną zagładę współczesnego statku, widziałem marynarzy przeszywanych świetlistymi snopami z niebios i innych, którzy padali jak muchy pod śmiercionośnym tchnieniem nieznannej mocy. A potem zobaczyłem samych napastników. Jak wstępowali na pokład, w zbrojach połyskliwych o kształtach dziwnych i robocie do niczego niepodobnej. A najważniejszy z nich nosił narzucony na ona zbroję płaszcz z piór. I wśród odrażających pień i dźwięków dzikiej muzyki, która rozlegała się, lubo nigdzie nie widziałem kapeli, wódz ów rozplątywał piersi marynarzy i wrywał z nich drgające serca. Mój Boże... I zobaczyłem jeszcze nazwę onego statku: „Corazon de Jesu”! Rozumiecie, bracia, ja nie widziałem baśni ani obrazów z zamierzchłej przeszłości, ja we śnie mem oglądałem coś, co rozgrywało się zaledwie przed paru dniami niedaleko ode mnie.

— A zatem sądzi ksiądz, iż to jacyś Aztekowie napadli na statek nazywany „Sercem Chrystusa” — zapytałem.

— Nie wiem, co o tym sądzić. Wszystkim wiadomo, że po Aztekach nie zostało nic krom zniszczonych świątyń i strzępów ludzkiej pamięci. Sto dwadzieścia lat temu Hernan Cortes, posiadając ledwie dziesięć armat i szesnaście koni, ruszył z Kuby na kontynent. Miał przeciw sobie imperium, liczące ponoć pięćdziesiąt milionów dusz. Podbił je w dwa lata. Kamień na

kamieniu nie pozostał z niezwyklego Tenochtitlanu, a ostatni król Montezuma II poległ w zamieszkach. Reszty spustoszeń dokonały wojny bratobójcze plemion indiańskich, choroby zawleczone ze Starego Świata i polityka kolonizacyjna. Dzisiejsi tubylcy Wierzą w Chrystusa i Najświętszą Panią z Guadelupy, poniechali dawnych krwawych zabobonów. Azteków już dawno nie ma.

— Nie ma? Któż tedy dokonał napadu?

— Nad tym samym łamaliśmy sobie głowę my wszyscy — wtrącił Froissart. — Jakoś nie przekonywała nas wersja, że owi nieboracy z „Corazon”, napiwszy się tequili, sami wyrwali sobie podroby.

— Może ktoś w niewiadomym celu podszył się pod Azteków? — zasugerowałem.

— Gdyby się podszył, nie podpalałby statku celem zatarcia śladów — mruknął kapitan.

— Z wnioskami, *maestro* il Cane, poczekajmy, aż usłyszysz trzecią relację — powiedział Richelieu i skinął w stronę Arawaka.

Indianin zaczął mówić dziwną łamaną hiszpańszczyzną, której prawie nie rozumiałem, ale Froissart bez trudu przekładał ją na język francuski. Początkowo opowiadanie wyglądało na typową klehdę ludową. Arawak twierdził, że od pewnego czasu wśród tubylców zamieszkujących wokół brzegów Morza Karaibskiego wzmożyły się plotki o rychłym powrocie starych bogów domagających się krwi.

— I powrócą Synowie Słońca na wozach podniebnych — szeptał stare proroctwo — a ręce ich miotać będą ogień, i a oczy ich zsyłać będą śmierć, a oddech ich przyniesie pomór.

Popatrzyłem na kardynała, nadal niewiele rozumiejąc.

— Bardzo podobnie brzmiały przepowiednie poprzedzające lądowanie Corteza — wyjaśnił Pedro Gomez. — Podobno dwa lata przed przybyciem moich ziomków do brzegów Meksyku, na niebie ukazywał się kłos ognisty, zapewne kometa, wywołując zrozumiałą panikę. Później jakoby samoczynnie spłonął Dom Władzy, świątynia Huitzilopochtli, ponoć płonęły nawet kamienie i to mimo lania na nie wody. Inne proroctwa mówiły o ogniu z nieba, wrzącej wodzie w morzu oraz o dziwnym ptaku, który miał na głowie coś jakby lustro, poprzez które widać było z bliska gwiazdy i całą Konstelację Byka wraz z wyłaniającymi ją światłami. Podania uzupełniały jeszcze przepowiednie o wieżach pływających po wodzie oraz ludziach o białych ciałach i jasnych włosach, zdolnych miotać pioruny.

— Co nastąpiło potem, wiemy — powiedziałem. — Corteza powitano jak boga, co walenie ułatwiło mu odniesienie sukcesu. Jak jednak zamierzacie interpretować najnowszą serię proroctw?

— Żebyż to były tylko prorocтва — westchnął hiszpański ksiądz. — Powiedz im, Miguelu, co już nam wyznałeś.

Arawak przełknął ślinę i nabrał oddechu jak człowiek gotujący się do skoku z wysokości.

— Widziano znów niebiańskie łodzie bogów — powiedział cicho. — I ja je raz widziałem nad Hispaniolą. Siedem deszczowych pór temu.

— Zaproponowaliśmy, by narysował owe łodzie — wtrącił Gaspar. — Daliśmy mu papier, węgiel, inkaust.

— Szło mu nieskładnie — uzupełnił Gomez — ale gdy ukończył one rysunki, ogarnęło mnie przerażenie. Wszakże były to moje wizje senne, moje przerażające zwidy.

Richelieu, przerywając na chwilę relację księdza, wyciągnął rulon papierów i podał mi je, mówiąc:

— Rzuć na to swoim okiem, mistrzu.

Pierwsze rysunki przypominały nieskładne kreski, dziecięce bazgroły, jakie łatwo napotkać w każdym przedszkolu. Jednak wpatrując się w nie uważniej, począłem dostrzegać w bohamazach cechy powtarzające się, elementy wspólne i charakterystyczne. Wśród gryzmołów dało się zauważyć owalne dyski na tle gwiazd i Księżycy. Jeden obrazek przedstawiał snopy światła wypadające z wnętrza podniebnej łodzi wprost na wsie oraz na palmy ogarniane ogniem. Ostatni zaś pokazywał wysepkę, ponad którą pióropusz dymu i ognia wyraźnie formował się w kształt ogromnego grzyba.

— I ty widziałeś to na własne oczy? — krzyknąłem do Arawaka, a Froissart przetłumaczył pytanie.

— Wielu widziało. Przybyły srebrne statki bogów, zabrały młodych ze sobą, starym wyrwano serca, a potem spuszczone powódź ognia. — Ale ty, ty sam — powtórzyłem z naciskiem — co widziałeś?

Od dawien dawna uciekanie stało się jego drugą naturą. Miał piętnaście lat, kiedy wzięto go jako zakładnika z rodzinnej wsi i przymuszono do niewolniczej pracy w kopalni srebra. Jako jeden z nielicznych Indian przeżył tam trzy lata i uciekł Hiszpanom, uciekł też Anglikom, którzy pojawszy go wkrótce później, okazali się niewiele lepsi. Nie mając dokąd wracać (jego rodzinna wieś już nie istniała), sporo lat służył francuskim piratom, którzy przynajmniej potrafili wykorzystywać jego talenty przewodnika i tłumacza. Niestety katastrofa okrętu oddała go ponownie w ręce Hiszpanów. Gubernator osady zwanej San Diego dość szybko uznał, że stary Indianin nadaje się tyle do pracy, co osieł do walki byków, znalazłszy natomiast przy nim szamańskie amulety, uznał, że trafił na świetnego kandydata do spalenia na stosie za czarnoksiężskie praktyki.

Uznano, że najlepszą ku temu okazją będzie święto Matki Boskiej Gromniczej.

Czas pozostający do egzekucji Miguel spędził w lochu, nawiedzany co dzień przez zakonnika, który pragnął go nawrócić. Daremnie Arawak przekonywał go, że już jest nawrócony, ma chrześcijańskie imię, wierzy w świętą Trójcę i Matkę Boską, zaś amulet przechowywał jedynie na pamiątkę oraz na wszelki wypadek. Ale to upewniało jedynie kapłana, że potencjalna owieczka jest krnąbrna i trwa w grzechu śmiertelnym.

Aż nastąpiła noc poprzedzająca kaźń. Była pełnia księżyca, a Miguel z twarzą przywartą do wąskiego okienka zaczął powtarzać stare zaklęcia. Jeśli nie pomógł mu smutny ukrzyżowany Bóg Białych, nie zawadziło poprosić opiekunów plemienia, choć ci już wielokrotnie zawiedli.

I naraz ujrzął srebrną łódź płynącą po niebie i rozległy się krzyki podrywające ze snu osadę. Hiszpanie wybiegli ze swych domostw, wołali i palili z muszkietów. A łódź zawisła nad placem i naraz poczęły rozlegać się dziwne dźwięki i błyski. I osuwali się żołnierze na ziemię jak cięte maczetą kaczany kukurydzy. A potem pojawili się Srebrzyści, chwytający ciała ogłuszonych żołnierzy i wlokący je w cień. I znowu rozległy się wrzaski — to rozpaczliwie krzyczały miejscowe niewiasty i płakały dzieci.

— Nie odbierajcie ich nam — rozlegały się wołania. — Czego od nich chcecie?!

Potem wrzawa oddaliła się. Niedługo później rozległy się detonacje. Takich wybuchów Arawak nie słyszał nigdy, lubo w wielu bitwach morskich uczestniczył. Zatrzęsła się cała ziemia. Miguel widział, jak naprzeciw jego okienka rozpada się kościół i zabudowania fortu San Diego. Wstrząs był tak silny, że zapadła się część podłogi jego celi, odsłaniając niższą piwnicę. Instynktownie skoczył do niej. Przeleciał kilkadziesiąt łokci gliniastą rynną i trafił na chodnik wykuty w skale. Słyszał nad sobą detonacje, ale nie zatrzymując się, uciekał wśród osuwających się kawałków gruzu. Biegł, przeciskał się i czołgał skalnym korytarzem, prawdopodobnie uczynionym kiedyś dla potrzeb ewakuacyjnych. Nad nim i wokół niego dygotała ziemia tak, jakby w posadach rozpadał się cały świat. A potem na wszystko spłynęła fala ognia.

Korytarz wyprowadził go nad rzekę. Tam na wysepce, w gęstych zaroślach doczekał świtu, mając za sobą łunę płonącego lasu. Powinien był uciekać, jednak wiedziony ciekawością rankiem zawrócił. Atoli nie odnalazł już osady San Diego, tylko wypaloną dżunglę, poczerniałe poletka i głęboki lej w miejscu fortu. Szukając dłużej, natrafił gdzieś w miejscach tubylczych chat na kupki popiołu i kawałki stopionej gliny.

Trzymając się rzeki, dotarł do wybrzeża, tam sporządził pirogę i żeglując według gwiazd, dotarł na wyspy francuskie, gdzie wstąpił na służbę do kapitana Froissarta. Aż do tej pory o swej przygodzie nikomu nie wspominał.

Zapadła cisza. Pod dłuższej chwili przerwał ją Richelieu:

— Wielkie podziękowanie należy się kapitanowi de Marie–Galante, iż jak najrychlej podzielił się swoimi informacjami z naszym gubernatorem Antyli, a ten, lubo nie do końca przekonany co do prawdziwości relacji, bez zwłoki wysłał „Henriette” do Europy. — Tu dał znak świadkom, iż mogą się oddalić. Sam sięgnął po kielich.

— Czy i ja mógłbym się napić? — powiedziałem nieco bezczelnie, ale język ze szczerem mi skołowaciał.

— Ależ oczywiście. Giulio, chodź do nas i przynieś puchar dla pana Derossiego — zawołał kardynał.

Zza kotary wyłonił się Mazzarini, który z ukrycia przysłuchiwał się opowieściom z Morza Karaibskiego. Zdawał się równie przejęty jak ja, ręce mu drżały, gdy nalewał, zaś Richelieu kontynuował:

— Nie przejmowałbym się bajaniem tego morskiego wilka, w końcu żeglarze to łgarze urodzeni, przewyższający pod tym względem nawet Włochów. — Spojrzałem na Mazzariniego, legat jednak ani pisnął na to *dictum*. — Wszelako nie jest to pierwsza opowieść tego typu. Od paru lat coś złego dzieje się w Nowym Świecie. Wiem o wielu zaginionych okrętach, tajemniczej zagładzie osady angielskiej, założonej parę lat temu w Wirginii, z której zniknęli wszyscy mieszkańcy, doszły mnie też wieści o dwóch wyprawach hiszpańskich, które wcale niedawno ruszyły na północ od Monterrey i po przekroczeniu Rio Grande wszelki słuch o nich zaginął. Przepadła też nasza ekspedycja pana Brissoniere’a, któremu pół roku temu osobiście nakazałem sprawdzić możliwość założenia kolonii, mającej nosić miano Nowej Francji, na zachód od ujścia Missisipi. Po wylądowaniu nikt o nich więcej nie słyszał, nie wróciły od nich na statek nawet gołębie pocztowe. Nie dość tego wszystkiego... — tu zwrócił się do legata: — Teraz opowiadaj ty, Giulio.

Mazzarini zaczął mówić wolno, wygrzebując jakieś papierzyska ze swego sakwojaża.

— Mniej więcej od dwóch lat mnożą się niepokojące opowieści z różnych stron Europy. Srebrzyste dyski, podobne tym, o jakich wspominał Indianin, widziano w okolicach Edynburga i nad Warszawą. Jeden z owych pojazdów, wedle wieśniaków z Taorminy, wleciał do krateru Etny, lecz szybko nie naruszony powrócił stamtąd i odleciał w stronę Katanii. Jeszcze większe wrażenie wywołało nagłe pojawienie się srebrzystej barki ponad polem bitwy pod Chemnitz, w Saksonii, które trwało dziesięć minut, przyczyniając się do szwedzkiej wiktorii. Ciemny lud dopatruje się w tym działaniu mocy diabelskich, naukowe mędrki anomalii meteorologicznych. Szczęściem nikt nie kojarzy ze sobą wszystkich faktów. Ani jakościowej zmiany, która zaszła w ciągu ostatnich miesięcy. Dawniej podniebni goście

ograniczali się do podglądania naszej egzystencji z wysoka, dbając nade wszystko, by nikt ich nie zauważył, obecnie widziano dyski siadające na ziemi. Są świadectwa o tajemniczym znikaniu ludzi młodych, a przed miesiącem w Langwedocji grupa myśliwych, usiłująca podejść do takiego metalowego kręgu, porażona została nieznaną mocą. Wieśniacy naliczyli sześć zwęglonych ciał, przynajmniej w jednym stwierdzono brak serca.

— Kimkolwiek są owi żeglarze po nieboskłonie, bogami, przybyszami z innego świata czy z piekieł, nie mają wobec ludzi dobrych zamiarów — podsumował Richelieu. — Być może pan, mistrzu, potrafi wyjaśnić to inaczej, nam niestety wydaje się, iż nasza biedna cywilizacja stanęła wobec największego zagrożenia od czasu potopu.

6. NADZIEJA EUROPY

Richelieu nie oczekiwał z mojej strony natychmiastowej deklaracji, przeciwnie, prosił, abym się głęboko zastanowił, nim dokonam jakiegokolwiek oceny sytuacji. Dał mi dokumenty, spisane protokoły przesłuchań, ryciny, mówiąc, bym się z nimi zapoznał, a jutro wyraził swoją opinię. Sam zamierzał ostać jeszcze dobę w Cluny, a dopiero później dołączyć do króla bawiącego w Burgundii.

Wstrząśnięty tym, com posłyszał, spytałem Mazzariniego odprowadzającego mnie na kwaterę, czego spodziewają się ode mnie.

— Rady, il Cane! Modlić się do Pana Naszego w Trójcy Świętej Jedyne możemy zawsze sami, liczymy jednak, że wy, mistrzu, potraficie zaproponować, co uczynić można, prócz pokładania ufności w bożych wyrokach. Na mą siedzibę przeznaczono piękny, choć nie za duży dom w stylu romańskim, z szerokim wejściem, przesklepionym burgundzkim ostrolukiem. Z przodu mieściła się sala obszerna, o ciemnym belkowanym suficie, mogąca służyć i za pokój konferencyjny, i izbę biesiadną, za nią krył się dziedzińczyk nieduży, brukowany kostką drewnianą, ze studnią i podcieniem grzecznym, prowadzący ku kuchni, w której miejscowa jejmość, imieniem Pasqualina, piersiasta jak modelki Petera Paula Rubensa, gotowała wieczerzę.

Anzelmo, wypoczęty i odświeżony, poprowadził mnie na piętro składające się z sypialni i przestronnej izby, na moją pracownię przygotowanej. Znalazły się tam i mapy, i luneta, i narzędzia geometryczne, sporo książek, a nawet przepiękny globus, gdańskiej roboty, z pokrywą zawierającą przesuwną mapę nieba. Tam też spożyliśmy niezbyt obfitą wieczerzę. Apetytu nie miałem za grosz i ku zdumieniu mego ucznia, kontentowałem się ledwie jedną szklanicą wina z Anjou.

Anzelmo za to pochłonał ze sprawnością odkurzacza wszystko, co ostawiłem. Miało to tę dobrą stronę, że mówił mało i nim skończył posiłek, nie przymuszał mnie do zwierzeń. Inna sprawa, że tłusćcioch przypominający zazwyczaj pączek w tłuszczu, rozdymany był jeszcze dodatkowo przez ciekawość.

— Widzi mi się, panie, że z tą zarazą lipa — rzekł, próbując mnie wybadać, gdyśmy do wetów przeszli. — W klasztorze nie ma żadnych chorych, *lazaretum* puste, a mnisi pytani o *pestę* uśmiechają się głupkowato. Ani chybi sam kardynał plotkę o dżumie puścił, iżby odstraszyć ciekawskich od tego klasztoru.

— Obejrzyjmy więc dom — powiedziałem. Nie chodziło mi nawet o to, żeby nie miał do tłuściocha zaufania, chciałem jednak, idąc za radą kardynała, przetrwać wszystko sam. A w czymże mógłby mi pomóc ten prostaczek?

Kontynuowaliśmy tedy zwiedzanie mej kwatery. Za pracownią ponad dziedzińcem ciągnęła się galeria, prowadząca aż do sypialni z łóżem baldachimowym i ku schodkom wychodzącym na dach kryty dachówką, na którym znalazłem platformę, wprost wyborną na obserwacje astronomiczne. Jeśli idzie o sypialnię, ścianę z jednej strony wypełniał rząd okienek wąskich, witrażowych, w kolumnienki ujętych, na drugiej, krom kobierca, mogłem oglądać obraz panny pięknej, o mądrych, smutnych oczach, w greckim stroju Pallas Ateny. Starczył jeden rzut oka, a zadrzałem, jakby mnie ktoś gorącą fibulę w serce wraził. Na włócznie Minerwy! Wszak był to obraz mej ukochanej, arcyksiężnej Marii, na mych oczach przez oprawców Ippolita spalony w piwnicznym lochu dwa lata temu. Zali Richelieu wszedł w posiadanie jakiejś kopii...?

— Ja to ocaliłem, mój panie, podsuwając siepaczom nędzną reprodukcję miast oryginału, który ukryłem był w starym kominie — rzekł chełpliwie Anzelmo. — Potem dzieło wasze w depozyt panu Mazzariniemu dałem, choć dobrze przędać mogłem. Żyd w Ferrarze kładł mi na stół dwieście dukatów w złocie.

— Wdzięczny ci jestem niepomernie, przyjacielu, wszelako teraz ostaw mnie samego — powiedziałem. Wyszedł bardzo niechętnie, jako pies wysyłany za próg w dzień dżdżysty. W drzwiach jeszcze odwrócił głowę z niemym pytaniem, może go zatrzymam... Ale ja wpiłem wzrok w Marię. Marię, moją księżniczkę, moją miłość.

Po prawdzie, osobiście nigdy nie miałem okazji widzieć jej żywej, a jej romans z Derossim po prostu wymyśliłem, chcąc nienawiści księcia Ippolita do artysty dodać podtekst bardziej osobisty. Tak naprawdę, jeśli wierzyć zachowanym dokumentom procesowym, il Cane został stracony pod naciskiem kontrreformacyjnej kamaryli, aby skanalizować nastroje w Rosettinie. Być może chodziło również o zdławienie pierwocin buntu sił republikańskich Przeciw arcyksięciu, spisku, wspieranego ponoć przez Francję, którego jądrem miał być ów artysta. Parę skrytobójstw, których ofiarą padło w onym czasie kilku republikańskich prominentów, uprawdopodobniało tę wersję. Kiedy jednak patrzyłem na portret, nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że jednak intuicja autora mnie nie zawiodła, że istniało jakieś głębsze porozumienie malarza i modelki. Atena czy, jak kto woli, Minerwa jest wedle tradycji ikonograficznej boginią chłodną, aseksualną, typową starożytną intelektualistką, może nawet lesbijką, a na pewno matką duchową wszystkich późniejszych feministek. Tymczasem w twarzy, w oczach mojej Marii nie czułem chłodu, przeciwnie znajdowałem tam żar, tyle że przygaszony lekką

mgiełką nostalgii. W ustach obok tajemniczego grymasu dostrzegłem również delikatny stygmat cierpienia. Dama z portretu najwyraźniej usiłowała się uśmiechnąć, jednocześnie zagryzając wargę. Bolało ją coś? Sądząc po dacie zachowanej w prawym dolnym rogu, Derossi namalował konterfekt rok przed zgonem modelki. Czyżby za jego pośrednictwem chciał przekazać potomnym coś, na co nie zezwalały mu ówczesne konwenanse ni kondycja społeczna...?

Podszedłem bliżej, unosząc świecznik tak, że stylizowana na rzymską komnata, w której Minerwa sposobila się do wyjścia w bój, pojaśniała. Bogini została uchwycona w trakcie przypinania rynsztunku, jeden nałożony chodak, niekompletny pancerz, broń jeszcze w nieładzie... Scena wyglądała tak, jakby hasło: „Do broni!” albo niewidoczny posłaniec oderwały Palladę od zajęć intelektualnych, wzywając w pole. Wszędy piętrzyły się książki i zwoje, jeden z woluminów zsunął się jej z kolan i leżał rozarty obok włóczni. Z tyłu za Ateną ujrzałem lustro weneckiej roboty z osobliwą, niezwykle dokładnie odrobioną głębią, ujawniającą resztę pokoju wraz z mroczną alkową.

Wiedziony impulsem sięgnąłem po szkło powiększające, by przypatrzeć się detalom. Na pierwszym planie odbitego obrazu znajdowało się ramię krągłe, kobiece, lecz krzepkie, dalej stół z resztkami biesiady i plamą czerwonego wina na marmurowym blacie, wreszcie łoże z pościelą zgniecioną, nie przypominającą żadną miarą pryczy bogini mniszki, lecz najprędzej legowisko kochanków. I...

O mój Boże!

Obok łoża wypatrzyłem przewrócony męski trzewik, wyglądający tak, jakby strącił go z nogi w miłosnym pośpiechu zapamiętały amant, spragniony kochanki. Pobiegłem ku drzwiom, gdzie wyczyszczone przez Anzelma stały moje paradne buty. Na Jowisza, ten sam kształt, ten sam fason!

Zafascynowało mnie owo przesłanie z przeszłości ku nieznanym widzom przez Derossiego wysłane. Ów drobny znak męskiej chępliwości, każący zasygnalizować *pro memoria*: „Ja tu byłem, ja ją miałem”.

I poczułem naraz, że jestem tam, że maluję ją, czekając chwili, kiedy znów oplotą mnie jej ramiona, kiedy zrzuciwszy cienkie *peplum*, odda mi się cała, pachnąca miodem i mlekiem, runią puszczy litewskiej, radością poranku, a jej okrzyk rozkoszy jak pieśń skowronka wzbije się nad alkową... *Evoe!* Ech... Daj spokój, stary erotomanie!

— Czy czegoś jeszcze trzeba waszej miłości? — Anzelmo wściubił kudłatą głowę, przypominającą mi zawsze łeb bezrogiego barana. — Donna Pasqualina ma córkę

piętnastoletnią, nadobną jak kwiat dzikiej róży, której, jak mówią, nie tknęły jeszcze nożyce ogrodnika.

— *Apage satanas!* — zawołałem. — Zali nie widzisz, iż jesteśmy w klasztorze.

— Wiem, wiem, ale gdyby owe świątobliwe mury umiały gadać, niejeden pobożny inkunabuł spaliłby się ze wstydu.

Wyszedł, ja zaś począłem jeszcze dokładniej przyglądać się płótnu. Zali przemyślny Derossi nie ostawił więcej przesłań dla potomności? Wreszcie obróciłem wzrok ku tomiszczu, na którym wspierał się hełm namiętnej Ateny. Odcyfrowałem litery na grzbiecie: „G. H. W. *De bello mundi*”. *O wojnie światowej. Czy raczej o Wojnie Światów!* G? H? W? Chryste — jakże mógł siedemnastowieczny, nawet najgenialniejszy twórca znać sztandarowe dzieło George Herberta Wellsa, opowiadające o inwazji Obcych na Ziemię? W dodatku o inwazji, która się nie udała.

Poważnie poruszony tym odkryciem, wspiąłem się na dach. W skupieniu patrzyłem, jak gaśnie dzień. Trwałem tam i później, pogrążony w niespokojnych myślach, nie mogąc ich ani złożyć, ani zakończyć jakąkolwiek konkluzją. Wnet mrok zapadł i miałem nad sobą jedynie niebo rozgwieżdżone, identyczne jak w moich czasach. (Tylko które to są moje czasy?) Czasem pomiędzy wieżycami przeleciał wielki nietoperz, niekiedy w oddali rozległ się pohuk sowy.

— Jeśli to sen, pora się obudzić — rzekłem do siebie. — Do diabła, budźmy się, panie Gurbiani! Ostatni żarcik z Wellsem był całkiem niezły, ale czego za dużo, to niezdrowo. Pobudka, wstać!

Życzenie wszelako pozostało niespełnione. Raptownie poczułem się na onym dachu przeraźliwie sam, jakbym był jedyną istotą w galaktyce. A może i jedynym kreatorem tego świata, który utracił nad nim wszelką władzę i jest w stanie obserwować jedynie, jak ten świat zmierza ku zgubie. Jeszcze chwila, a przyszło mi do głowy, iżby sprawdzić swą potęgę, przesadzić okap i na ziemię się rzucić. Obudziłbym się? Sen okropny przeminałby bez śladu?

A jeśli nie? — ozwał się we mnie Gurbiani sceptyk, namiętny czytelnik powieści science fiction od *Wehikulu czasu* wspomnianego Wellsa, po *Gwiezdne wojny*. — Nawet jeśli to jest gra, czy wolno ci ją przerwać? Musisz próbować. *Per fas et nefas*.

Zastanawiałem się, co by na mym miejscu uczynił autentyczny Derossi? Pewnie nic, najwyżej namalowałby piękny obraz przedstawiający wojnę światów. Przecie gdyby nawet il Cane był tytanem umysłu pięciokroć wybitniejszym niż Leonardo, Kartezjusz czy Galileo razem wzięci, cóż mógłby podolać w owej sytuacji? Jeśli istotnie pojawili się Obcy i

dysponowali mocami, o których wspominał Miguel i *padre* Pedro, to próba walki z nimi przypominała atak neandertalczyków z maczugami na dywizję pancerną „Hermann Goering”.

Najgorsze, że nie miałem obok siebie ani jednej istoty, której mógłbym się zwierzyć, prosić o poradę. Nikomu też nie mogłem wyjawić prawdy o sobie. Tym bardziej, że cóż dałoby szczere przyznanie. „Nie jestem Derossim”. „Zatem kim — padłoby pytanie. — Wariatem?”

Nocny chłodek zagonił mnie w końcu do izby przeznaczonej na pracownię. Anzelmo poderwał się znad stołu niczym spłoszony buldog przyłapany na buszowaniu w spiżarni.

— Wiedząc, że wasza miłość pewnikiem zechce pracować długo w noc, przyszedłem zapalić więcej świec — powiedział i dodał, wskazując rozłożone rysunki: — Talentu wielkiego w tym nie postrzegam.

Bez komentarza siadłem nad rycinami, dokumentami. Czytałem z godzinę, ale nie dowiedziałem się wiele więcej ponad to, co wynikało z karaibskich opowieści. Wszelako coś mi tu nie pasowało. Obcy, latające talerze i Aztecy? Nie bardzo mieściła mi się w głowie wizja cywilizacji tak daleko zaawansowanej technicznie, oddającej się procederowi wyrwania serc. Na koniec zasnąłem z twarzą na onych raportach, mapach i przepowiedniach. Nie pamiętam, kiedy Anzelmo zaniósł mnie do łóżnicy i otulił pościelą.

*

Mówi się, iż ranek od wieczora zmyślniejszy. W istocie, w barwach poranka wszystko wygląda jaśniej, zieleń jest świeższa, a kwiaty piękniejsze. Nawet kardynał Richelieu czekający mnie w ogrodach klasztornych, nieopodal stajni, wyglądał na odmłodzonego. Powiedzmy, o pół roku. Może wrażenie takie powodował świecki strój ministra i buty do konnej jazdy.

— I cóż wykoncypowałeś, mistrzu? — spytał, obracając swą lisią twarz ku dobroczynnemu słońcu. Rozłożyłem ręce.

— Sądzę, że sytuacja jest poważna.

— Tyle i ja wiem — przerwał niecierpliwie. — Chodzi o określenie charakteru przeciwnika. Mazzarini utrzymuje, że mamy do czynienia z demonami z piekła rodem, a pan?

— Moim zdaniem nie są to żadne demony z piekła, tylko przybysze z innych światów, posiadający lepsze od nas bronie i nieporównanie większe możliwości podróżowania.

— A więc istoty materialne! Odważna interpretacja, choć nie pierwsza, jaką słyszę. Mam wśród gwardii młodego żołnierzyka o bujnej imaginacji, który, jak mi doniesiono, chętnie opowiada swym kolegom niestworzone historie o planetach przez inteligentne istoty zamieszkanych. Tyle że Savinien nie kryje, iż są to jedynie płody jego wyobraźni. Ale założmy, że obaj macie rację i istnieją jacyś Marsyjanie czy Selenici. Zgodzisz się, kawalerze, że w świetle dotychczasowych czynów ich intencje względem nas nie wyglądają na życziwe?

— Być może badają jeno naszą cywilizację, niszcząc wyłącznie tych, którzy im w tym przeszkadzają — powiedziałem, choć dreszcz przebiegający po mych plecach dowodził, iż sam nie wierzę w to, co mówię.

— A wrywanie serc? — dorzucił kardynał. — Czy znajdujesz rozsądne wytłumaczenie tego barbarzyńskiego postępowania?

Pomyślałem o jednym z rysunków skopiowanych przez Pedra Gomeza z kamiennych tabliczek — przedstawiał on transplantację serca. I przypominał mi oglądane swego czasu słynne kamienie z peruwiańskiego miasta Ica, z których trzy jako Aldo Gurbiani dostałem potem w prezencie od ich odkrywcy, doktora Cabrery.

— Być może Srebrzyści potrzebują ludzkich serc, aby egzystować w naszym świecie — zasugerowałem. — Może jest to ich słaba strona, poszukiwana pięta Achillesowa?

— Możliwe, jeden z mych medyków, Ambroise de Lys, twierdzi, iż gdyby wszczepić ludziom rybie skrzelą, mogliby żyć pod wodą. Kazałem mu spróbować tego na królikach, ale jakoś nie podolał.

— Podziwu godne przedsięwzięcie.

— Wróćmy do Przybyszów. Powiedz mi, il Cane, jak sądzisz, czy gotują nam podbój? Czy zamierzają uczynić z nami to, co katolicka Hiszpania sprawiła Indianom? A jeśli tak, to podołają li takim planom?

— Zależy, na ile są liczni — odrzekłem. — Technika można zdruzgotać nieprzyjaciela, ale tylko piechur i policjant jest zdolny utrzymać teren na trwałe.

— Dorzuć jeszcze kapłana — uzupełnił kardynał. — Naturalnie jestem tego świadom, dlatego tak przerażają mnie wieści o porywanych dzieciach.

— Myśli Wasza Eminencja, że oni chcą...

— Znam metody działania pohańskiego Turczyna, pomnażającego swe armie janczarami, rekrutującymi się z młodzi porywanej w katolickich krajach.

— Zatem można przypuścić, że mamy jeszcze nieco czasu, latające talerze pojawiły się niedawno, dzieci porywać poczęły jeszcze później. Sądzę, iż nie będą gotowi uderzyć na nas wcześniej niż za dziesięć czy piętnaście lat.

— Ja tego nie dożyję — Richelieu uśmiechnął się smutno, po czym wyjąwszy z pochwy kordzik, odciął z łodygi różę purpurową niezwyklej urody i zanurzył w niej nozdrza, inhalując zapach. — Wszelako nie oznacza to, że wolno mi zaniedbać działań prewencyjnych. Wiesz, il Cane, co to odpowiedzialność? — Nie czekał na odpowiedź. — Wielem lat temu wziął odpowiedzialność za ten kraj, za ład w nim, za jego przyszłość. I sporo uczyniłem, aliści nie przyszło mi nigdy do głowy, iż stojąc nad grobem znajdę się wobec wyzwania tysiąckrotnie poważniejszego od wszystkiego, z czym miałem dotąd do czynienia. Cóż uczyniłbyś, il Cane, znalazłszy się na mym miejscu? — Znów ukrył twarz w płatkach róży.

— Może próbowałbym uświadomić ludzi, zmobilizować ich do nadchodzącego zagrożenia, przygotować do działań partyzanckich.

— Uświadomić ludzi? — kardynał zaśmiał się gorzko. — Jak, mości kawalerze? Wydać specjalne numery „Gazette de France”, stworzyć delegatury mego *Gabinetu* prasowego we wszystkich miastach, rozesłać heroldów po wsiach, niech walą w tarabany wołając: „Srebrzyści nadlatują!” — Cóż osiągnąłbym poza paniką powszechną? Myślałem o czym zgoła innym, o kongresie monarchów pod auspicjami Stolicy Świętej, połączonym z soborem powszechnym, na którym wzniesiono by się ponad rozdarcia i schizmy, prezentując w obliczu inwazji Europę Chrystusową, niepodzieloną, mocną tym, co łączy, solidarną... Zresztą, do kata, jeśli trzeba, gotowym przyciągnąć do *ententy* takowej nawet perskiego padyszacha i sultana Wielkiej Porty, przeciw i oni jedyne Boga wyznawają. Znasz przecie *maestro* relacje o podboju Meksyku. To nie konie i nie te kilka armat pana Cortesa zwyciężyły Azteków. To Indianie Indianom sami zgotowali taki los. Obawiam się, iż gdy nadejdzie ów czas apokalipsy, ów straszny *dies irae*, kiedy Stwórca odwróci od nas swe zagniewane oblicze, nie potrafimy stanąć w szyku, lecz każdego po swojemu spróbuje walczyć lub układać się z najeźdźcą, obok walecznych *defensores* pojawią się gorliwi *colaborationes*: Niemce skoczą do gardeł Francuzom, Moskwićini Polakom, Hiszpanie Angielczykom.

— Być nie może!

— Może, może — tu kardynał upuścił wonną różę i deptać ją począł butem, aż krwawa miazga zabarwiła kamienie. — Tak będzie z naszą Europą, wierz mi. Od lat próbowałem sam, jak i przy wsparciu Ojca Świętego, zaprowadzić w niej jakiś trwały ład. W roku trzydziestym piątym bliscy byliśmy nawet organizacji pokojowego Kongresu Europejskiego, ale pomysł szejł jak ta róża i dziś trudno wyobrazić sobie takie zgromadzenie, gdzie zasiądą obok siebie cesarz Ferdynand, Karol I Stuart, mała Krystyna Szwedzka, car Moskwy, Władysław IV Waza z Polski czy bardzo już sędziwy Namiestnik Chrystusowy. Skąd brać ludzi dorosłych do zagrożeń? Mazzarini, nim cię oswobodził, usiłował przekonać papieża Urbana, jak wielkie

grozi nam wszystkim niebezpieczeństwo, ale Jego Świątobliwość, choć zestrachany, zdaje się nie rozumieć głębi zagrożenia, nie ma dość wyobraźni. Sądzi, że jak ongiś Leon Wielki wyszedł w szatach pontyfikalnych na spotkanie Atylli i samym majestatem zawrócił dzikiego Huna z drogi na Rzym, tak wystarczy, że on sam uniesie pierścień Rybaka, a srebrne dyski powrócą w zaświaty. Ale czego wymagać od człowieka gotowego spalić Galilea (i dbającego głównie o swych nepotów? Niestety, drogi il Cane, możemy liczyć wyłącznie na siebie. I tu należy zastanawiać się, jakie środki możemy podjąć w tej materii. Zresztą niektóre posunięcia przedsięwziąłem sam, czekając na wasze przybycie.

Zainteresowało mnie to stwierdzenie.

— Jakie środki Wasza Eminencja ma na myśli?

— Sam obaczysz. — Tu zawołał: — Mości d'Artagnanie, Savinien do mnie!

We wrotach stajni ukazali się d'Artagnan i nie znany mi młokos w stroju gwardzisty, prowadzący cztery siwojabłkowe rumaki.

— Zapraszam was, mistrzu, na poranną przejażdżkę, mam nadzieję, że okaże się ona interesująca.

Pojechaliśmy zatem w czwórkę drogą między lasami, polami. Richelieu zagadkowo milczał jak ktoś, kto przygotował niespodziankę i nie chce zepsuć efektu. Porucznik i młodziutki giermek trzymali się z tyłu. Dziewiętnastolatek miał fizjonomię, jaką niełatwo zapomnieć — natura obdarzyła go nosem tak gigantycznym, że kardynał mógłby wykorzystywać jego organ do wywąchiwania wszelkich działań wrogich i knowań niecznych. Ujechaliśmy parę mil, aż Richelieu wskazał opuszczoną wieś w dole mówiąc: „Taizé”, po czym skrzył koniem w prawo, w leśną, zapewne niedawno wyrąbaną przesiekę.

— Wzgórze to zowie się Saint Romain — tłumaczył. — Pieśni gminne głoszą, iż było tu kiedyś sanktuarium galijskich druidów, zanim ci nie ulegli Rzymianom. W jego wnętrzu kryje się również grotta, o której prorocтва mówią, że przyjdzie z niej zbawienie świata. Nie jestem przesądny, ale gdy przyszło szukać miejsca dla mych działań, wybrałem ten pagórek.

Wnet ścieżkę przegradziła palisada z bukowych pali, z masywną okutą bramą, przed którą trwał posterunek. Na widok kardynała gwardziści poderwali się otwierać wierzeje. Wszelako uczynili to tak ostrożnie, aby tylko pojedyncze konie mogły się przez nie przesmyknąć, poczem wpuścili nas do środka.

Wewnątrz zastałem osadę całkiem nową, po części przypominającą obóz warowny, a po części osadę kolonistów w Nowem Świecie. Wokół rozległego majdanu złotem niedawno okorowanych pni świeciły świeżo wzniesione domy mieszkalne, za nimi ciągnęły się namioty, na wzgórzu stały równie nowe wiatraki, a poniżej spiętrzonego stawu huczał jaz

młyński. W głębi ujrzałem także piec hutniczy, a z położonej obok kuźni dolatywały odgłosy pracy. Na rogach częstokołu widać było platformy obserwacyjne, spod których wzyierały lufy harmat i arkebuzów. Całość osady Mont Romain świadczyła nie tylko o pośpiechu budowniczych, ale również o okazałych środkach, jakie musiały zostać wyłożone.

Postrzegłszy przybycie Richelieugo zewsząd wysypali się młodzi mężczyźni, odziani dość pospolicie, o twarzach jasnych i bystrym wejrzeniu.

— Czekając na was, *maestro*, nie marnowałem czasu — powiedział kardynał, nie starając się nawet ukryć satysfakcji z mego zaskoczenia. — Z całego kontynentu ściągnąłem pod Taizé najlepszych ludzi, jakich mogłem. — Tu zawołał głośno: — Przyjaciele najmiłsi, oto pan Alfredo Derossi, zwany il Cane, o którym każdy z was zapewne słyszał, a to moje zuchy z wszech stron Europy. Jakże wam się widzą?

— Bardzo są młodzi — wybąkałem, zwolna pojmując, do czego Jego Eminencja zmierza.

— A kogo miałem ściągać? — mruknął pod wąsem. — Zaprosić zadufane w siebie autorytety, mędrków niezdolnych patrzeć dalej własnego nosa, rutyniarzy przyzwyczajonych jeno do pieniędzy i pustego poklasku. Zresztą Galileusz jest już chory i załamany, Kepler nie żyje, zaś Kartezjusz... Kartezjusz mi odmówił, nadto ściągnięcie go tutaj musiałoby zwrócić uwagę wszystkich szpiegów kontynentu. Nie, nie! Stary jestem, mości Derossi, ale wierzę w potęgę młodości i otwartość umysłów. Zgromadziłem tedy tych, którzy, jak mniemam, będą naszą armią. Armią myśli! *Si vis pacem para bellum*.

Tu począł przedstawiać owych młodzików, podchodzących wyrazić mi swoje uszanowanie.

Trudno byłoby dziś wymienić wszystkich, bo zdarzyło się potem tak wiele, iż moc nazwisk i twarzy, nawet bliskich, uległa zatarciu, poprzestanę tedy na przedstawieniu najznamienitszych.

Wśród medyków wybijał się Ambroise de Lys — szczupły, choć nieźle umięśniony brunet o precyzyjnych dłoniach zawołanego chirurga; wśród inżynierów rej wodził Anglik Samuel Fawley, rudy jak wiewiórka chudzielec, jeometra świetny i eksperymentator dzieło mistrza Bacona kontynuujący. Z liczного grona alchemików wymienił bym nade wszystko jednookiego Palestriniego z Padwy, któremu kwas podczas eksperymentów lewe oko wypalił i ucznia samego Keplera, Hansa Grudgensa z miasta Breslau rodem, któren wedle złośliwych opinii zaprzedał duszę diabłu, czym zasłużył sobie na stos. I naprawdę nie wiele brakowało, by skończył jak Giordano, ale nim położono podpałkę, wykupiony został przez agentów kardynała. Równie ciekawym okazem był Stanisław Mirski, blondyn jasny o niebieskich oczach cherubina i wąsiku żytnim — Polak artylerzysta, mimo nie skończonych trzydziestu

lat słynnego wynalazcy Siemienowicza ręką prawą, a i paru wypraw generała Arciszewskiego pilny uczestnik. Uznawano go specjalistą od prochu i rakiet, nad których nową, śmiałą teorią jego mistrz właśnie pracował.

Inny pod każdym względem typ reprezentował Baruch van Haarlem, Żyd holenderski — znamienity szlifierz diamentów i producent optycznych szkieł niezrównany, który mimo zdeformowanych pleców, zawsze tryskał humorem i to w dodatku na własny temat.

— Garbus, pański przyjaciel, *maestro* — powiedział mi przy powitaniu.

Lista ta byłaby niepełna, gdybym nie wymienił Turka nazwiskiem Idris Mardinu, genialnego specjalisty od mechanizmów wszelkich, zegarków i ruchomych zabawek, którego wyciągnięto z lochów weneckiego więzienia pod Ołowianymi Dachami, gdzie pokutował po tym, jak próbował oszwabić Serenissimę patentem mechanicznego wojownika. Nadto było tu jeszcze ćwierć setki architektów, matematyków, różnej specjalności rzemieślników — zaiste Arka Noego, ekstrakt siedemnastowiecznej eksperyencji. Od niedawna zaczęto też ściągać grupy rzemieślników, z różnych stron dyskretnie werbowanych wedle zasady, iż każdy ma pochodzić z innej miejscowości — Francuzów, Niemców, Hiszpanów i Włochów.

Sprawami ekonomicznymi zarządzał drobny florentyńczyk, przypominający pingwina krótkowidza — Amilcare Fallaci, noszący dumny tytuł ekstraintendenta i trzymający się raczej w cieniu swego *officium*.

— Pokierujesz tymi ludźmi, il Cane — powiedział Richelieu, gdyśmy ostali sami, w izbie do mej dyspozycji wyznaczonej. — Ja? — Z wrażenia zaschło mi w gardle. — Dlaczego ja, Eminencjo?

— Albowiem są to ludzie arcyzdolni, *ergo* chimeryczni i nader trudni w kierowaniu, ty zaś posiadasz wobec nich rzecz bezcenną: niekwestionowany autorytet, sławę człeka, który samojeden pokonał śmierć i żyw powrócił z zaświatów.

— Aliści nie dysponuję żadną wodą życia ni kamieniem filozoficznym — tłumaczyłem. — Moje ocalenie zaś jest kwestią szczęśliwego przypadku.

— Wiem od Giulia, jakżeś się salwował ze Studni Potępionych, ale niech ci ludzie wierzą w twą moc. Wiara cuda czyni, a tylko cud może nas uratować.

Szukałem słów zdatnych go przekonać, iż żąda ode mnie rzeczy nierealnych.

Nie było to łatwe, nie mogłem wszak wyznać prawdy, nie mogłem powiedzieć, że skoro ludzkość potrzebowała ponad trzystu lat, by osiągnąć stan wyższej technologii, być może dopiero zbliżający ją do poziomu Obcych, to garstka najzdolniejszych nawet młodziaków z głębokiego baroku nie ma szans dokonać tego w dziesięć czy nawet dwadzieścia lat. W dodatku pod kierunkiem kompletnego dyletanta.

— Eminencjo — rzekłem. — Nie mogę się tego podjąć, ale proszę nie traktować tego jako unik. Przyjmę każde zadanie, nie to wszakże, które mnie wielokroć przerasta.

Wydawał się poirytowany. Szczupła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej, a oczy miały pioruny.

— Drogi il Cane! To ja decyduję, co kogo przerasta. Opowiadali ci zapewne o czarowniku, któremu życie gotów byłem darować, pod warunkiem, iż opracuje dla mnie recepturę transmutacji. Nie zrobił tego, ale przy okazji, nim go spaliliśmy, paru pożytecznych wynalazków dokonał. Nie przyjmuję twych zastrzeżeń! Znam się na ludziach, mości kawalerze, i wiem, że stać ich na niewiarygodne dzieła, jeśli uwierzą, że muszą ich dokonać i że są one możliwe. Do naszych czasów nie marzono o lataniu inaczej niż ptacy, bo wydawało się to nierealne. Srebrzyści jednak latają, choć, jak sam potwierdzasz, nie są z nich anieli. *Ergo* wszyscy twoi współpracownicy myślą teraz nie czy to możliwe, ale jak tego dokonać. Spróbuj rozdmuchać zapał w tych młodzikach, poprowadź ich. Niech umieram ze świadomością, iż uczyniłem wszystko, co tylko jest możliwe.

— Proszę o wybaczenie, Eminencjo, ale ja... ja... — chciałem rzec: „Nie potrafię”, ale słowa uwięzły mi w gardle.

— Ostawiam cię samego na godzinę — powiedział Richelieu tonem, w którym brzmiała groźba. Gdyby rzekł: „Bo inaczej wyślę cię z powrotem do Rosettiny”, wcale bym się nie zdziwił. — Ufam, że przyjmiesz to zadanie!

To powiedziawszy wyszedł, pozostawiając mnie rozdartego między obawą przed gniewem kardynała, a odpowiedzialnością.

Boże, Boże, czemuś mnie opuścił — pomyślałem z rozpaczą, klnąc w duchu swoją wrodzoną niechęć do nauk ścisłych. Po prawdzie w szkole do żadnych nauk się nie przykładałem, ale matematyki, fizyki i chemii nie cierpiałem w szczególności. Toteż mój zasób wiedzy w tych dziedzinach nie różnił się wiele od zawartości łąba przeciętnego licealisty, w dodatku dość często wagarującego. Gdybym jeszcze; był człowiekiem praktycznym, majsterklepką, złotą rączką... Niestety przez całe życie nie przykręciłem śruby, a maskę samochodu otwierałem co najwyżej, żeby dolać płynu do spryskiwacza szyb.

O, Najwyższy, zamieniłbym teraz całą tutejszą bibliotekę na mój szkolny podręcznik fizyki i chemii, na encyklopedię techniki lub krótką historię wynalazków.

Pozostawała ucieczka. Wyrząłem przez okno na zewnątrz i zobaczyłem tłum młodych naukowców, którzy nie opuścili ani na chwilę majdanu. Dostrzegli mnie, zaszumieli i już setka oczu wlepiła się we mnie jak w maga, cudotwórcę, lichu wie kogo jeszcze.

Cofnąłem się ku przeciwległej ścianie i wyjrzałem na tyły baraku: siedzieli tam zbrojni pacholki. Próbowałem zapanować nad ogarniającą mnie paniką. Jakże pragnąłem się obudzić. Lub zniknąć. Osunąłem się na łóżko, kryjąc twarz w dłoniach.

— Co się dzieje, mistrzu? — usłyszałem naraz nad sobą życzliwy głos. — Anzelmo, ty tutaj, skąd...?

— Przekonałem pana Mazzariniego, że jestem panu niezbędny jako sekretarz i niezawodny pomocnik. *Consigliore*. Podobno stoi przed nami masa roboty.

— Nie podejmę się tego, Anzelmo — przerwał mi. — Nie mogę. Nie mam kwalifikacji do przeprowadzenia rewolucji naukowo-technicznej. Gdybyś wiedział, jakim zadaniami chcę mnie obciążyć...

Popatrzył na mnie z ukosa.

— Domyślam się. Przejrzałem dokumenty — wyznał z rozbrajającą szczerością. — Paskudne siły grożą chrześcijaństwu. Ale kto może temu podolać, jak nie pan, kto jak nie mistrz Alfredo Derossi il Cane?

— Dość, Anzelmo! — wykrzyknąłem, dłużej nie panując nad sobą. — Dowiedz się tedy, iż nie jestem mistrzem Derossim, nie jestem tym, za kogo mnie uważasz!

— Wiem i to — odparł bez emocji, a oczka połyskujące wśród fałdek tłuszczu zmniejszyły się do rozmiarów ziarenek grochu.

— Wiesz? Od kiedy?

— Od dość dawna. Za długo służyłem panu, il Cane, by nie poznać różnic. Wiedziałem zresztą, że prędzej czy później pan się do tego przyzna.

— A więc przyznałem się. I co? Gardzisz mną, zadenuncjujesz?

— Przebóg, nigdy! Będę nadal pańskim wiernym sługą.

— Niezależnie od tego, kim jestem?

— Pan ocalił mi życie, ryzykując swoim. To mi wystarczy. Chociaż chętnie dowiedziałbym się, z kim właściwie mam zaszczyt?

— Jestem... Jestem... — Chwilę szukałem stosownego określenia. — Własnym prapraprawnikiem.

Rumianą twarz przebiegł nerwowy skurcz, a oczy zrobiły się jakby większe.

— Jakże to, zali żył pan w innych czasach... Kiedy? Żałowałem mej szczerości, ale skoro powiedziało się „a”...

— W końcu XX wieku i na początku XXI stulecia. Ale to wszystko jest bardzo skomplikowane.

— Zapewne, zapewne — nie wydawał się tym specjalnie zdumiony. — Zali był pan wtedy także artystą?

— W pewnym sensie. — Na moment przypomniałem swoje zniszczone imperium medialne.

— No to znaczy, iż zna pan przyszłość. Wie pan, jak to się skończy?

— Niezupełnie, Anzelmo. Oczywiście wiem, że po Ludwiku XIII przyjdzie XIV, po Richelieu Mazzarini, a po Mazzarinim Colbert. Tyle że tego, co się tutaj dzieje, nie ma w żadnym podręczniku historii.

— Nie było srebrzystych dysków i Wyrwaczy Serc? — Hultaj najwyraźniej obejrzał wszystkie rysunki i przejrzał protokoły z przesłuchań.

— Nie było, ale to nie znaczy, że nie ma alternatywnej historii. — Nie chciałem wtajemniczać go w złożone relacje między realnym przebiegiem dziejów a moją imaginacją. Miałem tego zapytać go bez ogródek: — Pomożesz mi stąd uciec?

Nie odpowiedział, tylko po dłuższej pauzie zadał nad wyraz logiczne pytanie.

— A jeśli w tej waszej epoce pojawiliby się ci... Obcy, potrafilibyście ich zwyciężyć?

— Nie wiem, Anzelmo. Na pewno próbowalibyśmy.

— Czemu więc teraz nie chcesz spróbować, mistrzu?

— Bo... bo istnieje taka ogromna dysproporcja sił.

— Zniweluj ją, panie. Powiedz tym ludziom, co mają robić.

— Jestem na to za głupi. Owszem, podejrzewam, że coś dzwoni, ale nie znam kościoła. Wiem, jakie wynalazki są konieczne, ale nie potrafię określić dróg do nich prowadzących.

— Wystarczy, że rzucisz pomysł, mistrzu, ci zmyślni ludzie dokonają reszty.

— Jestem niedoukiem...

— Niedouk z czasów świątłych wart więcej od mędrca z wieków ciemnych. Chodźmy oznajmić ludziom, że pan ich poprowadzi...

— Nie, zaczekaj...

Ale już mnie nie słuchał, ku memu przerażeniu wyszedł przed budynek. Ze zgromadzonego tłumu nikt nie opuścił swego stanowiska. Anzelmo chrząknął. I zaczął przemawiać ze swadą, jakby co najmniej od paru lat był spikerem w San Stefano Gurbiani Corporation.

— Przyjaciele — powiedział tubalnie. — Istnieje stare powiedzenie chińskie, które lubi powtarzać mój pan: „Aby pokonać tysiąc mil, trzeba najpierw posunąć się o jedną stopę” — Gdzie to podsłuchał, cwaniaczek? — Decydując się wstąpić z wami na tę drogę, pan Derossi jest przekonany, że musi się nam udać, albowiem Jego Eminencja zaprosił tu najlepszych z

najlepszych, a on wraz ze mną, Anzelmem z Rosettiny, jego wiernym uczniem i *consigliere*, wskaże kierunek, którym należy podążać. Będzie drogowskazem dla przedsięwzięcia, które nie miało precedensu w dotychczasowej historii nauki. Ale jak powiadali starożytni: *Per aspera ad astra*.

Odpowiedzią była radosna wrzawa i uśmiech Richelieugo, który wyjrzał z pobliskiej kapliczki, gdzie spokojnie oczekiwał, aż skruszeje.

*

I tak, chcąc nie chcąc, przyszło mi się wcielić w rolę nowego Imhotepa i Prometeusza, Dedala i Herona Aleksandryjczyka równocześnie. Anzelmo ze swoim zdrowym rozsądkiem i ludowym brakiem zahamowań zmusił mnie, abym rzucił się jak skoczek z trampoliny, bez sprawdzenia, czy jest w basenie woda.

Mój uczeń wyznawał parę zasad, do których koniecznie pragnął mnie przekonać.

Pierwsza brzmiała: Próbować trzeba zawsze. Najwyżej się nie uda.

Druga: Nie należy zmuszać łysych do dzielenia włosa na czworo, *ergo* nie komplikujmy rzeczy prostych.

Trzecia: Wszelkie sukcesy idą na nasze konto, porażki obciążają tych, którzy źle nas zrozumieli.

Zazdrościłem mu tak prostych recept. Co więcej, postanowiłem się do nich zastosować.

Richelieu, który wraz z Mazzarinim gotował się do opuszczenia Cluny, mógł teraz odjeżdżać ze spokojniejszym sercem. Na odjeźdźnym obiecał wszelką niezbędną pomoc i prosił o niezwłoczne informowanie go o postępach naszych prac — łącznikiem miał być ów młody wielkonosy Savinien, raporty zaś winny być przekazywane wyłącznie ustnie. Kardynał, przykładając szczególną wagę do konspiracji, nie chciał, aby ktokolwiek przedwcześnie dowiedział się o prawdziwym charakterze ośrodka w Mont Romain i żądał, by eksperyment „Taizé” utrzymywać póki co w największej tajemnicy — kwarantannę przed rzekomą dżumą postanowił jeszcze zaostrzyć, zaś dostawy potrzebnych surowców miały dokonywać się przez sekretny port na Saonie. Wybiegająca z niej odnoga, doskonale maskowana przez skały i zarośla, dochodziła aż do grot łączących ją ze szczytem naszego wzgórza. Richelieu obiecał również nie skąpić środków na program — gotów był poświęcić na nasze przedsięwzięcie cały swój olbrzymi majątek, a mawiano, że bogatszy jest niż król Francji i papież razem wzięci. Co się tyczy przyszłości, jego wizja była dość jasna.

— Gdy czas nadejdzie, sam powiadomię monarchów ościennych krain — powiedział mi Wielki Kardynał, gdym go o wschodzie słońca żegnał u głównej bramy Cluny. — Przedwczesne ujawnienie tajemnicy mogłoby wywołać jedynie powszechne zamieszanie. A nie można wykluczyć, że srebrzyści Wyrzywacze Serc mają już swych szpiegów w Europie. — I dodał: — Bądź dobrej myśli, il Cane, Bóg jest z nami.

— Bo jeśli jest przeciw nam, to przepadliśmy — cicho skomentował towarzyszący Jego Eminencji Mazzarini.

Kardynał dosiadł konia, twarz jego na moment przebiegł grymas cierpienia, zapewne od jakiejś wewnętrznej boleści, ale siedząc już w siodle, odwrócił się, rzadko spotykany uśmiech rozświetlił jego lisią twarz, a on jedną ręką trzymając uzdę, drugą nakreślił znak krzyża, obejmujący mnie w centrum, a opactwo i zielone wzgórza Saint Romain niczym ramiona Bożego Drzewca. *Pax vobis cum.*

I nagle uderzyła mnie myśl oczywista, acz niezwykła, że ów mistrz realpolityki, arcypragmatyk i *homo politicus* w każdym calu, naprawdę wierzy w Boga.

7. KRÓTKI KURS POSTĘPU TECHNICZNEGO

Od czego miałem zacząć? Czy od poznawania tego, co wiedzieli moi współpracownicy, *ergo* od krótkiego kursu powszechnej niewiedzy — wszak chemia w onych czasach nie oddzieliła się na dobre od alchemicznej magii, jeśli zaś idzie o fizykę, nie narodził się jeszcze Newton, a Blaise Pascal był dopiero młodzieniaszkiem. Albo może należało próbować im opowiadać historię od końca — przedstawiać świat wieku atomu i proponować, żeby sami szukali, jak do tego dojść? Nie byłem geniuszem, prawda, ale wiedziałem dużo więcej o ludzkich możliwościach niż cały trust owych młodych umysłów. Nadto trudno było się nie zgodzić z argumentacją Anzelma:

— Wasza miłość jest przesadnie skromny. Toż dziś, po stu latach więcej o świecie niż wielki Leonardo wie byłe uczeń jezuickiego kolegium.

— Czy jednak nie byłoby uczciwym postępkim zdradzić im prawdę o mnie i o moich umiejętnościach?

— Po mojemu pośpiech jest dobry przy łapaniu pcheł — zachnął się *consigliore*. — Dam waszej miłości szczerą radę. Proszę nie mówić im za wiele, nie zdradzać, iż jesteś kim innym, niż sądzą. Prowadź ich krok po kroku, nade wszystko nie zniechęcaj ogromem czekających zadań.

I znów musiałem przyznać rację praktycznemu grubasowi.

Jak jednak miałem nakreślić im perspektywy działań? Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę wyjść przed nich i tak po prostu narysować na tablicy wzór H_2O czy $E = mc^2$. Jeśli wyznanie prawdy, kim jestem, prowadziło na manowce i było niebezpieczne — ciekawe, jak zareagowałyby to wspaniałe gremium na twierdzenie, że jest jedynie elementem fikcji literackiej.

Z kolei podróż w czasie... Jeśli oznajmiłbym, iż znam dokładnie przyszłość, zasypano by mnie mnóstwem pytań, na które odpowiedzi nie znałem. Jeśli taka wersja była niemożliwa, skąd Derossi mógł mieć wiedzę przekraczającą horyzonty epoki? Z objawienia? Umyśliłem więc sobie pewną legendę.

Jeszcze tego popołudnia, w głównej izbie centralnego baraku, pachnącej świeżym żywicznym drewnem, zgromadziłem pięćdziesięciu mych współpracowników i wspinając się na beletrystyczne szczyty, zaimprovizowałem historię tak niezwykłą, że nieomal sam w nią byłem skłonny uwierzyć.

— Zdarzyło się kilka lat temu — mówiłem — iż podróżując po krajach Bliskiego Orientu, po odwiedzeniu już klasztoru świętej Katarzyny i wierzchołka góry Synaj, dostałem się w same jądro burzy piaskowej, w której kompletnie straciłem rozeznanie kierunków. Trudno wyobrazić sobie coś gorszego niż owo gorące i suche piekło.

Podmuchy *sirocca* nie słabły, a burnusy i chusty, któreśmy nosili obaj z wielbłądnikiem Selimem, nie mogły zatrzymać wszechobecnego tumanów pyłu, wdzierającego się do oczu i uszu, zgrzytającego w zębach. Na dodatek kończyła się nam woda, a igła kompasu tańczyła jak dziecinna fryga wskutek niepojętych magnetycznych anomalii. Byłem przekonany, że wypadnie pomrzeć nam w tej bezkresnej pustynie, a nasze kości bieleć będą długo ku przestrodze innych, gdy Selim naraz wołać zaczął: „Tędy, tędy!” Oto otwarła się przed nami brama parowu osobliwie wąskiego, krętego, wysokością ścian, nieledwie schodzących się nad nami, wieżom katedry w Rheims dorównującego. Kurzawa była tu znacznie mniejsza; posuwając się w głąb jaru natknęliśmy się na źródło, krzaki, daktylowiec, aż wreszcie w kotlinie niewielkiej wykuty w skale klasztor tak stary, że niechybnie czasy świętej Heleny, matki cesarza Konstantyna, pamiętający. Zrazu wydało mi się, że chyłca się ku ruinie budowla jest nie zamieszkana, do wnętrza wejścia żadnego nie znalazłem, diuny wiatrem usypane sięgały wysokości pierwszego piętra, a w ciągnących się dalej zabudowaniach gospodarczych wilcy i kruki urządziły swe siedlisko. Selim, zabobonny jak każdy Arab, wołał, że to miejsce musi być przeklęte i nalegał, byśmy oddalili się stąd jak najrychlej. Obiecałem mu uczynić to niezwłocznie, gdy tylko burza ścichnie. Na razie rozpaliliśmy ognisko i na zmianę czuwaliśmy aż do świtu. O poranku wicher istotnie ucichł, lecz gdy zamierzał dać znak do wymarszu, z katakumb, do których wnijscie jakoś przeoczyłem, wychynął mnich bezzębny, poźółkły jak gromnica, o włosach bielszych od śniegu i w gościnę nas zaprosił. Liczył sobie, wedle słów własnych, sto jedenaście wiosen i wyglądał co najmniej na tyle. Od trzydziestu lat, kiedy nomadzi wymordowali mieszkańców chrześcijańskiej osady niedaleko klasztoru, zapewniającej komunikację ze światem, nie widział człowieka z zewnątrz i był więcej niż przekonany, że w patriarchacie jerozolimskim zapomniano o istnieniu ich konwentu. W ciągu tych lat odosobnienia pomarli ostatni bracia, sam zaś był zbyt słaby na wędrowkę ku krainom zamieszkanym, nadto skarbu pilnować musiał...

— Skarbu? — ożywił się Anzelmo, siedzący obok mnie. Po twarzach innych miarkowałem, że wciągnęła ich bliskowschodnia opowieść. Co jak co, ale gadać to Aldo Gurbiani potrafił, a pomysłów, dzięki znajomościom przygód Jamesa Bonda i Indiany Jonesa, bynajmniej mu nie brakowało.

— Przechowywano tam księgi bezcenne — wyjaśniłem. — Stare kodeksy, pergaminowe zwoje, egipskie papirusy, tabliczki klinowe, garnce wypełnione skórzanymi manuskryptami z czasów Jezusa Chrysta i Jana Chrzciciela. Ojciec Basilio, bo takie imię nosił starzec, poprowadził mnie sekretnym wejściem do środka klasztoru, w większości piachem zasypanego, prócz jednej kaplicy, bizantyjskich ikon pełnej (niektóre z nich, w tym przepiękną Czarną Madonnię na cedrowej desce malować miał z natury sam święty Łukasz z Antiochii) oraz wspomnianej już biblioteki, mogącej równać się jedynie z aleksandryjską, nim spalili ją fanatycy Omara. Ileż było tam pism, o których istnieniu pamięć ludzka się zatarała... Zaginione dzieła Arystoteła i komedye Menandra, i raporty Piłata do cesarza Tyberiusza w sprawie buntownika Jezusa nazywanego Kristosem, a nawet rachunki jego uczniów za Ostatnią Wieczerzę...

— Zali tak zwany Jezus istniał naprawdę? — wyrwał się z powątpiewaniem w głosie Baruch van Haarlem.

— Nie potrafię powiedzieć, czy dokumenty Piłata nie były apokryfami, aleć mnogość szczegółów i osobliwy styl *procurator* Judei, przypominający nieco pisma Seneki, wyglądały nad wyraz autentycznie, nadto głęboka niechęć, pogarda dla idei Jezusa pomieszana ze wściekłością na zdarzenia wynikłe po ukrzyżowaniu, a więc pusty grób, powrót skazańca i wreszcie jego zniknięcie w przytomności wielu świadków, wszystko to razem dowodziło, iż raportów nie pisał chrześcijański hagiograf czy dużo późniejszy fałszyfikator, ale rzymski urzędnik, pogański intelektualista, naoczny świadek zjawisk, których ni pojąć, ni wytłumaczyć nie był zdolny.

— Co było tam jeszcze? — kilka głosów przerwało mi dygresję.

— Wiele by mówić. Zamierzałem przeczytać jak najwięcej, odpisy porobić, gdy naraz natrafił na osobliwość szczególną. Odpis uczyniony przez Aleksandryjczyka Anonima z jakiejś wcześniejszej egipskiej księgi dotyczącej Atlantydy. Słyszeliście panowie o Atlantydzie?

— Któż nie czytał *Kritiasza* Platona! — wyrwał się jednooki Palestrini.

— Gdy włączyłem się w ów papirus, pochłonał mnie on bez reszty. Jak wiecie, panowie, Platon w swym dialogu opowiadał jedynie o ustroju wyspiarskiego państwa, które ulec miało zagładzie pochłonięte falami oceanu; pismo, którym ja odczytywałem, mówiło o technice owej cywilizacji: o powozach bez koni, statkach podniebnych, obrazach przenoszonych na odległość czy maszynach w liczeniu zastępujących człowieka, a nawet o lotach na Księżyc. Przy czym miało to dziać się dużo, dużo dawniej, zanim powstały pierwsze piramidy, a Abraham osiadł w Kanaanie.

— Jeśli to prawda, jakże taka cywilizacja upaść mogła, nie ostawiając śladów? Nawet jeśli Atlantyde pochłonęły fale Oceanu, winny ostać jakieś kolonie — zauważył Polak Mirski.

— A jeśli zagładę sprawił nie bezrozumny żywioł, ale wojna? — odparłem. — Wojna bezwzględna, z zastosowaniem broni straszliwych, bomb niweczających całe miasta i pozostawiających po sobie promieniowanie, które przyszło śmierć większości istot żywych na całej planecie? Ci zaś, którzy przeżyli, przypominali zdegenerowane monstra, małpoludy o pochylonych figurach i wypukłych łukach brwiowych, *ergo* trzeba było tysiąceci, iżby znów odrodziła się cywilizacja.

Opowieść nadzwyczajnie ożywiła audytorium. Młodzi naukowcy poczęli zasypywać mnie gradem pytań.

— Zachowały się może opisy, jak budować takie statki lub maszyny liczące?

— Nie natrafiłem na nie. Były za to w rękopisie partie obszernie opowiadające o początkach technicznego rozwoju, o pierwszych wynalazkach, które pociągnęły za sobą następne.

Oczy wszystkich rozblęły jak świece podczas premiery w mediolańskiej La Scali (porównanie może nie najszcześliwsze, La Scalę dopiero półtora wieku później otworzy sztuka Saliergo, o którym dziś jedynie pamięta się jako o przeciwniku Mozarta). Ale zachwyty był ponadczasowy.

— Skopiowałś ten rękopis, mistrzu?

Kusiło mnie, by odpowiedzieć: „Niestety nie miałem ksero”, poprzestałem wszakże na innym wybiegu:

— *Helas messieurs!* Kiedym bez reszty pochłonięty był lekturą, dzieła się poczęły rzeczy niepokojące, których nie postrzegalem, póki wierny Selim nie uświadomił mi, co mi grozi.

— A co wam groziło?

— Wieczna niewola! Siwowłosy starzec umyślił sobie uczynić mnie swym następcą, strażnikiem świątynnych skarbów, dziedzicem sanktuarium. Zaproponował Selimowi garść złota za oddalenie się z wielbłędami i pozostawienie mnie w klasztorze.

— Jakby was zmusił do pozostania?

— Z pomocą Selima ojciec Basilio miał przetrącić mi nogi, bym jako kalekaostał na zawsze wśród ikon oraz ksiąg.

— Zaiste wyjątkowej uczciwości był to Arab — zauważył Baruch van Haarlem — skoro lojalność wobec swego pana ponad złoto przedłożył.

— Jego moralność była nieco bardziej elastyczna — uśmiechnąłem się. — Selim uważał, że zamiast garści złota możemy wszystkimi skarbami zawładnąć, wysyłając Basilia na łono Abrahama.

— Przebóg, i uczynił pan to? — zawołał Ambroise de Lys.

— Uczyniłem co innego, w pysk Selimowi wygarnąłem i grożąc mu garłaczem, nakazałem uchodzić wraz ze mną z monasteru.

— A rękopis Aleksandryjczyka?

— Skłamałbym, mówiąc, iż nie przywłaszczyłem go sobie. Niestety Bóg pokarał mnie za ów czyn, wprawdzie w szlachetnym celu dokonany (chciałem bowiem ową spuściznę ludziom udostępnić), zawsze jednak grzeszny. Dwa dni drogi za wąwozem zbójcy beduińscy nas napadli. Selim poległ, mnie zaś w więzach (łotrzykowie pomiarkowali, iż stanowią większą wartość żywy niż umarły) powieziono aż ku Ghazie, skąd dopiero trzy miesiące później, po zebraniu przez wiernego Anzelma okupu, udałem się do Jaffy, z której szczęśliwie poprzez Cypr i Raguzę do Rosettiny udało mi się powrócić. Niestety wśród tych terminów księga atlantydzka przepadła i jedyne, co z niej pozostało, to ułomne strzępki w mej pamięci.

— Tak było — potwierdził ochoczo Anzelmo. — Wykup wyniósł tysiąc dukatów weneckich, ale Bóg mi świadkiem, iżbym był gotów pościć i sto lat, a nawet ostatnią koszulę pohańcowi przędąc, byleby mego ukochanego mistrza uratować.

*

Od tego popołudnia w Mont Romain dzieć się zaczęły rzeczy jeszcze bardziej niezwykle niż me wymyślone przygody...

Obawy, którem wyjawiał podczas rozmowy z Anzelmem, i przekonanie, iż przedsięwzięcie z góry skazane jest na niepowodzenie, zniknęły jak rosa w porannym słońcu.

To prawda, moja wiedza, mająca posłużyć za ziarno siewne, była niewielka: wiadomości gimnazjalne, nieco anegdot (nadawaliśmy w kanałach tematycznych SGC cykle filmów animowanych o rozwoju techniki), zapamiętane z dzieciństwa fragmenty lektur Juliusza Verne'a, parę modeli składanych w wieku chłopięcym... Wszelako rachityczne te ziarenka padały na grunt niesłychanie podatny i płodny. Młodzi ludzie z Mont Romain, niewątpliwie najlepsi z najlepszych, stanowili wspaniałą grupę zapaleńców — wychowani bez telewizji, gier komputerowych i wczesnej inicjacji seksualnej posiadali bez wyjątku znakomitą pamięć oraz rozległe zainteresowania. W ich epoce nikt jeszcze nie zawęzał się do jednej dziedziny,

która sprawia, że dziś superekspert w wąskiej specjalizacji jest ogólnointelektualnym głąbem. Dodajmy do tego ich nieprawdopodobną cierpliwość, sprawność manualną, nade wszystko zaś gotowość do współdziałania.

Ode mnie wymagali jedynie impulsu, kierunku, reszty byli w stanie dokonać sami.

Toteż ledwie skończył atlantydzką bajeczkę, podniósł się Stanisław Mirski, pytając, od czego winniśmy zacząć, gdzie szukać wyjścia z dotychczasowego kręgu prostej mechaniki?

— Po pierwsze para! — powiedziałem. — Para wodna, mości panowie, oto nasz początkowy sojusznik, który poruszy zamachowe koło postępu technicznego. Da siłę machinom i pozwoli na skonstruowanie pierwszych pojazdów zdolnych poruszać się bez wykorzystania siły mięśni, wody lub wiatru.

Grupa mężów słuchała mnie pilnie, choć zaraz podniosły się pewne wątpliwości. Niektórzy znali, i owszem, doświadczenia Rivaulta, preceptora miłościwie panującego Ludwika XIII z kulą wydrążoną, którą rozsadzała woda zamieniana w parę, zachowały się też wiadomości o starożytnych doświadczeniach Herona z Aleksandrii. Gotowi byli nawet sporządzić prototyp maszyny parowej, którą im narysowałem — dzięki Bogu jako dziecko składałem osobiście model lokomotywy i z grubsza wiedziałem, jak działa kocioł, tłok, koło zamachowe, wreszcie zawory zapobiegające ulatnianiu się pary. (Szczególnie rwał się do dzieła Turek Idrys, który wręcz nie mógł się doczekać, kiedy pobiegnie do warsztatu, zaś Baruch van Haarlem gotów był zaraz sporządzić cylindry i tłoki tak wyszlifowane, by minimalnie ograniczyć luzy i tarcie.)

— Tylko z czego miałbym tę maszynę sporządzić, z miękkiego ołowiu, z topliwego brązu? — pytał Niderlandczyk. — Na model może to i wystarczyłoby, ale nie wyobrażam sobie skonstruowania z dostępnych materiałów trwałych urządzeń, o których mistrz mówi.

— Atlanci do swych machin używali żeliwa i stali.

— Tak, szlachetna stal byłaby świetna — podchwycił Mirski — wszelako nikt nie zna dokładnej receptury stali damasceńskiej, z której Arabowie szable słynne tworzą, nadto wszelkie metody jej produkcji wymagają setek kowali i długotrwałego kowania.

— Można poszukać innych metod.

Uprzedzając wydarzenia i nie wnikając w zagadnienia fryszerki lub konwertorów, które dopiero należało wynaleźć, nazwać i wykorzystać, powiem, że rychło po tej pierwszej rozmowie doszło w Taizé, zaraz nad strumieniem, do budowy wielkiego pieca i do pierwszych wytopów; wnet urządzono opodal walcownię, napędzaną początkowo kołem wodnym wedle rysunków Leonarda da Vinci, które z pamięci odtworzył Palestrini. Udało mi się przekonać kardynalskiego ekstraintendenta, by miast węgla drzewnego wykorzystywać

kamienny i rychło, z błogosławieństwem Amilcarego Fallaciego, pierwsze barki z północy przybijać poczęły do tajnego portu na Saonie. Co prawda, węgiel kamienny nie nadaje się do palenia w wielkim piecu, choćby ze względu na nadmiar substancji smolistych koncentrujących się w górnej części pieca, wszelako Anglik Sam Fawley szczęśliwie znalazł eksperymenty swego rodaka Dudleya, który już przed dwudziestu laty prażąc węgiel, wyprodukował pierwszy koks. Oczywiście zmusiło to nas do pobudowania w odległości pół mili na północ osady fabrycznej, gdzieśmy osadzili, rzecz jasna pod strażą, parę setek kolejnych robotników rekrutowanych spośród więźniów i galerników, którym za wierną pracę obiecano wolność i dostatek. Miano ich traktować troskliwie i po ludzku. Jednak zgodnie z zarządzeniem kardynała wszelka próba dezercji miała być karana śmiercią.

Równolegle z „ekipą parową” drugi zespół naukowców, z Paestrinim i Grudgensem na czele, zajął się dziedziną o równie wielkiej doniosłości — elektrycznością. Wbrew obawom pomysł ujarznienia piorunów nie przeraził, a wręcz zafascynował młodych alchemików.

Kiedym wyjaśnił im powszechność zjawisk elektrycznych, łącząc w jedną teorię antyczne doświadczenia z pocieraniem bursztynu, przez powszechnie znane wykorzystywanie magnesów, po zjawiska elektryczne w mięśniach zwierzęcych, doświadczenia skierowały się we właściwym kierunku. Metodą prób i błędów doprowadziłem do skonstruowania prostych narzędzi elektrostatycznych, których owocem był pierwszy kondensator (dziełem swym Paestrini o sto lat wyprzedził odkrycie lejdejskiej butelki). Kolejnym etapem stało się wynalezienie ogniwa Grudgensa. Wprawdzie nader mętnie opowiadałem im o tym, co pamiętałem z doświadczeń Volty i Galvaniego, aliści moi alchemicy łapali wszystko w lot i wnet takie terminy jak elektroda, stos lub ogniwo przestały stanowić dla nich zagadkę. Ja nadal nie wiem, jak to działa. Jednak gdy uzyskano gdzieś po miesiącu prób prąd stały, przypomniałem sobie doświadczenia Oersteda i powtórzyłem jego eksperyment z igłą busoli, odchylającą się w polu elektrycznym. Tak otwarta została droga ku prądowi zmiennemu, prowadząca łagodnymi meandrami do budowy pierwszej prądnicy i do stworzenia łuku elektrycznego.

Niejako w międzyczasie dokonano mnóstwa innych pożytecznych wynalazków, jak zapalki czy mikroskop. W końcu trzeciego miesiąca naszych prac w hucie szkła, którą wzniesiono dość szybko w dole strumienia, nakazałem rozpocząć produkcję przezroczystych baniek szklanych, w których po wypompowaniu powietrza mieliśmy zamiar umieścić drut platynowy...

Oczywiście, aby dokonywać postępu, również inne zespoły robocze dawały z siebie wszystko, rozszerzając wiedzę na temat kwasów, syntetyzując pierwszy związek organiczny

(pamiętałem, iż był to mocznik), dokonując elektrolizy wody, czego wynikiem było uzyskanie tlenu i wodoru. Z kolei elektroliza sody żrącej doprowadziła do odkrycia pierwiastków dotąd jedynie w związkach znanych, mianowicie sodu i potasu.

Rzecz jasna, nie obyło się bez pomyłek, niepowodzeń, a czasem tragedii. W eksplozji kotła zginęło trzech robotników, a podczas pracy nad nowym typem moździerza doszło do gwałtownej detonacji, w której dzielny Mirski postradał lewą dłoń. Nieszczęście to wcale jednak nie pohamowało jego odkrywczego zapału. Już podczas mego inauguracyjnego wykładu o maszynie parowej zafascynowała go możliwość praktycznego wykorzystania siły odrzutu i od tego dnia począł marzyć o broniach samopowtarzalnych — jego eksperymenty nabrały tempa wraz z odkryciem spłonki. Z mieszanymi uczuciami narysowałem mu schemat rewolweru bębnowego. Najchętniej dokonałbym owego cywilizacyjnego przyspieszenia bez udoskonalenia technik zabijania. Niestety nie mogłem mieć złudzeń — czekała nas bezwzględna wojna.

W kolejnych ustnych, bardzo ogólnych raportach, z którymi raz w tygodniu młody Savinien pędził do Paryża do kardynała, mogłem pozwalać sobie na rosnący optymizm. Do relacji dołączałem kolejne finansowe preliminaria, przyprawiające Jego Eminencję o ból głowy. Nie muszę taić, że koczyło mnie, aby jak najszybciej rozlać nasz techniczny postęp na całą Europę, co diametralnie zmieniłoby historię postępu, skracając ją co najmniej o dwa wieki, obawiałem się jednak, że w tej fazie skończyłoby się to natychmiastowym wyścigiem zbrojeń. Dopiero wiosną lub latem następnego roku Richelieu planował ściągnięcie monarchów do Cluny, na Wielki Kongres i tam po zademonstrowaniu naszych możliwości, zamierzał zaproponować stworzenie Obronnej Unii Europejskiej (oczywiście z Francją na czele).

Prace i eksperymenty trwały. Wiosną miałem zamiar obsadzić pierwsze poletki ziemniakami, których bulwy dostarczono mi z królewskiej oranżerii, oraz burakami cukrowymi, co w istotny sposób mogłoby zrewolucjonizować wyżywienie Europy, oddalając na zawsze kościste widmo głodu.

Tymczasem któregoś z wrześniowych dni ponad Mont Romain wzbił się nasz pierwszy balon, uszyty z płótna podklejonego papierem i napełniony gorącym powietrzem. Zamiast jednak, wzorem braci Montgołfier, wysłać w próbny lot kaczkę, koguta i barana, postanowiłem wybrać się osobiście, zabierając ze sobą chętnego do wszelkich eksperymentów Fawleya i Anzelma w charakterze (jak żartowałem) balastu. Start balonu wywołał w Mont Romain nie lada sensację — najbardziej zapracowani naukowcy wybiegli z laboratoriów, robotnicy porzucili prace, a nawet pilnującym nas muszkietierom opadły szczęki

i karabiny. Na mnie, od dzieciństwa przyzwyczajonego do samolotów i zewnętrznych wind, uciekająca spod stóp ziemia nie zrobiła większego wrażenia, co innego na moich kompanach: Fawley dostał torsji, a blady jak trup Anzelmo, klęcząc w koszu, klepał wszelkie znane mu litanie. Oczywiście zaplanowałem lot na uwięzi, czy jednak powietrze było nazbyt gorące, czy lina za słaba, dość że przy mocniejszym naprężeniu trzasnęła jak nitka, a my wystrzeliliśmy w błękit.

— Jezus, Maryja, zginęliśmy! — zapiszczał Anzelmo. — Nigdy już nie stanę na Matce Ziemi!

Uspokoilem go, tłumacząc, iż kiedy tylko powietrze w czaszy ostygnie, opuścimy się na dół, i zachęcałem, by na razie spokojnie podziwiał widoki, dotąd dostępne jedynie ptakom.

Wietrzyk, szczęśliwie nie za mocny, niósł nas ku wschodowi, z góry mogliśmy oglądać całe nasze gospodarstwo: huty, walcownie, odlewnie, zakład chemiczny, fabrykę prochów, okolone wysokimi nasypami osiedle robotników, koszary oraz rozległą panoramę wzgórz, lasów i pól od potężnych murów opactwa Cluny aż po błękitną kreskę Saony. Nie mając żadnych możliwości sterowania aerostatem, mogliśmy jedynie czekać na ochłodzenie jego zawartości, pocieszając się, że lecimy nad obszarem niezaludnionym. Rychło, tak jak obiecywałem, poczęliśmy tracić wysokość. Teraz moi współtowarzysze jęli obawiać się, iż roztrzaskamy się o ziemię. Co gorsza, wiatr się wzmagał, a mknąca bystro gondola muskać poczęła wierzchołki drzew.

Naraz tuż przed nami wyrósł dąb olbrzymi. Nawet flegmatyczny Fawley jęknął, ja nie straciłem jednak zimnej krwi i wyrzuciłem dwa worki z piaskiem. Balon niczym kozica przeskoczył drzewo i znalazł się nad wybrzeżem rzeki szeroko rozlanej. Tam opadł bardzo nisko i szczęśliwie zniosło go ku piaszczystej łasze, olszynami porośniętej, gdzie wylądowaliśmy bezpiecznie. Wyszedłem pierwszy, chcąc uwiązać gondolę, ale nim zdołałem powstrzymać mych kompanów, obaj wyskoczyli jak dwa psi z budy. Aerostat bez obciążenia natychmiast poderwał się niczym rumak pozbawiony jeźdźca i po chwili poszybował ku wschodniemu brzegowi Saony, gdzie znikł za drzewami, zabierając naszą lunetę, butelkę szampana i kubrak Anzelma, nad czym mój asystent szczególnie ubolewał.

Wysepkę znajdującą się dokładnie w środku koryta z obu stron okalał prąd silny, wirów pełen, toteż odradziłem Fawleyowi zamiar wydostania się wplaw. Byłem przekonany, że z Mont Romain śledzono naszą podniebną żeglugę i z pewnością już wysłano ekipę poszukiwawczą.

Pół godziny nie minęło, a Fawley z charakterystyczną dlań flegmą stwierdził:

— Płyną już łodzie i to wcale sporo.

— To świetnie — ucieszyłem się.

— A mnie to się nie podoba — mruknął Anzelmo. — Zważcie, iż .wszystkie płyną tu z lewego brzegu zamieszkanego przez tutejsze pospólstwo.

Miał rację. Kiedy łodzie, w sumie z pół tuzina, przybliżyły się, dostrzegłem, że wypełniają je gapie z nadbrzeżnych osad, co gorsza, wcale nie usposobieni do nas przychylnie. Nadciągając, wygrażali nam wściekle, a gdy znaleźli się dość blisko, by zrozumieć ich słowa, posłyszałem i wyzwiska, i nie zawoalowane groźby.

— Uważają nas za diabłów — jęknął Anzelmo. — Ubiją nas na amen.

— Szkoda, żeśmy bezbronni — mruknął Fawley. Mój *consigliore* dobył wprawdzie z nogawicy puginał, ale wobec pik i berdyszy, którymi dysponowała nadpływająca hołota, przypominał on bardziej wykałaczkę niż broń.

— Przemówię do nich — zaproponowałem, wychodząc naprzeciw pierwszej łodzi, która już uderzyła dziobem w trzciny. — Szanowni panowie...

Przerwał mi wrzask straszny. Koło głowy świsnął mi kamień, zaś kilku wioślarzy porwało za łuki.

— Padnijcie, mistrzu — krzyknął Fawley. — Padnijcie albo skończycie zaraz jak święty Sebastian. Uczyniłem, jak mi radzili, żałując, że swego czasu będąc Gurbianim, nie dałem się namówić mej sekretarce Lili Watson na treningi kung-fu, karate czy innych walk Wschodu. Na szczęście nadciągający hultaje nie kwapili się do walki wręcz. Najwyraźniej obawiali się złych mocy i woleli zachować dystans. Jednak gdy łodzi przybiło więcej, ksiądz siedzący w trzeciej z nich uczynił znak krzyża, a rosły rybak, który stanął na dziobie, zamachnął się piką.

Gruchnął strzał, miotacz puścił swą włócznię i zwałił się w wodę. Wrzawa umilkła.

To od prawego brzegu nadciągała nam w sukurs ekipa muszkieterów.

*

Szczęśliwie zakończony incydent skłonił nas do jeszcze większej ostrożności. Poleciałem jak najrychlej odnaleźć balon, ten jednak przepadł bez wieści. Miałem jedynie nadzieję, iż dostał się w ręce ciemnych chłopów, którzy nie byli w stanie pojąć wartości aerostatu ani też zalegających gondolę instrumentów, a poszarpane płótno wykorzystali w swych obejściach.

Tymczasem w kilka tygodni potem nowe niebezpieczeństwo zawisło nad naszym obozem. Bunty chłopskie i mieszczańskie, umiejętnie podsycane przez agentów habsburskich i zasilane przez wojskowych dezertersów, tliły się w całym kraju od paru lat. W roku 1639

ekspłodował słynny „bunt bosonogich” w Normandii, który w szczytowym momencie ogarnął także liczne nadbrzeżne miasta, kierując swe ostrze przeciw Richelieuemu i podatkom, a także armii, zagarniającej — jak głosił manifest Jana Bosonogiego — „wszelkie majątności i zasoby”. Regimenty cudzoziemskie dowodzone przez pułkownika Gassiona starły wprawdzie rewoltę w pył, prowodyrów stracono, a kanclerz Segurier osobiście kierował represjami, wprowadzając kontrybucję i rozbrajając miejskie milicje, wszakże ten przykład nie pohamował innych ruchawek — buntowali się chłopci w Gaskonii, Poitou, Angouleme. Z początkiem października żar wybuchł w pobliskiej nam Burgundii — kupy chłopstwa ruszyły na Challons, a rozbite na przedpolu miasta, poczęły uchodzić na południe, tam jednak pod Tournous rebelianci natknęli się na królewskie armaty. Przy pierwszym starciu hołota pierzchła i rozbiwszy się na luźne kupy, uchodzić poczęła ku habsburskiej enklawie Charolles, ledwie pół dnia drogi od Cluny położonej. Jeden z zagonów zniósł północny posterunek naszych muszkietierów i zagroził bezpośrednio Mont Romain. Nakazałem kapitanowi Foucheronowi, dowódcy ochrony, przygotować się do oblężenia, gdy przypadł do mnie Mirski i kikutem ręki wywijając, błagał, bym zezwolił mu wypróbować prototyp karabinu, świeżo przez Turka Mardinu sporządzony.

Hałastrą ścigająca muszkieterskich niedobitków wypadła już na pole, którem pod uprawę ziemniaków sposobił. Dwudziestce zbuntowanych wieśniaków przewodził chudy dryblas, przyodziany w zakrwawiony ornat, z jakiegoś księdza niewątpliwie zdarty. Zaskoczeni widokiem huty i fabryk powstrzymali się na chwilę, potem jednak puścili się wrzeszcząc ku nam. Usłyszałem komendy Mirskiego i na nasypie pojawiła się stalowa lufa. Plunęła ogniem. Karabin maszynowy „Idrys-1” (nazwaliśmy go tak na cześć naszego Turka, jego współkonstruktora) posiadał obracający się magazyn z nabojami. Wprawdzie nie był jeszcze specjalnie szybkostrzelny, ale czynił wielki hałas, a wypluwane pociski raziły zbitą gromadę napastników.

Oszołomieni agresorzy, widząc, iż jeden karabin może czynić większe spustoszenie niż cały oddział muszkietierów, porzucili broń i miotali się po polu, nie wiedząc, gdzie szukać schronienia, aż Anzelmo podskoczył z grupą czeladzi i wybił ich co do jednego. Bez pardonu.

Na czyniony mu wyrzut przesadnego okrucieństwa odparł, iż postąpił zgodnie z wolą kardynała, który polecił, by żaden świadek naszych eksperymentów nie opuścił żyw regionu Taizé.

— A poza tym, mistrzu, to nie byli ludzie, tylko chłopci — podsumował.

*

Tymczasem nastał czas slot, dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze. Serce jednak we mnie rosło, gdy obserwowałem kolejne sukcesy wynalazców — atoli nie taję, iż zarazem narastał lęk, czy i jak długo uda się utrzymać przedsięwzięcie w tajemnicy. Wprawdzie dotąd nad Taizé nie pojawił się żaden latający talerz, wołałem jednak dmuchać na zimne. Ponieważ opadały liście z drzew i teren naszego obozu przypominał coraz bardziej łysą czaszkę, ponad laboratoriami i fabrykami kazałem porozpinać siatki maskownicze, w które wpleciono gałęzie jedliny, tak żeby dla kosmicznego zwiadowcy nasz pagórek wydawać się mógł bezludnym zagajnikiem szpilkowym, kominy zaś mogły przynależeć do smołami czy jakiejś niewielkiej manufaktury. Moi współpracownicy uważali taką ostrożność za przesadzoną, w tej kwestii pozostałem jednak nieustępliwy.

Prace postępowały tak dobrze, iż w listopadzie mogłem poniechać codziennych wizyt na Mont Romain, ograniczając się do inspekcji dwa razy w tygodniu. Doświadczenia toczyły się i bez mego udziału — obok eksperymentów z elektrycznością Grudgensa pochłaniała możliwość fotografowania na srebrnych płytkach, a Palestrini prowadził badania nad możliwościami spożytkowania ropy naftowej, której beczkę dostarczono mu z Gaskonii. W obu wypadkach niewiele mogłem im pomóc, nie miałem pojęcia, jak — produkuje się celulozoid czy też jak olej skalny zmienić w wysokooktanową benzynę.

Uzyskawszy dostateczny impet w dziedzinie metalurgii i chemii, mogłem za to więcej uwagi poświęcić grupie pana Ambroise'a de Lysa. Nie lubię się chwalić, acz pozostaje faktem, iż wspólnie dokonaliśmy w ciągu paru miesięcy dla medycyny więcej, niż udało się to wszystkim medykom razem przez ostatnich dziesięć stuleci. Na początek zaznajomiłem ekipę doktora z zasadami higieny i z niemałym trudem przekonałem do mycia rąk przed i po operacji oraz wyjaławiania naczyń chirurgicznych. Skonstruowałem z drewnianej rurki stetoskop i nakłoniłem Idrysa Turka do sporządzenia tak elementarnych narzędzi jak strzykawka i aparatura do mierzenia ciśnienia. Naprowadziłem także naszego doktora na kwestię istnienia różnych grup krwi, których rozpoznawanie miało z czasem umożliwić pierwsze transfuzje.

W międzyczasie znalazłszy w bibliotece kluniackiej szesnastowieczną pracę *Dispansatorium Valerii Cordii*, w której podawano recepturę otrzymywania eteru poprzez destylację w równych proporcjach *spiritusu vini* z kwasem siarkowym, namówiłem Francuza,

by ten spróbował wykorzystać otrzymaną substancję do usypiania pacjentów w trakcie zabiegów chirurgicznych.

Pierwszym operowanym tą metodą był robotnik, któremu żeliwny odlew zmiądzzył stopę, drugim młody muszkieter, wspomniany już pan Savinien de Cyrano, nasz kurier specjalny, cierpiący na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego.

Doktor de Lys, lubo chirurg wyśmienity, utrzymywał, że operacja taka żadną miarą udać się nie może, albowiem przecięcie opon brzusznych każdorazowo musi prowadzić do zapalenia otrzewnej i zgonu pacjenta. Nikt do tej pory nie ważył się na tego rodzaju zabieg — kamienie w pęcherzu rozbijano sztyftem, wprowadzanym przez cewkę moczową, a jedyna dostępna metoda chirurgicznej penetracji ciała prowadziła drogą analną bądź w wypadku kobiet przewodami rodnymi, bardziej odpornymi na zakażenie bakteryjne.

Kiedy jednak patrzyłem na tego obiecującego młodego żołnierza, który skazany był na niechybną śmierć, powziąłem decyzję, iż zaryzykujemy operację. Młodzieńca zaniesiono z lazaretu na salę zabiegową, gdzie z większym zachowaniem higieny, po zdezynfekowaniu narzędzi oraz jamy brzusznej i oczywiście pod narkozą Ambroise dokonał pionierskiej operacji. Muszkieter przeżył zabieg, a następnie bez długich gorączkowań zaczął dochodzić do siebie. Niewątpliwie dzięki podawanemu proszkowi, który Grudgens wyprodukował ledwie parę dni wcześniej z kwasu salicylowego. Preparat ten bez żadnego szacunku dla praw autorskich koncernu Bayer (zresztą patent zostanie zgłoszony dopiero w 1899 roku) nazwałem „aspiryną”.

De Lys zachwycony sukcesem wpadł nawet na pomysł rewolucyjnej jak na owe czasy operacji plastycznej i podjął się skrócić nadmiernie wielki nos szpecący inteligentną twarz młodzieńca. Może bym i przystał na to, atoli wcześniej wpadł mi w ręce list, adresowany przez Saviniusza de Cyrano do matki zamieszkałej w miejscowości Bergerac...

— Savinien Cyrano de Bergerac?! Na Boga, *dottore*, nie wiecie nawet, kogośmy uratowali! Nie, nie, nosa tego żadną miarą ruszyć nie pozwolę, właśnie dzięki temu organowi dzisiejszy nasz pacjent wkroczy do historii, literatury i dramaturgii.

Wiele mógłbym jeszcze opowiadać o medycznych przygodach z doktorem de Lysem. O wyprodukowaniu szczepionki na ospę z pęcherzyka ospy krowiej. Oraz o uzyskaniu, nieco później i ze znacznie większymi trudnościami, szczepionki przeciw wścieklicznie (z popularnonaukowej kreskówki pamiętałem coś o suszeniu przez Pasteura rdzenia kręgowego królika zarażonego wściekliczną).

Obaj z doktorem wielce cieszyliśmy się na myśl o dniu, w którym udostępniemy nasze osiągnięcia całej ludzkości, uwalniając ją na trzy stulecia przed terminem od bólu i cierpienia.

Chcieliśmy, aby stało się to jak najprędzej, ale rozumieliśmy celowość embarga nałożonego przez przezornego kardynała.

Kiedy pozostawałem sam — wybiegałem myślą lata naprzód. Zakładając, że jakoś poradzimy sobie z Obcymi, zastanawiałem się nad nowym światem, który miał powstać. Wyobrażałem sobie Europę Zjednoczoną, w której za piętnaście lat do Warszawy zamiast szwedzkich najeźdźców wjedzie lokomotywa kolei warszawsko–madryckiej. Śniłem o parowcach, które pojawią się na Atlantyku (sto pięćdziesiąt lat przed Jamesem Watem!), a także o tunelu pod kanałem la Manche. Czy to możliwe — kombinowałem — że już za parę lat rozlegnie się na falach eteru: „*Ici Paris*. Obywatele, już za chwilę przemówi do was z orędziem bożonarodzeniowym Ludwik XIV...” A może, jeśli uruchomione przeze mnie impulsy owocować będą w podobnym tempie, Cyrano de Bergerac jeszcze przed przejściem na emeryturę doczeka premier swoich sztuk w telewizji? Wszystko to jest przecież możliwe! Osiągalne! Bliskie!

A jednak czasem, kiedy wieczorem ostawałem sam w swej sypialni, opadał ze mnie dzienny entuzjazm, wpatrywałem się w portret arcyprincessy Marii, zastanawiając się, czy moje dary na pewno okażą się dobrodziejstwem dla ludzkości, czy też wynalazki, masowa edukacja nie obudzą demonów postępu, *de facto* gorszych od pocziwego zacofania, nie przyspieszą krwawych rewolucji, upadku autorytetów, zaniku praw naturalnych... Dręczył mnie dylemat, czy możliwy jest progres bez równoczesnego relatywizmu moralnego — rozkwit rozumu bez zanegowania Boga?

W rozmowach z moimi współpracownikami wiele wagi poświęcałem właśnie tej kwestii. Zafascynowanie ludzkim intelektem dzielił krok tylko od racjonalistycznej pychy, poznawanie prawd natury wywoływało przemożną skłonność do ich absolutyzacji, uogólnień i uproszczeń. Upominałem tedy mych intelektualistów, by traktując zbyt literalnie Biblię, nie przeciwstawiali jej opowieści osiągnięciom nauki — by nauki o ewolucji gatunków nie używali do podważania Księgi Rodzaju, a patrząc w gwiazdy, nie szukali Boga poza nimi, co musiałoby prowadzić do niechybnego stwierdzenia: „Niebo jest puste” lub „Bóg umarł!” — lecz by odnajdywali go w każdym atomie i na poziomie mechanizmów kwantowych (choć akurat nie sądzę, bym potrafił dobrze wytłumaczyć, czym jest kwant).

— Nauka nie jest zaprzeczeniem wiary — tłumaczyłem — a doskonalenie umysłu, wydzieranie naturze rządzących nią prawd nie musi być równocześnie wyzwaniem rzucanym Przedwiecznemu i ładowi moralnemu. To już zostało przerobione. Atlanci, o których wam opowiadałem, sami przyspieszyli swą zagładę. Skazali się na nią w momencie, w którym wzgardzili prawem naturalnym, usunęli pojęcie prawdy absolutnej na rzecz utilitaryzmu,

przedłożyli hedonizm nad cnotę, wygodę nad prawo, a kwestie dobra i zła rozpuścili w poprawności politycznej, wreszcie gdy doprowadzili do powszechnej cywilizacji rozkoszy dla „sytych głupców”, sterowanych przez hermetycznych mędrków za pośrednictwem ogólnie dostępnych środków przekazu informacji i globalnej gospodarki. Wcześniej, niejako po drodze, zatruli jeszcze wody i powietrze, zniszczyli rodzinę, zagubili powinności dzieci wobec rodziców, estymę dla autorytetów, wszelką hierarchię i szacunek dla życia przez wprowadzenie nieograniczonej aborcji i eutanazji.

— Opowiesz o tym, mistrzu, tak doskonale, jakbyś sam żył w takim świecie — zauważył w którymś momencie van Haarlem.

— W pewnym sensie poznałem tę cywilizację do głębi.

— Ale jakże owi genialni Atlanci mogli doprowadzić do wojny, której nikt nie mógł przeżyć? — pytano mnie z prawa i lewa.

— Tego akurat nie dokonali osobiście — opowiadałem. — Sprawily to stworzone dla ich wygody inteligentne „maszyny”, zwane „cybernetycznymi niewolnikami”, którym zdawało się, że po pozbyciu się ludzi ostaną panami Wszechświata. Jednak nie ostali. Pochłonął ich ten sam konflikt, który sprowokowali.

— Zatem — ozwał się Mirski, Sarmata wielce pobożny — można powiedzieć, że ową poprzednią „ludzkość” zniszczyły: po pierwsze pycha, po drugie chciwość, po trzecie nieczystość...

Skinąłem głową.

Obok regulaminów pracy wprowadziłem również w Taizé zwyczaj codziennych porannych mszy, po których kazania wygłaszali kolejno młodzi naukowcy, mówiąc o swych rozterkach, wierze, nadziejach, miłości...

Boże, jakże ci faceci przypominali mi mnie samego sprzed lat trzydziestu. Byli młodzi i szlachetnie niecierpliwi. Pewni siebie, przekonani, że wszystko jest możliwe. Z drugiej strony, jakże często nie okazywali wahań, wątpliwości i tej odrobiny konserwatyzmu, jakiej nabiera się z latami, gdy w miodowej beczce żywota mijające lata, odchodzący przyjaciele, kompromitujące się ideały wytrącają gorzką łyżkę dziegciu, zaprawiającą wszystko bolesnym smakiem goryczy. Jeśli więc znajdowałem w sobie dość siły, by ich nauczać, jeśli mogłem sobie uzurpować, krom fałszywej biografii i przywłaszczonych zasług, jakiś tytuł do porad moralnych, to podstawą była świadomość, że ja już taki byłem, że przerobiłem na sobie aż do obrzydzenia ich zachwyty, ich fascynacje, ich pychę, ich wielkość, ich małość... I kochałem ich za to, jak można kochać portret swój dawny, własną „karykaturę zbiorczą” i swą minioną, bezpowrotnie utraconą młodość.

„Kto za młodu nie był socjalistą, na starość będzie świnią” — święte słowa, choć lękam się dalszego rozwijania tego równania, bo cóż rzec o tych, którzy ostają socjalistami, progresistami i wszelkiej maści postępowcami na starość? W każdym razie, gdy podczas owych porannych godzin skupienia przychodziła na mnie kolej — tłumaczyłem cierpliwie mym genialnym młodym przyjacielom, jak łączyć mądrość tradycji z iskrą postępu, jak szanować wielkość idei, a zarazem pobłażać instytucjom na nich wyrosłym, jak doceniać mimo wszelkich słabości i win Kościół, owego często błędzącego, ale jedyne go depozytariusza Prawdy, jak wreszcie znajdować sens w bezsensie i nie wykluczać istnienia Boga tylko dlatego, iż świat stworzony przezeń jest ułomny — bo wprawdzie życie w nim prowadzi nieustanną grę ze śmiercią, lecz dopiero ostateczność nadaje właściwy sens naszej niepowtarzalnej egzystencji.

Jednak czy zamysł alternatywnego rozwoju, opierającego się na harmonii postępu i kontynuacji chrześcijańskiej tradycji, mógł mi się powieść? Czy dzięki eksperymentowi z Mont Romain ludzkość miała ominąć fanaberie wieku XVIII, dziewiętnastowieczne urojenia i królestwa paranoi dwudziestego stulecia? Czy też, niezależnie od dobrych intencji, byliśmy skazani na te wszystkie wojny, rewolucje, holocausty, możliwe dzięki temu, że kryzys wartości dobył na wierzch immanentne zło tkwiące w człowieku, a postęp wyposażył je w narzędzia zniewolenia i zagłady?

Bywało, iż w środku nocy zrywałem się z łoża i schodziłem sam do krypt Cluny, gdzie wśród grobów opatów i relikwii świętych prosiłem Boga o radę i pomoc. I nie był to objaw fałszywej pobożności. Nawet po mym nawróceniu nie zostałem bigotem, przeciwnie, rozdzierały mnie rozliczne wątpliwości. Wszelako gdzie miałem szukać wsparcia? Czuję, że mam szansę tak wielu nieszczęściom zapobiec. Jak jednak nie przysporzyć nowych?

Któregoś ranka sam przeor znalazł mnie zziębniętego, z rozłożonymi ramionami na płycie kryjącej szczątki błogosławionych Hugona i Odilona, Majola i czcigodnego Piotra, podniósł i powiedział:

— Pozwól, mistrzu, iż ja modlić się za was będę, ty wracaj do domu, albowiem gość cię tam czeka.

— Gość do mnie, ktoś z Mont Romain?

— Siostra wasza... — Musiałem zrobić bardzo głupią minę, nie miałem bowiem pojęcia o jakiegokolwiek siostrze Derossiego, bo przeor dorzucił tonem usprawiedliwiającym: — Panna owa okazała strażom pierścień z twym herbem, więc ją puścili.

Zszedłem ku bramie, zastanawiając się, co na mój widok powie panna Derossi i ujrzałem tam postać w płaszczu, która zrzuciła kaptur, a jasne włosy rozsypały się na ramionach.
Laura!

8. WIZYTY, AKCJE, OPERACJE

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że panna Catoni chce podbiec i rzucić mi się na szyję. Na szczęście obecność ojca przeora powstrzymała jej zapędy i zamiast tego, ująwszy palcami skrawek płaszcza, złożyła mi dworski ukłon.

Odkłoniłem jej się i usiłując zapanować nad rozdygotanym sercem, powiedziałem, surowo zmarszczywszy brwi:

— Miałaś waćpanna przykazane nie opuszczać Lyonu!

— Musiałam — odparła, wyginając przeprasząco usta w podkówkę. — Musiałam was ostrzec, mistrzu, albowiem... — Tu spojrzała na przeora tak wymownie, iż krągły zakonnik odtoczył się do swych komnat niczym kula uderzona końcem kija bilardowego. — On wie już, gdzie, jesteś... — szepnęła.

— Kto wie?

— *Fra Jacopo*.

Wzdrygnąłem się, a zrozumiawszy, iż klasztorny dziedziniec nie jest najlepszym miejscem do poufnej rozmowy, zaprowadziłem Laurę do mego domu, gdzie Anzelmo na widok dziewczyny uśmiechnął się niczym rozkrojona bułka maślana i szelmowsko mrugnawszy ku mnie okiem, pobiegł zaordynować śniadanie dla dwojga.

— Widziałś tego mnicha? Gdzie, w Lyonie?

— Tak. W kościele. Wczora, na mszy porannej. W pierwszej chwili go nie poznałam, bo nie nosił białego habitu, lecz ubrany był jak hiszpański hidalgo. Ale z pewnością to on. Takiej twarzy się nie zapomina.

Mogłem się z tym zgodzić, i mnie ostry profil dominikanina nawiedzał w sennych koszmarach.

— Widział cię? — spytałem.

— Na szczęście nie, byłam bowiem skryta za kratą gęstą, za którą w półmroku modlić się zwykły mniszki klauzurowe. Tak więc nie mógł mnie dostrzec, ja zaś widziałam go doskonale. Tym bardziej, że stał dość długo pod ścianą i pozostał nawet, gdy skończyło się nabożeństwo, a wszyscy wierni wyszli.

— Snadź czekał na kogoś.

— Też tak pomyślałam. I też postanowiłam czekać. Moja cierpliwość została nagrodzona. Obaczyłam w końcu człeka, z którym musiał być umówiony, był to wojskowy...

— Wojskowy?

Laura opisała dość dokładnie mundur, jaki nosili zewnętrzni strażnicy naszej „kwarantanny”. O czym szeptali, nie usłyszała, zauważyła jednak, iż żołnierz wręczył mnichowi jakieś papiery i otrzymał w zamian sakiewkę. *Fra Jacopo* wyglądał na wielce uradowanego spotkaniem.

— Potrafiłabyś opisać tego informatora? — spytałem, myśląc o ewentualnym sporządzeniu portretu pamięciowego.

— Nie muszę, albowiem mogę ci go wskazać.

— Gdzie?!

— Tutaj. Zobaczyłam go na posterunku kontrolnym, co więcej, osobiście doprowadził mnie aż do opactwa. Rzecz jasna, nie dałam niczego poznać po sobie.

— Jakże cię wpuścili? Mają przecie kategoryczny rozkaz... — Mówiłam ci, iż byłam szkolona w szpiegowskiej robocie. Nie stanowi dla mnie większej trudności podrobienie czyjegoś pisma. A nie ma niczego prostszego nad sporządzenie woskowej kopii pieczęci lub sygnetu. — To mówiąc, wręczyła mi elegancki liścik.

Nakazuję udzielenie wszelkiej stosownej pomocy siostrze mej, Laurze Derossi, w pilnym dotarciu przed moje oblicze.

A. Derossi

Poniżej był krótki dopisek drobnym, charakterystycznym pismem Giulia.

Z upoważnienia Jego Eminencji — zaakceptowane.

Mazzarini

Pismo uwiarygodniały dwie lakowe pieczęcie.

Wystarczył kwadrans, a Anzelmo dyskretnie wywiedział się, że zdrajca nazywa się Maurice Renard i pochodzi z pobliskiego Franche Comte. Uspokoiło mnie nieco, iż nie należał on do bezpośredniej ochrony Mont Romain i nie mógł oglądać na własne oczy naszych osiągnięć — jednak skoro służył tu od miesięcy, znał z pewnością mnóstwo tajemnic i kto wie, ile z nich przeciekło już do uszu rosettińskiego szpiega. Dziwne jednak, że ów Renard dotarł aż do Lyonu. Strażników, nawet oficyjerów obowiązywał bowiem wydany przez Richelieugo zakaz oddalania się od posterunku i jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym.

Polecivszy memu asystentowi dalej badać sprawę, naturalnie delikatnie, by nie spłoszyć zdrajcy, zasiadłem do śniadania. Głowę sobie łamałem, co zrobić z piękną panną. Odesłać do Lyonu nie mogłem, boć poznała tajemnicę; fałszywej kwarantanny, a trzymać w klasztorze, a tym bardziej w Mont Romain...? Na koniec dowiedziałem się, że jejmość Pasqualina, na Podklasztorzu mieszkająca, posiada wolną izdebkę, czystą i suchą, tam też postanowiłem umieścić Laurę. Jedno było pewne, jej pojawienie się zburzyło dotychczasowy spokój mej duszy, mieszając kwestie ogólnoswiatowe z drobnymi, ale jakże poruszającymi serce mężczyzny sprawami.

— Tęskniłam bardzo za tobą, a ty? — spytała. Udzieliłem jakiejś wymijającej odpowiedzi, nie pomnę już jakiej. Naturalnie nie mogłem się przyznać, że wizje jej boskiego ciała nachodziły mnie po nocach, częściej niż mogła się spodziewać, co zapewne by ją ucieszyło. Woląłem też jej nie mówić, boć pewnikiem bym ją zmartwił, że to, co czułem do niej, było raczej cielesną namiętnością. Uczucia wyższego rzędu, takie jak miłość, tęsknota, przywiązanie, kierowałem wyłącznie ku mej żonie Monice.

Zostawiłem ją tedy pod opieką Pasqualiny, sam zaś odbyłem z kapitanem Foucheronem tudzież Anzelmem naradę na temat kroków, które należało podjąć względem bezpieczeństwa programu. Mój *consigliore* był zdania, że należy dorwać Maurice'a i przycisnąć go tak, by wszystko wyśpiewał, kapitan, odwrotnie, radził nie płoszyć, jeno dyskretnie śledzić, a jednocześnie wybadać, co *fra* Jacopo porabia w Lyonie i jeśli się uda, pojmać rosettińskiego szpiega.

Jeśli idzie o mnie, chciałem sam ruszyć do Lyonu i osobiście zidentyfikować dominikanina.

— Za pozwoleniem, mistrzu, a jeśli taki był właśnie zamiysł twych wrogów? — powiedział Anzelmo. — Jeśli ta blond turkaweczka i jej opowieści to jedynie przynęty, iżby wywabić cię z opactwa?

Nie mogłem odmówić logiki tej argumentacji. Nasze dotychczasowe doświadczenia z panną Catoni wskazywały, że równie dobrze mogła wystawić *fra* Jacopo nam, jak i nas jemu, krwiożerczemu inkwizytorowi.

Tymczasem wewnętrzne śledztwo wykazało, że Maurice Renard, żołnierz dobry, lubiany przez kolegów i przełożonych, miał w lyońskim hospicjum, zwanym l'Hotel Dieu, umierającą matkę i w związku z tym komendant posterunku zwalniał go raz w miesiącu na odwiedzinę staruszki. Nie było to zbytnio zgodne z regulaminem, ale nikomu nie przychodziło do głowy, żeby wzorowy żołnierz i dobry syn mógł skumać się z wrogami. Jednak Foucheron dowiedział się, że Renard namiętnie grywał w tryk-traka, ale graczem nie był tęgim, toteż

przegrywał często, zawsze jednak znajdował pieniądze na spłacenie długów. Umocniło to nas w podejrzaniach, tym bardziej, iż Anzelmo, pomagający w śledztwie, znalazł kilku braci służebnych z opactwa poświadczających fakt, iż strażnik parokrotnie wypytywał ich o mnie i o prace prowadzone w Mont Romain.

Odczekawszy dla niepoznaki dwa dni, Foucheron rozgłosił między strażnikami, iż potrzebuje ochotnika zdolnego szybko dostarczyć ważny a poufny list do biskupa Lyonu, w którym napisałem, iż badania nad szczepionką przeciw ospie wypadają pomyślnie, *ergo* proszę o przysłanie mi trzech medyków na przeszkolenie. Nie zaskoczyło mnie, iż pierwszy na listonosza zgłosił się Maurice. Foucheron wyprawił go z samego rana. Ja zaś jeszcze poprzedzającej nocy wspólnie z Anzelmem i trójką niezłych rębajłów, wykorzystawszy tajny port, opuściliśmy obóz łodzią, postanawiając czekać zdrajcy na rogatkach miasta. Dwóch innych gwardzistów dowodzonych przez sierżanta, bystrego pikardyjczyka nazwiskiem Lucon, miało podążać tropem Renarda, bacząc, czy ów przypadkiem nie zmieni drogi. Na czas mej nieobecności zdałem dowództwo nad Mont Romain triumwiratowi w składzie: Foucheron, doktor de Lys i ekstraintendent Fallaci.

Strażnik zdrajca nie okazał się specjalnie przebiegły, tym bardziej, że nie spodziewał się żadnej inwigilacji, dotarł do przedmieść Lyonu przed zmierzchem, lecz zamiast szybko nieść pismo do pałacu biskupiego, wziął izbę w gospodzie pod rynek, gdzie poniechawszy wieczerzy poszedł spać. Nie pospał długo. Godzina może zbiegła, a Lucon przyniósł wiadomość, że Maurice, wydostawszy się oknem, opuścił się po szkarpie — to dowodziło, że do jakichś zasad konspiracji jednak go przyuczono. Dwóch chłopów poszło jego śladem. Jak na odwiedzinach staruszki matki pora niezbyt była stosowna. Gdzieś po kwadransie nadbiegł młodszy z onych żołnierzy, donosząc, iż śledzony wszedł do jednego ze starych domów nieopodal rynku i siedzi tam dopotąd. Poszliśmy obaczyć miejsce późnej schadzki. Noc była ciemna, listopadowa, zaciął deszcz, a miejskie zaułki były mroczniejsze niż czeluść piekielna.; Nadeszliśmy w ostatniej chwili. Akurat ze wskazanego domu wyszło dwóch ludzi, z których jednym niewątpliwie był Renard, a kto był drugim...

Na placu przed katedrą św. Jana śledzeni rozdzielili się. Maurice pospieszył w stronę pałacu biskupiego, zapewne celem oddania odźwiernym mojego listu. Natomiast jego rozmówca rozejrzał się czujnie, ale nie widząc nikogo oprócz pijaka zwracającego wieczerzę opodal drzwi szynku (popisowy numer Lucona), pomaszerował energicznym krokiem ku rzece. Serce zabiło mi mocniej, gdy blask latarni wiszącej przy drzwiach do jakiejś tawerny oświetlił dziobatą twarz nieznanego. W samej rzeczy był to *fra* Jacopo. Powstrzymałem Anzelma gotowego biec za nim ze sztyletem. Ciekaw byłem, kogo dominikanin wybierał się

jeszcze wizytować. Dwaj gwardziści poszli za nim w bezpiecznej odległości. Ja z mym grubasem zachowywałem jeszcze większy dystans.

Dominikanin chyba nie dopuszczał myśli, iż może być śledzony, a może przekonany był o pełnej bezkarności, albowiem nie zachowywał żadnych środków ostrożności i ani razu się nie obejrzał. Przeszedł most zabudowany gęsto kramami i znalazł się w dzielnicy ujętej w widły Ro— danu i Saony, nazywanej Miastem Centralnym. Wbrew nazwie, przeważała tu zabudowa luźniejsza, nie brakło ogrodów i świeżo wzniesionych pałaców. Znalazłszy się przed jednym, szczególnie okazałym budynkiem, kędy okna pierwszego piętra gorzały blaskiem setek świec, a dźwięki muzyki i radosne śmiechy świadczyły, że bankietuje tam jakaś bardzo wesoła kompania, mnich przystanął. Myślałem, że wejdzie do środka, ale nie, ominął główną bramę i skręcił w uliczkę prowadzącą ku pałacowym kuchniom i stajniom. Dotarłszy do niewielkich drzwi, zakolał w nie, raz, potem drugi. Wpuszczono go bezzwłocznie, bez żadnych tłumaczeń, tak jak wpuszcza się domownika, a wkrótce potem postrześliśmy światelko sunące wzwyż klatką schodową. Wrychle potem pojaśniały dopotąd ciemne okna drugiego piętra.

— Dałbym wiele, iżby wiedzieć, z kim tam nasz ptaszek konferuje — rzekł Anzelmo.

— Tedy przekonajmy się o tym — wskazałem wysoki, acz mocno pokruszony mur klasztoru po drugiej stronie ulicy. — Obaczmy, co też i jak wiele można dostrzec przy pomocy perspektywy pana van Haarlema.

Wspięliśmy się tedy, Lucon i ja. Anzelmo pozostał na dole, przekonawszy nas, iż stróżując na poziomie ulicy, będzie miał lepsze baczenie, czy nic złego się nie dzieje.

Uniosłem lunetę, kierując ją ku rozjaśnionemu oknu. Nie pomyliłem się, podejrzewając, iż poznam kolejne ogniwo spisku. *Fra Jacopo*, zachowując się dość unieżenie, najwyraźniej składał raport młodemu, a nawet bardzo młodemu elegantowi. Nie jestem znawcą męskiej urody, ale gdybym miał malować chłopięcego Antinousa, dla którego sam cesarz Hadrian głowę stracił, to oglądany młodzik byłby przewybornym modelem. Cerę miał bladą, włosy ciemne, a oczy czarne jak dwa węgle. Koronkowy kołnierz opadał mu na pierś szeroką, lecz nie przesadnie rozłożystą. Nadto odznaczał się figurą wdzięczną, a ruchy miał w każdym szczególe dystygowane. Ki diabeł? Książę włoski, następca któregoś z tronów europejskich podróżujący incognito?

Posłuchanie nie trwało długo — w pewnej chwili młodzieniec palcami strzelił i do komnaty wpadły dwie dziewczki, młode, krągłe i kompletnie nagie. Nie spodobało się to dominikaninowi. Gniewnie machnął ręką i opuścił pokój, dziewczyny zaś dopadły młodzieńca i próbowały go rozdziewać, czemu bynajmniej się nie sprzeciwiał.

— A któż to taki? — Podąłem lunetę Luconowi.

— Kurwy! Ale niezłego autoramentu — sierżant gwizdnął cicho przez szparę w przednich zębach.

— Pytam o młodego pana...

— Nie znam go. Chociaż... Przebóg, może to być on!

— Kto?

— „Pan Wielki”.

— Któż taki? — powtórzyłem.

— Tak określają go na dworze. Wielki koniuszy, Henri d’Effiat, markiz de Cinq–Mars.

Do diabła!, pomyślałem. Zatem mamy do czynienia z większym spiskiem, niż można się było spodziewać. Ippolito Rosettiński, Habsburgowie, a teraz jeszcze ów młody faworyt króla jegomości...

Kim był Cinq–Mars, wiedziałem z grubsza jeszcze z młodzieńczych lektur, znałem wszak romans Paula Fevala i *Marion Delorme* Victora Hugo. Z plotek, które dostarczał z Paryża młody Bergerac, wynikało, iż to sam Richelieu popchnął urokliwego dandysa, nawiasem mówiąc sierotę po serdecznym przyjacielu kardynała, marszałku d’Effiat, w ramiona Ludwika XIII, myśląc, iż tym sposobem odwróci uwagę Jego Królewskiej Mości od innych faworytów i będzie miał swe ucho i oko w monarszej sypialni. (O innych organach przez przyzwoitość nie wspominajmy!) Rychło gorzko pożałował swego konceptu. Cinq–Mars nie zamierzał grać li tylko roli monarszego bawidelka, a tem bardziej kardynalskiego szpiega. Onże elegant, kochający się w jedwabiach, koronkach, perłach i pachnidłach, amator dobrej literatury, kolekcjoner dzieł sztuki (to akurat winno go zbliżyć z kardynałem i Mazzarinim) był osobą o ambicjach równie wielkich jak jego wczesny protektor. Nie ograniczały się one do gromadzenia w zamku Chilly czy paryskiej rezydencji de Cleves, położonej tuż obok Luwru, arrasów, dywanów, obrazów i cennej porcelany. *Douce* Henri kochał życie nad życie. I ledwie król szedł spać, wyrwał się do miasta i tam w ramionach kochanek rekompensował sobie dworską pańszczyznę. Spotkanie z *fra* Jacopo dowodziło jednak, że prócz ulotnych rozkoszy interesowała go polityka i to w stopniu co najmniej ryzykownym.

*

Dominikanin wrócił na swą kwaterę jeszcze kipiąc gniewem z powodu niemoralnej propozycji Cinq–Marsa. Łatwo wyobrazić sobie myśli targające mnichem. Jak ten szczeniak

śmiało oferować mu zabawy z wszetecznymi dziewczkami? Zali nie wiedział, że jedyną miłością brata Jakuba była władza? Mimo wzburzenia, wchodząc do komnaty, natychmiast poczuł, że ktoś go odwiedził. Zapaliwszy świecę dojrzał rozrzucone książki, otwarte skrzynie. Chciał zawrócić ku schodom, ale poczuł na piersiach dotknięcie rapiera Lucona. Próbował krzyknąć, ale głos zamarł mu na ustach. — Znów się spotykamy, ojczy — powiedziałem, wychodząc z cienia. — Mamy chyba sobie dużo do powiedzenia.

Nie odpowiadał, zresztą czasu wiele nie miał. Anzelmo przytknął mu do twarzy nasączony eterem tampon, po czym bezwładnego w worek wsadził. Nie minęła godzina, a znajdowaliśmy się w drodze powrotnej do Cluny, sześciu jeźdźców i luzak wiozący bezwładną postać w konopnym pakunku.

*

— Wiedziałem, że masz pakt z diabłem — powiedział dominikanin, gdy oprzytomniał. — Nie ciesz się jednak, il Cane, gniew Boży jest bliski, a za zamach na mnie, rosettińskiego dyplomatę i spowiednika Jego Cesarskiej Mości, poniesiesz zasłużoną karę.

— Na waszym miejscu, ojczy, nie groziłbym karą, lecz bardziej szukał usprawiedliwienia dla swych czynów.

— Nie mam pojęcia, co mi zarzucasz — odparł. — Nawet do zemsty osobistej powodu nie masz, gdyż z łaski arcyksięcia żeśmy cię zdrowego w ręce legata bez przeszkód oddali.

— W świecie całem szpiegostwo uznają za rzecz najpodlejszą.

— Jakie szpiegostwo? — prychnął oburzony. — Jestem dyplomatą. Gdzie dowody dla tych haniebnych pomówień?

— Chcesz dowodów, naści dowody! — Tu na me wezwanie Anzelmo zepchnął po schodach jęczącego Renarda. Gwardzista, ledwo tylko przyciśnięty, wyśpiewał wszystko na temat raportów, które od trzech miesięcy składał dominikaninowi. Mnich pobladł, a ja kontynuowałem swą przemowę: — Jak widzisz, zaprzeczanie nic ci nie da, księżo, wiem o twojej misji niecnej, wiem też, iż prócz śledzenia moich działań, intrygę skierowaną przeciw Jego Eminencji wewnątrz Francji montujesz.

— Nic nie powiem — rzekł głucho.

— Wasza miłość wyda go mi — zaproponował mój *consigliore*. — Chętnie zabawię się z braciszkiem metodami, których on nie szczędził swym ofiarom. I zaręczam, skamleć jeszcze będzie o rychłą kaźń jako łaskę szczególną.

Nie mogłem przyzwolić na tortury, poprzestałem na wysłaniu Lucona z zaszyfrowanym listem do kardynała (Savinien ciągle pozostawał rekonwalescentem). Pytałem również w onym piśmie, czy jest możliwe przybycie Jego Eminencji w dzień Nowego Roku do Mont Romain, najlepiej wspólnie z królem, albowiem chcielibyśmy zademonstrować im nasze osiągnięcia i zdecydować o szybkim przejściu do fazy ich upowszechnienia.

*

Zima tego roku nadeszła śnieżna i mroźna. Winnice pomarzęły, a gruby całun bieli spowił nasze pagórki tak, że dla komunikacji między opactwem a obozem przyszło posługiwać się saniami. Nie bez powodu siedemnaste stulecie nazywano najmroźniejszym wiekiem w drugim tysiącleciu. Trudności komunikacyjne rekompensował telegraf zainstalowany pomiędzy najistotniejszymi obiektami, a wkrótce planowaliśmy uruchomienie linii telefonicznej.

Niejako na marginesie wielkiej batalii o postęp naukowo–techniczny swoją drobną wojnę pozycyjną toczyła Laura. Zdemaskowanie *fra* Jacopo znacznie odbudowało moje zaufanie do niej, a codzienne spotkania, wspólne posiłki stworzyły niebezpieczny dla każdego samotnego mężczyzny klimat rodzinny, którego przecie bardzo mi brakowało. Cóż, każdy człowiek potrzebuje czułości i troski, trudno mu odrzucać wyciągniętą rękę... Zwłaszcza tak urokliwą i czułą. Spotykaliśmy się często; Anzelmo z dużą radością zdał się na piękną ochotniczkę w sprawach mej garderoby czy pościeli. Laura, łącząc obowiązki pokojówki i powiernicy, zawsze pilnowała, bym nie wyszedł w ziąb bez czapki, pielęgnowała mnie, gdy m katar złapał i baczyła, bym nie pracował zbyt długo w noc. A kiedy całowałem ją w czoło na dobranoc, nim Anzelmo zaprowadził ją na kwaterę, jej oczy niemo wyrażały pragnienie pozostania. Atoli ja, czując na sobie spojrzenie innych oczu — arcyprincessy z portretu, uparcie nie wyrażałem przyzwolenia.

Dziewczyna jednak nie zniechęcała się łatwo. Nie wiem, czy sprawiał to ów rzadki spryt, nakazujący kobietom szczególnie mądrym udawać o wiele głupsze, czy też istotnie nie interesowała się zbytnio moimi doświadczeniami. Anzelmo opowiedział jej, rzecz jasna, o Srebrzystych i zagrożeniu niesionym przez nich europejskiej cywilizacji, ale Laura przyjmowała to bardziej z umiarkowaną ciekawością niż trwogą, tak jakby przekraczało to jej wyobraźnię. I to *desinteressement* też działało na jej korzyść w moich oczach. Po godzinach dysput, spekulacji i doświadczeń lubiłem usiąść w spokoju i słuchać, jak melodyjnym głosem

czyta mi sonety Petrarcki, opowieści Rabelais'go czy eposy Tassa. Był bowiem w onych literackich ramotach przedziwny spokój, jakaś nadzwyczajna harmonia spraw wielkich i błahych, którą tak trudno przychodziło znajdować w pospiesznej, hybrydalnej kulturze dwudziestego pierwszego wieku, w epoce, w której bezmózgie ilustrowane czasopisma wyparły periodyki polityczno-literackie i popularnonaukowe, zaś ekran telewizora, miał być ołtarzem pociągającym ku mądrości i wzniosłości, częściej przypominał zsypany ze śmieciami, boć kontakt z nim każdorazowo pozostawiał (przynajmniej we mnie) wrażenie wszechogarniającej miałkości i pustki. Żalu za bezpowrotnie utraconym czasem.

*

Dzień świętej Barbary miał się okazać zwrotną datą w życiu nas wszystkich.

Najpierw kole południa poślizgnąłem się na oblodzonych stopniach prowadzących z dachu. Banalna sprawa, zapatrzyłem się na barwne jemioluszki, które przysiadły na pełnym wielkich sopli gargulcu. Ból ze zwichniętej ręki był wielce dokuczliwy, nawet wówczas, kiedy Laura i Anzelmo nałożyli na nią gips. Musiałem więc poniechać zaplanowanej ekspedycji do Mont Romain, wysyłając w zastępstwie z plikiem uwag i dyspozycji mego „asystenta” (ochoczo podjął się tej misji), sam zaś pozostałem w domu z nadzieją, że do Nowego Roku i Dnia Prezentacji sprawność lewej ręki powróci.

Wieczorem zerwał się wiatr, który zmienił padający drobny śnieg w prawdziwą zadymkę, co Pasqualina komentowała po swojemu:

— Koniec świata, koniec świata niechybnie nadciąga. Laura nie podzielała tych obaw, do kolacji czytała mi rozmaite frywolności Aretina i Boccaccia, później zaś, oddaliwszy Pasqualinę, zaproponowała mi kąpiel. Normalnie w charakterze łaźiebego usługiwał mi Anzelmo, ten jednak ciągle nie wracał, a nawet przysłał krótki telegram, iż pojawi się dopiero rano, albowiem pan Grudgens miał przeprowadzać niezwyklej eksperyment fotograficzny z wykorzystaniem magnezji. Na moment opuściła mnie powszednia czujność i miałem wezwać Pasqualinę, w przytomności Laury zanurzyłem się w kadzi z wodą mocno ciepłą, wyciągającą z organizmu wszelkie zmęczenie i boleść.

Anim się obejrzał, jak wsunęła się do mnie.

— Co czynisz, Lauro?

— Usługuję ci, mój panie, najlepiej jak umiem.

— Nn–nnaga?

— Chronię tym sposobem kosztowną bieliznę przed zmoczeniem.

Człowiek jest istotą słabą, zwłaszcza gdy unieruchomiona ręka uniemożliwia obronę. Zresztą czy chciałem się bronić? Do kata, nie będę przybierał póz Molierowskiego hipokryty Tartuffe'a. Pocałunki i pieszczoty panny Catoni rozpały mnie do białości. Wnet coraz śmielsze szaleństwa nasze obały beczkę. Nie przejmowaliśmy się zbytnio ciekącą wodą, dziewczyna pociągnęła mnie ku naręczom skór miękkich, które dziwnym przypadkiem znalazły się w kącie pracowni i tam...

Z siódmego nieba chuci wyrwał mnie terkot dzwonka i stuk telegrafu. Kropka, kreska, kropka, kreska.

Caro maestro! Stop. Przybywaj natychmiast. Stop. Pan d'Artagnan jest w porcie i chce nas zabrać do Paryża. Stop. Anzelma.

Telegraficzne dopytywanie się, o co chodzi, byłoby stratą czasu. Postanowiłem bezzwłocznie wsiąść do sani, a ponieważ w mym obecnym stanie nie nadawałem się na woźnicę, przystałem na propozycję panny Catoni. Zresztą nieochłodzony z roznamiętnienia, zgodziłem się pewnie na wszystko, czego by ode mnie zażądała. O, męska słabości!

Pomknęliśmy tedy w śnieżną noc. Konie parskwały raźnie, niosąc nas wśród bezlistnych drzew. Laura przytuliła się do mnie, a płaty śniegu wirowały jak oszalałe. Wnet pozostawiliśmy za sobą klasztor Cluny, romański domek, moją pracownię i rozrzucone po niej skóry, nie mając pojęcia, że nie powrócimy tam nigdy.

Do Mont Romain dotarliśmy grubo przed świtem, atoli w halach fabrycznych, skrytych pod maskownicami uginającymi się od świeżego śniegu, wrzała wytężona praca — nie spał też Anzelmo ani doktor Ambroise de Lys.

— Co się dzieje?

— Wiem tyle tylko, że pan Mazzarini wzywa cię, mistrzu, do Paryża, prosząc usilnie, abys zabrał ze sobą doktora i wszelkie środki zdatne do poważnej operacji chirurgicznej.

— Ale kto wymaga pomocy?

— Tego nie wiem. Zapytasz, mistrzu, o to pana de Baatza.

Zgodnie z regulaminem nawet d'Artagnan nie miał wstępu do obozu, musiałem więc zejść podziemnymi grotami ku rzece. Laura towarzyszyła mi z ustami rozwartymi z podziwu, szczególnie zdumiało ją elektryczne oświetlenie podziemi. (Nocą na odkrytej przestrzeni zabroniłem korzystać z tego źródła światła ze względów bezpieczeństwa.)

D'Artagnan oczekiwał mnie w łodzi zacumowanej w dolnej pieczarze, oświetlanej jedynie przez smolne pochodnie. Zmęczony był potężnie; w trzy dni, nie szczędząc koni, pokonał cały dystans z Paryża, wszelako gotów był natychmiast ruszać w drogę powrotną.

— Czyżby stało się coś kardynałowi? — pytałem.

Podporucznik zaprzeczył. Richelieu wraz z królem bawił na północy kraju, planując dopiero na Boże Narodzenie ściągnąć do Paryża, pozostawał jednak z Mazzarinim w stałej łączności. Kazał też przekazać swe nadzieje, że gdy spotkamy się z nim w stolicy, pozna parę z naszych wynalazków, o których wiedział jedynie z relacji pana de Cyrano. Co jednak było powodem nagłego wezwania, nie zostało wyjaśnione.

„Przywieź ich tak szybko, jakby chodziło o twe własne życie” — miał się wyrazić przyszły kardynał.

Nie tracąc czasu, postanowiłem spełnić życzenie Richelieu i zabrać ze sobą prócz doktora de Lysa również Turka, Idrysa Mardinu, a wraz z nim trochę naszych gadżetów, aby zachwycić nimi Jego Eminencję i przyspieszyć termin europejskiego kongresu.

Zastanawiałem się, kogo ostawić na dowództwie w Mont Romain i znów skończyło się na triumwiracie — sprawami wojskowymi miał zająć się André Foucheron, zaopatrzeniem, po staremu, Fallaci, natomiast koordynację wszystkich programów badawczych po chwili wahania powierzyłem Fawleyowi. Znałem jego solidność i angielską dokładność, z drugiej strony jednak obawiałem się nieco zostawiać mu komendę, albowiem rudy Sam łączył umysł geniusza z naiwnością dziecka. Van Haarlem jako koordynator z pewnością byłby lepszy, ale wiedziałem, że co najmniej połowa z naukowców zaprotestowałaby przeciw takiej nominacji, twierdząc, że protestanta jeszcze ścierpią, ale pod komendę Żyda za skarby tego i tamtego świata nie pójda.

Jak bardzo nadwątłony był tej nocy mój charakter, dowodzi łatwość, z jaką Laura wymogła na mnie swój udział w podróży do Paryża. Wystarczyła prośba: „Tak bardzo chciałabym obaczyć stolicę świata”, a ustąpiłem.

Do łodzi, którymi opuszczaliśmy sekretną przystań, odprowadził mnie Mirski. Jednoręki inżynier wyglądał na wielce zaniepokojonego moim odjazdem.

— O co chodzi, Stanislas?

— Źle ostatnio sypiam i głupstwa rozmaite chodzą mi po głowie — odparł, po czym zbliżając usta do mego ucha zapytał cicho: — Niech pan powie, mistrzu, zniweczmy tę srebrzystą szarańczę?

— Nie mam co do tego wątpliwości, Stanislas.

Na brzegu oczekiwało nas pięć zaprzęgów — w dwóch „pasażerskich” mieli podążyć Idris Mardinu, de Lys ze swym asystentem, ja, Laura i Anzelmo („iżby służyć waszej miłości własnym ramieniem w potrzebie”). W kolejnych saniach jechały prowianty i suknie, w pozostałych aparatury moc, od chirurgicznych narzędzi po broń i świeżo wyprodukowane środki wybuchowe. Sześciu konnych muszkietarów d’Artagnana nie stanowiło może znacznej eskorty, ale w razie czego zawsze mogliśmy dopuścić do głosu karabin maszynowy „Idrys-3”.

Blady świt zastał nas już na gościńcu, galopem minęliśmy uśpione Tournous, w obiad byliśmy w Challons, przystając jednak na tyle, ile wymagała zmiana koni. Po południu pogoda nieco poprawiła się, wyjrzało słońce, a śnieg topnieć zaczął. Dzięki doskonałej organizacji podróży, luzując co dziesięć mil konie, późną nocą zajechaliśmy do Autun. Ludzie dosłownie padali z koni, ale d’Artagnan tylko eskortę wymienił i sam do mych sań się przesiadł, gdzie natychmiast zasnął, wcześniej jednak nakazując gnać dalej bez zatrzymywania się. Tedy cały następny dzień przebywaliśmy w drodze, aby dotrzeć aż do Auxerre, gdzie pan de Baatz zmiłował się wreszcie, dając nam sześć godzin snu. Zresztą ocieplenie spowodowało konieczność zamiany sań na powozy. Wiele nie pospałem, Laura bowiem wymogła na mnie, bym kończył to, com w beczce tak porywczo napoczął.

Ponieważ należę do szkoły wyznającej maksymę, iż „niewiastom się nie odmawia”, wywiązałem się z onych zaległości. Przy okazji okazało się, że owe miłosne igraszki doskonale znieczulają ból mej ręki, toteż śmiało w swym sumieniu mogłem twierdzić, że to, co czynię, nie jest żadną rują czy zaspokajaniem chuci, a jedynie szczególnym rodzajem fizykoterapii.

Pod innymi względami dalsza droga przypominała koszmar, roztopy spowolniły tempo, konie grzęzły po brzuchy w błocie, łamały się osie podwód, a pod St. Julien omal nie utonął nasz „Idrys-3”. Aż żałowałem, iż na ona wędrówkę nie wybraliśmy się balonem. Wreszcie po całonocnych zmaganiach, nad ranem dotarliśmy do Nemours, gdzie zmęczenie i brak świeżych koni spowodowało znów pięciogodzinny postój. Przespaliśmy ten czas jak zabici. Niespożyty d’Artagnan poderwał nas jednak kole południa, wołając, iż Paryż jest o rzut beretem. Osobliwy musiał to być beret, szczęściem mrozek chwycił ponownie i mogliśmy zdwoić tempo. Przelecieliśmy jak wicher Fontainebleau, kierując się na Corbeil i Monthlery, sławne z bitwy, jaką kiedyś Ludwik XI z przeciwnikami jednośc królestwa tu stoczył.

Zmierzch zastał nas na przedmieściu Saint Jacques. Przedzierając się przez zatłoczone ulice przecięliśmy wyspę la Cite, lecz miast kierować się ku Palais Royal, gdzie rezydował Richelieu, d’Artagnan kazał naszym zaprzęgom skręcić w rozwartą bramę Luwru. Wielkie

zameczysko wydawało się nie zamieszkane, w ledwie paru oknach pełgały odblaski świec. Przy schodach czekał na nas samotny mężczyzna. Mazzarini!

— Jesteście! — zawołał, ręce nam ściskając. — Już traciliśmy nadzieję, prędeż, ach, prędeż!

W ogromnych korytarzach pałacu panował dotkliwy ziąb i krążyli chuchający w zgrabiące dłonie wartownicy. Szybko mineliśmy przedpokoje recepcyjne, tajnymi przejściami prowadzonymi wewnątrz murów, pod boazeriami i arrasami zaprowadzono nas do sali, wreszcie ciepłej, z ogniem buzującym w dwóch kominkach i oknami zasłoniętymi grubymi oponami. Na wielki stół rzucono świeże obrusy. Obok niego dostrzegłem grupkę ciemno ubranych kobiet, wśród których wyraźnie dominowała jedna, niemłoda, umiarkowanie urodziwa, o załzawionych, podkrążonych oczach.

— Pan go uratuje, mistrzu, na Boga zaklinam pana... — zawołała na nasz widok.

Poznałem Annę Austriaczkę. Obok niej na małym łóżeczku leżał piękny, może trzyletni chłopczyk o twarzy rozpalonej gorączką. Na nasz widok podniósł swe ogromne rzęsy i wyszeptał:

— Jestem Ludwik XIV, a pan?

— Derossi — odparłem, a zwracając się do królowej, Przedstawiłem doktora de Lysa. Ambroise pochylił się nad chłopcem.

— Lekarze podejrzewają ślepą kiskę... — powiedziała matka. Ambroise uniósł prześcieradło, delikatnie dotknął pachwiny, poruszył nogą chłopca. Usłyszeliśmy cichy jęk bólu.

— Wiem, że uzdrowiliście Saviniusza de Cyrana, mimo że nikt szans na przeżycie mu nie dawał — powiedział Mazzarini. — Uratujcie nam Delfina!

— Przygotujcie gorącej wody, wygotujcie moje narzędzia — chirurg rzucił dyspozycje nam i sługom pałacowym. — Na razie chcę porozmawiać z medykami.

Konsylium w pobliskim gabinecie trwało krótko, chwilę słychać było jazgot podniesionych głosów, po czym trzasnęły drzwi.

— Te konowały uważają mnie za szarlatana! — warknął, wracając, Ambroise.

— Ale my panu ufamy — powiedziała Anna Austriaczka, oglądając się na legata.

— Jego Eminencja przysłał pisemną zgodę króla na ten zabieg — dorzucił Giulio. — Wraz z Najjaśniejszym Panem przebywają w Rouen i za dwa dni tutaj staną. Ale chyba nie możemy czekać na nich z operacją.

— Obawiam się, żeby już teraz nie było za późno — westchnąłem. — Stan wygląda na zapalny, a nasza penicylina z pewnością nie jest jeszcze doskonała.

Już użycie tamponu z eterem wywołało poruszenie wśród dworek, błysk skalpela spowodował ich gwałtowne protesty.

— Opróżnić salę, panie poruczniku — warknął de Lys do d'Artagnana. — I więcej światła, jak najwięcej światła.

D'Artagnan wykonał polecenie, usuwając również Mazzariniego.

— Ja zostanę — oświadczyła Anna Austriaczka. Doktor dość bezceremonialnie wskazał jej szezlong pod ścianą.

— Tam! — Po czym zwracając się do mnie, rzekł: — Popróбуйте, mistrzu, ustalić grupę krwi Delfina. Zróbcie doświadczenie na przeciwciała, sprawdźcie zgodność z krwią Najjaśniejszej Pani. Na wszelki wypadek.

W międzyczasie Idris Mardinu połączył wszystkie posiadane baterie i zaświecił reflektory.

Zegar na wieży Luwru bił jedenastą, gdy de Lys dokonał nacięcia. Królowa jęknęła. Podnosząc głowę znad mikroskopu, pomyślałem o tych wszystkich scenach, których świadkiem mogła być ta sala, o rzezi hugenotów, kiedy ściany i stopnie schodów spływały krwią, o zbrodniach, intrygach i skrytobójstwach. Dziś komnata miała przejść do nowej historii chirurgii.

— Dobrze, nie ma perforacji — usłyszałem spokojny głos lekarza. — Usuwamy *appendix*.

Asystent dopomagał mu jak automat, mimo swej tuszy Anzelmo jako siostra instrumentariuszka poruszał się nader płynnie.

— *Sacre Dieu!* — znów odezwał się Ambroise — będą kłopoty z krzepnięciem.

Czyżby w rodzinie Burbonów już wówczas pojawiła się hemofilia? — przemknęło mi przez myśl.

Dopiero po dłuższym czasie udało się zapanować nad krwotokiem i zaszyć jamę brzuszną Delfina.

— Malec stracił mnóstwo krwi — niepokoił się doktor. — Winienem doprowadzić do transfuzji.

— O czym waćpanowie mówią? — Anna Austriaczka poderwała się z szezlonga, gdzie trwała pogrążona w modlitwie.

— Jego wysokość Delfin wymaga świeżej krwi — powiedziałem. — Trzeba niezwłocznie dokonać przetoczenia.

— Weźcie moją — zawołała królowa. — Dla mego syna oddałabym nawet serce.

— Niestety — powiedziałem. — Wedle moich testów zachodzi sprzeczność między waszymi grupami krwi. Najjaśniejsza Pani nie może być dawczynią.

— Ja nie mogę? Z jakiegoż powodu? To mój syn!

— Bywa, że dzieci dziedziczą grupę krwi po ojcu.

— Niestety. Mój najjaśniejszy małżonek przebywa w podróży... — zasępiła się Anna Austriaczka.

Wyszedłem z sali. D'Artagnan pilnował drzwi, zaś na pustych schodach siedział skulony i osowiały Mazzarini. Dotknąłem jego ramienia.

— Potrzebujemy waszej pomocy, ekscelencjo. Uniósł ku mnie znękaną twarz.

Pięć minut później weszliśmy do sali operacyjnej. Mazzarini zrzucił kaftan i podwinął rękaw. — Zaczynajcie transfuzję, w imię Boże! — rzekłem do medyka.

— Jest pan pewien, mistrzu, że nie będzie konfliktu grup krwi? — Ambroise popatrzył na mnie przenikliwie.

— Jestem pewien, zresztą nie mamy czasu na dodatkowe testy. Panie Mardinu, pompkę poprosimy...

Okolo trzeciej nad ranem blady niczym widmo Mazzarini (sam chyba wymagający transfuzji) wyszedł do grupki dostojników, dam i lekarzy, oczekujących bezsennie w antyszambrach.

— Chwalmy Boga na Wysokości. Kryzys minął, Delfin żyje i wedle mego mniemania żyć będzie — oznajmił.

Odpowiedział mu powszechny szmer ulgi. A koadiutor Paryża zaintonował *Te Deum*.

9. WIDZENIE KSIĘDZA PIOTRA

Próżno by szukać w ówczesnej prasie paryskiej jakichkolwiek wzmianek o naszych dokonaniach. Richelieu był mistrzem informacji i dezinformacji, a jego cenzura sprawnością ustępowała chyba tylko sowieckiej, a na pewno była inteligentniejsza. Sam, dzięki swemu Gabinetowi Prasowemu (pierwowzór Biura Prasy przy KC KPZR), sterował propagandą, kreował panegiryki poświęcone swej osobie i „zwalniał” paszkwile, tworzone z jego inspiracji, wyjątkowo chytrze, tak by ich nietrafne zarzuty czyniły go jeszcze większym. Powołał Akademię Francuską i miał swych faworytnych pisarzy, z których jeden Corneille może opierał się przesadnej kurateli mecenasa w sutannie. Toteż nikogo dziwić nie powinno, iż dramatyczna operacja Delfina nie doczekała się rzetelnej wzmianki w „Gazette de France” z dziesiątego decembra. Konsylium lekarskie podało jedynie o niegroźnej kolce jelitowej następcy tronu, którą przyszły Ludwik Wielki zwalczył sam mocą organizmu i dzięki experiencji dworskich medyków, między którymi daremnie by szukać doktora Ambroise’a de Lysa.

Jeśli idzie o mnie, dzień cały, noc i pół następnego po prostu przespałem, z rzadka budzony przez Laurę, czemuś nadąsaną, lecz nieustannie spragnioną codziennej porcji pieaszczot, na które nie miałem sił, choć chęci może by się i znalazły. Wyszmyknęło mi się też jedno słowo nieopatrzne, którego przyszło mi długo żałować.

Bywało dotąd, iż w trakcie naszych przekomarzanek, karesów i figli Catoni ponawiała pytanie, dla niej osobliwie ważne, dla mnie dość kłopotliwe:

— A ożenisz się ze mną?

Normalnie obracałem tę kwestię na tysiączne sposoby w żart, dawałem odpowiedzi wykrętne, zawsze jednak ostawiające nadzieję. Wówczas jednak, nad ranem, marząc już tylko o zaśnięciu, rzuciłem na odczepnego:

— Bardzo tego bym pragnął, kochana, niestety jestem już żonaty.

Po przebudzeniu zastałem dziewczynę zmienioną, splakaną i lubo usiłowałem wykręcić kota ogonem, twierdząc, iż żartowałem, użyłem metafory, boć moją żoną jest nauka i Święta Mądrość, stało się jasne, że zakiełkował między nami cierni drobny, aleć z tendencją wzrostową. Wówczas jednak nie miałem ochoty ani sposobności, aby się nad tym zastanawiać.

Wczesnym popołudniem przybył pan d'Artagnan z wieściami z Luwru. Delfinowi ustąpiła gorączka, zaś do miasta powrócił Kardynał i życzył sobie, bym zjawił się u niego po obiedzie, wchodząc do Palais Royal boczną furtą, przeznaczoną, jak mówiono, dla szpicli, dziewczek i intelektualistów.

Poszedłem tedy wraz z panem Charlesem pieszo, boć z przydzielonej nam kwatery pod kościoła St. Germain-des-Pres do rezydencji Pierwszego Ministra daleko nie było, starczyło przejść Sekwanę i minąć Luwr, by znaleźć się na miejscu. Mimo grudniowego chłodu postrzegałem otaczające nas miasto ruchliwym, gwarnym, wesołym, postępowałem więc z głową pełną fantastycznych pomysłów i grubą teką pod prawą pachą, lewą rękę gipsem miałem obłożoną. W pliku papierów zawarłem plód pracowitych dni i bezsennych nocy spędzonych w Cluny i Mont Romam, który nazwałem „Dziesięcioletnim Planem dla Europy”. Wedle mych marzeń miał on zawierać podstawowe tezy do wystąpienia Richelieugo na planowanym zgromadzeniu monarchów, mającym otworzyć jeszcze tej wiosny Nową Erę Porządku Europejskiego. Proponowałem, żeby ze względów komunikacyjnych i symbolicznych poniechać koncepcji ściągania owej śmietanki do Taizé i dokonać owego historycznego zgromadzenia w centrum dawnej domeny Lotariusza — Strasburgu.

Władcy Świata, Monarchowie — zaczynałem mój elaborat stosowną preambułą — od trzynastu wieków, to jest od chwili, gdy barbarzyństwo nadwątlilo porządek Imperium Romanum — kontynent nasz, de nomine chrześcijański, będący sercem całego globu, stał się widownią nieustannych wojen, łupiestw i plag. Obróciło się w ruinę Forum Romanum, strzaskane kolumny strzegą dziś Akropolu, saharyjski wiatr dawno rozniósł w pył mądrości aleksandryjskiej księżnicy. A ponawiane próby Charlemagna, Ottonów, świętego Ludwika czy wielkich papieży, aby stworzyć Europejski Wspólny Dom, czy raczej wspólną warownią, kończyły się klęskami, rzeziami lub tylko zawiedzionym nadziejami. W obliczu próby, jaką stanowi dla nas Cywilizacja Obcych — cywilizacja istot pragnących wydrzeć nam serca, w sensie zarówno przenośnym, jak i najbardziej dosłownym, postawmy sobie pytanie, co sprawiało, że z kontynentu Pax Romana staliśmy się łądem stałego niepokoju, bojaźni i ciemnoty. Co trzeba nam poza lękiem przed zagrożeniem większym niż Czyngiz Chan i Kulawy Timur, niż saraceńskie oddziały podchodzące pod Poitiers, byśmy mogli stworzyć jedność, zespolić wszystkie siły i odeprzeć wroga, a następnie, nie podzieliwszy się znów na swarliwe kraiki, żyć w błogosławieństwie pokoju?

Powiadają, że źródłem wojen są grzechy główne — pycha jednych, chciwość drugich, nieumiarkowanie trzecich być może — wszelako moim zdaniem pramatką jest głód, nędra, zarazy. Te mizeryje stanowią najczęstsze zarzewie buntów i rewolucji, wojen i despotyzmów.

Jeśli nakarmimy wszystkich, usuniemy praprzyczynę zła — i pozbedziemy się pierwszego konia onej apokalipsy, która trwa od stuleci. A jest to możliwe — ziemniak amerykański, łatwy w uprawie, może dać strawę milionom, zaś burak cukrowy osłodzić im życie, natomiast uprawa warzyw wygnać większość chorób. Nowe metody hodowli, uszlachetnianie gatunków wraz ze sprawną komunikacją wyplenią na zawsze plagę głodu.

Drugim rumakiem zagłady jest ciemnota. Zeszłowieczne Odrodzenie było jeno wąskim promykiem nadziei, który przedarł się przez mroki epok, w których pismo znali nieliczni, a myślenie traktowano jako wyzwanie rzucone Wszechmogącemu. Dajmy ludziom oświatę ogólną, wprowadźmy obligatoryjne nauczanie powszechne, sprawmy, aby talenty i umiejętności pozwalały na awans mężom i kobietom niezależnie od ich pochodzenia, a osiągniemy przyspieszenie niezwykle, które obok sytości żołądków karmić będzie ducha.

Aliści moc umysłu pozbawiona siły moralnej może stać się zaczynem rozkładu, psując smak na podobieństwo łyżki dziegciu w beczce miodu, co gorsza, może z czasem doprowadzić do wyrodzenia cywilizacji. Sprawić, że goły rozum stanie się takim samym fetyszem jak złote cielce. Doświadczenia kultur, które przeminęły jak piana i mierzwa, wskazują, iż zadufana, pozorna mądrość bywa często tragiczniejsza od pełnej głupoty. Pozbawiony roztropnej pokory umysł może popaść w złudne przekonanie, że człowiek jest miarą wszechrzeczy, że Bóg umarł, ale ludzie mogą czynić wszystko, co zamarzą.

Owa pokusa stanowi w istocie skrzynkę Pandory — likwiduje bowiem sens bytu, stałość zasad, usuwa podstawę wszelkich miar, wpędza człowieka w wieczny niepokój, relatywizm, być może początkowo twórczy, potem jednak skazujący go na rozmaite protezy absolutu — obłądne ideologie, wymyślone systemy, tyranie, rozmaite próby zapanowania nad umysłami... Albowiem, jak powiedział jeden z wielkich papieży: „Nie można zrozumieć człowieka, nie można zrozumieć tej Ziemi bez Chrystusa!”

Jednakże trzeciemu koniowi naszej zatury na imię nie tylko ateizm, ale również nietolerancja. Wiek z górą mija od chwili, gdy podzielił się Kościół Łaciński — Dom Boga, a Pięć wieków wcześniej wzajemne ekskomuniki dokonały zerwania Wschodu z Zachodem. W ciągu ostatnich stu lat w imię Chrystusa zabito więcej wiernych niż niewiernych. Nie wzywam tu jednak do szybkiego pogodzenia Kościołów, wiem, że to trudne, wręcz niemożliwe, nawet jeśli uznamy Ojca Świętego za opiekuna Eurofederacji. Ale przecież wystarczy przyjąć, iż zespolona Europa ma być wspólnotą świata doczesnego i służyć jego obronie, a zniknie ów

kamień niezgody. Niech każda z religii uważa, iż ma klucze zbawienia, niech propaguje to słowem i piórem, lecz nie stosem i inkwizycją. Niech przestanie istnieć szaleńcza zasada cuius regio eius religio. Bóg dał ludziom wolną wolę — dał też Objawienie — jeśli niektórzy pragną poszukiwać zbawienia ścieżką inną niż rzymska, niepewną, ryzykowną, może ślełą, nie można im odebrać tego przyrodzonego prawa. Onej wolnej woli, którą u zarania dziejów człowieka obdarzył nas Pan.

A czwarty koń — nazwę go brakiem umiaru, może i pożytecznym w wieku młodzieńszym, gdy ożywia działania, uruchamia pęd do doskonalenia, wszakże rozbuchany w wieku dojrzałym jak koń oszalały ponosi aż do zatury. Brak umiaru, niezdolność do kompromisu, przerost ambicji, jeśli jeszcze spiąć go jak ostrogę hasłem, iż wszyscy ludzie mają być równi, musi zaowocować rozdmuchaniem najgorszych człowieczych wad — zawiści, pazerności, podłości. Równi będziemy na Sądzie Bożym, na ziemi zaś mamy różne umiejętności, odmienne marzenia, zróżnicowane potrzeby, ergo naucmy się z tym godzić. Jeśli pycha jest pramatką grzechów, pokorę winniśmy uznać za najstarszą z cnót. Starożytni Grecy znali harmonię ciała i umysłu, dawni Rzymianie cenili powściągliwość, my nazwijmy tę ideę samoograniczeniem dążeń, rachowaniem się z aspiracjami innych, ustępowaniem nawet wówczas, gdy zdaje się to nam krzywdą, w imię wielkiej nadrzędnej europejskiej solidarności...

Tyle preambuła — w dalszych częściach pisałem o planie wielkiej przebudowy: o projektowanych centrach wydobywczych i metalurgicznych, o sieci dróg żelaznych i kanałów, o lotach balonowych, nim rozwinie my lotnictwo, o reformie uniwersytetów, o wspólnej polityce obronnej...

Mój Boże, czego ja tam nie proponowałem. A w każdym razie *oczyma* mej wyobraźni już to widziałem spełnione.

*

D'Artagnan szedł przodem, wielkimi krokami gaskońskiego górala, torując mi drogę wśród tłumu i rzucając co rusz komplimenty zaczepiającym go straganiarkom, ja zaś postępowałem za nim, zatopiony w rozmyślaniach, obojętny na świat zewnętrzny. Dopiero przechodząc mostem Pont Neuf, zorientowałem się, że podąża za nami dwóch obwiesi o gębach wielce paskudnych, ospowatych, nie podobał mi się też idący niedaleko za nimi mężczyzna w czarnym płaszczu o oliwkowej cerze południowca. Chciałem zwrócić na nich uwagę

d'Artagnanowi, ale właśnie jakiś mąż starszy zastąpił mu drogę i grzecznie spytał, jak dojść do Palais de Justice.

W tym samym momencie inny drab, krępy, wyrosły jak spod ziemi zderzył się ze mną, aż zatoczyłem się na balustradę. Myślałem, przypadek to, ale już jeden z idących za nami hultai wyrwał mi spod pachy moje manuskrypty, drugi ku nogom się schylił, chcąc mnie najwyraźniej przez barierę w toń Sekwany strącić.

Wrzasnąłem gromko na muszkietera i niewiele myśląc, rąbnąłem łotra moim gipsem przez łeb. Padł zamroczony, wszelako drugi z bezcennymi rękopisami biegł już w stronę placu Dauphine. D'Artagnan, który chciał przeciąć mu drogę, miał własne kłopoty, starszawy suplikant schwytał go za ramię jedną ręką, a drugą sztyletem w oczy zaświecił. Równocześnie przechodzień, który wcześniej zderzył się ze mną, dobył szpady.

Charles de Baatz, wiedziony instynktem, który zapewne po wielekroć z gorszych opresji go ratował, uskoczył i zaraz porwał za swoją broń. Nie miałem czasu czekać na wynik pojedynku, skoczyłem za umykającym złodziejem, atoli drugi z napastników, lubo powalony, chwycił mnie za łydkę, no i rozciągnąłem się jak długi. Od upadku mało mi żebra nie popękały, uderzyłem bowiem w bruk króciwą za pas zatkniętą. Przypomniało mi to, iż nie jestem bezbronny. Rzuciłem okiem w tył, widząc jednak, że rzezimieszek umyka na czworakach ku Dzielnicy Łacińskiej, wrzasnąłem za nim:

— Stój, łotrze, na rany Chrystusa, bo strzelać będę!

Nie zareagował, głowę mocniej w ramiona wtulił i sadił wielkimi susami ku kramom, między którymi skryć się zamierzał.

Turek Idrys, konstruktor bębenkowej króciwy, okazał się wcale dobrym rusznikarzem. Już mój pierwszy strzał ugodził łotrzyka w nogę, ale ten dzielnie kuszykał dalej. Strzeliłem drugi raz i trzeci, trafiony wrzasnął i znikł za straganem.

Popatrzyłem ku d'Artagnanowi. Muszkieter też nie tracił czasu, krótkim cięciem w czoło pozbył się nożownika, potem zaś pięknym wypadem przeszył brzuch starszawego napastnika, który teraz, wyjąc z bólu, wił się po trotuarze.

— Moje rękopisy — zawołałem do Charlesa i obaj podbiegliśmy tam, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć rannego złodzieja. Był tam. Wytrzeszczonymi, martwymi oczyma wpatrywał się w chłodne niebo. Przyklęknałem obok niego, rozglądając się dookoła. Moja teka zniknęła. Nie znalazłem jej wśród straganów ani pod zabitym łapserdakiem. Któż mógł ją podwędzić? Gapie dopiero wychylali nosy zza szkarp i kramów.

Świadkowie zajścia twierdzili, że gdy złodziej padał, pakunek z jego rąk porwał przechodzący obok śniady mężczyzna w czerni. Przeraziłem się nie na żarty, nie chcąc

myśleć nawet, co będzie, kiedy me niepomiernej wagi notatki trafią w niepowołane ręce. Tymczasem i drugi z zamachowców wyzionął ducha, nie było więc nawet kogo przesłuchać.

Załamani dowlekliśmy się do Palais Royal. Tamże w bocznej sieni zastaliśmy oczekującego nas Mazzariniego.

— Nie zgubiliście przypadkiem czegoś, kawalerze — zapytał z uśmiechem, podając moje papiery, nieco ubłocone i zakrwawione, ale, jak się przekonałem, kompletne. — Paryż wprawdzie nie Neapol, ale to również niebezpieczne miasto dla nierozważnych spacerowiczów, na szczęście Jego Eminencja wszędzie ma swych oddanych ludzi.

Spytałem, czy może wie, kim byli napastnicy. Wzruszył ramionami.

— Wynajęci *sbirri*. Tacy przeważnie nie wiedzą nawet, dla kogo pracują. Ale, póki pamiętam, mam dla was jeszcze jeden podarunek — to mówiąc wyciągnął puzdereczko małe, a w nim sygnet złoty pięknej roboty z literą „L” na krwawniku. — Matka dziękuje wam za syna — powiedział cicho i nie zezwalając mi na odpowiedź, dodał: — Teraz już idźcie, mistrzu, albowiem Jego Eminencja nie może się doczekać spotkania z wami.

Spodziewałem się znaleźć kardynała w dobrym humorze, jednak zastałem go wyjątkowo chmurnym, choć na powitanie uściśnął mnie serdecznie. W ciągu niespełna pół roku od naszego ostatniego spotkania posunął się znacznie, jego skóra przybrała fakturę zleżalego pergaminu. Można powiedzieć, żył jeszcze, ale bardziej zdawał się być własnym duchem.

Zamierzałem zaznajomić go z moim planem, wcześniej jednak chciałem, by zapoznał się z ekspozycją najciekawszych wynalazków, jaką Ambroise wraz z Idrysem przygotowali w jednej z galerii Palais Royal. Kardynał dobrą godzinę słuchał o naszych osiągnięciach, nie szczędził pochwał i słów podziwu, z dużym zainteresowaniem zerkając w mikroskop czy oglądając zapalającą się żarówkę, cały czas wszelako wydawał się po części nieobecny. Na kulminacyjną prezentację zeszliśmy na dziedziniec sekretny, maleńki, którego istnienia, patrząc z zewnątrz na solidne mury rezydencji, trudno by się domyślać. Dostrzegłem tam „Idrysa-3” z tarczą pełną nabojów i uwijającego się przy nim Mardinu. Pod ścianą stały manekiny z papieru i materiału, wszelako Richelieu zmienił nam scenariusz. Ledwieśmy tam zeszli, otwarły się drzwi wiodące do piwnic i na podwórzec wypchnięto z dziesiątkę brudnych oberwańców. Zdrętwiałem.

— Wasza Eminencja nie zamierza chyba...

— Zamierzam, mości kawalerze! — Po raz pierwszy uśmiech pojawił się na wąskich wargach kardynała. — Przywieziono ich z Bastylii, są to skazani na śmierć zbrodniarze: ojcobójca, rozbójnik, truciicielka, fałszerz pieniędzy, sodomita, fałszywy prorok... Słuchałem tej listy nieuważnie, zachodząc w głowę, jak wytłumaczyć kardynałowi, że w Zjednoczonej

Europie nie powinna istnieć kara śmierci, kiedy słowo „fałszywy prorok” obudziło mą czujność. Pólnagi skazaniec był kudłaty jak niedźwiedź, dość młody jeszcze, choć przedwcześnie posiwiał, wszelako tak nierówno, że wyglądał bardziej na nieznany gatunek zebry długowłosej niż na ludzkie stworzenie. Głowę był opuścił, mrużąc pod nosem ni to modły, ni to przekleństwa. Jednak pod ciężarem mego spojrzenia wzrok podniósł i jak nie wrzaśnie...

— Aldo, na rany boskie, wyciągnij mnie z tego gówna, zanim tutejsze ciemniaki poszatkują mnie na sałatkę!

— Znacie się? — Richelieu wydawał się być zdziwiony.

— Nie jestem pewien — powiedziałem. — Rad byłbym jednak porozmawiać z nim na osobności.

— Czyż mógłbym ci czegoś odmówić? — uśmiechnął się dobrotliwie Pierwszy Minister i po chwili d'Artagnan doprowadził do mnie kudłatego skazańca.

— Ostaw nas samych, przyjacielu — poprosiłem muszkietera, przechodząc z kudłaczem do niewielkiej komnaty w przyziemi.

Tam chwilę krążyliśmy wokół siebie, przypatrując się sobie nawzajem w milczeniu, jak dwaj zapaśnicy przed walką. Wreszcie więzień mruknął.

— Niech mnie diabli! Aldo Gurbiani kręci film płaszczka i szpady!?

Teraz i ja go poznałem.

— Lino, na Boga, co robisz w świecie, który jest wyłącznym wytworem mojej wyobraźni?

— O to samo chciałem cię spytać, Aldo, czy zawsze musisz mi zabierać co fajniejsze odzywki?

Rozstając się z Lino Pavonem przed ponad dwu laty na przełęczy św. Bernarda, w okolicznościach, nie taję, dość ekstremalnych, nie przypuszczałem, że go kiedykolwiek zobaczę. Zresztą ów eks-hippis i były pacyfista, geniusz komputerowy i przywódca współczesnej wspólnoty rosettińskich żebraków, niezależny filozof i informator mafii, znikł wraz ze swymi kumplami z mego życia i kanałów Rosettiny, tak jakby go tam nigdy nie było. A prawdopodobieństwo, że spotkam go w XVII wieku w Palais Royal, było tak znikome, jak znalezienie jednego pyłka we wszechświecie.

Na podwórku rozszczękał się karabin maszynowy, drgnąłem instynktownie, a Lino tylko westchnął.

— Pytasz, co się ze mną działo? No cóż, po naszych wspólnych awanturach grunt w Italii zaczął mi przypiekać stopy, toteż czym prędzej dałem nogę i *via* Malta dotarłem do Libii. Ale długo tam nie wytrzymałem. Zresztą, kto może wytrzymać w Libii poza Libijczykami, którzy

przeważnie nie mają wyboru? Napić się nie wolno, a za małe „barabara” grozi katowski topór albo ślub z Arabką, co prawdę powiedziawszy na jedno wychodzi. Pożeglowałem więc dalej, przez sezon siedziałem w Hurghadzie nad Morzem Czerwonym jako instruktor *dwingu* przy Hotelu Sand Beach. Tam z kolei kobitek, szczególnie niemieckich turystek z wściekłą macicy, jest aż do przesytu, toteż kiedy dostałem ofertę roboty w ukochanej ojczyźnie, nie wahałem się ani minuty. Towarzysze z Partii Zielonych załatwili mi paszport, piękną, choć fałszywą tożsamość i robotę w Lago Vanina.

— A niech cię! Z twoimi ekologicznymi przekonaniem poszedłeś pracować w elektrowni atomowej?

— Trochę znam się na tej branży, a poza tym nie nazwałbym tego pracą. Myślałem, podobnie jak moi zieloni przyjaciele, o małym sabotażu w interesie społeczeństwa. Niewielki wyciek, dużo hałasu w prasie i musieliby zamknąć ten obiekt, co zalega jak czyrak na karku Rosettiny.

— Marzył ci się Nowy Czernobyl?

— Bez przesady. Czernobylek. Żadnych ofiar! Niestety. Okazało się, że szmelc mają tam gorszy niż podejrzewałem. Moje działania spowodowały przedwczesną awarię i eksplozję... No i w parę minut przyjąłem tyle radów, że przez najbliższe sto lat mógłbym świecić zamiast krzyżyka na wieży Santa Maria del Frari.

— Zginąłeś?

— Powinienem, ale póki pamiętam, żyłem, byłem nawet przytomny. Zabrali mnie do szpitala, wiesz, tej nowoczesnej kliniki nad rzeką: szkło, aluminium i inne bajery. — Pamiętasz, kiedy to się zdarzyło?

— Jasna sprawa. Trzynastego czerwca.

Na moment przymknąłem oczy. Trzynastego czerwca! Dzień mojej operacji. Monika proponowała nawet, żeby opóźnić ją o jeden dzień, ja jednak i doktor Mason utrzymywaliśmy, że trzynastka jest dla nas przychylna.

— Słabo pamiętam szczegóły — ciągnął Lino. — Pielęgniarki w strojach kosmonautów przywieźli mnie na szpitalny parking, wsadzono mnie do windy... I naraz hooop...

— Co się stało?

— Nic! Film mi się urwał. No i znalazłem się tutaj.

— W Paryżu?

— Żeby! W jakimś kanale ściekowym pod Rosettiną. Kompletnie ogłupiały. Od pół roku nie mogę uwierzyć, że osunąłem się ponad trzy wieki w dół.

— Która to była godzina?

— Nie miałem okazji popatrzeć na zegarek. Zaraz... Czekaj... Dziesiąta, a może jedenasta.

Z wrażenia zaczerpnąłem więcej powietrza. O 10.28 zaczęła się moja operacja, przypominam sobie tarczę zegara ponad głową chirurga. Gdzieś w piętnaście minut potem straciłem świadomość.

— Nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć, ale wygląda, że jakimś cudem pociągnąłem cię za sobą do tego świata. — Tu pokrótce opowiedziałem mu o swym guzie, operacji i nagłym przejściu w sferę, którą uznawałem za domenę własnej imagacji.

— No to już wiem, komu dziękować za pół roku tułaczki bez pieniędzy, bez wygod, bez *air condition*... — zaśmiał się sarkastycznie Lino. — Dobrze, że przez parę lat hartowałem się w kanałach, więc nic zaskoczyć mnie nie może. Nadto w tym siedemnastym wieku ludziska superłatwowierne, każdy bajer wciskać sobie dają, więc robiłem trochę jako bioenergoterapeuta, po ichniemu cudotwórca, dorabiałem wróżeniem oraz karcianą szulerką i gdyby mnie nie podkusiło, by z altruistycznych pobudek głosić w pospółstwie ideały wolności, równości i braterstwa, to bym żył jak król...

Rozległo się skrzypnięcie drzwi i do sali zajrzał Richelieu.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, mistrzu il Cane, czy możemy powrócić do naszej rozmowy?

— Jestem do usług, Wasza Eminencjo.

— Chyba mnie tak nie zostawisz na odstrzał?! — zaniepokoił się Lino.

— Potrzebuję tego człeka! — rzekłem do ministra.

Kardynał spojrział na mnie dziwnie.

— Wyrok został wydany. Ale jeśli może się to przysłużyć naszej sprawie, jestem władny zawiesić egzekucję na czas jakiś...

— Na sto lat, Eminencjo, i będziemy kwita — zaproponował Pavone zachowujący nawet w tej sytuacji poczucie humoru.

Zostawiwszy niedoszłego umrzyka pod opieką Anzelma, któremu nasz nowy towarzysz raczej się nie spodobał, dałem się zaprowadzić kardynałowi do narożnej, trójkątnej komnaty, w której zapewne załatwiał najtajniejsze sprawy, nie miała bowiem okna, a drzwi wprawdzie dwoje, ale osobliwie niskie i wąskie niczym wrota do raju.

— W imieniu króla wyrażamy wam swą wdzięczność, *maestro* — powiedział gospodarz Palais Royal. — Przy najbliższej okazji w uznaniu twych zasług król mianuje cię hrabią de Mont Romain, ja zaś zarekomenduję was do Rady Królestwa. Dokonałiście niezwykłych

rzeczy, samo uzdrowienie Delfina to już prawdziwy cud. Cóż, nigdy jeszcze tak wiele nie zależało od tak niewielu.

Uśmiechnąłem się, słysząc ten mimowolny plagiat wypowiedzi Winstona Churchilla, i rzekłem:

— Nie mogę się doczekać chwili, kiedy to, co jest prototypem, stanie się powszechnością w całej Europie. Parę miesięcy temu wydawało mi się, iż jesteśmy bez szans, obecnie dzięki osobowościom zgromadzonym przez Waszą Eminencję jestem ostrożnym optymistą.

— O tym właśnie zamierzam z wami pomówić. Zaniepokoiłem się, gdyż głos kardynała zabrzmiał nad wyraz posępnie.

— Jak wam mówiłem, mości hrabio (pięknie zabrzmiał ten tytuł), nie należę do ludzi przesadnie zabobonnych. Oskarżają mnie wprawdzie, że wierzę w magię, horoskopy, wróżby, atoli są to jedynie oszczerstwa podłe, zaręczam ci, myślę i działam bardzo racjonalnie. Jeśli nie położyłem kresu aferze „diabłów z Loudun” wywołanej przez tę szaloną Matkę Joannę od Aniołów i nie uchroniłem nieszczęsnego księdza Grandiera od kaźni, to jedynie dlatego, iż znajdowałem się pod naporem partii dewotów, a i nasz Miłościwy Pan żądał... — urwał i westchnął głęboko, jakby kamień jakiś serce mu uciskał. — Do rzeczy jednak. Jak dotąd zwidy i halucynacje *padre* Gomeza sprawdzały się. Toteż traktowałem je dość poważnie. Nie zaskoczę was pewnie, jeśli powiem, że ów niezwykły Hiszpan, przewidział chorobę Delfina i dlatego mogliśmy posłać po was już przy pierwszych objawach *appendixa*. Toteż gdy wyjawiał mi, jakie majaki nękają go ostatnio, moje serce zamarło ze zgrozy. — Jakież to majaki?

— Niech sam wam opowie.

Mazzarini sprowadził Gomeza. Mogłem się przekonać, że również po ojcu Pedrze widać było zzerającą go chorobę. Wyglądał, jakby ostatni raz spał dobre pięć lat temu, szerniał jeszcze bardziej i posiwiiał, chociaż na mój widok usiłował się uśmiechnąć.

— Opowiedz, ojcze, swe ostatnie sny — odezwał się kardynał Richelieu.

*

Obraz, który przedstawiał nam Hiszpan, nie miał wcale chaotycznej struktury snu. Przypominał raczej barwny i precyzyjny hologram. Gomez, z oczyma zamkniętymi jak ślepiec, mówił głosem cichym, można rzec monotonnym i było w tej pozornie beznamiętnej relacji coś przerażająco realnego.

Wieczór zapadał parny i lepki. Nic nie zapowiadało, by noc następująca po upalnym dniu mogła przynieść wyraźne ochłodzenie. Cały Paryż wyległ o zmierzchu na ulice, bogaci odpoczywali w swych ogrodach, biedniejsi wspinali się na dachy, zamierzając spać na nich na podobieństwo ludzi Orientu. Niemiłosierny żar pochłonął całkiem sporo ofiar. Niejeden człek, razony udarem, dogorywał w głębi domostwa, a ogłupiały zwierzostan zachowywał się dość ekstraordinaryjnie. Psi wyli, mimo iż księżyc jeszcze nie wzeszedł, ptactwo nie wyleciało na wieczorny żer, zaś przekupki przy bramie Saint Antoine mówiły, iż od samego popołudnia widziały setki, jeśli nie tysiące szczurów uchodzących z miasta, równymi, zdyscyplinowanymi kolumnami, na podobieństwo mrówek. Na ulicach i placach co rusz tworzyły się zatory, głównie za sprawą narowistych koni, które bez wyraźnego powodu ponosiły, stawały dęba, strącały jeźdźców bądź kasały się między sobą jak w trakcie zapamiętałego szału bitewnego. Zarazem i bez tego ruch był większy niż zwykle, albowiem naraz tysiące ludzi wyższego stanu powzięło myśl opuszczenia miasta i udania się do swych wiejskich posiadłości. Ówdzie ponosiły nerwy, dochodziło do ulicznych utarczek, błyskał rapier bądź pięści lokajów spadały na pyski gapiów. Po szynkach wino lało się bez opamiętania, zaś kupy kobiet i dzieci nie wiedzieć czemu gromadziły się przed drzwiami kościołów, gnane nieznanym impulsem do domów bożych. Kole godziny ósmej naraz zaczęły bić wszystkie dzwony — wpierw odleglejsze, w Saint Germain, Nanterre, potem Boulogne, Colombes, Neuilly; ich głucha muzyka podążała od zachodu ku centrum, jakby chcąc ścisnąć obcęgami trwogi samo serce stolicy. I już dzwoniły wszystkie na *larum* od Saint Cloud po Vincennes, od Montmartre’u po wzgórze nazwane później Montparnasse. Ludzie niespokojnie unosili głowy, pytając się, czy król umarł, czy też Anglicy może wylądowali w Normandii.

Na taras Luwru wybiegła sama Anna Austriaczka, w czerni świeżej żałoby, z liczącym może siedem lat Ludwikiem i młodszym odeń Filipem. Towarzyszył im Mazzarini w stroju kardynalskim.

Na tle czerwieni nieba, przypominającego teatralną kotarę, ukazał się wnet powód owego alarmu, lśniący punkt lecący z nadzwyczajną prędkością, który rósł w oczach i jak kometa ciągnął za sobą białą smugę poprzez cały nieboskłon. A ryk wściekły, rozzierający bębunki uszne, Podązał dopiero długo po nim. Zapewne niejednemu z setek paryskich kapłanów przypatrujących się owemu zjawisku wspomniały się słowa Objawienia świętego Jana: „Jeśli czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej i nie poznasz godziny, zanim nie przyjdę”.

A nie był to świetlisty dysk, jakich wiele widywano przedtem, lecz stalowy ptak mający kształt ostrego trójkąta z dziobem drapieżnym. Schodził w dół, jakby chciał przyszpilić

miasto, lecz będąc tuż ponad wzgórzem Chaillot, poderwał się znów ku górze, a spode skrzydeł oderwały się dwa srebrzyste cygara, ogniem zionące. Obie lecące z prędkością kuli armatniej ominęły Luwr. Jedna eksplodowała na wyspie La Cite, trafiając w wielką rozetę katedry Notre Dame, w oka mgnieniu zmieniając prastarą świątynię, jej wieże i nawy, ołtarze i maskary w jeden kłęb ognia, dymu, gruzu. W okolicy poleciały wszystkie okna, podmuch obalił rodzinę królewską, wyrwał z korzeniami drzewa w Ogrodzie Tuilleryjskim i obsypał przestrzeń wokół deszczem dachówek, rynien i cegieł.

Drugie cygaro eksplodowało po stronie Łacińskiej, tam, gdzie wznosiły się gmachy Sorbony. Substancja zapalająca z onej bomby objęła ogniowym morzem prastare mury dzielnicy uniwersyteckiej, zmieniając ją w powszechne piekło. Widziano więc ludzi topiących się w ogniu, płonące włosy niewiast i dziecińy skrzęcające się w żarze na podobieństwo skwarek...

— Widziałeś to wszystko w swoim śnie — przerwałem ojcu Pedrowi. — A obrona, a nasze działa przeciwlotnicze? Nie zareagowały?

Otworzył oczy; zdały mi się przerażająco wpadnięte i puste.

— Nie było żadnej obrony — wyszeptał. — Ale nie to mnie zmroziło najbardziej. Obaczyłem bowiem dużo więcej. Jakbym był ptakiem, uniosłem się ponad gorejącym miastem w górę, ponad chmury, tak że z wysokości wielu mil mogłem oglądać pod sobą nieomal całą Europę. Przypominała wycinek globusa, z tego dystansu dokładnie postrzegałem krzywiznę kuli ziemskiej. Mogłem się też naocznie przekonać, iż szatańscy Srebrzyści nie wybierali swych celów przypadkowo.

— Zważcie, panowie, iż w Paryżu ugodzili nie w pałac królewski czy w garnizon, lecz w kościół i uniwersytet, w wiarę i wiedzę, dwa filary naszej cywilizacji — powiedział kardynał.

— Prawda, nigdzie nie marnowali swoich bomb bezmyślnie — powiedział Gomez. — Mogę to potwierdzić, unosiłem się bowiem wysoko ponad ziemią niby na latającym dywanie, a ponieważ noc trwała bezchmurna, widziałem jak na dłoni płonący po ich ataku Rzym i Londyn, zniszczone Wiedeń i Moskwę, Lizbonę i Sambuł. Najgorszy los spotkał jednak Madryt, stolicę królestwa, które wydało Corteza. Wczesnym rankiem postrzegłem tam gwałtowny wybuch i oślepiającą, jaśniejszą od wschodzącego słońca kulę ognistą, która promieniowała, zda się, na cały środek Kastylii, a potem przeformowała się w chmurę olbrzymią, kształtem przywodzącą na myśl dąb prastary, niebios sięgający. Jak mówi Pismo: „Stało się. I spadała z nieba wielka gwiazda jak pochodnia i utworzyła się czeluść jak studnia i dym uniósł się ze studni jak z wielkiego pieca, a od dymu zaćmiło się słońce i powietrze”.

— Jednak sen twój dotyczył dalszej przyszłości? — dopytywałem się. — Powiedziałeś, iż Delfin był w nim starszy, królowa trwała pogrążona w żałobie, a Mazzarini został już kardynałem.

— Tak, lecz była to przyszłość bardzo niedaleka — sprecyzował Gomez. — Odległa od nas najwyżej o trzy, cztery lata. Pozwól jednak, mistrzu, że opowiem ci jeszcze inny z sennych majaków, albowiem układały się one w ciąg opowieści, z których kolejna zdawała się poszerzać poprzedzającą.

— Słucham uważnie.

— Przyśniło mi się mianowicie, iż jak za młodych lat wspiałem się z wraz gromadą dzieciaków na cypel skalny, górujący ponad przylądkiem wychodzącym w morze. Za mną nad rzeką rozlewającą się w obszerne estuarium rozłożyło się znaczne miasto. Poznałem, iż rzeką tą jest Tag, miastem Lizbona, zaś miejsce, na którym się znalazłem, zowią przylądkiem Roca. Rychło też pomiarkowałem, iż nie przebywam w czasach mego dzieciństwa, a znów w przyszłości nie za odległej. Dzień był jasny, wszelako nad morzem jeszcze leżała mgła poranna. Swojsko grały cykady, chłopaki urwisowały wokół latarni morskiej, ja zaś z dziwnym niepokojem trwałem oparty o skałę. I naraz wiatr się zerwał i zdarł mgły woal.

— Ujrzał ksiądz bezkresne morze?

— Morza dostrzegłem nie za wiele. Ujrzałem za to flotę. Największa z flot, jaka kiedykolwiek pływała po oceanach, zda się powracały wszystkie nasze jednostki, które przepawiły się ostatnimi łąty przez ocean: karawele i galeony, brygantyny, fluity, pinasy. Okręty, które najwyraźniej zostały przejęte siłą przez nieprzyjaciela i przezbrojone przezeń, nie widziałem bowiem tradycyjnych dział, kierowały się ku ujściu Tagu. I czułem, jak strach dławi mi gardło, zwłaszcza gdy ujrzał mrowie brunatnych postaci zalegających wszystkie pokłady. Czciociele Pierzastego Węża i Pióra Kolibra gotowali się do inwazji. Czekala nas rekonkwista. A koło siebie nie widziałem najmniejszych nawet przygotowań do obrony, dopiero teraz poznałem, że dzieciaki były brudne i głodne, zaś miasto poza nami jest wyludnione i zniszczone.

Umilkł, oddychając nerwowo a płytko, jak ktoś, kto wynurzył się dopiero z wodnej kipieli.

— To chyba zmienia nasze plany — powiedział Richelieu. — Wizja księdza Gomeza dowodzi, że nie dysponujemy dziesięcioleciaми dla przygotowań, do konfrontacji z wrogiem pozostało nam najwyżej kilka lat.

— Ale w takim razie nie możemy nic uczynić — jęknąłem. — Co najwyżej winniśmy sposobić się do wojny partyzanckiej, organizować ogniska oporu, nade wszystko wypada rozproszyć grupę naukowców i ukryć wyniki naszych badań.

— Miałem inny sen, dziś nad ranem — przerwał mi z nagłą Gomez. — Inny od wszystkich. Przebywałem w kwitjącym sadzie i widziałem świetlistą postać w bieli, idącą ku mnie. Nie widziałem ni jej twarzy, ni szat, tak wielka opromieniała ją jasność, aliści sam jej widok niweczył mą bojaźń i niewiarę. Nappełniał mą duszę spokojem i rozważą.

— Czy ta postać coś mówiła?

— Ani słowa. Ale gdym się przebudził, miałem wrażenie, iż nareszcie wiem, co czynić.

— Co?

— Powrócić tam! Do Ameryki. Dojść do źródła ich mocy, poznać przeciwnika.

— I ja myślałem o tym od dawna — wtrącił Richelieu. — Dobrze ponad miesiąc temu poleciłem kapitanowi Froissartowi udać się do Nantes i gotować jego „Henriette” do drogi.

— Wasza Eminencja chce go wysłać w paszczę smoka. Jednym statkiem?

— Myślę o większej ekspedycji, *maestro*. Pospołu z wami, z panem Mardinu, z doktorem de Lysem, z waszymi cudownymi aparatami.

— Mimo wszystko to czyste szaleństwo — zawołałem. — W obecnej chwili będzie to atakowanie wykałaczką nosorożca.

— Popłynę z wami — powiedział impulsywnie Pedro Gomez. — Wiem, że to się może udać.

10. CZAS NIEPOWODZEŃ

Richelieu uważał, iż chcąc zdążyć na Karaiby przed wiosennymi huraganami, powinniśmy ruszać natychmiast. Ustaliliśmy tedy, że wyjedziemy nazajutrz o świcie. Zrazu końmi do Orleanu, a potem, jeśli Loara nie będzie skuta lodem, statkami aż do jej ujścia. Anzelmo nie wykazywał szczególnego entuzjazmu do podróży, twierdząc, że nawet widok pełnej miednicy wody przyprawia go o morską chorobę, a co dopiero wzburzony ocean. Odwrotnie Lino. Po powrocie z Palais Royal znalazłem go na kwaterze, którą Mazzarini wyznaczył nam na odpoczynek. Pavonego, umytego i podstrzyżonego, zastałem w towarzystwie Laury, którą zabawiał sztuczkami z trzema kartami i, jak zauważyłem, w krótkim czasie zdążył ją ograbić z kolczyków, pierścienia, a obecnie grali o naszyjnik. Kazałem szulerowi zwrócić wszelkie fanty uzyskane nieuczciwą grą i oznajmiłem mu o wyprawie, pointując swą wypowiedź tak: — Chcę, byś mi towarzyszył w onej ekspedycji, Lino.

— Z przyjemnością — odparł. — Chwilowo nie mam innych propozycji, a dość dawno nie nurkowałem w Zatoce Meksykańskiej.

— A co ze mną będzie? — spytała Catoni.

— Waćpanna ostanie w Paryżu.

— Wykluczone, pojedę z wami! — zawołała. — Podróży morskich się nie lękam, a kobiecy punkt widzenia w niektórych sytuacjach doskonale uzupełnia męski tok rozumowania.

— Nie chcę cię narażać... — oponowałem.

— Ale ja chcę! — tupnęła nóżką. — Jeśli trzeba,— mogę być majtkiem i chłopcem okrętowym.

Wstawili się za nią Anzelmo i, co było dość zastanawiające, Lino, który przecie nie znał jej zupełnie. Ustąpiłem połowicznie, zgodziwszy się, by towarzyszyła nam aż do portu w Nantes.

— A potem? — dopytywała się dziewczyna.

— Potem obaczymy.

To ustaliwszy, wysłałem Laurę i Pavonego na wieczorne zwiedzanie miasta, na co oboje wielką mieli oskomę, i zasiadłem z doktorem oraz Turkiem nad przygotowaniem. Prócz ustalenia preliminarium wyprawy, zamierzałem też podyktować Anzelmowi list do przyjaciół z Mont Romain na temat aktualnej sytuacji i kierunków badań pod moją nieobecność.

Tak zeszło nam do północy. Zacząłem niepokoić się przedłużającą się wycieczką Laury i Lina, gdy hałasy jakieś dobiegły z sieni.

— Sprawdź, kogo tam niesie, Anzelmo!

Chwilę później stanął przede mną pan de Cyrano, utrudzony jak człowiek, który trzy dni spędził w siodle, czego, zważywszy jego niedawną operację, w żadnym wypadku czynić był nie powinien.

— Na Boga, co się stało, Sawiniuszu?

— Złe wieści — wychrypiał.

— Mów!

— Wstrzymajmy się kwadrans. D'Artagnan, z którym się jużem był widział, prosił, aby poczekać z początkiem relacji na pana Mazzariniego.

Nie czekaliśmy nawet dziesięciu minut, a w naszych progach zjawił się osobiście legat, a z nim sam kardynał Richelieu.

*

— Trzy dni po opuszczeniu przeze mnie Cluny — opowiadał Bergerac — kapitan Foucheron wyjechał z kilkoma muszkietierami na rekonesans, sprawdzić, na ile prawdziwe są opowieści o wzmacnianiu przez Hiszpanów garnizonu w Charolles, toteż w klasztorze nie było nikogo krom garści mnichów, kiedy na dziedziniec opactwa wtargnęła grupa zbrojnych otaczająca młodego wojownika, co już samo w sobie dziwne było, jako że strażę miały przykazane nie dopuszczać nikogo na teren zarażony.

Sam przeor wyszedł sprawdzić, kim jest ów zuchwalec narażający się na gniew Jego Eminencji (i przy okazji pana Boga, jako że kardynał uznawany był za ziemskie przedłużenie niebiańskiego majestatu). Przybysz jednak nie oddając specjalnego szacunku ni wiekowi kapłana, ni duchownej sukience, zawołał już od bram:

— W imieniu króla, wołajcie mi tu imię pana Derossiego. — Mistrz Derossi jest chwilowo nieobecny — odparł opat. — Rad bym jednak wiedzieć, z kim mam honor i jak ci udało się, panie, tu dotrzeć?

— Jam jest markiz de Cinq-Mars, wielki koniuszy Jego Królewskiej Mości, przybyły na inspekcję tego miejsca, a to — wskazał szpakowatego muszkietera stojącego obok siebie — pan kapitan Armand de Troisville, którego sławie dorównuje jedynie biegłość jego szpady.

— Klasztor nie podlega jurysdykcji Jego Królewskiej Mości — dość przytomnie zauważył przeor — tedy zgody na żadną inspekcję dać nie mogę.

— A ja żadnej zgody nie potrzebuję ani nie chcę, albowiem nie wasze czcigodne opactwo, niech Bóg zawsze wszelkimi łaskami je otacza, jest celem mej ekspedycji, jeno miejsce nazywane Mont Romain. Chcę z rozkazu króla udać się tam niezwłocznie, od was potrzebuję przewodnika jeno, bym nie błądził po tych grząskich, leśnych drózkach. Opat stropił się.

— Z całym szacunkiem, Wasza Miłość — rzekł — wszelako z rozkazu księcia kardynała nikt bez osobistego upoważnienia Jego Eminencji nie może się tam udać...

— Ten kraj ma jednego króla, miłościwie nam panującego Ludwika — huknął butnie młody panek — ja zaś przybywam z jego rozkazu.

— ...a nawet gdyby ktokolwiek, jakkolwiek intencją prowadzony próbował tam wtargnąć — ciągnął swoje przeor — zostanie powstrzymany całą potencją ognia.

— Nie zamierzam brać obozu szturmem, wielebny ojciec — Cinq-Mars nieco spuścił z tonu. — Rzeknij mi jeno, któż teraz zastępuje owego słynnego mistrza il Cane, z kim porozmawiać wypada, iżbym mógł królewski *ordonnance* należycie wypełnić?

— Ekstraintendent Amilcare Fallaci, a właściwie pan inżynier, Fawley, Samuel Fawley — powiedział przeor.

— Anglik — skrzywił się Cinq-Mars. — Heretyk przewodzi dobrym katolikom?

Wzmianką o wyznaniu Fawleya markiz utrafił chyba w czułą strunę benedyktyna, gdyż ten znacznie już uspokoiony rzekł:

— Mogę poprosić brata Leona, iżby wezwał tu pana Fawleya, a was, szlachetny markizie, póki co ugościć w mych skromnych progach.

— Nadzwyczajna jest mądrość waszej wielebności — powiedział wielki koniuszy i bez przeszkód wjechał do opactwa.

Markiz spodziewał się, że kiedy wyznaczony zakonnik ruszy do tajnego obozu, jego śladem pomknie zaufany człowiek Troisville'a. Nic takiego nie nastąpiło, zaś brat Leon, który pojawił się w kwadrans potem w refektarzu, stwierdził krótko, że Fawley jest już w drodze. Ani chybi musieli posłużyć się gołębiem pocztowym, jednak jak mogli uzyskać tak błyskawiczną odpowiedź — głowił się wielki koniuszy. Czyżby ów obóz leżał o krok?

Fawley zjawił się jednak dopiero koło obiadu, bardzo zakłopotany okolicznościami, na które nie był przygotowany. Za szczęście uznał, iż pan Cinq-Mars nie zamierzał na nim niczego wymuszać. Przeciwnie, komplementy na temat znakomitej reputacji inżyniera u Jego Eminencji prawił, jego inteligencją się zachwycił, a niektórzy ze świadków tej rozmowy uważali, że w lot skłonność ryżego jeometry do gładkich młodzieńców rozgryzł. W każdym

razie, tak w głowie flegmatycznemu wynalazcy zakręcił, że nim noc zbiegła, stanęła między nimi dżentelmeńska umowa: Cinq–Mars samojeden miał odwiedzić Mont Romain, zaś jego towarzysze oczekiwać mieli powrotu pana koniuszego w klasztorze.

Fawleyowi zależało na szybkim powrocie do obozu, miał mnóstwo nadprogramowych zajęć. Pod ciężarem śniegu w wielu miejscach pozarywały się maskujące siatki i teraz trwały ich uporczywe łatanie, toteż z rannym świtem szparko ruszył do Taizé w towarzystwie królewskiego faworyta. Pan de Cyrano, który dowiedział się w ostatniej chwili o planowanej wizycie, nie zdołał niestety jej zapobiec.

Można zatem sobie wyobrazić zdumienie Cinq–Marsa po przybyciu na miejsce. Spotkałem go przy bramie — mówił Savinien — i wyznaję, że tylko raz jeden widziałem człeka bardziej zaskoczonego, był nim pewien wielmoża paryski, którego małżonka, dotąd niepłodna, w jakiś czas po otrzymaniu w prezencie psa maltańczyka i Murzynka karła powiła czarne dziecko. Nawet imię Ali Baba we wnętrzu Sezamu nie mógł doświadczyć większego szoku. Oczywiście na podstawie doniesień swych szpiegów markiz mógł domyślać się jakichś doświadczeń prowadzonych na zlecenie Richelieugo, wszelako to, co mógł zobaczyć na własne oczy...

*

Nim jeszcze rozwarła się brama, ujrzał lufy karabinów maszynowych strzegące drogi. Wewnątrz zaś baterie harmat, nieznaney mu konstrukcji, o długich lufach, które mierzyły w niebo, jakby sposobiąc się do wojny z aniołami. Dookoła wznosiło się też mnóstwo budynków, z których dolatywał ruch i zamęt, hałas pracujących machin, kłęby pary i snopy iskier. Środkiem majdanu, od podłużnego baraku ku położonej nad strumieniem fabryce biegly prosto jak strzelił dwie równe sztaby żelazne, umieszczone na drewnianych podkładach. Henri d’Effiat nie zdołał pohamować zabobonnego krzyku, gdy z gwizdnięciem przeraźliwym wysunął się z szopy potwór stalowy, cały kłębami pary spowity, i szybciej niż koń przemknął ku rzece, ciągnąc za sobą wagon pełen węgla, który z podziemnego portu dla barek dostarczała hydrauliczna winda.

Fawley zaśmiał się tylko z efektu, jaki wywołała jego ukochana lokomobila i szczęśliwy jak dzieciak, który może pochwalić się zabawkami, wskazał następne cudo, iluminację wykonaną z setek żarówek, oczekującą na przywitanie króla i kardynała.

— Widzisz pan tu, markizie, instalację zdolną w jednej chwili zastąpić dziesięć tysięcy świec — tłumaczył, podchodząc z panem Cinq–Marsem do szopy, mieszczącej transformatory, korki i inne elektryczne urządzenia. Tamże otworzywszy szklane drzwiczki szafy, pchnął ku dołowi kryjącą się wewnątrz dźwignię. I zapłonęło wszędy światło jakby na bożą komendę: „Niech się stanie jasność!” Fawley zgasił iluminację prawie natychmiast, tłumacząc, że za dnia i tak efekt jest niewielki i dopiero nocą wrażenie byłoby naprawdę niesamowite, jednak ze względów bezpieczeństwa tego nie robią i z wyjątkiem podziemi i laboratoriów bez okien nie używają innego światła jak kaganki czy lampy naftowe.

Cinq–Mars zdawał się puścić tę informację mimo uszu, tym bardziej, że zaraz pojawił się Baruch van Haarlem i wielkie Fawleyowi wyrzuty zaczął czynić, iż dopuszcza do tajemnic osobę postronną, nawet jeśli jest ona emisariuszem króla. Na koniec, gdy Fawley z czerwonymi uszami milczał pokornie jak zbesztany uczeń, szlifierz rzekł, zwracając się do wielkiego koniuszego:

— Nim nas opuścisz, będziesz musiał przysięgnąć, dostojny markizie, iż niczego z rzeczy, któreś tu obaczył, nie zdradzisz nikomu za wyjątkiem Króla Jegomości.

— Na honor przysięgnę.

— Na honor, to ty królowi możesz przysięgać — warknął rezolutny holenderski Żyd — a nam na krzyż z Jezu Chrystem przyrzeczenie złożysz, bo jeśli nie, to popsowamy tobą najnowszy wytop surówki.

Cinq–Mars, do pochlebstw bardziej niż do gróźb przywykły, pobladł wściekły, ale dość skwapliwie spełnił żądanie Izraelity. W międzyczasie nadeszli wraz z ekstraintendentem Mirski i Grudgens, także mocno wzburzeni samowolą Angielczyka. Wyrzucali mu nadto, że nikt ich o przybyciu intruzów nie zawiadomił.

— Przecież to ja odpowiadam za Mont Romain — bąknął Fawley.

— Za program owszem, ale nie za bezpieczeństwo — wołał Mirski. — Od tego jest Foucheron.

— Niestety, kapitan był nieobecny — tłumaczył inżynier, dowodząc, iż wedle jego opinii zakazy kardynała nie mogły dotyczyć królewskiego dostojnika. Cinq–Mars, stojąc z boku, sporu słuchał i milczkiem węża pogryzał. Jednak nie do śmiechu mu się zrobiło, gdy pan Fallaci, przez Bergeraca wsparty, nakazał, by markiz szpadę oddawszy, uznał się jego więźniem.

— Markizie, poproszę o waszą broń — powtórzył Cyrano.

— Nie wiesz, co czynisz, gołowasio — zawołał wzburzony faworyt Ludwika XIII. — Zali chcesz uwięzić członka Rady Królestwa?

— O ile wiem, nie wszedłeś jeszcze, mości markizie, do onej rady. Nadto zatrzymać cię zamierzamy jedynie do wyjaśnienia sprawy. Gońców zaraz do Jego Eminencji wyślemy z wiadomością o twej inspekcji i z pytaniem, co czynić dalej mamy.

— Dowcip u waszmości nietęgi — odparł na to Cinq–Mars. — Jeśli dziś na wieczór do opactwa nie powrócę, kapitan de Troisville postawi pod broń swój pułk, udający się właśnie do Roussilon. A jest on ledwie o dzień drogi stąd.

Pan de Cyrano miał na końcu języka ripostę, że Mont Romain nie boi się i całej dywizji, ale poniechał tego zamiaru pociągnięty w kąt przez van Haarlema, Mirskiego i Fallaciego. Dopiero po dobrej chwili rzekł już spokojnie:

— Zawiadomisz pan swych ludzi, iż z naszej gościny na parę dni skorzystasz.

— A jeśli nie uczynię tego?

— Mamy tu pisemny *ordonnance* Jego Eminencji pozwalający intruza bądź kogokolwiek, niezależnie od stanu i rodu, kto na teren Mont Romain wtargnąłby lubo eksperymenta zakłócał, natychmiast, bez odwołania gardłem karać.

— Dajcie mi papier, napiszę — zgrzytnął zębami pan wielki koniuszy, uznając, że należy podjąć grę na zwłokę.

— Nie musisz pan pisać — odparł van Haarlem. — Daj hasło swoim ludziom, my prześlemy wiadomość telegrafem.

Tu wszyscy przeszli do chaty, gdzie stało zmyślne urządzenie, przy którym van Haarlem usiadłszy palcem stukać zaczął.

— Jakie jest więc hasło — ponowił pytanie Baruch.

— „Henryk i lilie. Ogień o północy” — wydusił przez zaciśnięte zęby Cinq–Mars. — I powiedzcie, żeby czekając na mnie, nie oszczędzali mniszych piwnic z winem.

Do wieczora więzień, osadzony pod symboliczną strażą zbrojnego czeladnika w izbie służącej zazwyczaj za sypialnię gości z klasztoru, gdy przyszło im w obozie zanoć, nie sprawiał żadnych kłopotów. Wyglądał na pogodzonego z myślą, że niczego więcej zwiedzać nie będzie, poprosił o książki i wcześniej spać poszedł. Naukowcy wrócili do swych prac, jeden Fawley wielce sfrustrowany komendę Mirskiemu złożył i zamknąwszy się sam z gąsiorem wina, nie chciał wyjść ze swej izby.

Spokój Cinq–Marsa rzecz jasna był udawany i miał za cel uspienie czujności gospodarzy. Na krótko przed północą młodzian wstał z pryczy, lampkę naftową zaświecił i zastukał we drzwi, by przywabić strażnika czuwającego w sieni.

— Czego? — burknął ledwie rozbudzony wartownik.

— Chodźcie tu, a szybko, przyjacielu.

— Co się stało?

— Szczur ogromny we śnie na mnie wskoczył, mało w gardło się nie wgrzył, alem bestię spędził, teraz siedzi pod łóżkiem i nijak dobyć go stamtąd nie mogę.

Wartownik, dobroduszny Owernijczyk o okrągłej twarzy wioskowego głupka, otworzył drzwi i pochyliwszy się, usiłował pod łożę zaglądnąć. W tym momencie Cinq–Mars solidnym tomiszczem *in folio*, maksym świętego Augustyna pełnym, w kark go rąbnął tak, że chłopak padł jak bez życia. Markiz związał i zakneblował go starannie prześcieradłem, uprzednio podartym w paski, po czym zabrał zdjęty zeń kożuch i ostrożnie na zewnątrz się wysmyknął. Noc bezksiężycowa była, bezchmurna i zimna. Niebo pokrywały tysiące gwiazd. Posuwając się pod ścianami, kędy cień zalegał największy, Cinq–Mars dotarł do szopy ze stacją rozdzielczą. Nikt nie zadbał o należyte zamknięcie drzwi, toteż z pomocą cienkiego sztyletu, który w cholewie swych botfortów miał ukryty, szybko uporał się z zamkiem. Pozostawała szklana szafka. Tu jednak posłużył się brylantem zacnym, który w pierścieniu miał osadzony, a wydawszy nim otwór w szkle, dobrał się do dźwigni i naśladując ruch pana Fawleya, silnie pchnął ją ku dołowi.

Na krótko noc stała się dniem. Rozbłyły światła nie tylko we wszystkich domach, pracowniach, na wieżach strażniczych, ale zapłonęła owa ogromna iluminacja na powitanie króla gotowana. Zaraz też ozwała się syrena alarmowa.

Zadowolony ze swego postępu Cinq–Mars stanął przed szopą, patrząc jak naukowcy wybiegają z budynków, jedni wyrwani z głębokiego snu, inni przerwawszy prowadzone mimo późnej pory prace badawcze.

Jeszcze chwila, a Fawley dźwignię opuściwszy, dawną ciemność przywrócił.

Wcześniej jednak Savinien z obnażonym rapierem dopadł markiza.

— Na Boga, człeczko szalony, cóżeś najlepszego uczynił?!

Wielki koniuszy najwyraźniej bronić się nie zamierzał. Ujął się pod boki i uśmiechając się, mówił:

— Możecie mnie rozsiekać, dobrodzieje, wszelako po mem sygnale pan Troisville idzie już tu z całą swą muszkieterską potencją. Samiście pozwolili nadać mi hasło: „Światło o północy”. No i pojawiło się światło...

— Choćby i całą armię miał, Mont Romain nie dobędzie! — zawołał impulsywnie Fawley.
— Koledzy, do broni!

— Panowie, panowie — moderował jednoręki Mirski — nie godzi się, aby Francuz strzelał do Francuza.

— Tedy puście mnie wolno — podchwycił d’Effiat — ja mych muszkietarów zawrócę i precz odejdę, a zgodnie z danym słowem, pary z ust na temat waszmościnych eksperymentów nikomu nie puszcę.

Zebrani naukowcy zastanawiali się chwilę.

— Wejźmy do domu zamiast marznąć na dworze — zaproponował Grudgens.

— Tak, naradźmy się, co z nim uczynić — poparł kolegę chemika Palestrini.

Ostawiwszy markiza z Saviniuszem de Cyrana i paroma zbrojnymi, kilkudziesięciu uczonych mężów naradzało się gorączkowo. Czasu nie mieli dużo. Jedni uważali, iż należy zgładzić wielmożę, a napastników pobić, jeśli zaś ktoś żywy pozostanie, trzeba będzie wziąć go w niewolę, tak by żadne wieści o Mont Romain nie wydostały się na zewnątrz, przeważyło jednak umiarkowanie Mirskiego.

— Markiz wygląda na rozsądnego człeka — mówił — i nawet jeśli dotąd z nieprzyjacielami królestwa się kumał, gdy pozna, nad czym tu pracujemy i jak wielka jest stawka naszego przedsięwzięcia, nie uczyni niczego nierozważnego.

W głosowaniu dwudziestu ośmiu naukowców przeciw dziewiętnastu wybrało takie rozwiązanie.

Potem przez ponad pół godziny Polak uświadamiał uwolnionego markiza o celu ich działań, o latających spodkach, o Srebrzystych i zagładzie wiszącej nad cywilizacją chrześcijańską. Cinq-Mars wydawał się tym wielce poruszony i z własnej inicjatywy jeszcze dwakroć obiecywał dochować tajemnicy, a gdy przyjdzie czas, nad współdziałaniem całej Europy usilnie pracować.

Odprawiany przez Cyrana, który podjął się zanieść wieść o całym zdarzeniu bezzwłocznie do Paryża, dwie mile przed opactwem spotkał się z pędzącym oddziałkiem Troisville’a.

— Widzieliśmy ów wybuch światłości i zrozumieliśmy sygnał, wasza miłość — meldował kapitan. — Pchnąłem już człowieka po posiłki...

— Nie potrzeba — przerwał mu Henri d’Effiat. — Zawracamy.

— Zali wiesz już, co oni tam czynią? — Między zbrojnymi ukazała się wąska twarz *fra Jacopo*.

— Nic szczególnego, wielbny księżu, widziałem mnóstwo chorych, cierpiących na nową odmianę zarazy i multum lekarzów pracujących nad *panaceum*.

Dominikanin wydawał się niezadowolony z odpowiedzi, ale ujrzawszy pana de Bergerac, schował się za zbrojnymi.

— Żegnaj, mości markizie — powiedział Savinien, gdy stanęli pod opactwem. — Mam nadzieję, że spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

— I ja tak mniemam, boś rezolutny wielce, kawalerze, i widzi mi się, że zajdziesz wysoko.

*

W połowie opowieści pana de Cyrano, powrócili Laura z Lino, mocno rozbawieni, odwiedzili bowiem *theatrum* i parę lepszych gospod, gdzie wprawdzie z racji adwentu tańców nie było, ale i tak bawiono się przednio.

Szybko odprawiłem ich do komnat sypialnych i dalej wraz z dostojnikami słuchałem wielkonosego muszkietera, aż do końca.

— Gorze zdrajcy — skomentował przekaz Richelieu. — Nie przypuszczałem, iż ten rozpieszczony chłystek jest zdolny kumać się z wrogami państwa. W stosownym momencie zapłaci za to głową.

Jako jedyny w tym gronie wiedziałem, że nie jest to czcza pogroźka i wrychle ambitny markiz wstąpi na stopnie szafotu, być może mając wśród eskorty Cyrana de Bergerac. Nie wychyliłem się jednak z moją wiedzą, poruszając za to inny aspekt sprawy.

— Obawiam się rzeczy gorszej niż zdrada, Wasza Eminencjo. Przecie i tak zamierzaliście niezadługo dwór wiedeński o naszych pracach powiadomić. Nie sądzę więc, iżby *nuda veritas* mogła nam już zaszkodzić. Bardziej boję się, iż owo światła zapalenie mogło zostać zauważone przez Srebrzystych.

— Możliwe to? Ostatnio nie widywano żadnych ich obiektów na naszym niebie.

— Z tego, co wiem, w czasach Atlantów po okołoziemskich orbitach krążyły liczne wehikuly satelitami zwane, z których, mimo kilkudziesięciu mil oddalenia, książkę przeczytać można było, a co dopiero zauważyć światło elektryczne w takim natężeniu. Jeśli Obcy dysponują podobną technologią, łącznie domyśla się, iż podjęliśmy wyścig.

— Coże zatem radzisz?

— Może to przewrażliwienie, ale wolę dmuchać na zimne. Sądzę, że trzeba niezwłocznie zawiesić działalność w Mont Romain, naukowców ewakuować stamtąd i w pięciu różnych miejscach osadzić, iżby swą działalność bezpiecznie kontynuowali. Trzeba też rozesłać wyniki ich prac do najważniejszych umysłów epoki, a spotkanie monarchów maksymalnie przyspieszyć.

— Zajmiesz się tym, Giulio — zwrócił się kardynał do Mazzariniego. Ten przytaknął skwapliwie. — Rozumiem też, drogi il Cane, że twa ekspedycja z kapitanem Froissartem za ocean pozostaje aktualna i, da Bóg, zakończy się sukcesem.

I było to ostatnie zdanie, jakim usłyszał z ust Richelieugo.

*

Popłynęliśmy zatem Loarą, pośród zamków cudnych, które obsiadły jej brzegi. Lecz nie podziwianie pejzażu wypełniało mi czas. Od rozmowy z panem de Bergerac rósł we mnie niepokój, a każdy większy gawron lub rybołów zdawał mi się nadlatującym statkiem Wyrwaczy Serc. Zarazem pochłaniało mnie obmyślanie szczegółów przyszłej wyprawy, zastanawiałem się, jak bezpiecznie dotrzeć do Ameryki, bez przeszkód zejść na ląd i tamże centralę przeciwnika wyśledzić.

Turka Idrysa Mardinu bez reszty pochłonał projekt małej łodzi podwodnej, który mu zasugerowałem. Miała ona być holowana za „Henriettą” i na wypadek ataku Srebrzystych posłużyć jako miejsce podwodnego schronienia, mogła też się przydać, gdybyśmy dotarli do jakichś pływających jednostek wroga. W jej wnętrzu moglibyśmy na przykład przedostać się do fortyfikacji, jeśliby takowe znajdowały się gdzieś nad wodą. Równocześnie poprosiłem Turka, aby przy konstrukcji łódki używał jak najmniej metalu i jedynie ćwieków drewnianych, tak by obiekt nie dawał echa radarowego. Zaprojektowałem napęd wielopedałowy, biorąc za wzór dzisiejsze rowery wodne. Te same pedały, dzięki specjalnym przekładniom, mogły służyć wypompowywaniu wody z komór balastowych, a także przyspieszać obieg powietrza, które dostawać się miało do wnętrza za pomocą miękkiej rury sięgającej powierzchni, zaopatrzonej w pływak i piłeczkę celuloidową (najnowsze dzieło Grudgensa), chroniącą przed przelewem wody. Pływak miał być zamaskowany przyczepioną doń garścią glonów.

Oczywiście ze względu na Juliusza Verne’a (urodził się właśnie w Nantes już za niecałe dwieście lat) postanowiłem na wniosek Pavonego ochrzcić ową beczkę na pedały — „Nautilusem”.

Mimo chłodu panującego na rzece, w kabinie ogrzewanej piecykiem naftowym naszego projektu było całkiem ciepło i, jak mawiają Rosjanie, *ujutnie*. Doktor Ambroise de Lys zajął się opracowywaniem podręcznika *Chirurgii i medycyny*, ja zaś pisałem ustalonym szyfrem listy do Fawleya, Palestriniego, Grudgensa, van Haarlema i Mirskiego, których

przewidziałem na samodzielnych kierowników naszych rozproszonych placówek w Oksfordzie, Padwie, Heidelbergu, Lejdzie i Krakowie. Nie miałem wiele czasu ni możliwości zajmować się Laurą, choć zauważyłem, że ostatnimi dniami dziewczyna ochłodziła w swym afekcie do mnie. Nie ukrywam, zacząłem frasować się nieco, widząc, jak coraz chętniej przesiaduje z Linem, bądź co bądź znacznie ode mnie młodszym, słucha z uwagą jego niewybrednych dykteryjek, gra w rozmaite gry, śmieje się i chętnie śpiewa. *Per diavolo*, czyżbym robił się zazdrosny?

Niepokój wzmógł się zwłaszcza, gdym podsłuchał, jak któregoś wieczora Lino rozmawiał na jej temat z Anzelmem.

— Czyż nasza panienka nie jest zachwycająca? — mówił mój *consigliore*. — Ta płeć biała jako krew z mlekiem, te kształty ponętne, nade wszystko zaś odznacza się tym, co romantyczni Kastylijczycy nazywają: *donayre*, *brio* y *bizzaria*. Wdzięk, polot i odwaga.

— Zdrowa laseczka! — zgodził się Lino. — Dziwne jest jednak, że ty, sługa, w ogóle nie kryjesz ochoty na metresę twego pana.

— Albowiem znam życie i wiem, że prędzej czy później mistrz znudzi się nią i jak znoszony kaftan podaruje mnie, a ja z ukontentowaniem i wielkim szacunkiem się z nią ożenię.

— A zechce cię? — powątpiewał rosettińczyk. — To przecież arystokratka, a ty chudopacholek. — Tu dźgnął go w kałdun. — No, może nie całkiem chudo...

— Tylko do czasu jestem hołyszem — obruszył się Anzelmo. — Oszczędności we Florencji mam niemałe, a pan Mazzarini obiecał mi, iż gdy wrócimy szczęśliwie z wyprawy, uczyni mnie baronem, a może i kimś lepszym.

O rzeczywistym stanie uczuć Laury i zmienności kobiecej natury mogłem przekonać się w Angers, gdzie zanocowaliśmy z powodu zatoru lodowego, który skuł rzekę, a nas zmusił do wynajęcia powozów.

Od trzech dni nie przebywałem we wspólnym łóżu z panną Catoni i cieszyłem się wielce z rozkoszy, jakiej zaznam. Niestety na swe karesy usłyszałem zdanie, jakże częste w ustach długoletnich żon, choć nader rzadkie u małoletnich kochanek.

— Poniechaj, waćpan. Okropnie boli mnie głowa.

Nie pozostało mi nic innego, jak przeprosić Boga za me grzechy i pomyśleć czulej o Monice.

*

Stojąca w Nantes na kotwicy „Henrietta” prezentowała się całkiem nieźle, niczym niemłoda kokota w damę wielkiej klasy przerobiona. W ciągu ostatnich miesięcy przeszła gruntowny remont, powiększono jej siłę ogniową, dodano żagli. Aż prosiło się wstawić jej parowy silnik i rozstawić na górnych pokładach karabiny maszynowe, jednakże nie chcieliśmy zbyt łatwo odkryć swych kart w wypadku napotkania przez nas zwiadowców przeciwnika.

Nie udało się wprawdzie skonstruować radaru, ale „Henriette” miał poprzedzać mały dwumasztowy bryg, z którego dzień i noc miała być prowadzona obserwacja nieba i morza, celem wczesnego ostrzegania. Nade wszystko liczyliśmy na wyczulone zmysły ojca Pedra i Arawaka Miguela (obaj znaleźli się już na pokładzie), dzięki którym winniśmy zawsze w porę trafić do podwodnej łodzi.

Kapitan Gaspar Froissart de Marie–Galante witał nas w świetnym nastroju. Odwiedziny rodzinnego kraju dodały mu sił, a w nowym czerwonym kaftanie wyglądał rzeczywiście jak admirał. Towarzyszyli mu znani już z opowieści sternik Armand, bosman Weigel — Niemiec z Bremy, wielki jak piec i równie jak on milczący, nadto kanonier André, nieodłączny Negr Heban i wielu innych. Smągła twarz Gaspara, pozbawiona emocji, drgnęła tylko raz, gdy przedstawił mu Laureę, a ta złożyła mu dworski ukłon z szykiem, którego mogłaby jej pozazdrościć pani de Motteville, pierwsza dama Anny Austriaczki. Wyglądało, jakby obraz ślicznej blondynki trącił jakąś dawną ranę, niezaleczoną... Reszta z kamratów wydała jedynie przeciągły gwizd i pomruk aprobaty.

Muszę tu wyznać, że moje kłopoty z Laurą nadal trwały. Mieszkając w domu biskupim, miałem okazję widywać ją w nastrojach tak zmiennych, że najgorliwszego kobieciarza gotowych zmienić w antyfeministę. Bywały dni, kiedy spotykałem ją po dawnemu trzpiotliwą, znów rozmiłowaną we mnie. Braliśmy się podówczas za ręce i całowali ukradkiem, ale już godzinę później chodziła naburmuszona, pełna pretensji do mnie i do całego świata. Może wspólna łożnica wyjaśniłaby wiele kwestii. Niestety. W domu biskupim ściany miały oczy, uszy i zapewne jeszcze parę innych organów, a prócz miejscowego hierarchy moją moralnością zainteresował się *padre* Gomez. Wprawdzie nie wybrałem go na swego powiernika i do cotygodniowych spowiedzi chodziłem do miejscowego proboszcza, ale na mszach porannych, klęcząc obok panny Catoni, czułem na sobie pełen wyrzutu wzrok Hiszpana. Co gorsza, gdy zdarzały nam się rozmowy w cztery oczy, jawnie wtrącał się w

moje osobiste sprawy, nazywając mą skłonność ku młodej pannie arcygrzeszną i co rusz nalegał, iżbym jak najrychlej pojął ją za żonę. Podejrzywałem w tych działaniach inspirację Laury, ale trwałem w zakamieniałym uporze, uważając, że drobny grzesznik jest niczym w porównaniu z bigamistą. Na dobitkę ojciec Pedro chyba w ogóle nie sypiał, a czujny był jak ratlerek, *ergo* dwakroć zdybał mnie, gdym na bosaka zamierzał wpaść do alkowy mej dziewczyny z krótką, roboczą, niezapowiedzianą wizytą przyjaźni. Mogłem tylko łudzić się nadzieją, że tak samo pilnuje Lina.

Tymczasem przygotowania do odjazdu szły pełną parą. Jeszcze święta Bożego Narodzenia mieliśmy spędzić na lądzie, ale z pierwszym dniem stycznia planowaliśmy wyjść w morze, co wedle Froissarta byłoby dobrym omenem. Idris Mardinu utrzymywał, iż starczy mu czasu na zrobienie owej podwodnej łódki mieszczącej dziewięć osób.

Czemu akurat dziewięć? Musiałem zaufać wizjom Pedra, który w pewnych chwilach zapierał się jak muł, twierdząc, że musi być akurat tak, a nie owak. Skoro jednak on jeden znał naszą przyszłość...

Pierwsza poważna scysja między nami wypadła, gdym oznajmił publicznie swą wolę tyczącą Laury. Zamierzałem ostawić ją w Nantes przy rodzinie *prévôta*, by tam czekała naszego powrotu. O dziwo, zamysłowi temu sprzeciwił się ojciec Gomez.

— Musi jechać. Musi być komplet. Dziewięć osób.

— Czyli kto?

— Dziewczyna, Wielki Murzyn, Doktor, Pirat, Grubas, Włóczęga, Indianin, pan i ja.

Zauważyłem, iż na swej liście pominął Turka. Zwróciłem mu na to uwagę.

— Nie wiedziałem go w mych snach — odparł.

I obcuj tu na co dzień z prorokiem!

Dzień Bożego Narodzenia pamiętać będę długo. Po uroczystej mszy obiadowaliśmy w domu biskupim. Dzień był słoneczny, nieomal wiosenny. Łatwo więc udzieliła się nam radość onego popołudnia. Po zaspokojeniu pierwszego głodu Laura siadła do szpinetu, okazując się wielce sprawną w grze na onym instrumencie, Lino akompaniował jej na flecie, a Gaspar de Froissart popisywał się niezwykłą biegłością grania na drumli. Reszta śpiewała kolędy na cześć Bożej Dzieciny, na chwałę jego Ojca i Matki i oczywiście za powodzenie wyprawy.

Naraz trzasnęło obalone krzesło. Pieśń zamarła nam na ustach. Ojciec Gomez wstał, był bledszy od obrusa, oczy miał kurczowo zaciśnięte. Drżał cały, lecz nie upadł.

Poznałem, iż nadchodzi epileptyczny atak. De Lys chciał mu w usta kawałek drewna wrazić, iżby języka sobie nie przegryzł, ale *padre* tylko głową pokręcił. Szedł ku oknu i tam

zastygł, wpatrując się w ośnieżoną przestrzeń. Nie mówił nic. Ale gdy obrócił się ku nam, ujrzałem, iż zamiast łez spod powiek skapują mu małe kropelki krwi.

Pytałem go, co się stało? Czy miał znowu wizję jakowąś? Ale gadać o tym nie chciał, ani przy święcie, ani w dniach następnych. Całe dni leżał krzyżem na posadzce w kaplicy, gdzieśmy go piernatami nakrywali, by go przed zapaleniem płuc uchronić. Byłem przekonany, że musiał widzieć coś ważnego a przerażającego, z niewiadomego powodu jednak ukrywał to przed nami. Czemu? Obawiał się, że serca nam struchleją i poniechamy przygotowań?

Sześć dni chodził posepny, a raczej snuł się, starając się nie rzucać w oczy.

Próbowałem wykorzystać sytuację, by poprawić swe stosunki z Laurą. Ta jednak, choć chętna do wspólnych spacerów, przy bardziej konkretnych propozycjach zachowywała się cnotliwie jak zakonnica.

Z drugiej strony wiedziałem od Anzelma, że podpytywała go o mój rzeczywisty stan cywilny.

— I coś jej gadał?

— Prawdę, że jak długo byłem z panem, mistrz czystość, ślubowaną za młodu świętej Rozalii, pilnie zachowywał.

— Toś przedobrzył. Taka durna, iżby w to wierzyć, to ona nie jest.

— Po mojemu wszystkiemu winien jest ów zbrodzień, któregoś od kaźni uchronił.

— Lino?

— A któżby. Pięknymi słowy ją zwodzi, oczami przewraca. Mówię, oddajmy go katu, a przynajmniej ostawmy na lądzie.

Pomysł nie był najgłupszy. Zasięgnąłem jednak w tej kwestii rady ojca Pedra. Popatrzył na mnie wcale przytomnie i rzekł, jakby gadał o rzeczach oczywistych:

— Musi jechać, bardziej niż inni.

Co rozumiał pod słowem „bardziej”, wówczas nie pojmowałem.

*

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany pierwszy dzień januara. Zimny i trochę smutny, chociaż obie załogi — stu sześćdziesięciu chłopów z „Henrietty” i trzydziestu dwóch ze „Świętej Łucji” — stawiły się w komplecie i przepełnione bojowym animuszem. Żegnało nas puste nadbrzeże. Jeden bowiem biskup, który wiedział, iż wypływamy w ważnej misji z

polecenia samego kardynała, leżał przeziębieniem złożony, natomiast nikt z populacji Nantes nie miał pojęcia, iż w tej wyprawie stu dziewięćdziesięciu dwóch straceńców nie chodzi o chwałę odkrywczą, łupy wielkie lub czczą przygodę, ale los ich wszystkich, jak również następnych pokoleń. Ale oni nie mieli wśród siebie ojca Gomeza.

Ten zaś znów narozrabiał jak nigdy. Gaspar Froissart gotował się właśnie krzyknąć: „Cumy rzuć!”, a bosman Weigel wydawał polecenia załodze przy pomocy osobliwych gwizdków, jak się bowiem okazało, z racji urzętego języka inaczej z podkomendnymi kontaktować się nie mógł, gdy półprzytomny księżulo wypadł na pokład, wołając:

— Czekajcie jeszcze, czekajcie!

Wzburzyło to załogę, boć pora przyływu jest najlepszą do wyjścia w morze, a i wiatr wiał korzystny.

— Ile mamy czekać? — pytał kapitan. Ksiądz milczał, pirat potrząsnął więc chuderlakiem. — Ile, do krośset?!

— Bardzo niedługo — padła odpowiedź.

— Poczekajmy godzinę — zaproponowałem pojednawczo, widząc znajome drgawki na ciele Hiszpana.

— Szlag by to! — Froissart splunął w wodę. — Czekajmy więc!

Atoli, gdy upłynęła godzina i nic się nie zdarzyło, bezapelacyjnie odbijać kazał. Zdjęto więc trap, a majtkowie przy kołowrocie kotwicę jęli podnosić.

Nagle od lądu ozwał się tętent. Wszyscyśmy wylegli na pokład, kabestan stanął. Końskie kopyta łomotały w drewniany pomost jak w werbel. I ukazał się jeździec pojedynczy, z głową mimo mrozu odkrytą, snadź czapkę zgubił. A dotarłszy do pachołków cumowniczych, konia spiął i wołał wielkim głosem.

— Mości Derossi, mistrzu, mistrzu!

Wychyliłem się ku niemu ponad relingiem, mając serce przeszyte nagłym strachem.

— Przebóg, to ty, Foucheron, cóż cię sprowadza?

On zaś z konia się osunął, padł na kolana i począł trząść głową białą, posiwiałą, mniej od mrozu, a bardziej z rozpaczy.

— Nie masz już, nie masz Mont Romain.

*

Gdyśmy już go na pokład wzięli, ogrzali i ciepłym grogiem napoili, rozpoczął mówić głosem rwanym, pełnym bólu i trwającego przerażenia.

— W Boże Narodzenie to było. Kole południa. Pojechałem braciszkom z opactwa uszanowanie świąteczne złożyć i na dziedzińcu stałem, kiedy się zjawił...

— Kto, André?

— Ptak stalowy, anioł zagłady. Różny od owych krążków, w których, jak powiadaliście, dotąd nadlatywali srebrzyści Wirywacze Serc. Nie usłyszał nikt tego lotu, ja jednak wyczułem wroga i oczy ku niemu skierowałem. Znajdował się u szczytu nieboskłonu, dokładnie nad Taizé, gdy jaja małe z brzucha swego upuścił. By lepiej widzieć, postąpiłem krok, aleć potknąłem się o coś i padłem twarzą w śnieg. I to mnie ocaliło. Dwóch braci, którzy oczu na czas nie zanikli, wzrok postradało, inni długo jak ślepi chodzili. Oto rozbłysło światło większe niż tysiąc słońc. I powstała nad Mont Romain burza ogniowa, a potem poszedł grzmot głośniejszy niż setka gromów. A zaraz po nim dobiegł wichur straszny. Wirywający drzewa, obalający prastare buki i dęby. Podmuchał dach z bazyliki, wydmuchnął witraże jak bańki mydlane, uszkodził moc budynków. Potem zaś nastąpiła ciemność, kurz czarny przysłonił słońce, a wnet deszcz smolisty padać zaczął. Zwierzęta poszalały ze zgrozy, psi ochrypli, koguty jak na noc piąć zaczęły, ja jednak wyprowadziłem ze stajni konia mego i okiełznawszy go, popędziłem do Taizé.

— Niezbyt to rozważne — mruknąłem.

— Wiem, mistrzu, wszędy szalała pożoga, toteż nie ujechawszy mili, musiałem zawrócić. Dzień dobry minął, nim padający deszcz zgasił wreszcie ogień.

— I coście tam obaczyli?

— Na samo miejsce nie dotarłem, spotkałem jednak jednego z mych muszkieterów, który pierwszy na rekonesans się wypuścił. Nie posłużyła mu ta wycieczka. Półprzytomny i torsjami targany, straszne rzeczy opowiadał. Na pięć mil od obozu leżał las powalony wichrem. Na trzy wszystko pożarły płomienie. A w środku, tam, gdzie jeszcze rano wzgórze było i osada, i fabryka, i groty... nic.

— Jak to nic?

— Najmniejszego śladu życia, wszędy kożuch błota i spalenizny. Nie zostało się ani pół budynku, maszyny czy wieży, ot, kilka kawałków stopionego metalu. Raul twierdził, nim przytomność ze szczętem utracił, iż nie ocalały nawet głębokie jaskinie wewnątrz wzgórza, zapadł się dolny port, wyschła odnoga Saony, spłonęły statki, wyparowały stawy, znikły wszelkie młyny, jazy, a na rzece pojawiło się mnóstwo martwych ryb z brzuchami ku górze wywróconymi.

— I co uczyniłeś, kapitanie?

— Czasu nie chcąc tracić, ostawiwszy mnichów pogrążonych w płaczu i żalości, bezzwłocznie puściłem się ku Paryżowi, omijając wielkie pogorzelisko. W Challon natknąłem się na wysłańca Jego Eminencji ze spóźnionymi ostrzeżeniami, iżby obóz i naukowców ewakuować. Od niego też dowiedziałem się, żeście do Nantes pospieszyli.

Tu umilkł. Ambroise de Lys ukrył twarz w dłoniach,

Idrys Mardinu tak dłonie zaciskał, aż mu pobieleły palce, Anzelmo płakał. I tylko na twarz księdza Gomeza spłynął dziwny spokój.

— Tak być musiało — powiedział.

— Cóż chcesz w tej sytuacji uczynić? — zwrócił się do mnie kapitan Froissart.

Próbując zebrać myśli, popatrzyłem na mych współpracowników, szukając u nich porady.

— Wracajmy! — zaproponował Turek. — Ciężem jeszcze żyjemy, zbierzemy nową kompanię, wy, mistrzu, nas poprowadzicie.

— Racja — poparł go doktor de Lys. — Po raz wtóry będzie łatwiej eksperymenty odtwarzać. Pracować będziem w rozproszeniu, w całej Europie.

— I ja tak sądzę, podróż w paszczę smoka nie ma żadnego sensu — dorzucił Lino. — Jebańcy wykorzystali małą taktyczną bombę nuklearną ukierunkowaną do niszczenia obiektów podziemnych, jednak czy pokazali wszystko, na co ich stać?

— Płynąć ku nim, to porywać się z motyką na słońca —sekundował pozostałym Anzelmo.

— Gdziekolwiek się udacie, pójdę z wami — zadeklarował Foucheron. — Ja już domu nie mam.

Tak gadali, kiedy na koniec powstał ojciec Pedro, spokojniejszy niż kiedykolwiek.

— Trzeba płynąć — powiedział z mocą. — Zwycięstwo można znaleźć tylko za oceanem.

Uczyniła się cisza jak miód gęsta i wszyscy spojrzeli ku mnie. W ciągu kilkudziesięciu sekund przeleciała mi przez mózg taka mnogość obrazów, myśli, konceptów, jakby przecięła go klinga szpady pana de Baatza. Na moment zobaczyłem jeszcze raz Mont Romain, zielone wzgórze, tętniące pracą niby gigantyczne mrowisko, przeleciały mi w pamięci twarze ludzi bliskich, mogących popchnąć wiedzę na przyspieszone tory, ujrzałem też jak w małym alembiku cały nasz świat, ów euroazjatycki cypelek, jego wielkość, małość i niepowtarzalność. Rozgorączkowane ciało Delfina, drgające z niepokoju usta Anny Austriaczki, przenikliwe oczy kardynała Richelieugo i portret arcyprincessy...

— Dajcie sygnał załogom — rzekłem do starego pirata. — Odpływamy!

11. NOWY ŚWIAT

Nie ma pojęcia o żeglowaniu, kto nie stał na dziobie siedemnastowiecznego galeonu, kto nie słyszał niepowtarzalnego szumu wód ciętych dziobem, zgrzytu rej, hurkotu naciąganych lin i trzepotania żagli wypełnianych wiatrem. Choć jako Aldo Gurbiani w szczytowym punkcie swej kariery posiadałem trzy jachty pełnomorskie, nawet dla mnie podróż „Henriettą” stanowiła przeżycie fascynujące. Nie od razu jednak mogłem się tym rozkoszować, na pierwsze dni nałożyła się bolesnym cieniem rozpacz po zagładzie Mont Romain, dotkliwa w równym stopniu jak choroba morska na oszalałych sztormem Biskajach. Błdzi, obolali, z jelitami przenieconymi na drugą stronę, prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Zresztą o czym mieliśmy rozmawiać? O tym, że jesteśmy gromadą straceńców, dążących ku zagładzie? Jeśli idzie o mnie, targany torsjami, utraciłem ostatnią nadzieję na przebudzenie z owego snu na jawie. Zyskałem za to pewność, iż pozostanę tu aż do śmierci. A ta chyba nie była odległa.

Jednakowoż czwartego dnia szkwał ucichł, wyjrzało słońce, zrobiło się cieplej i od razu optymistyczniej. Wygrzebałem się z betów i wyszedłem na pokład. Pierwszą osobą, którą napotkałem, była Laura, trochę bardziej przezroczysta, ale jak zawsze piękna. Laura rozczesująca swoje włosy. Zgorzałem! Nie bacząc, iż wystawiłbym się na śmieszność wobec marynarzy (pał to sześć!), chciałem podbiec ku niej i zawołać: „Kocham cię, chodź do mnie, najdroższa!” Wszelako *padre* Gomez czuwał i widząc, jak się skradam ku dziewczynie, rzucił słodko z wysokości mostka:

— *Buenos Dias, señor il Cane.*

Dni mijały. Trzymając się z dala od brzegów iberyjskich, opłynęliśmy ledwie widoczny we mgle przylądek Finisterre, następnie zaś Azory, bez potrzeby zatrzymywania się na nich. Wody mieliśmy dosyć, także warzyw i suszonych owoców zapobiegających skorbutowi i innym marynarskim przypadłościom. Co pewien czas mijaliśmy też w oddali statki, rozmaitych kształtów i bander, jednak nie zbliżaliśmy się ku sobie zbyt, nie zależało nam przecie ani na towarzystwie, ani na zwadzie.

Co dzień rano na śródokręciu ojciec Pedro odprawiał mszę świętą, w której uczestniczyli chętnie nawet starzy piraci — stanowiło to bądź co bądź znaczną odmianę w ich morskim rytuale, z drugiej strony pozwalało przemóc zabobonny strach, który wzbudzała perspektywa

wydartych serc. Inna sprawa, że Idris Mardinu natrudził się wiele, iżby ewentualnym agresorom nie poszło z nami za łatwo.

Następnie de Lys prowadził wśród załogi kurs pierwszej pomocy, Turek uczył korzystania z nowoczesnych technik, a Pavone zaznajamiał wszystkich z alfabetem Morse'a, twierdząc, że nigdy nie wiadomo, kiedy taka umiejętność może się przydać. Popołudniami był czas wolny.

Któregoś dnia zbudził mnie okrzyk Anzelma: „*Maestro*, leci śniadanie!” A była to reakcja na widok szybujących ławic ryb latających. Niektóre z nich spadły na pokład, jedną kucharz złapał wprost na patelnię, jednak w smaku nie należały do specjalnych rarytasów. Innym razem Laurę zachwyciły tańczące na fali delfiny. Latające talerze nie pojawiły się ni razu.

Im bliżej Ameryki, tym częściej zadawałem sobie pytanie, dokąd właściwie płyniemy i czy uda nam się odnaleźć wroga wcześniej, niż ten odnajdzie nas? Z połączonych informacji, z legend Indian i wizji Gomeza wynikało, że przeciwnik miał swój matecznik gdzieś na północ od Rio Grande. Mogła to być równie dobrze Arizona, Nevada, Nowy Meksyk. Bagatela, obszar większy niż Francja i Niemcy razem wzięte.

Rozmowy z hiszpańskim księdzem dawały sporo materiału na temat rozmyślań, jak skomplikowaną istotą bywa prorok. Z jednej strony Pedro był słabym, przypominającym wórkości intelektualistą, delikatnym, nerwowym, pełnym wątpliwości. Kontrastowała z tym pobożność zaiste doskonała i żelazna wola dotycząca jego wizji i naszej misji. W tej materii żadnych wątpliwości nie miewał.

Kiedyś mniemałem, że nawiedzeni przywódcy i wizjonerzy to po prostu ludzie o nadmiernym *ego*, wyposażeni w dar superintuicji. Przypatrywanie się poczynaniom Gomeza sprzyjało jednak innej hipotezie, dowodziło bowiem, że istnieje coś umykającego spod kontroli zmysłów, odmienny gatunek energii, tajemniczy poziom nadświadomości, słowem inny świat, z którym potrafił się kontaktować *padre*, czy może raczej to tamta sfera chciała się kontaktować z nim.

Czy mogło kryć się w tym jakieś oszukaństwo, zastanawiała się czasem resztką cynicznego Gurbianiego, jaka we mnie pozostała. Przez cały czas nie wyczuwałem w tym człowieku nic sztucznego, zero gry, pozy, hochsztaplerki. Mówił, co uważał, co wiedział, co przeczuwał.

— Czy widuje ksiądz w swych snach Boga? — zapytałem go któregoś razu.

— Nie przypuszczam, bym na to zasłużył — odpowiadał, spuszczać głowę.

— To skąd przekonanie, że jest ksiądz jego narzędziem?

— Nic nie dzieje się bez przyczyny, synu, jeśli dane jest mi widzieć więcej niż inni, musi być w tym zamysł Przedwiecznego.

Albo szatana, dorzuciłem w myśli. Chyba przejrzał tę złośliwą sugestię, albowiem pogroziwszy mi palcem, oddalił się do swej kajuty.

*

Można by o naszej podróży opowiadać wiele. Przytaczać nadzwyczajne opowieści kanoniera André, mówić o różnych zadziwiających conceptach Turka. (Przyjdzie na to czas!) Sama obecność pięknej panny na statku pełnym nienasyconych samców starczyłaby na niezły serial telewizyjny. Jeszcze w pierwszych tygodniach, kiedy marynarze syci byli wspomnieniami z zamtuzów Nantes, zaczepki ograniczały się do cmoknięć lub drobnych uwag. Jednak krew nie woda, wkrótce soczysta wymiana zdań na temat przymiotów panny Catoni między młodszym bosmanem a Lino Pavonem zakończyła się kłótnią, kłótnia przepychanką, którą uciął gwizdek Weigla. Lino, nieświadom czemu wszyscy się uspokoili, zwrócił głowę w stronę bremeńskiego niemowy, ten zaś począł gestami w powietrzu kształty panny Catoni modelować i, co gorsza, pokazywać „instrukcję obsługi”, co tak wściekło krewkiego rosettińczyka, iż chwyciwszy dzban z winem, chlusnął trunkiem wprost w twarz Horsta.

Początek zwady zakończonej pojedynkiem na pięści znam jedynie z opowieści świadków, bom podówczas siedział w kajucie, usiłując nanieść na mapę naszą aktualną pozycję, nieco na południowy zachód od Azorów. Kiedy wybiegłem na pokład, pojedynek trwał w najlepsze, poczyniono moc zakładów, przy czym większość marynarzy nie dawała najmniejszych szans memu rosettińskiemu ziomkowi. Pavone do ułomków nie należał, jednak w zestawieniu z Weiglem, wielkim jak północny tur (Anzelmo mówił mi, że jeszcze całkiem niedawno napotymano takie bestie wśród puszczy Polonii i Lithuanii), przypominał filigranową figurkę z gatunku, jakie lubił rzeźbić słynny Benvenuto Cellini.

Weigel był zaprawiony w każdym gatunku walki za wyjątkiem jedynie pojedynku na słowa, postradał bowiem język, gdy zdyb ano go w żeńskim klasztorze koło Boulogne, gdzie okrutnie z siostrzyczkami figlował, a sąd biskupi skazał go na ucięcie wszystkich członków, poczynając od języka. Na języku zresztą się skończyło, bremeńczyk bowiem kraty wyłamał, stróżów pobił i w morze uszedł, gdzie do piratów przystał. Teraz, gotując się do rozgrywki,

posmarował się cały okrętowym smarem, toteż wyglądał nie tyle jak pierwotny byk, ale jak sam diabeł raczej. Lino nie czynił takich zabiegów, pozbył się jedynie koszuli i butów.

Chwilę krążyli wokół siebie. Wreszcie bosman zaszarżował. Szarża trwała krótko, uniesiona noga króla rosettińskiego podziemia trafiła go w szczękę. Olbrzym przystanął ogłuszony. Ten moment wykorzystał Pavone. Świetnie mierzony cios trafił Niemca od dołu w podbródek. Stęknął pokład pod ciężarem padającego cielska. Śród kibiców, a szczególnie uczestników zakładów, poszedł jęk zawodu, co bardziej nerwowi zaczęli szarpać się o pieniądze. Ja zaś dla formalności odliczyłem: „Jeden, dwa, trzy...” Przy słowie „pięć” Weigel się poruszył, przy „siedem” był już na kolanach, nim wypowiedziałem „dziewięć”, podniósł się na nogi i otrzepał niczym pies wychodzący z kąpieli.

Pavone nie chciał kontynuować walki, ale załoga krzycząc nań zaczęła, tak że ruszył do ataku. Bosman skulił się w sobie i z rękami chroniącymi twarz trwał, kolebiąc się niby byk, oczekujący swej walki w boksie przy *plaza del toros*. Lino dał popis swych bokserskich umiejętności, trzymając wysoko gardę, zadał serię ciosów prawą, których skulony bremeńczyk nawet nie próbował parować. Jednak ta seria nie zwała go z nóg. Daremnie Lino poprawiał z lewej. Weigel wytrzymał nawałę, zbierając się w sobie. Wydawać się mogło, że im bardziej obrywał, tym więcej kumuluje w sobie siły. Wreszcie stało się oczywiste, że uderzenia nie czynią na nim wielkiego wrażenia. Tymczasem Lino, który, jak sam twierdził, dobre dziesięć lat nie stał w ringu, zmęczył się. I wtedy Niemiec znów zaatakował. Oczywiście Pavone starał się utrzymywać go na dystans, uderzał, odskakiwał, znów uderzał. Aż wreszcie dał się zapędzić w kąt poniżej nadbudówki. Tam Weigel go wreszcie dopadł i chwycił w pól, aż zatrzeszczały kości.

— Puść! — zabrzmiał ostry głos kapitana. — Wystarczy! Byłem przekonany, że bremeńczyk w zapamiętanej szale zignoruje komendę. Ale nie, jak dobrze wytresowany brytan puścił swą ofiarę. Pavone osunął się zemdlony.

— Żeby mi to było ostatni raz — powiedział Gaspar. — Nadmiar krzepy chowajcie na wroga. I ostrzegam, kto jeszcze zaczepi pannę Catoni, szyją za to odpowie! — Po tym *dictum* wezwał mnie do swej kajuty, gdzie siedział już *padre* Pedro, i tam dodał:

— Wpłyn, mistrzu, na dziewczkę, iżby odziewała się skromniej, nie szwendała się bez potrzeby po pokładzie, ukryła włosy lubo ścięła je.

— Mógłbym mieć na nią większe baczenie, gdyby przeniosła się do mej kabiny... — zacząłem, ale nieubłagany wzrok ojca Gomeza mówił bez słów: „Żadnych marzeń!”

Mimo iż zgodnie z poleceniem kapitana Laura przebrała się jak mniszka (ubolewała nad tym wielce, a ja z nią), trzy dni później doszło do nowego incydentu. Był w załodze

żaglomistrz Jean, z racji dziewczęcej wręcz urody przezywany Żanetką, o którym mówiono, że połowa załogi rada byłaby dorwać się do jego wąskiego tyłeczka, alisci mało kto próbował, albowiem chłopak podobno był chempionem w posługiwaniu się sztyletem i potrafił ukąsić nie gorzej niż kobra. Żanetka, różniąc się od reszty grubiańskiej hałustry, wydawał się mieć większe niż inni względy u panny Catoni. Zabawiał ją robieniem przeróżnych węzłów, uczył ciskać nożem. Aż wreszcie rozzuchwalony okazywaną mu przyjaźnią, któregoś wieczora wślizgnął się do jej kabiny, suknie z niej zdarł... Ściany w nadbudówce są szczęściem cienkie. Usłyszawszy zdławiony krzyk Laury, wypadłem na korytarz, *larum* czyniąc. Weigel pierwszy znalazł się przy mnie, drzwi wyważył i niedoszłego kochasia, nagiego już, na pokład wywlókł.

— Na reję z nim! — zdecydował Gaspar Froissart.

— Czy to nie za wielka kara? — zapytałem. — Młodość go poniosła.

— Jednakie są zasady dla wszystkich pośród naszej braci. Nieposłuszeństwo oznacza śmierć!

Bezwzględnie uczyniono pętlę i spuszczone ją z rei. Nikt z kamratów nie podważał kapitańskiego wyroku. Jean też zdawał się z nim być pogodzony. Jedna Laura zaczęła płakać i prosić, twierdząc, że może i ona jest częściowo winna incydentowi, nie przypuszczała bowiem, że samymi rozmowami może wywołać w chłopaku tak wielki afekt. Kapitan pozostawał nieugięty. Dziewczyna, łkając, ukryła twarz na mej piersi. Zarzucono pętlę na głowę skazańca i już miano podciągać, gdy z kabiny wyszedł ojciec Gomez z krucyfiksem. Kaci wstrzymali się, sądząc, że kapłan chce udzielić ostatniej pociechy nieborakowi, ale *padre* rzekł śmiało do Froissarta:

— Uwolnij go!

— Że jak? — zdumiał się stary pirat.

— Uwolnij — powtórzył Hiszpan. — Idzie sztorm, a za nim ciężkie termina, żaglomistrz będzie bardzo potrzebny.

Wielką moc miały słowa księdza i ku memu zdumieniu najwyraźniej trafiły do przekonania kapitana. Na jego rozkaz zdjęto pętlę z szyi Żanetki, a kaźń zamieniono mu na pięćdziesiąt batów, które wymierzono bezzwzględnie.

Jean posiekany został okrutnie, ale doktor de Lys, który się nim zajął, stwierdził, że nic młodzieńcowi nie będzie, może poza bliznami szpecącymi urokliwy dotąd zadek.

Tymczasem przez następne dwa dni mieliśmy nadal pogodę nadzwyczaj piękną. Już zacząłem podejrzewać, iż Pedro po prostu wymyślił ów sztorm, chcąc ratować chłopaka. Jednak trzeciego dnia niebo pociemniało i rychło nadszedł orkan północny, siły ogromnej.

Dobry tydzień niósł nas ku południowi na złamanie karku. Gdy wreszcie huragan ustał, okazało się, iż straciliśmy połowę takielunku i trzech żeglarzy, których splukało za burzę, połamanych i wywichniętych rąk nie zliczę. Jakimś cudem nie postradaliśmy w tych opałach „Nautilusa”, którego zawczasu udało się wyciągnąć na śródokręcie i płótnem nakrywszy, do pokładu przytwierdzić.

Najboleśniejszą stratą było zniknięcie brygu „Święta Łucja”. W czasie sztormu łajba musiała albo zatonać, albo też oddalić się na tyle daleko, iż nasz telegraf bez drutu nie mógł odebrać jej sygnałów.

Cóż było robić? Samotnie wzięliśmy kurs na zachód i płynąc Kolumbowym szlakiem, dotarliśmy do Bahamów. Nie stając przy żadnej z wysp, przecięliśmy archipelag, kierując się w szerokie wrota Cieśniny Florydzkiej. Wedle słów doskonale obeznanego z akwenem Froissarta, po lewej mieliśmy hiszpańską Isabellę, ostatnio coraz częściej nazywaną Cubą, a po prawej łańcuch florydzkich mierzei pełny zdradliwych raf. Ostawiwszy jednak bez cumowania przyszły Key West, wpłynęliśmy na wody Zatoki Meksykańskiej. Dnie były nadal po zimowemu krótkie, jednak ogarnął nas spory gorąc — nawet noce były tak parne i lepkie, że cała załoga (wyjąwszy księdza i Laure) sypiała pod gołym niebem.

Mimo zaginięcia brygu wyglądało, że los nam nadal sprzyja. Wzięliśmy kurs środkiem zatoki ku ujściu Rio Grande. Tam, ukrywszy galeon wśród bezludnych lagun, Froissart zamierzał podpłynąć naszą łódką podwodną do brzegu i wysadzić ludzi, iżby powęszyli w hiszpańskich koloniach, badając nowe plotki na temat niepokojących zjawisk i napowietrznych żeglarzy. W parę dni, z pomocą bożą, udało nam się pokonać cztery piąte dystansu, nie będąc niepokojonymi przez nikogo, kiedy z posterunku radiotelegrafisty nadbiegł do mnie Anzelmo, wołając:

— Odezwali się!

— Srebrzyści?

— E, tam, Srebrzyści. „Święta Łucja”! Są ledwie trzydzieści mil za nami.

Radość zapanowała na pokładzie wielka, jak w rodzinie z okazji powrotu syna marnotrawnego, i trwała dobrych parę godzin. Froissart kazał ściągnąć większość żagli, iżby łatwiej przyszło im nas dogonić. Rychło „Święta Łucja” zrównała się z nami. Mały bryg dzielnie zniósł sztormowe opąły. Kapitan Grenelle chciał nawet przybyć na nasz pokład i uczcić spotkanie, ale Gaspar popędzany przez ponownie wielce niespokojnego Gomeza kazał mu tylko wysunąć się do przodu i jak wprzódy prowadzić rozpoznanie. Słusznie postąpił, minęły ledwie dwie godziny, gdy znów ozwał się nasz telegraf.

Nadlatują od północnego zachodu — głosił przekaz. — Niech Bóg ma nas w swej opiece!

Wiadomość nie wywołała paniki wśród załogi. Całą drogę sposobiliśmy się do podobnej sytuacji. Toteż każdy przystąpił do realizacji powierzonych mu zadań. Szczęściem zaraz po osłabnięciu sztormu zwodowaliśmy ponownie „Nautilusa”, tak więc teraz zejście do kabiny i zawarcie wieka zajęło nam ledwie parę minut. Mrok nas ogarnął, wszakże niezupełny, pozostały niewielkie światełka zasilane z baterii.

— Opuszczamy się! — zakomenderował Turek, otwierając hydrauliczne zawory zbiorników balastowych „Nautilusa”. Siedząca u mego boku Laura objęła mnie ramieniem i wspólnie nacisnęliśmy na pedały. Byliśmy w dziewiątkę, choć skład różnił się od nakreślonego przez Gomeza. Idrys Mardinu zastąpił kapitana Froissarta, który w obliczu decydującej batalii odmówił opuszczenia swej załogi. Również Lino zdecydował się pozostać na pokładzie, delegując na swe miejsce niewiele przydatnego w bitwie kucharza. Chciałem iść w ślady Pavonego, ale nie zgodził się na to ojciec Gomez. Trzecia zmiana dotyczyła Hebana, który oczywiście za nic nie opuściłby swego kapitana. Miast niego miał wraz z nami pedałować Georges Mijon, rachmistrz. Wedle własnej opinii był niewiele przydatny w bitwie, bo wzrok miał słaby, a hałas działał mu na nerwy.

Opuściliśmy się zaledwie na głębokość dwudziestu łokci i zawisnęliśmy, dobrze wybalansowani, dokładnie pod „Henriettą”, dbając o to, aby jej kadłub zasłaniał nas przed powietrznym nieprzyjacielem. Serca nam łomotały, wydawało się, że lada chwila skończy się powietrze, czekaliśmy jednak na wynik nierównego starcia.

Przebieg zdarzeń na „Henriecie” znam z późniejszych relacji. Analizując metody działania Srebrzystych, już uprzednio doszliśmy do wniosku, że we wstępnej fazie ataku używają oni usypiającego gazu, a w walce wręcz posiłkują się paralizatorami. Idrys próbował znaleźć remedium na oba problemy. Wedle prototypu Palestriniego udało mu się sporządzić około czterdziestu prymitywnych masek z pochłaniaczami zawierającymi węgiel drzewny, nadto przygotowano dziesięć zbroi sporządzonych z hartownych płytek szklanych o słabym przewodnictwie elektrycznym. Również część załogi otrzymała obuwie o izolowanych podeszwach. Na ile to jednak mogło nas ochronić, nie mieliśmy pojęcia.

Podniebny krążek, zignorowawszy małą brygantynę, zatoczył krąg nad naszym galeonem. Pozostawieni dyżurni marynarze, wypełniając moje instrukcje, udawali bardziej ciekawość niż przestach, machając rękami ku nadlatującym, reszta załogi czekała w ukryciu z maskami na twarzach. Zakończywszy krótką lustrację obiektu, wehikuł zawisł na wysokości mniej

więcej stu łokci nad śródkręciem i zaraz wypadły zeń ładunki niewielkie, które eksplodowały w zetknięciu z pokładem.

— Gaz, gaz! — krzyknęli marynarze, osuwając się na pokład. Agresorzy odczekali z pięć minut, a nie widząc żadnego ruchu na naszym okręcie, przeszli do kolejnej fazy. Ich pojazd obniżył się tak znacznie, że otarł się wręcz o top grotmasztu, odskoczyły jakieś kłapy i opadła drabina sznurkowa; jeszcze chwila, a poczęli schodzić po niej z małpią zręcznością Obcy, w lśniących skafandrach, z twarzami skrytymi za półprzezroczystymi hełmami, podobnymi tym, jakie noszą dziś motocykliści lub policja z oddziałów prewencji. Schodzący na pokład (było ich może dziesięciu, *ergo* sądząc po wielkości latającego krążka, większość załogi) mieli z sobą zakrzywione noże z obsydianu, najwyraźniej przeznaczone do wykrawania serc. Zaledwie paru uzbrojonych było w pałki i miotacze, większość swego rynsztunku pozostawili zapewne na statku. Niewątpliwie nie była to ich pierwsza wyprawa, toteż zgodnie z dotychczasowymi doświadczeniami nie spodziewali się napotkać najmniejszego oporu.

Przyczajony wśród stosu lin i szmat Lino, nadal przytomny dzięki zawczasu założonej masce, poczuł trącenie w bok przywarowanego obok Froissarta: „Teraz!”

Pociągnął za spust karabinu maszynowego, celując w trójkę nadchodzących Srebrzystych. Dwóch przeciął ogniem niemal na pół, trzeciemu odstrzelił ramię. Ranny skoczył ku drzwiom nadbudówki, ale tam czekał na niego bezlitosny Heban. Drugi idrys, obsługiwany przez Fouchersona, rozszczękał się na dziobie, ścinając kolejnych amatorów cudzych „podrobów”.

Równocześnie ukryty w bocianim gnieździe Jean cisnął granat wypełniony gazem naszej produkcji wprost w otwarty luk wiszącego opodal spodka. Nie chybił.

Na śródkręciu wywiązał się nierówny bój. Zaskoczenie było pełne. Agresorzy marli szatkowani z broni automatycznej, dobijani nożami, maczetami, berdyszami. Do końca nie bardzo pojmowali, co się dzieje. Hełmy wypełniały się tryskającą krwią. Elektryczne pałki w zderzeniu ze szklanymi zbrojami piratów okazywały się nieprzydatne. Kombinezony obliczone na ochronę przed indiańskimi strzałami lub kulami z muszkietów nie dawały żadnej osłony wobec naszej udoskonalonej amunicji.

W jeszcze większym stopniu wybuch granatu wewnątrz spodka musiał zaskoczyć pozostających tam przywódców srebrzystych agresorów; Lino ujrzał, jak strojny w płaszcz z piór Aztek kosmita próbuje wygramolić się z maszyny. Świsnął nóż żaglomistrza Jeana i jak trafiony w pierś quezal, wódz runął na pokład, a płaszcz spłynął nań niby śmiertelny całun.

Było po walce.

Entuzjazm szalony ogarnął załogę. Zdzierać zaczęli srebrzyste zbroje z trupów, zrywać hełmy, spod których wyjrzały, miast spodziewanych pysków pajęczych, psich czy gadzich,

martwe twarze Indian. Lino szarpnął linkę sygnalizacyjną. Dotarł do nas czytelny przekaz: „Możecie się wynurzyć!”

Wyłynęliśmy na powierzchnię, nie wierząc własnym oczom. Pierwsze starcie zostało wygrane. Nałożywszy maski przeciwgazowe, z Turkiem Idrysem chwyciliśmy rzuconą nam linę i zaraz stanęliśmy na pokładzie. Reszta pasażerów miała na razie pozostać w „Nautilusie”. Maski zresztą okazały się zbyteczne. Wiatr już przewiał gaz. Niektórzy porażeni nim marynarze, ukryci w ładowniach, dokąd przedostało się mało gazu, zaczęli dawać znaki życia. Chodziłem wśród pobitych wrogów, klnąc zawziętość piratów, którzy nie ostawili ni jednego żywego, bym mógł go przesłuchać. Anzelmo tymczasem zatelegrafował na „Świętą Łucję”, donosząc o zwycięstwie.

Oglądałem trupy, badałem tworzywo, z którego zrobiono uniformy. Receptura zapewne była świetna, ale wykonanie wyjątkowo tandetne, tak jakby szycie kosmicznych uniformów zlecono dzieciakom z podstawówki, na lekcjach robótek ręcznych. Nadto „rycerze kosmosu” cuchnęli tak, jakby myli się ostatni raz podczas bytności w Obłoku Magellana.

Martwy i głuchy talerz wisiał cały czas nad „Henriettą”.

Podszedł do mnie Pavone.

— Zajrzymy tam, szefie? — zaproponował, wskazując wiszącą drabinę.

*

Widziałem wiele filmów o tematyce kosmicznej, toteż przygotowany byłem na rozmaite osobliwości, jednak to, co zobaczyłem wewnątrz dysku, zdumiało mnie bardziej niż *Obcy: Ósmy pasażer „Nostromo”*. Wyobraźcie sobie bowiem umieszczoną wewnątrz karoserii wyścigowego porsche’a kabinę zdezelowanej ruskiej pobiedy. Urządzenie, kiedyś może pomyślane wykwinicie, nosiło ślady setek przeróbek, spośród ekranów kontrolnych działał jeden, na całej długości skleiony jakimś mazidłem, a silniki, co prawda, działały, cały czas utrzymując pojazd w stałej pozycji, co chwila jednak pokasływały astmatycznie. Z dwóch działek jedno było chyba od dawna zepsute. Nie paliła się połowa kontrolek, a sądząc po kurzu je pokrywającym, z dawna nie wymienianych; milczała radiostacja. Ogłuszony pilot, w wytartym indiańskim samodziałowym poncho, wisiał na fotelu o połamanym oparciu. Przed nim zauważyłem mapę, na którą naniesione były pozycje obu naszych jednostek. Ta sprzed siedmiu godzin, gdy „Święta Łucja” odezwała się po raz pierwszy, a potem kolejne, co godzinę. A zatem przybysze, wprawdzie niechluję, musieli dysponować całkiem sprawnym

system pelengacyjnym. Obok paru czynnych urządzeń, których przeznaczenia trudno byłoby na pierwszy rzut oka określić, dostrzegłem dziesięć barłogów, otaczających wieńcem sterownię, a moje nozdrza zarejestrowały gęstą woń kaktusowego *pulque*, połączoną z odorem uryny i fekaliiów z przelewającego się kibla. O biegającym wszędy robactwie zamilczmy. Zali oznaczało to, że spotkaliśmy się z jakąś nieprawdopodobną cywilizacją flejtuchów?

Do wnętrza zajązwał Weigel. Wskazałem mu nieprzytomnego pilota.

— Bierz go na dół i wołaj do nas Turka. Może rozgryzie, jak to działa? A wtedy moglibyśmy złożyć wizytę w ich centrali szybciej, niż się spodziewają.

Lino tymczasem przykucnął przy jakiejś szafce i wygarnął z niej zwoje wytłuszczonych papierów.

— Skubańcy mają hiszpańskie mapy. I to całego świata! Jeśli idzie o mnie, skoncentrowałem się na urządzeniach sterujących, szukając źródła energii i aparatury nawigacyjnej. W którymś momencie zwróciłem uwagę na skrzynkę pod ścianą z małym okienkiem, w którym w równym tempie przeskakiwały purpurowe znaki — czyżby to były ichniejsze liczebnyki?

Równocześnie wszystkie czynne kontrolki poczęły się zapalać i gasnąć w coraz szybszym tempie. Zauważyłem, iż urządzenie to nie było połączone z pulpitem sterowniczym i dziwnie przypominało mi...

— Chodu! — wrzasnąłem do Pavonego. — Ani chybi to jakiś autodestruktor!

Nie musiałem się powtarzać. Lino porwał plik map i skoczył ku wejściu. Weigel ze swym żywym ładunkiem zeszedł był już na dół, zaś Idrys wspinał się ku nam i znajdował się dopiero w połowie drabiny.

— Uciekaj! — zawołałem do Turka i innych, którzy pozadzierali głowy. — Kryjcie się wszyscy. To zaraz wybuchnie!

Jak na potwierdzenie moich słów, z wnętrza talerza dobył się przenikliwy sygnał; nie wahając się dłużej skoczyłem w bok z drabinki, Lino poszedł w moje ślady. O metr minęliśmy się z relingiem, opadając szczęśliwie po zawietrznej burcie „Henrietty”. Nim jednak dolecieliśmy do wody, posłyszałem ponad sobą potężną eksplozję. Instynktownie dałem jak najgłębszego nura, kierując się w stronę naszej podwodnej łodzi, kołyszącej się na fali opodal statku.

Tymczasem talerz eksplodował. Przez moment wyglądał jak znicz z olimpiady w Sydney, lecz po chwili cała ta płonąca maszyna upadła na „Henriettę”. Runęły maszty, wrak przebił pokład, docierając do ładowni. Tam gorejące szczątki trafiły na barylki prochu. Detonacja

przełamała okręt na pół. Na moment rufa stanęła dęba, ale potem zapadła się w wodę, tworząc monstrualny wir. Jeszcze przez dłuższą chwilę wokół nas spadały odłamki latającego krążka i naszego statku. Jakiś odprysk rozżarzonego metalu przeciął mi łuk brwiowy... Zewsząd słychać było krzyki rannych i tonących. Przytomni usiłowali wyławiać tych, którzy nadal pozostawali uśpieni gazem. Przeważnie bezskutecznie. Doktor de Lys stał na dziobie „Nautilusa”, wymachując do mnie, bym jak najszybciej znalazł się na łodzi. Kwestią czasu było pojawienie się rekinów. Jeśli jednak wszyscy rozbitkowie poszliby w moje ślady, łódka nie wytrzymałaby takiego obciążenia.

Szczęściem na horyzoncie pojawiły się białe żagle „Świętej Łucji”, spieszącej z ratunkiem nielicznym ocalałym z „Henrietty”.

12. OSTATNI BRZEG

Bilans starcia, mimo pozornego sukcesu, okazał się tragiczny. Z załogi „Henrietty” ocalało ledwie dwudziestu siedmiu marynarzy i pasażerów — zginął dzielny Jean, przesądny kanonier André i sternik Armand, młody i zawsze kipiący radością życia. Bosman Weigel, lubo ranny w nogę, przeżył i nie wypuścił z ramion nieprzytomnego pilota Srebrzystych. Ocalał również dzięki swemu niezwykłemu szczęściu sam Froissart, którego ze środka ognistej burzy wyciągnął z nadzwyczajnym poświęceniem wierny Heban. Największą stratą dla ekspedycji była niewątpliwie śmierć Idrysa Mardinu. Wynalazca należał do wyjątkowej kategorii ludzi niezastąpionych. Przepadł również prawie cały ekwipunek. Na „Świętej Łucji” ostał się jeden karabin maszynowy i trochę środków wybuchowych. Nadto zachowaliśmy siedem masek przeciwgazowych, dwie szklane kolczugi, kilka bandoletów i krocie automatycznych, rozmokłe mapy zabrane przez Lina ze spodka, dwie lunety, nieco leków... Co jednak graniczyło z cudem, przeżyła w komplecie cała wymieniona dziewiątka, mająca, zdaniem Gomeza, odegrać decydującą rolę w naszej misji.

Obawiając się kolejnych ataków, kapitan Grenelle podążył jak najszybciej ku brzegowi. Większość z nas podejrzewała, że za dnia z pewnością pojawią się nieprzyjacielscy zwiadowcy, zdumieni i wściekli z powodu utraty spodka. Na pokładzie brygu zakazaliśmy palenia jakichkolwiek świateł i płynęliśmy w ciszy, pogrążeni w aksamitnym mroku. Stojący na dziobie Arawak Miguel utrzymywał, że wyczuwa bliskość brzegu.

Nasz jeniec — indiański pilot latającego spodka — rychło oprzytomniał, jednak na wszelkie zadawane mu pytania tylko szyderczo szczyrzył zęby. Z ciężkim sercem, pod zgodnym naporem wszystkich współtowarzyszy zgodziłem się na poddanie go torturom. Niepotrzebnie! Ani zrywanie paznokci, ani gniecienie jąder, które zaaplikował mu Anzelmo, osobliwie w rakarstwie rozmiłowany, nie zrobiły na nim wystarczającego wrażenia. Nie odpowiadał na pytania zadawane po hiszpańsku ni w paru dialektach indiańskich znanych przez Miguela. Jeniec nie dał poznać po sobie nawet, czy zna *nahuatl*, ojczystą mowę Azteków, którą, oczywiście w stopniu dość ograniczonym, władał ojciec Gomez. Wreszcie, gdyśmy znudzeni zaprzestali indagacji, a *padre* z litości podał mu wody, pilot sam ozwał się po hiszpańsku:

— I tak nie dożyjecie jutrzejszego zachodu słońca! — Tu zaśmiał się, zębami zgrzytnął, ślinę przelknął. Zaraz dziwne konwulsje jęły nim rzucać na koi, na koniec wyprężył się w łuk, szarpnął się parę razy i skonał.

— Musiał mieć w ustach jakąś ukrytą truciznę — zauważył wezwany po niewczasie Ambroise de Lys.

— Jeśli miał, czemu nie zażył jej od razu, oszczędzając nam trudów, a sobie cierpień? — zapytałem.

— Nie znasz pan tutejszych Indian, il Cane — wtrącił ojciec Pedro. — Zapewne najpierw chciał nam pokazać, iż lekceważy sobie zadawane cierpienie.

Jednak ostatnie słowa pilota miały ten skutek, że zdecydowałem nie czekać, ale co rychlej przesiać się na „Nautilusa”, podpłynąć nim do brzegu i tam ukryć nasz korpusik ekspedycyjny. Jeśli w ciągu najbliższej doby nie nastąpiłby żaden atak, kontynuowalibyśmy podróż aż do ujścia Rio Grande morzem, w przeciwnym wypadku pozostałoby nam jedynie dużo trudniejsze przekradanie się lądem. Dzięki zdobycznym mapom, wśród których, ku zdumieniu Froissarta, znalazła się rękopiśmienna kopia *Atlasu* Joao Textiery, zawierającego wiele informacji zastrzeżonych wyłącznie dla władców, a dla prostych żeglarzy niedostępnych, wiedzieliśmy z grubsza, gdzie szukać centrali wroga — wszystkie szlaki lotnicze wyrysowane na jednej z zachowanych kart zbiegały się na dzikiej, pustynnej wyżynie na zachód od Kolorado.

*

Dopiero zaczynało świtać, gdy żeglując „Świętą Łucją”, znaleźliśmy się o rzut dzidą od zarośli słonoroślowych, tam gdzie morze przeistacza się w ląd stały. Nigdzie nie widać było śladów ludzkiego bytowania, żadnych ognisk, najmniejszej choćby strużki dymu. Ptaki nocne żerowały leniwie, nie zwracając na nas uwagi. Miguel oblizując własny palec, co rusz zanurzany za burtą, wysmakował ujście rzeki. Tam postanowiliśmy wpłynąć naszą łódką. Ostawiając bryg w wąskiej cieśninie między rafami, przepłynęliśmy „Nautilusem” na drugą stronę owego limanu, zagłębiając się w rzeczne tunele, ciągnące się pośród splątanych zarośli mangrowych. Byliśmy zdecydowani zalec na dzień w takiej właśnie kryjówce. Można było, naturalnie, oddalić się jeszcze bardziej od brzegu, nie chcieliśmy jednak tracić kontaktu wzrokowego z brygantyną. Zwłaszcza po ustaleniu, iż ze względów bezpieczeństwa poniechać się zdecydowaliśmy wszelkiej łączności telegraficznej. Zgodnie z wizjami księdza

Gomez, w „Nautilusie” znalazła się cała dziewięcioosobowa ekipa: Laura, kapitan Froissart, doktor Ambroise de Lys, Lino Pavone, Anzelmo, Heban, Arawak Miguel, ksiądz i ja. Przenieśliśmy tam też trochę broni, odzieży, pieniądze i mapy.

Kapitan Grenelle uważał wprawdzie, że lęk przed atakiem Srebrzystych jest z naszej strony absolutnie przesadzony, jednak na wszelki wypadek zgodził się opuścić na wodę łodzie i tratwy ewakuacyjne, tak by w razie czego móc szybko ewakuować się ze „Świętej Łucji”.

Zmierzając ku brzegowi „Nautilus”, opuścił się na głębokość dziesięciu stóp. Woda była tu mętna, toteż do wnętrza przeświecało przez małe szybki z grubego szkła jedynie słabe światło. Z oczywistych powodów wyłączyłem nawet oświetlenie wewnętrzne, tak więc jeśli nawet w zaroślach kryli się jacyś zatajeni obserwatorzy, nikt z nich nie zorientowałby się, w jakim kierunku podążamy. Omijając korzenie mangrowii i oglądając od spodu liczne w tej okolicy kajmany, wpłynęliśmy tak około ćwierci mili w głąb łądu. Tu wypompowaliśmy z luków balastowych znaczną część wody, tak że kiosk „Nautilusa” wyrzał na powierzchnię. Obłożony gałęziami i błotem mógł z biedą uchodzić za cielsko kajmana. Dodatkowo, od ewentualnych obserwatorów z powietrza separował nas gęsty baldachim gałęzi, toteż bez wahania uchyliłem klapę i bagienne zapachy dostały się do wnętrza.

Budził się dzień — dziarsko odzywały się ptaki, prócz nich jednak moczary pozostawały spokojne i bezludne. Zwierzyna zachowywała się tak swobodnie, jakby nigdy nie miała przykrych kontaktów z człowiekiem; a to przesmyknął koło nas jadowny wąż wodny, a to wgramolił się na dziób łodzi ciekawy nowości piżmak. Dzięki lunecie mogliśmy obserwować stojący na kotwicy w cieśninie między dwoma wysepkami bryg, tak wkomponowany w roślinność, że wydawał nam się ledwie widoczny.

Czas płynął. W kabinie łodzi było ciasno, toteż chętnie zmienialiśmy się w punkcie widokowym; szczęściem wszechobecna wilgoć, cień i wietrzyk od morza łagodziły skwar południa. Zresztą wraz z upływającym czasem coraz więcej pasażerów decydowało się wyjść na górę, toteż po paru godzinach w „Nautilusie” pozostali jedynie ksiądz i Anzelmo, który w pobliżu hiszpańskiego kapłana czuł się zdecydowanie najbezpieczniej.

Minęła pierwsza i druga, nad wybrzeżem trwał niezmacony spokój. Nawet u mnie pierwotne napięcie ustępować poczęło sennemu rozleniwieniu.

— Mówię wam, nie przylecą — pocieszał wszystkich Anzelmo, wyściubiając z włazu swój okrągły łeb. — Nie wiedzą nawet, kto im strącił owe fruujące straszdyło. Zresztą, jeśli chcieliby nas szukać, do spenetrowania mają tysiące mil kwadratowych.

— Jeśli zarejestrowali błysk światła w Mont Romain w odległej Europie, to sądzicie, że przegapiliby fajerwerk na własnym podwórku? — powściągałem ten optymizm.

— Powiedzcie lepiej, mistrzu, co zrobimy, jeśli się nie zjawią do nocy? — zapytał Froissart.

— Pod osłoną ciemności znowu podpłyniemy kawałek ku zachodowi, na dzień chowając się między mangrowie.

Jednak nadzieje, iż dadzą nam spokój, okazały się płonne. Gdzieś na godzinę przed zachodem słońca usłyszeliśmy cichy, a potem z każdą minutą głośniejszy warkot. Tym razem przybywał latający aparat odmienny od już nam znanych, a najbardziej przypominający hydroplan.

— Zanurzajmy się! — syknął Anzelmo i wszyscy moi towarzysze jeden po drugim zaczęli znikać we wnętrzu „Nautilusa”.

— Poczekajmy chwilę, zobaczymy... — uspokajałem.

Hydroplan leciał wolno wzdłuż linii wybrzeża, dość nisko. Szukali nas, szelmy. Niewiele czasu zabrało mu odkrycie położenia „Świętej Łucji”. Wnet też przekonaliśmy się, iż wodnopłat nie przybył tu w celu nawiązania międzycywilizacyjnych kontaktów. Pierwsza odpalona torpeda chybiła kadłub brygu o cale. W odpowiedzi Foucheron otworzył ogień. Pojazd Obcych wystrzelił świecą w górę, przez chwilę mogło wydawać się nawet, że odlatuje. Ale nie. Zatoczył jedynie szeroki łuk i pikując, wystrzelił kolejną torpedę. Tym razem celną. Brygantyna stanęła w płomieniach. Umilkł pracowity idrys. Ujrzałem ludzi skaczących do wody, usiłujących odpłynąć łodziami. Przekazywałem me informacje Pavonemu, a ten powtarzał je zgromadzonym pod pokładem.

— Do kroćset! — burzył się Froissart. — Winniśmy im pomóc.

— Jedyne, co możemy zrobić, to przeżyć — odpowiadałem. Wioślarze, próbując ująć śmierci, spieszyli się, jedna z łodzi zwróciła się niebezpiecznie ku stałemu lądowi. W naszą stronę! Głupota czy panika?

Z lękiem zastanawiałem się, co uczynią nasi wrogowie: czy zaczną strzelać do rozbitków, czy też wylawiać ich, by dokonać posępnego rytuału? Tymczasem quasi-hydroplan zawrócił raz jeszcze i lecąc tuż nad powierzchnią wody, otworzył klapę z tyłu, przez którą poczęli wyskakiwać Srebrzyści, na wehikułach przypominających nieco współczesne skutery wodne. Z rykiem motorów pognali ku szalupom i jeśli razić wioślarzy z broni krótkiej, wystrzeliwując, jak się później dowiedziałem, małe strzałki z trującym alkaloidem prowadzącym do natychmiastowej utraty przytomności. Z każdą chwilą zbliżali się coraz bardziej ku naszym zielonym gąszczom.

— Zanurzamy się! — zdecydowałem, zatrzasnąwszy właz.

Uchyliłiśmy otwory od luków balastowych. Chwilę później mętna woda zakryła iluminatory. Opadliśmy na głębokość pięciu metrów, na tyle starczało naszych peryskopów wentylacyjnych. Tam zamiarowaliśmy czekać końca akcji.

Serce krajało się we mnie na myśl o losach naszych towarzyszy, wszelako nasza misja była ważniejsza. Chociaż — jakże mogła się zakończyć? Olbrzymia dysproporcja sił, odwrót odcięty...

Czas płynął, pod wodą robiło się ciemniej, również z powodu nadchodzącej nocy, ale dzięki stetoskopowi przyłożonemu do szyby słyszałem nieco odgłosów z zewnątrz, sporadyczne strzały, przybliżający się coraz bardziej warkot ścigaczy, jakby tuż nad nami. Wreszcie, gdy ogarnęła nas kompletna ciemność, postrzegłem nieodległe rozbłyski elektrycznego światła.

— Mogą nas szukać — mruknął półgłosem Lino. — Nie wiem, jak dobre mają reflektory, radzę jednak, opuśćmy się niżej.

Otworzyliśmy zawory do końca. Zaraz też „Nautilus” zaczął opadać. Może szybciej, niż powinien. Laura wydała krzyk przestachu. Sadziłem, że opuścimy się najwyżej na głębokość trzydziestu stóp. Ujście rzeki jednak okazało się znacznie głębsze. Wskazówka prymitywnego manometru przekroczyła drugą atmosferę, wskazując, że jesteśmy już poniżej trzydziestu pięciu stóp i opadamy coraz głębiej. 38, 39, 41, 44... Wokół nas dały się słyszeć niebezpieczne trzaski drewna, z którego zbudowana została łódź. Mardinu twierdził wprawdzie, że konstrukcja wytrzyma dwie i pół atmosfery, ale co mogło się zdarzyć przy większym ciśnieniu? Na głębokości czterdziestu pięciu stóp wreszcie uderzyliśmy w dno. Chyba z nadmiernym impetem.

— Panu niech będą dzięki — przerwał ciszę Gomez. Lino był konkretniejszy:

— Na jak długo starczy nam powietrza, *maestro*? — zapytał.

— Przypuszczam, że na około godzinę — odparłem. Jednak duszno zaczęło się robić już po upływie połowy tego czasu. A po trzech kwadransach zdecydowana większość pasażerów zażądała podniesienia łodzi, przynajmniej do poziomu, na którym możliwa będzie wentylacja. Ustąpiłem tym chętniej, że żadnych więcej rozbłysków świetlnych nikt z nas nie zaobserwował. Przełożyliśmy przekładnię. Wszyscy rytmicznie nacisnęliśmy na pedały. Kręciliśmy dobrą chwilę. Łódź ani drgnęła. Podobnie manometry.

— Co się dzieje? — zapytał doktor de Lys.

— Obawiam się — odpowiedziałem, opanowując drżenie głosu — że nasze pompy są zbyt słabe, aby wytłoczyć z rezerwuarów wodę.

— No to zginęliśmy — jęknął Anzelmo. — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

— Chwileczkę — przerwałem mu. — Idrys Mardinu przewidział taką sytuację. Posiadamy jeszcze tak zwany pierwotny balast, podłużne sztaby szklane przytroczone do dna. Wystarczy je zwolnić, a łódź sama pójdzie do góry. Niech tylko znajdę mechanizm zwalniający.

Po dłuższej chwili zmacałem dźwignię, odbezpieczyłem, poruszyłem w górę i w dół. Żadnego efektu. Spróbowałem jeszcze raz. Nic...

— Może ja to zrobię — zaofiarował się *padre*.

Jedynym skutkiem jego wysiłków była ułamana wajcha, która pozostała mu w dłoni. Tymczasem zrobiło się jeszcze duszniej.

Przez następne trzy minuty nikt nie powiedział ni słowa. Co zresztą było mówić? Niektórzy poszli w ślad Anzelma, który pod nosem szeptał modlitwę za konających. Tylko ojciec Gomez wydawał się spać, a może czekał na cud.

Naraz olśniło mnie.

— Lino, pamiętasz, co mówił Idrys o komorze ewakuacyjnej?

— Owszem — ożywił się Pavone. — Twierdził, że gdybyśmy ugrzęźli na niewielkiej głębokości, należy przejść do komory na rufie, odseparować ją od reszty statku, napęlić wodą, a następnie otworzyć zapasowy właz i spróbować wypłynąć na powierzchnię. Tyle że jesteśmy na piętnastym met... Znaczy na czterdziestu pięciu stopach. Jednak spróbuję. — Na czworakach zaczął przesuwać się ku tyłowi. — Może jeśli wypłyniemy na zewnątrz, uda się odciąć ten cholerny balast, a łódź sama się wynurzy.

— Pójdę z tobą — postanowiłem spontanicznie. — Dla reszty zostanie więcej powietrza.

Wolałem nie pytać ojca Gomeza o nasze szanse.

Komora rufowa miała gabaryty dwuosobowej trumny ustawionej pionowo. Zamknęliśmy za sobą starannie grodz, modląc się, by wpływająca woda nie rozerwała kadłuba naszego „Nautilusa”.

— Jak długo wytrzymujesz na bezdechu? — zapytał Pavone.

— Kiedy trenowałem w basenie, udawało mi się usiedzieć pod wodą do trzech minut.

— Wytrzymaj półtorej i pamiętaj, zgromadź w ustach dużo śliny. Uwaga, otwieram.

Woda wdzierała się do środka błyskawicznie. Wnet sięgnęła nam do piersi, w sekundę później do ust. Zaczerpnąłem głęboki oddech. Lino ruszył dźwignię, uciekła resztką powietrza. Równocześnie wściekły ból targnął me bębenki. Najwyższą siłą woli usiłowałem zapanować nad bólem. Przełknąłem ślinę, ruszyłem zuchwą. Ból zelżał, jednak poczułem, że tracę przytomność. Pavone tymczasem napał na klapę. Na szczęście po wyrównaniu ciśnień odskoczyła bez trudu.

Lino pierwszy pokonał wąż, potem porwał mnie za ramię i pociągnął ku górze. Nie miałem wprawdzie płetw, ale powietrze zgromadzone w płucach pomagało jak pęcherz pławny. Walilem nogami jak szalony, przekonany, że za chwilę się uduszę, a czas wydawał się stać w miejscu. Wreszcie usłyszałem chlupot. I pociągnąłem ten boski, pierwszy łyk świeżego powietrza, pachnącego mokradłami, roślinami, życiem... Lino wynurzył się obok mnie.

A więc wypłynęliśmy! Ciemność zdążyła już wokół zapaść i trwała, jak to w tropikach, noc smolista, ze słabym sierpem księżycy, prześwitującym między liśćmi. Wdrapałem się na jakiś powalony pień. Z ust i nosa ciekła mi gorąca krew. Powietrze wokół było równie lepkie i parne. W głowie kręciło mi się jak po wypiciu dwustu gram koniaku duszkiem. Rozejrzałem się ostrożnie dookoła; żadnych świateł, żadnych hałasów. Snadź wrogowie, uznawszy, że nikt nie ocalał, odlecieli albo przyczaili się, czekając, aż się pokażemy.

— Wracam po resztę! — powiedział Lino i rozebrawszy się do naga, wziął w zęby nóż, na szyi zawiesił latarkę i zanurkował znowu. Zauważyłem jeszcze, że dopiero zagłębiwszy się poniżej dwóch metrów, pozwolił sobie na zapalenie światła.

Powoli dochodziłem do siebie, sam pośród moczarów. Dookoła rechotały żaby, czasem krzyknął gdzieś nocny ptak. Naraz ujrzałem w wodzie podłużny kształt. Kajman!? Skuliłem się na mym pniu, oczekując ataku, jednak kiedy nurt rzeczny przyniósł ów płynący obiekt bliżej, po spodniach i pasie poznałem, iż był to kapitan Grenelle, nieobuty, bez peruki i kaftana. Wokół rozchodziła się mdła woń krwi. Odwróciłem trupa na wznak. Oczywiście sprawa — jemu także wyrwano serce.

Wypłynął Lino — ciężko łapał powietrze.

— Idzie, ale bardzo opornie — sapał. — Wszędzie muł, trudno zaś wpłynąć pod łódź, bo leży na samym dnie.

I znów zanurkowałem. Tym razem nie było go chyba trzy minuty. Zaniepokojony nie na żarty, chciałem już skakać i szukać go pod wodą, co bez latarki byłoby pomysłem dość głupim, gdy nagle ujrzałem wynurzającego się Lina, zaś spod wody począł dolatywać bulgot wypompowywanej wody. „Nautilus” oderwał się od dna.

*

Powiem szczerze: bałem się cieszyć. Wprawdzie przeżyliśmy, a wrogowie odlecieli. Czy jednak mieli nie powrócić? Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Jednak póki co „Nautilus”

i nasza dziewiątka straceńców wyszła z opresji bez większego szwanku, a niezmordowany Lino zanurkował jeszcze dwa razy i uwiązawszy liny do zaczepów, odzyskał płyty balastowe.

Nalegałem, byśmy nie tracąc czasu, płynęli dalej. Rano prześladowcy mogli wznowić poszukiwania, toteż ruszyliśmy wolno po powierzchni. Miguel, siedząc na dziobie, półgłosem wskazywał drogę. Naraz syknął cicho:

— Człowiek!

W rzeczy samej. Na wysokiej kępie leżał jakiś osobnik w kozuchu z błota. Jak na trupa pochrapywał zdecydowanie zbyt smacznie. André Foucheron?! Na Boga! Jak udało mu się przeżyć tę masakrę?

Jeszcze chwila, a obudzony muszkieter znalazł się wśród nas.

— W tej sytuacji powinniśmy opłynąć cały teren — stwierdził Froissart. — Może ocalał jeszcze ktoś.

— To raczej niemożliwe — powiedział André. — Tylko jednej łodzi udało się przedostać na drugą stronę zatoki, resztę wyłapali jak raki z sadzawki. Mają takie okulary, dzięki którym widzą w ciemności jak koty.

— A ty?

— Ocalałem wyłącznie dzięki Weiglowi. Bosmanowi udało się cisnąć granatem w ścigającego nas Srebrzystego. Nim pojawili się następni, dopadliśmy zarośli. Myślałem, że mamy szansę ukryć się na tych trzęsawiskach, oni jednak otoczyli pierścieniem cały teren, pruli po kanałach, łapali jednego po drugim i przy dzikich rykach rozpruwali pojmanym klatki piersiowe. Wymykając się śmierci, udało się nam ustrzelić jeszcze dwóch, zapadał zmrok i pojawiła się nadzieja, że może się nam uda. Niestety te diabły widzą w ciemności. Na moich oczach dorwały Mijona. Było całkiem ciemno, a nasz liczykrupa krył się w gęstwinie, mimo to zobaczyli go. Biedny Georges. Ja ocalałem, bo zanurzyłem się pod wodą, zaklinałem między korzeniami na głębokości stopy i oddychałem przez trzcinę.

— A Horst Weigel?

— Osaczyli go wreszcie. Zdołał zabić jeszcze jednego, ale walnęli go tymi elektrycznymi pałkami...

— Zginął?

— Nie od razu. Chyba ktoś z ich dowódców poszedł po rozum do głowy, wzięli go żywcem, wsadzili do żelaznego ptaka i odlecieli.

— Można rzec: mamy szczęście w nieszczęściu — powiedział Anzelmo. — Nie mając języka, wiele im nie powie.

Zgromiłem go, myśląc z trwogą o losie dzielnego bosmana. A Foucheron pokazał mi jeszcze trofea, które zdarł z jakiegoś trupa. Okulary podczerwienne z zasilaczem, elektryczny paralizator i nóż z obsydianu.

Na wszelki wypadek opłynęliśmy jeszcze raz miejsce zatonięcia „Świętej Łucji” i okoliczne kępy drzew. André wielokrotnie wydawał krzyk galijskiego koguta. Nikt się wszelako nie odezwał.

Przyszło się nam pogodzić z myślą, iż ostaliśmy w dziesiątkę. Ojciec Pedro odprawił modlitwę za tych, którzy zginęli, a potem, korzystając z dobroczynnej osłony nocy, popłynęliśmy „Nautilusem” wzdłuż wybrzeża. Na zachód.

13. RZEKA BEZ POWROTU

Przez następne kilkanaście diii nie zdarzyło się nic godnego pióra nawet tak domorosłego Ksenofonta jak ja. Owszem, w moim ówczesnym diariuszu notowałem systematycznie zapiski dzienne utrwalające zdarzenia mniejsze i większe — wszelako pamiętnik ów nie jest dostępny, a jeśli kiedykolwiek się objawi, cóż, wydaje mi się, że ta jego część przed edycją i tak zostałaby skreślona bezlitosną dłonią redaktora.

Żeglowaliśmy nocami, za dnia kryjąc się w płytkich zatokach na powierzchni lub, jeśli podejrzewaliśmy, iż okolica może być zamieszкана, w lekkim zanurzeniu. Była to podróż zmudna i nużąca; że nie policzę tysięcznych alarmów przerywających sen i skłaniających do pospiesznego napełniania zbiorników. Parokrotnie widywaliśmy na horyzoncie łodzie tubylczych rybaków, bywało, że mijaliśmy indiańskie wioski, wszelako ani razu nie doszło do bezpośredniego spotkania. Chwalić Boga, pogoda okazała się dla nas wielce łaskawa, ledwie dwa razy niewielkie szkwały zmusiły nas do chronienia się w lagunach. Nigdy dłużej niż na dobę.

Nasze pożywienie składało się z wędzonego mięsa, sucharów i suszonych owoców. Uzupełnialiśmy je łapanymi na wędki rybami, które, gdy się nam tylko udało znaleźć zacienione schronienie, piekliśmy na płomyku spirytusowej maszyny skonstruowanej ongiś przez Turka.

Czasem Heban wraz z Miguelem, naturalnie z zachowaniem największej ostrożności, wybierali się na ląd i zwykle plonem takiej ekspedycji bywały orzechy kokosowe, upolowane kapibary lub żółwie jaja.

Chwalić Boga, że ledwie raz i to we wnętrzu „Nautilusa” Gomez doznał swego ataku szału. Ale udało się go związać i zakneblować, nim narobił większych szkód. Po przebudzeniu nie chciał nic mówić o swych zwidach i zasłaniając się brakiem pamięci, wodził po nas smutnym wzrokiem. Innym podróżnikom też niewiele brakowało do popadnięcia w szaleństwo, nerwy wszystkich napięte były do ostateczności; Anzelmo wadził się z Linem, do którego czuł niewytłumaczalną awersję, na dodatek przy byle okazji naigrawał się z rozmaitych śmiesznośtek Murzyna i Indianina tak dokuczliwie, że obawiałem się, iż któregoś dnia obaj kolorowi zaciukają go w jakimś kącie. Ja też miałem dosyć wszystkiego, tym bardziej że od chwili, gdy Pavone uratował „Nautilusa” (z moją pomocą!), stał się przedmiotem szczególnej adoracji większości grupy z panną Catoni na czele. Laura chyba

jeszcze raz przewartościowała swój stosunek do mnie i teraz wyglądało tak, jakby przy każdej okazji chciała mi zrobić na złość. Doszło do tego, że podważała mój autorytet. Bywało, iż wydawałem jakieś polecenie (sprawa mogła być błaha lub poważna), wszyscy przyjmowali je bez szemrania, dziewczyna natomiast spoglądała na rosettińskiego obwiesia i pytała: „A co ty o tym myślisz, Lino?”

Dobrze przynajmniej, że Pavone nie próbował czynić żadnej *frondy* w zespole. (Wybaczcie ten anachronizm, termin *fronda* miał urodzić się dopiero za parę lat, teraz oznaczał jeno dziecięcą procę.)

To, że jednak udało się nam przetrwać bezpiecznie ten etap i wejść szczęśliwie w ujście Rio Grande, było w ogromnej mierze zasługą kapitana Froissarta, na którego mogłem liczyć w każdej sytuacji, doktora de Lysa i Fouchersona, po żołniersku zdyscyplinowanego.

Przez cały czas nie napotkaliśmy żadnych dowodów istnienia Srebrzystych — ni dysków, ni hydroplanów, nie odnaleźliśmy też śladów ich działalności.

Któraś wieczora nasz Arawak podpłynął w pobliże tubylczej osady, w której wokół gorejących ognisk odbywała się jakaś wioskowa uroczystość, i dobre dwie godziny z ukrycia śledził tańce i ceremonie, ale — jak się okazało — była to jedynie inicjacja młodzieży, związana z otrzymywaniem dorosłych imion klanowych. Towarzyszący Miguelowi Lino zdał następnie szczegółową relację z tamtejszych obrzędów, barwnych, bogatych, świadczących jednak o pokojowym nastawieniu tubylców i pozbawionych jakichkolwiek akcentów kanibalskich. Długie szeregi chłopców i dziewcząt kompletnie nagich, o twarzach oblepionych mąką, jedynie z kaczanami kukurydzy w dłoniach, podążały wkoło wyznaczonego kręgu, w środku którego szalała czwórka postaci w barwnych przebraniach. Każdy nosił maskę innego koloru, symbolizującą zapewne cztery krańce świata lub cztery żywioły. Maski te zostały przyozdobione piórami orłów, papug, rogami bizonów bądź płetwami rekinów. Szamani i ich pomocnicy z biczami z juki w rękach potrząsali grzechotkami zrobionymi ze skorup żółwi, tańczyli i hałasowali. Co pewien czas na środek kręgu wyciągano młodego chłopca mającego otrzymać męskie imię, a ten musiał dzielnie znieść cztery uderzenia biczem, okrutnie rozrywające skórę i pozostawiające blizny — wieczyste ozdoby dorosłego członka szczepu.

W całym onym misterium nasi obserwatorzy nie zauważyli najmniejszego wpływu Srebrzystych. Arawak podkraść się nawet tak blisko, iż mógł słyszeć rozmowy starszych kobiet i z tego, co wywnioskował (dialekt, którym mówili Indianie z tutejszych lagun nie był dla niego zrozumiały), tyczyły się one wyłącznie obrzędu. Niewystawienie czujek i brak broni

wskazywały, że tubylcy usposobieni są pokojowo i nie odczuwają najmniejszego zagrożenia z jakiegokolwiek strony.

Żegluga w górę Rio Grande, rozlanej szeroko, najwyraźniej wskutek opadów bądź topnienia śniegów w Górach Skalistych, zrazu przebiegała bez przeszkód, niestety, zderzenie z potężnym pnieniem w połączeniu z paroma wcześniejszymi kolizjami sprawiło, że „Nautilus” przeciekał, zanurzanie się głębiej niż na półtora sążnia nie wchodziło w grę i trzeba było coś z tym począć.

Prawdziwego jednak strapienia dostarczał nam stan ojca Gomeza. Ten pogarszał się z dniem każdym, do dotychczasowych cierpień ducha dołączyły się gorączka i złośliwa biegunka, którym nawet de Lys nie był w stanie zapobiec. Hiszpan gasł w oczach i widać było, że trudy podróży i niewygodna tygodni spędzonych w kucki pod pokładem „Nautilusa” rychło go zabiją.

— Musimy poszukać wsparcia u Hiszpanów i natychmiast zmienić środek transportu — powiedział podczas narady kapitan Froissart. — Wyłonmy grupę z naszego grona, która się ujawni, podając za eskortę hiszpańskiego misjonarza. Z mym akcentem mogę uchodzić za podróżnika z Navarry, komiltona tu obecnego księdza.

Po hiszpańsku mówili biegle, nie licząc *padre*, Froissart i Arawak Miguel. Co do mnie, wprawdzie kaleczyłem okrutnie język Cervantesa i Lope de Vegi, ale mogłem się w nim dogadać. Podobny poziom prezentował Foucheron, który brał udział w wojnach pirenejskich i nawet przez krótki czas przebywał w niewoli u Iberyjczyków. Także doktor Ambroise de Lys, bywały w Madrycie, potrafił się porozumieć, a nawet Anzelmo posiadał wystarczający zasób słów, który wsparty odpowiednią dozą bezczelności umożliwiał mu handel, zaloty i polityczne negocjacje. Biedni nie byliśmy; Richelieu, wbrew temu, co się o nim mówiło, nie poskąpił nam hiszpańskich dublonów, można było tedy przystąpić do kolejnego etapu naszej misji.

— Dobrze byłoby, byś, kapitanie, idąc między ludzi, sam mógł udawać duchownego — zaproponowałem.

— Tego uczynić nie mogę — stary pirat dziwnie się zmieszał.

— Możesz — powiedział naraz z mocą ojciec Gomez, który wbrew pozorom wcale nie spał. Z racji swej funkcji spowiednika wiedział dużo więcej o Gasparze niż którykolwiek z nas. — W imię Pana Naszego proszę, przyjmij to przebranie. Ja zaś ci pomogę na miarę swych skromnych sił.

Kapitan powiódł po nas wzrokiem i nie dostrzegając żadnych oznak sprzeciwu, wydusił:

— W porządku.

Tak więc któregoś lutowego dnia odziani w podróżne sutanny Gomez i Froissart w towarzystwie Miguela, Hebana i Anzelma szli do misji San Ignacio. Tam przedstawili się czterem miejscowym mnichom jako pielgrzymi z Vera Gruz, zamierzający odwiedzić misję w Santa Fe, najdalej wysuniętą na północ placówkę wicekrólestwa Meksyku.

— Bóg nie dał nam zginąć — opowiadał słabym głosem *padre* Pedro mnichom zadziwionym pojawieniem się podróżnych znikąd. — Płynęliśmy łodzią pod prąd Rio Grande i tam wczoraj wskutek zdradliwej fali postradałem wszystkie dobra, krom tu obecnego ojca Gaspara, trójki sług i niewielkiego trzosa. Niech będą dzięki Matce Boskiej Łaski Pełnej, żeśmy przeżyli, a dobrzy ludzie wskazali drogę do Domu Bożego.

Gościnni franciszkanie trzy dni podejmowali braci w Chrystusie na terenie misji, dyskretnie nie wypytujac o nic i zadowolając się aluzjami, że prócz celu pielgrzymkowego obaj księża mają również misję sekretną zleconą przez arcybiskupa Meksyku. Ostatniego dnia *padre*, któremu miękkie łoże i ciepła strawa w znacznym stopniu przywróciły zdrowie i humor, posunął się do niedyskrecji i wyznał, że jednym z zadań wspomnianej misji ma być zbadanie cudu, który jakoby zdarzył się w tamtych okolicach.

— O cudach nie słyszałem — powiedział najstarszy z misjonarzy, mimowolnie ścisząc głos. — Niedawno jednak rozmawiałem z pewnym człkiem z El Paso, który mówił, że wielka trwoga lęgnie się wśród wiernych na północnych terytoriach.

— Trwoga, doprawdy, z jakiego powodu? — Gomez i Froissart udali zdumienie. — Nic o tym nie słyszeliśmy!

— Od wielu lat wśród tubylców krążą podania o stolicy kraju Ciboli, tajemnym mieście wśród pustyni. Wedle jednych ma to być ostoja pierwotnych demonów, wedle innych prawdziwe Eldorado, gród pełen bram uczynionych ze złota i wież wzniesionych ze szlachetnych kamieni, dokąd azteccy uciekinierzy z Tenochtitlanu uwięzili znaczną część skarbów Montezumy. Jeszcze w ubiegłym stuleciu wielu śmiałków próbowało odnaleźć to miasto, ale nikt żywy stamtąd nie powrócił, zaś ochrzczeni Indianie jak zarazy unikają zapuszczania się w tamte strony, pozostawiając je tylko sępom, kojotom i grzechotnikom.

— Mniemałem, że legenda o krainie złota dotyczy jedynie ziem podbitych przez Pizarra i terytoriów w bliskości państwa Inków położonych — powiedział Gaspar.

— Każda ziemia ma swoje legendy i swoich męczenników — franciszkanin wyraźnie się rozgadał. — Sto lat temu w legendy o siedmiu miastach Ciboli uwierzył i pan de Soto, konkwistador słynny, co przyplacił życiem, i pan Coronado, i Francisco de Ulloa, i Hernando de Alarcon, wszyscy oni jednak odkrywali jedynie ubogie wsie i tubylcze *puebla* bez złota i jakichkolwiek bogactw. Wyprawił się wreszcie, przez samego wicekróla Antonia de Mendozę

wysłany, ksiądz Marcos de Niza, pobożny sługa świętego Franciszka jak my. A za przewodnika mu służył niejaki Esteban Maur, awanturnik wielki, jedyny z ocalałych uczestników poprzednich wypraw, człek, który jakoby na własne oczy widział tajemne miasto.

Powiadał, iż mieści się ono w samym środku suchej i dzikiej pustyni, we wnętrzu niedostępnej góry pozbawionej wierzchołka. O wadze, jaką dwór przywiązywał do wyprawy, niech świadczy, iż wziął w niej udział niejaki Karl Rotleder z Bazylei, lekarz, matematyk i alchemik, samego Paracelsusa uczeń najlepszy, jednak udział ten był *incognito* i w żadnym urzędowym sprawozdaniu go nie odnotowano.

— A to czemu?

— Nie godziło się rozgłaszać, iż w arcykatolickiej eskapadzie brał udział kalwin i czarownik. Z nim też łączy się epizod wielce znamienity. Posuwając się ku północy, ojciec de Niza wypuszczał we wszystkie strony rozliczne forpoczty. I tak pewnego dnia wyruszył Rotleder z Estebanem Maurem ku zachodowi. Gdy upłynął tydzień, a nie wracali, wysłano po nich zwiad. Ten znalazł wśród pustyni jedynie ciało Estebana, najwyraźniej usiłującego dotrzeć z powrotem do obozu, milę bowiem dalej na pustyni natrafiono na szkielet jego konia. Ciało Maura zachowało się w nieco lepszym stanie niż wierzchowiec, a sępy dopiero dobierały się do niego, wydłubawszy mu swym zwyczajem oczy oraz, rzecz niespotykana, wyrwały mu serce z piersi, co dowodzi niezbitą nadzwyczajną siłą tych ptaków. — Wyobraziłem sobie spojrzenia, jakie w tym momencie musiał ojciec Gomez wymienić z Froissartem. — Od tego czasu nikt już nie szukał zaginionego miasta. Ostatnio jednak... — mnich kaszlnął i nagle umilkł.

— Mów, ojcze — nalegał Gaspar. — Cóż takiego zdarzyło się ostatnio?

— Nie wiem, czy godzi się powtarzać gędźby tubylców, z których wielu w skrytości ducha poganami pozostaje. Powtarzają oni, jakoby miasto ożyło i ruch wokół niego się uczynił, a ono samo zaczęło wysyłać wokół rozdawców śmierci. Ponoć parę osad znikło w ostatnich czasach z powierzchni ziemi, kilka wypraw zaginęło bez wieści. Od ognia, który zstąpił z nieba, spłonęły trzy misje. Bajania Indian mówią też o mustangach galopujących po niebie i pozostawiających za sobą smugę ognistą. Nigdy jednak nie spotkał naocznego świadka tych zdarzeń, bo powiadają, iż ktokolwiek zetknie się z onymi demonami, zaraz umiera.

— Czy istnieją jakieś interpretacje owych zdarzeń wśród tubylców?

— Przede wszystkim strach szerzy się wśród tych, którzy wiarę Chrystusową przyjęli. Niektórzy bowiem gadają, że oto obudził się sam pradawny Wielki Duch z Niebios, który ma przegnać Białych z tego świata aż po najdalsze zakątki Ziemi.

*

Trzy dni starczyły mnichom, by wystarać się dla nas o wóz tęgi, mocnym płótnem kryty, zdatny do podróży meksykańskimi bezdrożami. Froissart nabył do niego czwórkę silnych koni i także jeszcze czwórkę na zmianę. Mnisi nalegali, aby ojciec Pedro pozostał u nich aż do pełnego wydobrzenia, ten jednak rzekł im:

— W pełni wydobrzeję już na pastwiskach niebieskich, mili bracia, natomiast jest wola Przedwiecznego, abym podążał dalej wraz z moimi towarzyszami.

Dwie mile za zabudowaniami misji oczekiwała reszta naszej zuchwałej dziesiątki. Tam Foucheron, Lino, de Lys i Froissart dosiedli koni, pozostali jakoś zmieścili się wewnątrz wozu.

Wieżliśmy z sobą listy od księży z San Ignacio do następnych franciszkańskich misji i cywilnych *presidiów*, toteż wszędy przyjmowano nas dobrze, nie szczędząc jadła ni napojów. I jeśli czymkolwiek przychodziło się nam martwić, to Pedrem Gomezem. Po dwóch dniach względnego polepszenia znów było z nim gorzej. Coraz słabszy, nie był nawet w stanie o własnych siłach podnosić się z posłania, na którym go wieźliśmy. Sprzeciwiał się jednak jakimkolwiek sugestiom o wstrzymaniu marszu. Gorączkowo snuł coraz nowe wizje, ale niestety obrazy dawniejsze mieszały mu się z nowymi. I jeśli cokolwiek było w nich trwałego, to była to niezłomna wiara w zwycięstwo. — Ja wkrótce odejdę, ale wy pójdziecie dalej — szeptał. — Nie lękajcie się, albowiem Pan jest z wami, a wojnie sprawiedliwej, która toczy się w obronie ludu bożego, błogosławi cała Trójca Święta.

Zaiste starczyłoby onych wizji dla Hieronima Boscha na spółkę z Salvadorem Dalim. Realizm mieszał się w nich z metaforyką. Zagrożenie raz przybierało realistyczne kształty konfliktu dwóch cywilizacji, to znów jawiło się w formie plagi, kary bożej za grzechy Europy triumfującej nad światem. Za zbrodnie podboju. Choć muszę wyznać, że moja podróż i rozmowy z ojcem Pedrem zrewidowały wiele z uproszczonych wizji konkwisty, mającej bardziej skomplikowany charakter, niż wyczytać mogłem w podręcznikach, których autorzy byli wobec konkwistadorów często okrutniejsi niż ci wobec Indian. W rzeczywistości obok łupieżców i bezlitosnych niszczycieli innych kultur pojawiali się prawdziwi święci, ludzie oddani bez reszty krzewieniu pośród nowo odkrytych ludów jedynej wiary. Przy czym ożywiał ich nie abstrakcyjny fanatyzm, o jakim lubią opowiadać dzisiejsze książki (sam się z takich uczyłem), lecz wiara, nadzieja i miłość. Wiara, że nie ma zbawienia bez Chrystusa,

ogromna miłość wobec tych wszystkich młodszych braci: czarnych, żółtych i beżowych, a nade wszystko nadzieja, że misyjny trud nie pójdzie na marne i służyć będzie nie pysze Kościoła czy chlubie jego hierarchów, ale właśnie zbawieniu owych niezliczonych ludów. I ich rozwojowi. A że miłość owa ojcowska nie liczyła się z subiektywnymi odczuciami dzieci bożych, potrafiła je ranić, łamać, często czynić nieszczęśliwymi... Czy wyklucza to szlachetność intencji? Czyż nie potwierdza jedynie niedoskonałości najlepszego z możliwych światów?

Czasami znów zdawało mi się, że *padre* wybiega w swych halucynacjach naprzód. Że natchniony jak Nostradamus, porzuciwszy opisywanie zagrożeń ze strony Srebrzystych, opowiada o epokach, które dopiero nadejść mają, kompletnie nieświadom, że słucha tego człowiek mogący zweryfikować owe rojenia. Mówił więc o wielkich nieprawościach, jakie nadejść miały, czerpiąc zatrute soki z ludzkiej pychy, gdy człek uzna się za równego Bogu, przywoływał obraz króla podążającego na katowskie rusztowanie, ku maszynie, w której spadała srebrzysta kosa (gilotyna?), dalej opowiadał o małym wodzu z wyspy na południu położonej, który Zachód i Południe we krwi skąpawszy, siłę swą utracić miał wśród śniegów Północy. Wieszczęł stulecie wojen dwóch, strasznych, mówiąc, iż z pierwszej z nich zrodzi się demon czarny i czerwony, a druga u swego schyłku uwolni moc niepojętą, przemieniając noc w dzień tak, że już nigdy człowiek nie *zazna* spokoju. Dalej prawił o piecach Molocha, które pochłoną naród wybrany, po równi z każdego rodu: Judy i Dana, Symeona i Efraima, Rubena i Zebulona, Naftaliego i Beniamina...

Czy Gomez to naprawdę widział? A może obdarzony jedynie telepatycznym zmysłem wygrzebywał informacje z mózgu Alda Gurbianiego, bogatszego odeń znajomością doświadczeń holocaustu i Archipelagu Gułag, Verdun i Hiroszimy?

*

Podążając w górę Rio Grande, zauważyliśmy, iż opodal El Paso rzeka zakręca ku północy, jej koryto zwęża się, a żółty wezbrany nurt staje się bardziej porywisty. Noce po upalnych dniach następowały wcale chłodne i bywało, że nad ranem, okutani w pledy i wtuleni w siebie (ja przeważnie między Laurą a Anzelmem), dygocemy z zimna. Zmienił się jednak nie tylko otaczający nas pejzaż, zmieniło się nastawienie ludzi. Dotąd, mijając osady tubylcze, napotykalismy przeważnie życzliwą ciekawość, obecnie coraz częściej patrzono na nas spode łba, nienawistnie, a bywało, że z nieukrywaną pogardą.

— Coś tu wisi w powietrzu — mrucał Anzelmo, który znał się na ludziach. — Ci Indianie nie mogą się doczekać momentu, gdy się poderwą i poderzną gardła wszystkim białym.

— Prawda to — potwierdzał Froissart. — Cisza jak przed buntem w obozie.

— Sądźcie, że może być to sprawka Srebrzystych? Franciszkanie z Tularosa, których pytaliśmy o nastroje wśród tubylców, potwierdzali niewytłumaczalną i z dnia na dzień wzmagającą się wrogość dotąd przyjaznych Indian, wielość przypadków nawrotu do pogaństwa, popularność magii i guseł, wcześniej nie notowanych w takim nasileniu. Dowiedzieliśmy się też, że na krótko przed nami przemaszerował tędy oddział wojsk wicekróla, kierujący się w stronę Santa Fe. Czy miało to jakiś związek z aktywnością Wyrwaczy Serc, trudno było dociekać.

Zaraz za Tularosa przewodnik, miejscowy szelma jakich mało, wprowadził nas w błąd, wysyłając naszą kompanię w kierunku Alamogordo. I nim zorientowaliśmy się w pomyłce, omal nie przypłaciliśmy trasy tej śmiercią, szlak ten bowiem wyprowadził nas wprost na wielką białą pustynię, utworzoną ze sproszkowanego gipsu, a w dodatku burza nas tam złapała gwałtowna. Zaręczam, że normalna burza piaskowa przy owej wściekłości natury wydawać się mogła pogodnym spacerem po rosettińskich plantach. Pocieszałem jedynie współtowarzyszy wyprawy, że na szczęście nie pada deszcz i nie grozi nam przekształcenie się w grupę posągów zastygłych na kształt żony Lota, które po latach mogłyby stać się turystyczną atrakcją Nowego Meksyku. Po odnalezieniu drogi zawróciliśmy znów na północ, kierując się ku misji San Antonio, skąd, wedle posiadanych map, mogło być najbliżej do Tajemnego Miasta.

Tymczasem z naszym jasnowidzącym księdzem działo się naprawdę źle. Parokrotnie przytomność tracił, aczkolwiek budząc się, nakazywał kontynuować marsz. Gdyśmy wreszcie zalegli na nocleg na górskim zboczu kilkanaście mil od San Antonio, wydawało się, że nieszczęsny nasz kapłan usnął. Posnęliśmy zresztą wszyscy.

Na krótko przed świtaniem obudził mnie szept:

— Aldo, słyszysz mnie, Aldo?

Myślałem, że mówi to Lino, ale dopiero po chwili zorientowałem się, że szept dobywa się z poczerńiałych warg Gomeza. Przytknąłem mu do ust kubek z wodą, ale łyknął ledwie parę kropli.

— Ja umieram...

— Ależ nie, wszystko będzie dobrze, ojczy. Przymknął oczy, jakby chciał zebrać resztkę sił.

— Ufaj Bogu, ufaj Bogu, Aldo. Pomimo wszystko — wykrztusił. — To ważne... — potem rzekł kilka słów, których znaczenia nie całkiem pojąłem, choć powtarzały się parokrotnie. — San Antonio... Ksiądz... San Antonio... Blisko...

I znów stracił przytomność. Zrozumiałem, że chodzi mu o ostatnie namaszczenie. Zarazem jednak dopiero teraz uświadomiłem sobie zdumiewający fakt — dlaczego żyjący w siedemnastym wieku ksiądz nazywał mnie mym dwudziestowiecznym imieniem Aldo? Imieniem, którego oprócz Pavonego nie mógł znać nikt?

Wiedziałem, że prośba umierającego jest rzeczą świętą. Obudziłem Gaspara Froissarta. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wspólnie udać się do nieodległej misji San Antonio, o której wspominał Pedro, i powrócić z kapłanem, by ten udzielił Gomezowi ostatnich sakramentów. Wzięliśmy cztery najmniej strudzone konie — dosiadł ich kapitan w stroju świeckiego braciszka, Heban, ja i Anzelmo.

Pomknęliśmy jak wicher, mając nadzieję, że zdążymy na czas. Do misji wpadliśmy porą dość wczesną, jednak wśród glinianych ścian już tłoczno było i rojno. Dwa dni przed nami przybył tu bowiem oddział królewski z El Paso, co ściągnęło rzecz jasna i amatorów wymiennego handlu, i tubylcze dziwki.

Gaspar skierował się wprost do kościoła. Ostawiwszy konie i naszych pomagierów przed fantazyjnym portalem z nie wypalanej gliny, weszliśmy do wnętrza, rozpytując o księdza.

— Poszukam *padre*, mniemam, iż zaraz was przyjmie — powiedział młody kościelny, Metys. Klękaliśmy w kolebowej nawie przed wizerunkiem Madonny, której jakiś miejscowy twórca nadał rysy Indianki ze szczepu Hopi lub Apache. Po półgodzinie oczekiwania zjawił się mały ministrant i poprowadził nas ku plebanii sklepionej jak skarbiec, gdzie oczekiwał nas zakonnik w bieli. Siedział tyłem do wejścia, ale gdy obrócił się, poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła. Księżycowy profil, rzadkie, niechlujne włosy.

— Jak to miło znowu się spotkać, il Cane — powiedział *fra* Jacopo. Powitaniu towarzyszył szczęk odwodzonej broni.

*

Opór nie miał sensu. Tem bardziej, iż nie byliśmy uzbrojeni. Skrępowano nas tedy i wrzucono do lochu, gdzie zaraz dołączyli Anzelmo i Heban. Prysły płonne nadzieje, że przynajmniej im się uda umknąć i zanieść wieść o naszym losie pozostałym uczestnikom wyprawy.

Opowiedziałem kapitanowi o swych dotychczasowych zaszłościach z rosettińskim inkwizytorem i obaj dłuższy czas zastanawialiśmy się, w jaki sposób przebiegły dominikanin potrafił odnaleźć nas aż na krańcu świata.

Tę kwestię objaśnił mi sam inkwizytor, kiedy brutalnie zawleczono mnie na przesłuchanie.

Fra Jacopo siedział w zakrystii, mając obok stojący krucyfiks, a przed sobą leżącą na stole oświetlanym jedną świecą Biblię przyciśniętą trupim czerepem. Zaiste w innych okolicznościach, gdybym nie stał przed nim związany, rzekłbym — tandetna dekoracja filmu grozy klasy B.

— Zadajesz sobie zapewne pytanie, Derossi, jak to możliwe, iż ostawiwszy mnie więzieniem w podziemiach kluniackich, spotykasz mnie w odwrotnej roli na antypodach globu? — zaczął dominikanin cichym głosem nieśmiałego kaznodziei. — Cóż, woła Opatrzności i odrobina trudów Jej niegodnego sługi. Zapewne doszły cię słuchy o mym uwolnieniu przez pana de Cinq–Marsa, podobnie jak ja dowiedziałem się o zagładzie waszego Mont Romain. Bądź jednak spokojny, nie wie o tym dramacie nikt oprócz arcyksięcia Ippolita, któremu list szyfrem wysłałem, ale jak świetnie wiesz, nasz wspólny suweren nieskory jest do dzielenia się z nikim czymkolwiek — tu spojrzął na mnie wymownie — nawet żoną. Zarówno ambasador cesarski w Meksyku, jak i jego ekscelencja wicekról, nie mówiąc już o komendancie z Monterey, który zlecił mi komendę nad tymi ludźmi, nie poznali ani wszystkich faktów, ani mych zamiarów, wszelako dali mi wolną rękę, tym łacniej, gdym powiedział, że grupa Francuzów z rozkazu Richelieugo zamierza bunt wśród Indian na północy podniecić. A skąd znam wasze prawdziwe zamiary? Będę całkiem szczery, po trosze od szpiegów w Paryżu i Nantes, przede wszystkim jednak zawdzięczam to własnej przenikliwości. Kiedy już uwolniono mnie w Cluny, zadbałem, aby zabrać twoje notatki, il Cane, i dzięki nim dowiedziałem się o zagrożeniu obcą inwazją. A gdybym nawet w nią powątpiewał, ognista burza, która pochłonęła wzgórze obok wsi Taizé, upewniła mnie, iż niebezpieczeństwo jest wcale poważne.

Odetchnąłem, jak na razie nie była to argumentacja fanatyka.

— Widzisz tedy, panie — rzekłem śmielej — iż nasza misja, która, jak łatwo się domyślić, ma posłużyć rozpoznaniu sił Obcych i ich zamiarów, nie służy interesom kardynała Richelieugo ani samej Francji, lecz jest podjęta w sprawie całego chrześcijaństwa i całej Europy.

— Zapewne — rzekł, gładząc kościany czerep. — Niestety zamierzenie to również chwalebne, jak nierealne. *Spectaclum*, które wydarzyło się pod Cluny, dowodzi, jak okrutna

jest potencja Wyrwaczy Serc i jak mizerne byłyby wszelkie próby przeciwstawienia się jej. Cóż tedy pozostaje? Modlitwa i oparcie w Bogu. Lecz jeśli ono zawiedzie...

— Możemy zawsze walczyć do końca.

— Szlachetne, acz głupie. W Starym Testamencie siła jest przykładów świadczących o zgoła innej metodzie.

— Jakaż to metoda?

— Jeśli nie możesz pokonać przeciwnika, ułóż się z nim.

— Pod warunkiem, że druga strona chce układów.

— Musi chcieć, jeśli ma zamiar władać kontynentami — inkwizytor uniósł czaszkę i trwał z nią, mimowolnie parodiując pozę Hamleta. — I Cortez w Meksyku, i Pizzaro w Peru musieli mieć swych indiańskich aliantów, swych pomagierów w konkwiście.

— Kolaborantów raczej.

— Całkiem właściwe słowo, il Cane. Przeto kimkolwiek są Srebrzyści, jeśli pragną panować, potrzebują sojuszników. A z doświadczenia wiem, iż ten, który pierwszy zaoferuje sojusz, znajdzie się na dogodnej pozycji.

— Na Boga, przecie taki postępek byłby zdradą Kościoła i całego Starego Świata.

— Raczej ratowaniem najwartościowszej substancji. Wroga, jeśli samemu zachowa się życie, z czasem można oswoić, ucywilizować, nawrócić...

— Dotąd nie obserwowano z ich strony najmniejszej woli dialogu. Wpadali, niszczyli, porywali dzieci, a dorosłym wyrywali serca.

— Trzeba zatem wykonać gest dobrej woli, il Cane, pokazać, że się jest sojusznikiem cennym i pewnym. — To mówiąc, wraził palce w oczodoły czaszki, jakby chciał cisnąć ją we mnie manierą graczy bilardowych.

— Jak zamierzasz to zrobić, księżę? — Słowo „bracie” nie przeszłoby mi przez usta.

— Zobaczysz, wkrótce zobaczysz. Ty i twoi towarzysze... — Urwał i delikatnie odłożył czaszkę na Biblię.

*

Obyło się bez tortur. *Fra Jacopo* nie miał zamiaru mnie przesłuchiwać. Snadż wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Wróciłem do lochu, gdzie zgębieni tkwiliśmy cały dzień i noc. Spodziewałem się w każdej chwili ujrzeć pozostałą grupę, schwytaną przez żołnierzy. Jednak

to nie nastąpiło aż do kolejnego zaranka, kiedy ponownie zawleczono mnie przed oblicze *fra Jacopo*.

— Przegrałeś, il Cane — zaśmiał się, wyszczerzając zepsute zęby. — Twoi przyjaciele uciekli, porzucając obozowisko i truchło księdza. W panice nie zadbali nawet o jego pochówek. Napotkany Indianin opowiadał, iż wiali w stronę Alamogordo, aż się kurzyło. Ale nie bój się, wysłałem za nimi mych ludzi i prędzej czy później ci tchórze dadzą gardło albo staną się zacnym podarunkiem dla Srebrzystych. Jednak nie będziemy na nich czekać, tylko przystąpimy do realizacji mych planów.

Wprowadzono nas z loszku i serca przeniknął nam ból — w kupie gnoju, na urągowisko tłumu leżał trup Pedra Gomeza. Mimo tego pohańbienia spokój i dostojeństwo malowało się na jego twarzy, a na ustach spostrzegłem jakby uśmiech. Czyżby w ostatniej chwili swego ziemskiego bytowania widział otwierające się przed nim wrota rajy? A może chciał raz jeszcze powiedzieć to, co powtarzał nam po wielokroć: „Nie lękajcie się. Wygramy!”

Trudno jednak było pozostać optymistą. Nas los wydawał się być przesądzony. W skwarnym słońcu załadowano nas na wóz i w towarzystwie kilkunastuosobowej grupy zbrojnych ruszyliśmy ku zachodowi. Za nami podążyły trzy wozy wyładowane chrustem. Na cóż ta podpałka? Czyżby mściwy dominikanin zamierzał upiec nas na stosie?

Fra Jacopo na czarnym mustangu nie zamierzał długo kryć swoich zamiarów, przeciwnie, rozprawiał o nich ze złośliwą szczerością:

— Zainaugurujemy dialog ze Srebrzystymi, ofiarujemy was im jako dar i zachętę do dalszych negocjacji. Próbowałem odwieść go od tego pomysłu, powtarzając:

— Popelniasz błąd, księżo, łudzac się, że oni mogą chcieć negocjacji. Chcą nas jedynie zniszczyć! — Jednak równie dobrze mogłem przekonywać muła do geometrii nieeuklidesowej.

Po paru godzinach karawana osiągnęła krawędź obszernego pustynnego płaskowyzu, szarego, smutnego, przypominającego mi nieco ową peruwiańską wyżynę Nazca, na której tubylcy sporządzili ongiś swe gigantyczne rysunki, chcąc zapewne zaapelować do bogów z kosmosu w bliżej nieznanym kwestiach. *Fra Jacopo* nieświadomie dokonywał plagiatu.

— Damy im sygnał — mówił. — Pozostawimy was w tej kotlinie, a nocą zapłoną wokół was ogniska ułożone w wielki napis: „Enamigos”. W tym samym czasie przy naszym obozowisku położonym bliżej miasta pojawi się napis: „Amigos”. Jeśli cały czas obserwują Ziemię z góry, jak suponujesz w swych zapiskach, przybędą tu, was pochwyca i zorientują się, że wraz ze swą bronią i instrumentami stanowią podarunek dowodzący mojej przyjaźni.

*

O czym myślałem tego wieczora? O momencie, w którym poczuję gwałtowne cięcie nożem z obsydianu? Nie pamiętam. Froissart wydawał się przyjmować los ze stoickim spokojem. Anzelmo popłakiwał jak dziecko, proponując strażnikom w zamian za nasze uwolnienie skarby króla Salomona, eliksir życia i zbawienie wieczne, amen. Jednak pilnujący nas żołnierze nie byli skłonni do żadnych targów. Heban milczał, ale wnosząc z wysiłku malującego się na jego twarzy, pracował usilnie nad rozluźnieniem więzów. Postrzegł to jeden z pilnujących, warknął coś po hiszpańsku i kolbą karabinu gruchnął Murzyna w łeb. Efekt — kolba flinty poszła w drzazgi, a na twardym czerpie pirata pojawił się jedynie dorodny guz. Żołnierz zaklął i wzmocnił więzy. Jedna nadzieja wyzwolenia mniej.

Czas nieubłaganie postępował naprzód. Wkrótce nadszedł zmierzch. Słońce zachodziło wśród krwistych łun.

Mogłem śledzić, jak czerwienieją szczyty skał, a czerń spelza żlebam, wypełnia skalne rozpadliny, mrok zaś posuwa się dalej i dalej, jakby chciał co rychlej nas zagarnąć na zawsze. Ognisty napis miał zapłonąć koło godziny dziesiątej, tymczasem już o ósmej było zupełnie ciemno, toteż nasi stróże rozniecili ognisko (na razie jedno).

Gdzieś w oddali zawył kojot. Potem zahukała sowa. Pilnujący nas nie zwrócili na to uwagi.

Atak nastąpił błyskawicznie, strzała z łuku wbiła się w pierś wartownika z muszkietem, stojącego najbliżej ognia, z ust dwóch innych jego kompanów, siedzących bliżej kępy kaktusów, dobył się krótki charkot. Zaraz też podobne zduszone jęki dobiegły od strony niecki, w której stały wozy.

Wszystko nie trwało dłużej niż trzydzieści sekund. Dusze siedmiu Hiszpanów poszybowały w rozgwieżdżone niebo, a Foucheron, Lino, Miguel i doktor de Lys niezwłocznie rozcięli nasze więzy.

— Gdzie Laura? — zapytałem, natychmiast zauważając brak dziewczyny.

— Pół mili stąd, w wąwozie, pilnuje koni — powiedział Lino, pomagając mi wstać.

— Dobra robota — skomentował akcję Gaspar Froissart, rozcierając nadgarstki. — Spodziewałem się podobnej interwencji, od kiedy dowiedziałem się, że jakiś Indianin doniósł o waszej ucieczce.

— To ja jestem tym Indianinem — z dumą powiedział Arawak, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Niestety musieliśmy pozostawić ciało księdza bez pochówku — wyznał pełen skruchy Ambroise. — Jednak skoro chcieliśmy, aby nasza ucieczka wyglądała na paniczną...

— Jak umarł Pedro? — przerwałem mu.

— Gdzieś godzinę po waszym wyjeździe jeszcze raz odzyskał przytomność — opowiadał Lino. — Nagle zaczął wołać, byśmy uciekali, że wpadliście w ręce wroga. Pytamy: „Jakiego wroga, Wyrwaczy Serc?” On zaprzecza. Mówi o jakimś złym księdzu w bieli. Myślimy: bredzi i nie bardzo chcemy się ruszać z miejsca, wtedy *padre* jakimś nadludzkim wysiłkiem zrywa się i krzycząc: „Musicie!”, wskazuje ręką na zachód... „Tam zwycięstwo!”, zawołał jeszcze i umarł z zastygniętą ręką na kształt drogowskazu.

— Wskazany kierunek precyzyjnie nanieśliśmy na mapę — uzupełnił Foucheron. — Wierzę, że i tym razem się nie pomylił. Zgodnie z kompasem powinniśmy udać się przez tę przełęcz.

— Gdyśmy prosili go, aby nas nie opuszczał, wybełkotał jeszcze kilka zdań, których nie sposób było pojąć — dorzucił doktor. — Ja zrozumiałem ledwie parę słów: „Krzyż wskaże drogę, woda życia” oraz „Kto ogniem wojuje”... Nie mamy pojęcia, co to może znaczyć.

— Gdy się rozwidni, obejrzymy mapy. Być może określenia te mają związek z nazwami miejsc, osad lub tubylczych symboli — powiedziałem.

Tak rozmawiając, dotarliśmy do niewielkiego parowu. Oczekująca w nim Laura rzuciła mi się na szyję. Całowałem ją, smakując łzy, które nie mogły być udawane. Czułem spoczywający na nas ciężar spojrzenia Lina, ale postanowiłem się tym nie przejmować.

Koło jedenastej stanęliśmy na przełęczy, skąd rozciągał się znakomity widok na płaskowyż i ognie gorejące wśród mroków. Opuszczając miejsce naszego uwięzienia, podpaliliśmy wstęgę ułożoną z chrustu tak, że tworzyła coś w rodzaju lontu. Płomień ogarnął stos, na który zebraliśmy wszystkie wiązki gałęzi mające pierwotnie tworzyć napis. Zamiast niego powstało jedno ogromne ognisko. Jeśli *fra* Jacopo patrzył z oddali, mógł być przekonany, że jego ludzie wykonali zadanie. Sam obóz dominikanina był słabiej widoczny, za to ognista inskrypcja „Amigos” jarzyła się mocniej niż neon na dachu wieżowca w SGC w latach największej świetności mojej firmy. Widoczny być musiał nawet z Księżycy.

Froissart zachęcał do dalszej wędrówki, tak aby do świtu oddalić się maksymalnie od San Antonio, ja nalegałem, iżby zaczekać tu przynajmniej do północy.

— Wierzysz, że nadlecą? — pytał Pavone.

— Jestem tego pewien.

Naturalnie niczego pewien nie byłem. Chociaż... Pamiętacie początek filmu *Szczęki*? Nic nie zapowiada tragedii, młodzież beztrzęsco biegnie kąpać się w ciepłych falach... Jedynie ta

muzyka. Sama muzyka jeży włosy na głowach widzów. Doznawałem podobnego lęku owej nocy, chociaż nie towarzyszyła nam żadna melodia, cisza leżała nad ziemią, napięta, mącona czasem słabym powiewem wiatru, głębszym oddechem któregoś z nas lub parsknięciem zaniepokojonego konia.

Chyba wpierw poczułem, niż zobaczyłem nadlatujący dysk. Przytulona do mnie Laura ścisnęła mocniej moje ramię. Obiekt przypominający wirujący księżyc wyłonił się bezdźwięcznie, przesunął ponad pustkowiem, by wreszcie zawisnąć nad obozowiskiem Hiszpanów.

Nie wiem, co myślał w owych chwilach *fra Jacopo*. Czy to on był ową figurką z pochodnią w ręku, wykonującą szerokie wymachy, która wysforowała się przed płonący napis: „Amigos”? Zapewne. W każdym razie nie zazdrościłem inkwizytorowi. Jego gesty wydawały się desperackie. Ciekaw jestem, czy zauważył, że latający talerz nie poświęcił większej uwagi kotlinie, gdzie miały czekać na niego ofiary. Nawet nie zniżył lotu. Podobnie nie odpowiedział na gesty powitalne. Żadnego znaku, żadnego dźwięku. Okrążył obozowisko szerokim łukiem, po czym z dyszy umieszczonej na spodzie dysku wypuścił smugę przypominającą stężony dym. Ów gęsty gaz, dotknąwszy ziemi, w mgnieniu oka zmienił się w kłęb ognia, który zaraz ogarnął wozy, namioty. Dzięki lunecie widziałem maleńkie postacie ludzkie ogarnięte płomieniami, tarzające się w pyle pustyni na podobieństwo mrówek z płonącego mrowiska.

Nie był to wszakże koniec dzieła zagłady. Talerz przemieścił się w stronę Rio Grande, tam, gdzie leżała misja San Antonio, i ponownie wypuścił strugę zapalającej substancji, jakiegoś napalmu sporządzonego wedle nie znanej nam receptury. Natychmiast stanęła w ogniu cała osada, misja, baraki wojskowe, a po niebie rozlała się luna.

— I spuścił pan na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia, i zniszczył całą okolicę ze wszystkimi mieszkańcami, a także roślinnością. Aż nad ziemią uniósł się gęsty dym, jakby z pieców, gdzie topią metale, pochodzący... — powiedział półgłosem stary pirat.

14. ZNAK KRZYŻA

Ośmiu wędrowców, siedmiu mężczyzn i jedna kobieta, posuwało się pustynnym szlakiem wykreślonym przedśmiertnym gestem ojca Gomeza. Trzy noce i cztery dni upłynęły od chwili, gdyśmy byli świadkami ognistej zagłady hiszpańskiej placówki. Trzy noce i cztery dni żyliśmy na podobieństwo lemurów czy innych zwierząt mroku, śpiąc w dzień w wykrotach, rozpadlinach i jaskiniach, by nocą dążyć ku mitycznej Ciboli, tajemnemu miastu, które dotąd uważano jedynie za miraż złaknionych złota konkwistadorów i płód indiańskich legend.

Co nas gnało poza poczuciem obowiązku, jakie mieliśmy plany?

Zbyt wiele zdarzyło się, bym pozostał dawnym racjonalistycznym Gurbianim, kpiącym sobie ze znaków, snów i przeczuć. Nasze zamierzenia — rzadko mówiliśmy o nich — musiały być z konieczności improwizacją. Dotrzeć do siedziby Wyrzywaczy Serc, przejrzeć ich tajemnice, zrozumieć, o co chodzi owej kulturze, skąd czerpią swoją moc i nienawiść do nas i do naszego świata, a następnie bezpiecznie powrócić do Europy — tylko tyle i aż tyle...

— A jakby się jeszcze udało dokonać tam jakiegoś sabotażyku... — rozmarzał się Pavone.

Podobnie jak podczas wędrówki wzdłuż Rio Grande, tak i teraz nikt nas nie niepokoił. Ale i my zachowywaliśmy wyjątkową ostrożność — za dnia kryliśmy nasze konie pod przykryciami ze skór bizonów (nabytymi wcześniej przez Miguela), tak że jeśli nawet jakiś satelita dojrzałby je z kosmosu, mógłby być przekonany, że jakieś stado tych wspaniałych zwierząt zbłądziło w niegościnnie góry.

Z tych dni dość do siebie podobnych, pozbawionych jednak elementów grozy, wędrowaliśmy bowiem przez kraj podejrzenie opustoszały (Miguel z rzadka trafiał na dawne tropy swych indiańskich współbraci), pamiętam głównie chwile spędzone z Laurą. Jakby wraz ze śmiercią księdza pierzchły dawne nieporozumienia i głupie rozgrywki, kiedy panna Catoni usiłowała grać na mej zazdrości, kokietując Lina. Może raczej oboje byliśmy bardziej świadomi zagrożenia, niepewności jutra, toteż Ignęliśmy do siebie, ciesząc się każdym momentem, każdym dotykiem, okruchami dni i nocy, z których każda godzina mogła przecieżyć być ostatnią.

Zastanawiałem się, cóż sprawić mogło kolejną przemianę mej dziewczyny. Co zdarzyło się podczas dwóch dni naszego rozdzielenia? Czy tak odmienił ją strach, że możemy się utracić na zawsze?

Padło też słowo, które Laura chciała usłyszeć nade wszystko. Zdarzyło się to w cienistej rozpadlinie, gdy po krótkim śnie, obudzeni przez południowe słońce, jęliśmy się kochać zapamiętale i gdy upojenie minęło, usłyszałem wprost do ucha pytanie lęклиwe a gorące:

— Ożenisz się ze mną?

Odpowiedziałem:

— Jeżeli powrócimy szczęśliwie, tak.

Rozpłakała się ze szczęścia. Moja odpowiedź nie była oczywiście cyniczną obietnicą, nie wynikała też z ugruntowanego przekonania, iż niemożliwe jest, byśmy z tej ekspedycji powrócili żywi. W podjęciu decyzji pomógł mi Anzelmo i owa osobliwie życiowa dialektyka, którą wyznawał.

— Nie rozumiem, panie, czemu obawiasz się takowego ślubowania. Przecie bigamia ci nie grozi.

— Nie grozi?! Mam przecie Monikę, ukochaną żonę...

— Ale w dwudziestym wieku. A teraz trwa, jakby nie było, siedemnasty. Nawet gdyby Laurze przyszło żyć trzysta lat (czego serdecznie jej życzę), to i tak w roku dwutysięcznym z pewnością byłbyś już wdowcem, mistrzu.

Trudno było odmówić logiki temu rozumowaniu.

Odgłos kroków przerwał nasze upojne sam na sam. Dziewczyna pospiesznie nakryła się pledem. Usłyszałem głos Foucheron.

— Pozwól, mistrzu, Indianin natrafił na coś ciekawego.

*

Szkielet dorosłego mężczyzny rasy białej, co stwierdził bez większych wątpliwości doktor Ambroise de Lys, spoczywał na dnie głębokiej rozpadliny. Nikt nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie wielki ukośny krzyż wydrapany na jednej ze ścian.

— Nieszczęśnik spadł i złamał nogę — powiedział doktor po opuszczeniu się na dno pułapki i zbadaniu szkieletu. — Nie miał szans na wydostanie się, choć wielokrotnie próbował. Z kawałków chrustu i podartej koszuli zrobił sobie nawet prymitywne łupki. Wszystko na nic. Zmarł po około pięciu dniach po swym upadku, na tyle wskazuje bowiem stan zrostu złamania. Do dziury nie miały dostępu większe drapieżniki, toteż kości obrały z ciała jedynie ptaki, ostawiając szkielet w pierwotnej, półkłępczącej pozycji.

Zainteresował mnie ów nieborak, szczególnie ze względu na ów wyryty w skale krzyż świętego Andrzeja, dziwnie pasujący swą symboliką do prorocstwa Pedra Gomeza. Opuściłem się na dno jamy w ślad za Ambroise'em. Odnaleźliśmy resztki ubrania, pas i sakwę. Najbardziej jednak ucieszył mnie znaleziony w niej notatnik. Porzuciwszy wszystko inne, dłuższy czas przeglądałem zapiski, sporządzone po hiszpańsku, pięknym kaligraficznym pismem. Ostatnie karty, po wyczerpaniu się inkaustu, spisywał najprawdopodobniej własną krwią.

Od lektury oderwał mnie dopiero cień, który naraz przysłonił słońce. Poderwałem się przerażony. Spokojnie, Aldo! To żaden latający spodek! Tylko orzeł złocisty zataczał wielkie kręgi nad płaskowyżem.

— Kochani — powiedziałem w końcu, a głos drżał mi z emocji. — Ten człowiek uciekł z Tajnego Miasta i zostawił dla nas bezcenne wskazówki.

*

Pamiętnik Alvaro Jimeneza z Monterrey — tyle tylko widniało na karcie tytułowej. Zachowany brulion, którego lektura zajęła mi większą część dnia, musiał być kolejnym tomem z wielu. Diariusz nie miał początku, zaczynał się w pół zdania, toteż przez długi czas, nim wciągnąłem się w lekturę, czułem się trochę jak widz, który spóźnił się na seans filmowy i pomimo fantastycznej akcji nie wie, czy ogląda początek filmu, jego środek czy samą końcówkę. Wielu spraw zresztą nie poznałem nigdy.

Nie dowiedziałem się tedy, kim był Alvaro — żołnierzem czy urzędnikiem? Doskonała znajomość Biblii i liczne cytaty z Pisma Świętego wskazywały, że mógł być księdzem, inne jednak sceny, a zwłaszcza opisanie szczegółów seksualnych zaprzeczały takiemu domniemaniu. Nie znalazłem też najmniejszych sugestii, gdzie i w jaki sposób został uprowadzony, mogłem się jedynie domyślać, że Srebrzyści docenili jego uczoność i usiłowali wykorzystać go dla swych celów, miast bowiem jak innym wyrwać serce, zostawili go żywym. Na jednej z pierwszych kart, datowanych na 1 stycznia roku 1638 (jak się okazało, była to data przybliżona, biedak pogubił się bowiem w europejskim kalendarzu), przeczytałem:

I oto rozpoczął się trzeci rok mej niewoli, a zarazem trzydziesty siódmy mego nieszczęsnego żywota. Zastanawiam się, jak wiele mi jeszcze czasu zostało, sporo wskazuje bowiem, iż służba u Petlalcatlta idzie ku końcowi i jeśli mej ucieczki nie przyspieszę, szczerzę

na ofiarnym kamieniu ociekającym krwią, patrząc na własne, bijące jeszcze serce w rękach tych pogańskich rzeźników.

Trzeba tylko czekać momentu dogodnego, a póki co, siły zbierać i czujność wroga usypiać. Choć próżno, bym się spodziewać mógł zdobycia jakiegokolwiek zaufania u nich dla siebie, krom może jednej słodkiej Teti, ale w jej wypadku jest to, tak myślę, jedynie fizyczna skłonność do Pana o Jasnych Włosach.

Póki jednak czas mam, ślub uczyniony przed miesiącem chcę spełnić i opisać wszystko to, co wiem o historii i istocie Ciboli (oni zowią to Miastem Umarłych Bogów), tak że jeśli miałby przeżyć mnie ów pamiętnik, niechby wyniknął z niego jakiś pożytek dla mych rodaków i obrońców Prawdziwego Boga, z których żaden jeszcze wiedzieć nie może, jakie straszne termina nam zagrażają.

Tu wdzięczność winienem wyrazić starym Aztekom, iż opowiadali mi to wszystko i nawet Petlcalcatlowi, iż im na oną szczerą dozwolił. Oczywiście ich opowieść, niezwykła a straszna, w większej części nie opierała się na własnych doświadczeniach, była historią, którą ojcowie ich ojców przekazali następnym pokoleniom.

Najpierw więc mówili długo o wróżbach, jakie poprzedzały zjawienie się Brodatych Białych Mężów, potem o przybyciu Corteza i jego kochanicy Malinche, przezywanej donną Mariną, pierwszych walkach, oblężeniu Tenochtitlanu, wreszcie o odejściu Białych, które pochopnie wzięto za oznakę zwycięstwa. W tem złudnem przeświadczeniu odnowiono nadwątlone ostrzałem świątynie i zanoszono w nich dzięki do pogańskich bóstw. Tymczasem wnet przyszła zaraza, śmierć straszna, pokrywająca ciała chorych krostami i zniekształcająca twarze tych nielicznych, którzy przeżyli tylko po to, aby doczekać czasów jeszcze okropniej szych. Moi rodacy powrócili bowiem z większą liczbą koni i dział. Przepelnieni żądzą łupów.

I słuchałem wielokroć o bitwach w miejscach, których nazw zapisać ani wymówić nie potrafię, o nowych technikach azteckiej obrony, pozwalających kryć się przed ogniem z dział, o szturmach miast i ludzie tubylczym chroniącym się do świątyń, gdzie daremnie oczekiwali na wsparcie starych bogów. Ni jednak bóg stwórca, dwupłciowy Ometeotl, ni synowie jego: dobrotliwy Quetzalcoatl, krwawy Huitzilopochtli, zły bóg nocy Tezcatlipoca i Xipe, którego kolorem była czerwień, nie pospieszyli z pomocą swym wyznawcom. Także wielki Tlaloc, bóg deszczu, nie zesłał gniewu wód i nie wzburzyła Coatlicque nieruchomej ziemi, podobnie nie poraził agresorów Mictantecuhtli, bóg śmierci. Aztekom pozostała jedynie desperacka obrona — walczone zatem wszędzie — na suchej ziemi wąskich uliczek i na wodzie, w łodziach chronionych tarczami... Któż policzy ofiary? Tysiące, jeśli nie setki tysięcy padły po stronie azteckiej, zaś po drugiej ledwie dziesiątki Hiszpanów, wszelako los każdego z nich napawać

musi zgrozą każdego chrześcijanina. Nie dziw, iż ziomkowie moi najbardziej obawiali się być ujętymi żywcem. Jeńcom bowiem bez skrupułów wrywano serca, głowy nadziewano na włócznie i zwracano je w stronę Słońca. Jednego razu zginęło tak pięćdziesięciu trzech Hiszpanów i cztery równie nienawistne Aztekom konie.

Tymczasem w oblężonym mieście ludzie konali z głodu i trwogi. Z braku czystej wody cała ludność piła tę skażoną jadłem trupim i marła na dyzenterię. Jedzono jaszczurki i liście kukurydziane, słone trawy i kwiaty lilii wodnych, kawałki tytoniu i wyprawioną skórę. Także niektóre zielska o gorzkim smaku, a nawet glinę.

Na koniec zaczęły się rokowania i dezercje powszechne, albowiem, gdy jedni uważali, iż można zaspokoić Hiszpanów okupem, inni twierdzili, że należy odejść im z oczu, porzucić dom rodzinny. Uciekali więc z Tenochtitlanu jego mieszkańcy, tonąc w wodzie i ginąc po górach. Dzieci swe nieśli na plecach i płakali wielkim głosem, bo widzieli, że kończy się świat. A Brodaci Biali Ludzie zza Wody rzucili się ku ich świątyniom, szukając nade wszystko złota. Nie obchodziły ich cenne jadeity ni turkusy, ni święte pióra quezala. Tylko aro, oro, oro!

Nie było miło mi słuchać owej relacji zwyciężonych o ziomkach moich, wybierających ku sprośnej rozkoszy Indianki o najjaśniejszej skórze, czyniących ze znamienitych wojowników swych rabów czy też wypalających na czołach i policzkach dumnego ludu niewolnicze piętna gorącym żelazem, tak jak się cechuje bydło.

Aż pojawił się w one dni zamętu Człowiek bez Imienia, jedni powiadają — przybyły aż z puszczy Jukatenu, zamieszkiwanego przez lud Maya, inni zaś utrzymują, że był on od dzieciństwa strażnikiem tajemnic Wielkiej Świątyni i z tej racji nigdy nie pokazywał się między ludźmi. Nikt wszakże nie słyszał o nim wcześniej, przed pojawieniem się wśród tłumów trzeciego dnia walk w Tenochtitlanie, kiedy to król Montezuma, przerażony nasilającą się wojną, wyszedł osobiście na dach świątyni i stamtąd nawoływał Azteków do pokoju. Lecz oni zelżyli go, nazywając tchórzem i wrogiem własnej ojczyzny, a nawet grozili mu bronią. Wreszcie ciśnięto weń kamieniem. Mówią, że wskutek tego uderzenia zmarł, choć byli świadkowie głoszący, iż to Hiszpanie śmierć mu zadali, szpadą brzuch rozpruwając.

W onych chwilach powszechnej desperacji Człowiek bez Imienia zgromadził na tajnym spotkaniu paru ważniejszych kapłanów i nie oglądając się na radę miasta ni wojskowych dowódców powiedział swym rozmówcom, wskazując płonące pałace i świątynie:

— Nadszedł nowy kres czasu! Pora wezwać bogów!

Odpowiedzieli mu:

— Azali nie wzywaliśmy bogów, nie złożyliśmy im darów przepisanych, nie zaślaliśmy im tysięcznych błagań, nie oddaliśmy ofiar. Lecz żadna z naszych prośb nie została wysłuchana.

On rzekł na to:

— Być może źle służyliśmy bogom, być może głos nasz nie docierał do ich świętych uszu, a naszej rozpacz nie dojrzały ich boskie oczy.

Zadziwili się wielce jego słowami, a on mówił im jeszcze:

— Powiadają święte opowieści o naszej pierwotnej ojczyźnie, o północnym kraju Chicomoztoc, gdzie jest wyspa na jeziorze, a jezioro jest wewnątrz góry, a góra stoi na pustyni. Przed wszelkimi wiekami tam przybyli bogowie z niebios i stamtąd rozbrzmiewał po raz ostatni głos Huitzilopochtliego. A gdy głos ten zamilkł, ziemia zaś przestała rodzić, przemieniając się w jałowy step, lud Mexicas ruszył w wędrówkę. Tedy mówię wam, dziś należy wrócić nam do kolebki bogów i tam dowiedzieć się, co czynić dalej.

A gdy słuchacze wyrażali swe zdumienie i niewiarę, twierdząc, że nikt nie pamięta nawet, gdzie wznosi się owa góra, że wiatr wieków zawiał dawne drogi, a zwierz dziki założył siedliska w niegdyś ludzkich sadybach, odparł im z mocą:

— Nie ma co bać się śmierci, gdy się jest martwym!

I wziął ze sobą czterokroć sto mężczyzn i kobiet, i odszedł ku północy, zabierając złotą rzeźbę orła pożerającego węża i świętą kulę, w której, nim nie szerniała, widać było przeszłe i przyszłe losy ludzkości, jak też każdego człowieka z osobna. A wielka mądrość Człowieka bez Imienia wyrażała się w tem, iż nie szedł ku północy z całym wybranym ludem, jeno kazał przemykać się małymi grupkami, nakazując swym zwolennikom przybierać przebrania i barwy plemion, które mijali. I choć wielu Mexicanos schwytano i zabito, żaden nie wyjawiał swym oprawcom celu wędrówki.

Aż spotkali się wszyscy za wielką rzeką (Rio Grande?). Tam czekał ich Człowiek bez Imienia i poprowadził ich dalej, aż natrafili na górę, o której mówiły podania. I oddali cześć wybawicielowi i zaczęli nazywać go Ahuitzotlem II, które to imię nosił przed laty wielki i krwawy król, stryj, a zarazem poprzednik bezpośredni nieszczęsnego Montezumy. Miano to w przełożeniu na hiszpański należy tłumaczyć jako „Potwór Wód”. A był on zaiste potworem, bowiem nie odczuwał ni trwogi, ni litości, głodu ani pragnienia. Kobiety zaś brał jeno, aby napępniać ich łona nowymi wojownikami, nie zaś ku swojej czy ich rozkoszy.

Wewnątrz góry znaleźli opuszczone miasto i otoczoną trzęsawiskiem wielką świątynię wzniesioną z kamieni, niekamieni, do której prócz komnaty pod ołtarzem na samym szczycie piramidy nikt wejścia nie mógł odnaleźć. Mury jej, zespojone bez najmniejszej szczeliny, nie ustępowały ni przed dżutem, ni przed ogniem, nie dając się nawet zarysować. Czekano tedy cierpliwie na głos Pióra Kolibra — ten wszakże milczał. Mijały tygodnie, miesiące i lata. Przychodziły z południa wieści o klęsce, o zagładzie i o upadku. Nie było dokąd wracać. W

odrodzonej osadzie, gdzie lata były gorące, a zimy chłodne, umierali starce i rodziły się dzieci, ale nic się nie działo, co mogłoby jakkolwiek odmianę udręczonemu ludowi przynieść. Szemrać nawet poczęto przeciw cieszącemu się dotąd niekwestionowanym mirem Ahuizotlowi II, lecz on tylko ponawiał pytanie: „Dokąd chcielibyście powracać, bracia. Do kajdan, hiszpańskich bogów i krostowatej śmierci”? Do kraju, gdzie kobiety przestały rodzić, mężczyźni walczyć, a bogowie są jako potłuczone dzbany i próżne tykwy?”

Tak minęło lat dwadzieścia.

Aż również do onej północnej niegościnniej krainy dotarli jeźdźcy o bladych twarzach. Żądni skarbów, złota, tajemnic. Dopytujący się natarczywie o miasto Cibola. Tylko pustynia i strach tubylców przed gniewem bogów chroniły Tajemne Miasto. A przecie jednemu oddziałkowi nieomal się udało wdrzeć do środka krateru. Dotarł on do strażniczego puebla przylepionego do północnej zewnętrznej strony Matki Góry. I stoczył tam bój krwawy z wojownikami Ahuizotla. Podania określały dowódcę przydomkiem „Ciemny”. Być może więc chodziło tu o ekspedycję Estebana Maura, o której wspominają nasze kroniki. W każdym razie ów „Ciemny”, lubo ranny, uszedł spod miasta, natomiast każą reszty pojmanyh Hiszpanów uświetniła obchody ku czci Pióra Kolibra.

Znalazł się wśród tych brańców wielki mężczyzna o całkiem białych włosach i czerwonych oczach, którego nazywali Carlos „Czerwony Język”. Miał on zostać uroczyście stracony w trakcie święta Izcaltit. (Miano to, tłumacząc na nasz język, oznacza Dzień Zmartwychwstania.)

Czas oczekiwania na śmierć przyszło mu spędzić w komnacie pod ołtarzem u szczytu Piramidy Bogów. Wschodnia ze ścian wykonana była z przezroczystej materii przypominającej ni to szkło, ni alabaster, jednak wielokroć od nich twardszej. Dzięki temu strażnicy mogli obserwować Carlosa dzień i noc, a i on miał dość światła, by za dnia widzieć ściany pokryte reliefami. Wyrzeźbiono tam wiele przerażających postaci, ale uwagę więźnia przykuła rzecz znamienna. Oto zauważył on wykute obok siebie wizerunki drzew. Na jednym były trzy, na drugim cztery, na trzecim pięć gniazd. Powyżej zaś unosiły się stada odpowiednio: dziewięciu, szesnastu i dwudziestu pięciu ptaków... Zali mógł być to przypadek, czy też w tym fragmencie reliefu zapisano twierdzenie Pitagorasa?

Matematyka stanowiła z dawna hobby Carlosa. Mając wiele czasu, zajął się baczniejszym studiowaniem otaczających go rzeźb. Ku swemu zdumieniu we fryzie znalazł pochod liczb pierwszych, w kompozycji kwiatów na kolistym talerzu wzór na obwód koła, co było tem dziwniejsze, że Aztecy ni inne kultury Nowego Świata koła nie znały. Sam zresztą Czerwony Język nie znał przecie terminu „liczba pi” ani nawet „ludolfiny” — albowiem wprowadzono

ją do geometrii pół wieku później. Znal jednak jej przybliżoną wartość. Wreszcie zauważył, iż kręgi na posadzce układały się w model Układu Słonecznego — z większą wszakże liczbą planet niż znamy je obecnie, poza upierścienionym Saturnem bowiem widniały jeszcze trzy. Ktokolwiek zatem dekorował ona komnatę, posiadał wiedzę wielokroć przewyższającą nie tylko Indian, ale i także obecnie żyjących Europejczyków. Z pewnością autorami nie byli fanatyczni strażnicy świątyni, nie dojadający, brudni i w zasadzie ożywiani wyłącznie nienawiścią do Białych. A i wiedza nielicznych kapłanów zdawała się wielce ograniczona.

Nie wydawało się Carlosowi również możliwe, aby cały ten misterny wykład miał służyć wyłącznie ozdobie. Penetrując dokładnie salę, dostrzegł wśród płyt pod samą ścianą jedną odmienną w barwie od innych. Narysowany był na niej trójkąt wewnątrz kwadratu, na oba zaś padał deszcz. Płyta, wpasowana ciasno między inne, robiła jednak wrażenie ruchomej. Cóż z tego, choć brzmiała dźwięczniej niż inne, zdradzając poza sobą pustą przestrzeń, nie reagowała na nacisk ani na uderzenia. Po zarysowaniach na krawędziach wnosząc, próbowano ją już wielokrotnie skruszyć lub podważyć, ale bezskutecznie. Wykonano ją z tworzywa trwalszego niż granit, odpornego na ogień, a jak się potem okazało, również na proch. W całym pomieszczeniu dawała się podnieść tylko jedna płyta, leżąca dość luźno, po uniesieniu której ujrzał dwadzieścia pięć symetrycznych otworów wywierconych w kamieniu. Dmuchając w nie, przekonał się, iż z każdego dobywa się inny dźwięk. Były zatem różnej długości. Czemu jednak mogły służyć? Za wąskie, by włożyć w nie rękę, za głębokie na palec.

Czerwony Język nie wierzył w przypadki. Jeśli cała komnata pełna była zakodowanych wzorów matematycznych, rysunek na drzwiach musiał oznaczać instrukcję ich otwarcia. Ktoś, kto przed wiekami wznosił tę budowlę, najwyraźniej pozostawił matematyczne klucze do jej tajemnic. Pierwszy nie powinien być za prosty. Kwadrat, trójkąt i deszcz... A te otwory...?

Olśnienie przyszło po długiej bezsennej nocy, kiedy oczekiwał na kaźń. Nastal już poranek, widoczne doskonale za przezroczystą ścianą thumy, usadowione na wewnętrznym stoku krateru vis à vis piramidy, gdzie wznosiły się ich ubogie sadyby z pobielanej gliny, oczekiwały egzekucji. Lada moment należało się spodziewać przybycia dekoratorów, do których zadań należało ozdobienie twarzy i ciała ofiary barwną glinką i rysunkami odpowiadającymi rytuałowi. Równocześnie wolno, stopniami ku górze posuwała się już procesja kapłanów w płaszczach z piór. Towarzyszyli im słudzy niosący insygnia i wielkie wachlarze nazywane amosqueadores... Na czele kroczył Ahuitzotl II.

Woda! Należy wlać wodę do odpowiednich dziur. Tylko do których? Trójkąt i kwadrat! Musiał zaryzykować! Wcześniej zauważył, że porządek liczb i obrazów przebiega w tej świątyni z góry na dół i z prawej na lewo. Wziął tedy resztki wody pozostałej w tykwie. Wlał

do otworu dziewiątego, szesnastego... I w tym momencie skończył mu się płyn. Za przezroczystą taflą widział gromadzącą się eskortę, na górze podnoszono właz... Oprawcy zaraz mieli go wyciągnąć. Z zewnątrz dotarł doń przenikliwy dźwięk piszczałek, grzmot grzechotek i wrzawa Azteków, łaknących jego śmierci. Dwudziesty piąty otwór? Piątka do kwadratu! W najwyższej desperacji ściągnął spodnie i począł mocz oddawać do ostatniego otworu. Po drabince wpadli oprawcy, krzycząc na profanatora świętości piramidy, zamierzili się nań toporkami. I zastygli w bezruchu.

Ledwie bowiem napełnił się trzeci otwór, z czeluści dobiegł zgrzyt, hałas dawno nie poruszanego mechanizmu, przesuwania się przeciwwag... Posadzka zadrżała, a płyta z kwadratem i trójkątem stanęła dęba. Wejście do wnętrza Piramidy Bogów stanęło otworem.

Ahuitzotl okazał się wystarczająco przenikliwy, by docenić wartość Hiszpana. Carlos nie został stracony tego poranka. Jego umiejętności miały zostać wykorzystane do penetrowania piramidy.

Mogę tylko imaginować sobie, co czuł mój rodak, gdy szedł po raz pierwszy w głąb niezwyklej budowli, nazywanej w mowie nahuatl Cu, a z pewnością nie uczynionej ręką ludzką. Sam szedłem tamtędy sto lat później... Jakiż niezwyklej dreszcz odczułem, gdy znalazłem się w tworzących prawdziwy labirynt „alejach słowników”. Wszystkie ściany pokryte tam były obrazami wyrytymi w niezwyklej tworzywie, nie podlegającym erozji ni pleśni. Obrazom tym odpowiadały znaki. Początkowo Carlos i towarzyszący mu kapłani chcieli biec jak najdalej, zstąpić jak najgłębiej. Wnet jednak drogę przegrodziły im kolejne drzwi pokryte napisami.

Kapłani zaczęli krzyczeć na więźnia i grożąc mu śmiercią, kazali otworzyć i te wrota. Na miği usiłował wytłumaczyć, że aby otworzyć drzwi, musi przeczytać inskrypcję, a chcąc poznać treść napisu, musi wpięrw zaznajomić się ze słownikiem. „A może — pytał Indian — któryś z was potrafi to rozczytać?” Wszelako nikt nie znał pisma twórców piramidy. Szczęściem Ahuitzotl II zrozumiał, o co chodzi, i pozwolił Carlosowi prowadzić pracę dalej.

Poznanie pisma bogów i rozszyfrowanie inskrypcji umożliwiającej przejście na dalszy poziom świątyni zabrało Czerwonemu Językowi ponad rok. Jak się okazało, nie wystarczyło nauczyć się słów i poznać gramatykę. Trzeba było, z kagankiem w ręku, przeczytać całe ściany pełne prozy i poezji, poznać używane przed wiekami przenośnie, cytaty, aluzje, słowem wszystko to, co można nazwać duchem języka.

Z eposów tych, które i sam mogłem przeczytać, wynikało, że „bogowie” ród swój wywodzą z piątej planety podwójnego Słońca. Na podstawie innych opisów mogę mniemać, iż chodzi o Syriusza, którego od najdawniejszych czasów na Ziemi wciąż szczególną otaczano. Tedy dalej

będę zwał ich Canikulanami, choć sami o sobie mawiali zazwyczaj — Lud Piątego Towarzysza Dwójśłońca. Ich cywilizacja stara wielce, jak sami mówili, chyliła się ku upadkowi. Planeta matka dawno nie istniała, pochłonięta przez wielki kataklizm. Ostalo jeno kilka statków kosmicznych przemierzających wszechświat w poszukiwaniu Nowej Ojczyzny, planety zdolnej do zamieszkania. Ziemię upatrzyli sobie już dawniej, lądując na niej przed milionami lat, gdy jeszcze naszą, podówczas bezludną planetę zamieszkiwały ogromne gady. A gdy ostatecznie osiedli na niej, próbowali wśród żywych istot odnaleźć takie, które mogły być im przydatne i zdolne im służyć. Nie jestem uczonym teologiem, nie będę tedy szukał paralel między onymi legendami a Księgą Rodzaju, jedno wiem, iż działo się to dużo dawniej, nim przodkowie Azteków dotarli w okolice Góry Bogów, podówczas martwej i opuszczonej. Toteż wszystko, co wiedzieli, usłyszeli od poprzedzających je ludów, które same przyszły po wcześniejszych, a te dowiedziały się od swych poprzedników, albowiem przed Carlosem nikt nigdy nie wstąpił w trzewia piramidy. Zaś głos Hutzilopochtliego? Sądzę, że Mexicas usłyszeli go może, natrafiwszy na jakiś pradawny aparat powracający z kosmosu. Lub też jakiś domorosły prorok interpretował własne sny i zwidy jako objawienie. Osobiście mniemam, iż wszelkie legendy, przynajmniej te nie będące wyłącznie baśnią, mają to do siebie, że przetwarzając prawdę w mit, mylą przyczynę ze skutkiem, a działania ongiś celowe stają się bezrozumnym rytuałem.

Tak i mnie udało się pojąć sens krwawych ofiar i wrywanych serc.

Potwierdziła to lektura starych tekstów. Przy wszelkich podobieństwach z ich planetą, ciążenie było u nas inne, a to utrudniało Canikulanom normalne bytowanie. Mieli za małe serca, a ich krew wiążąca się z jednym z gazów, obecnym w powietrzu (Alvaro miał tu na myśli chyba azot — podówczas jednak nieznaną) po jakimś czasie zwalniała swój bieg w żyłach aż do całkowitego zakrzepnięcia.

Tedy chcąc egzystować, musieli poddawać się częstym transfuzjom krwi, nadto przeszczepiali sobie ludzkie serca i tym sposobem mogli żyć wcale długo. Sądzę, że pamięć o tych zabiegach, którym asystowali i w których dawcami byli tubylcy, przetrwała w pamięci pokoleń, wyradzając się na koniec w mit bogów żądnych krwi i domagających się gorących, świeżo wyrwanych serc.

Zresztą Canikulanie sami nie uważali się za bogów — na swej planecie wierzyli ongiś w Jednego Kreatora, twórcę wszechświata przepajającego go swą miłością, Wszechistniejącego, Przedwiecznego, Ostatecznego, który po śmierci przyjmuje ich do siebie. Jednak na krótko przed kataklizmem zwątpili w niego. Zaślepieni złudną potęgą nauki i przekonani o swej wszechmocy odrzucili go, twierdząc, iż umarł albo że nigdy go nie było.

Dopiero wymierając, znów przypomnieli sobie o nim i zwracali się do niego jak przerażone dzieci, błagali o wybaczenie, prosili o radę. Korytarz, w którym uwieczniono pieśni temu poświęcone, nie spodobał się Aztekom, toteż kazali go zamurować. Ledwie parę hymnów pozostało w odpisach.

Powrócę jednak do losów Czerwonego Języka. Aztecy wykazali dość cierpliwości, nie przeszkadzając jego studiom. Przydali mu jednak do towarzystwa dziesięciu młodzianków, których zadaniem było śledzenie Białego i zapoznawanie się ze wszystkim, co on poznał.

I otworzył wreszcie zamknięte wrota, a potem następne i następne. Odgadł też tajemnicę tego miejsca — Canikulanie, zanim ostatecznie odeszli, zamykając świątynię przed barbarzyńcami, umyślili podzielić się swoją wiedzą z tymi, którzy kiedyś przyjdą po nich. Chcieli jednak, by stało się to stopniowo, aby zbyt groźne zabawki nie trafiły w ręce małpoludów, by odkryciom towarzyszył harmonijny rozwój ducha i umysłu odkrywców. Dlatego zejście na kolejny poziom wymagało rozwoju geometrii i matematyki; by dostać się jeszcze niżej, należało poznać energię wyzwalaną przez parę, potem olej skalny, wreszcie wiatr i słońce.

W którymś momencie Ahuiztotl zorientował się, że Carlos otwarł już dostatecznie wiele wrót, a jego uczniowie poznali wszystko, z czym mógł ich zapoznać. Tedy wyraziwszy mu uznanie za wszelkie odkrycia, zaprowadzono go na szczyt piramidy, kędy kamień ofiarny, i tam wyrwano mu serce.

W ciągu następnych stu lat Aztekowie dotarli do prawie wszystkich poziomów (został jeszcze ostatni, ale o tym, jak Bóg da, opowiem na końcu), posiadli władzę nad broniami mogącymi dokonywać zniszczeń tak strasznych, iż godzi się porównać je jedynie z biblijną Sodomą.

Mogę wyobrazić sobie otwarcie przedostatnich wrót, jakieś dziesięć lat temu. Petlacalcatl, który był przy tem, twierdzi, że było to jak wnijsie do nieba. Kiedy bowiem skonstruowany przez azteckich naukowców palnik zdołał przeciąć nierozłamywalny dotąd skobel, otworzył się Poziom Realnych Cudów. Świat, który napędzany niewyczerpywalną energią działał nadal dokładnie tak, jak pozostawili go ostatni Canikulanie przed tysiącami lat.

Olbrzymie katakumby wypełniała doskonała światłość, wytwarzana przez działającą nieprzerwanie siłownię, gdzie z siły tysiąca słońc wytwarzano energię mogącą oświetlić wszystkie miasta świata lub zabić wszystkich ludzi na Ziemi. Znalezione tam również maszyny niezwykłych kształtów, na podobieństwo ludzi zdolne myśleć i rachować, mnogość aparatów zdolnych poruszać się na ziemi, w wodzie i powietrzu — wszystkie te wirujące krążki, delty i hydroplawy pozwalające się przemieszczać wyżej i szybciej od ptaków. Działały tam też

urządzenia przeznaczone do przenoszenia dźwięku i obrazu, a także przechowały się dwa sztuczne księżyce, gotowe do wystrzelenia, dzięki którym mogli, nie ruszając się z Oboli, obserwować, co się dzieje w całym świecie.

Jakże możliwe było działanie tego wszystkiego przez tysiąclecia — odpowiedzi udzieliły sztuczne istoty, aparaty szczególnie przemyślne, sześcionożne, wielkim mrówkom podobne, odpowiedzialne za konserwację urządzeń i same naprawiające się nawzajem. Co jednak najważniejsze, owe istoty mechaniczne, które błyskawicznie nauczyły się azteckiej mowy, tak doskonale, jakby władały nią od dzieciństwa, okazały się nadzwyczajnie powolne swym nowym panom. Nadzwyczajnie, acz niebezgranicznie.

Ich system wartości, wszczepiony przez konstruktorów w ich sztuczne mózgi, nie zezwalał na zabijanie ludzi w innym celu niż w obronie, nie godził się z przemocą, z zadawaniem cierpienia...

Naturalnie nie dało się wyrwać im serc, boć ich nie mieli — ale po krótkim czasie rozbito mechaniczne mrówki i zdemontowano je na kawałki, zanim one zdołały przeszkodzić Aztekom w ich planach.

Moi rozmówcy opowiadali, że ostatni z onych mechaniczniaków próbował nawet zniszczyć całą piramidę tak, aby nie wpadła w ręce zdobywców, ale nie zdążył. Czemu chciał to zrobić wbrew wszczepionemu mu instynktowi samozachowawczemu?

Zapewne zauważył to, co ja. W błyskotliwym rozwoju Ciboli kryło się coś przerażającego. Przybysze, którzy dzięki Carlosowi zawładnęli owym bogactwem wiedzy i umiejętności, w głębi ducha pozostali tymi samymi kapłanami z Tenochtitlanu, niezdolnymi wyzwolić się z przesądów i snów o zemście, w dodatku otoczonymi przez gromadę brudnych i bosych tubylców.

Pojmowałem szlachetny zamysł Canikulanów — wymierając, chcieli, aby ich dorobek trafił w ręce godnych następców i posłużył ich rozkwitowi — wierzyli, może naiwnie, że odkrywcom stopniowe zgłębianie pozostawionych zagadek i rozwiązywanie łamigłówek zabierze całe wieki, a stulecia te wypełnione zostaną przez doskonalenie nie tylko umysłów, ale również uniwersalnych cnót: refleksji, miłosierdzia, tolerancji... Czerwony Język mimowolnie skrócił ten proces. Wytrychem wyniesionym z dorobku greckiego antyku i doświadczeń półtora tysiąclecia chrześcijaństwa otworzył drzwi technicznego Sezamu ludowi przyniesionemu jakby z czasów przedhomeryckich.

Strach wielki mnie chwycił, gdym to sobie uświadomił.

A jeszcze większa bojaźń mnie opadła, kiedy pojąłem, po co tu się znalazłem.

Od co najmniej dziesięciu lat szukano brakującego elementu. Szukano sposobu otwarcia ostatnich wrót umieszczonych głęboko pod podstawą piramidy — wrót, za którymi kryła się władza nad kosmosem, wiecznym życiem, może nawet nad czasem... Chociaż z drugiej strony, gdyby taka wiedza istniała naprawdę, czemu sami Canikulanie jej nie wykorzystali!? Czemu nie użyli jej do uchronienia się przed wyginięciem? Może nie mogli. Może zabrakło im czasu. Stare teksty poświadczają, że ich gorączkowe próby wyhodowania następcy, czyli człowieka naprawdę „myślącego”, szły powoli i nad wyraz opornie. Sądzę, że zabrakło im ledwie paru tysięcy. Czytałem przecie wstrząsające pieśni Canikulan o wymieraniu — zrazu żyło ich jeszcze kilkudziesięciu, potem kilkunastu, wreszcie dwóch. Ostatni postanowił zamknąć piramidę i na najniższym poziomie zapaść w sen wieczny. I czekać. Może czeka do tej pory?

Azteczy chcieli, bym ich tam doprowadził. Czemu ja, Alvaro z Monterey? W fizyce, matematyce, chemii wyprzedzali mnie niebywale. Cóż mogłem więc zaferować ja, bardziej praktyk niż mędrzec? A przecie, zdaniem tych, którzy mnie porwali, tkwiło we mnie coś, istniało coś w cywilizacji, z której pochodzę, co mogło stanowić brakujący ząbek klucza.

Dziś już wiem, co to jest.

Wszelako nie napiszę o tym. Nie powiem nikomu, nawet jeśli wyrywać będą ze mnie trzewia. Wiem przecie, co zamierzają. Znam ich pragnienie rekonkwisty. Przejrzałem do cna mroczny sen o świecie urządzonym na aztecką modłę. Imperium przypominającym piramidę, z małą platformą panów i ogromną liczbą pięt niewolnictwa różnego stopnia. Mamże w tym dopomóc? Przenigdy!

Tedy zwodzę ich jak Penelopa zalotników — udaję, że nie wiem tego, co wiem, szukam drogi ucieczki, czekając sposobnej chwili...

Dziewiątego stycznia. Serce zamiera we mnie na myśl o tym, na co się ważę. Wzdycham do Boga jako ów Augustyn, biskup Hippony, dziękując Panu Wszchemogącemu za wszystko, czegom zaznał, za świat piękny, któregom jest małą częsteczką, za całą mądrość bożą, której mi brak. Zaiste obaczyłem skarby i nie oślepiłem, poznałem prawdy najgłębsze, lecz te nie zmąciły mej wiary w Chrystusa. Widzę bowiem, jaki może być świat bez Niego. Wiem, co stało się z Canikulanami, gdy utracili wiarę w Absolut, przedkładając ponad Niego kult powszechnej względności. Nie proszę Cię tedy, Panie Mój, o skarby świata, o długie życie, proszę o wytrwanie, błagam, iżby mojemu doświadczeniu, mojej przestrodze dane było trafić do jakichś uszu rozumnych...

Wczora natrafiłem wreszcie na sposób wyjścia, na opis rzeki podziemnej, łączącej wnętrza góry ze strugą, która wypływa u jej podnóża. Wprawdzie siłownia korzysta z obwodu zamkniętego, jednak od dawna podejrzewałem, że musi istnieć jakiś odpływ wód po deszczach

i topnieniu śniegów, inaczej przecie Cibola byłaby okresowo zatapiana. Teraz już wiem, iż cały system irygacyjny, a także jezioro wokół piramidy musi łączyć się w południowo-zachodnim krańcu krateru w jedną rzekę, która jaskiniami płynąc, wyprowadza nadmiar wód na zewnątrz. Barwiąc wodę i rzucając kolorowe kawałki włóczki, ustaliłem też miejsce owego odpływu, jest ono tam, gdzie pomiędzy południowo-zachodnim narożnikiem mieści się słynna sadzawka ogromnych aligatorów, zwanych cocodrili, krwiożerczych strażników onego przejścia.

Nie uśmiecha mi się śmierć w paszczach owych Lewiatanów, spasionych i wielkich ponad wszelką rozsądną miarę, którym Aztecy rzucają ciała jeńców, po wyrwaniu im serc. Na szczęście obserwowałem owe bestie od dawna i widzę, iż bytowanie między ludźmi zmieniło ich obyczaje. Za dnia wygrzewają się w słońcu, wieczorem są karmione, nocą przemieszczają się w większości ku łące gorących gejzerów, które biją na północnej równinie niedaleko lądowiska statków powietrznych. Gady wielce upodobały sobie one ciepłe źródła i zapewne składają tam jaja. Mniemam też, że chociaż sporo czasu spędzają w sadzawce, nastaje pora, krótko przed świtaniem, kiedy napasione oddają się trawieniu w głębi swych jam i grot, stroniąc od wody bieżącej.

Mam wolę zaryzykować. Myślę, że w ciągu dwóch dni uda mi się ukraść i skompletować strój przewidziany dla nurków, którym widział w magazynach. Ukryję go niedaleko sali narożnej, niedaleko wnijscia, do którego klucz posiadam. Tam przebiorę się i skoczę w wodę. Co dalej będzie? Qui vivra vera!

14 stycznia. O Panie na Niebiesiech. Nie opowiadam tego Tobie, bo ty wiesz wszystko, lecz jeno w przytomności Twojej tym, którzy będą to czytać, jeśli będą. Wszystko bowiem inaczej się potoczyło, niż przewidywałem. Zamiarując wyruszyć dwunastego, przygotowałem wszystko do ucieczki w tym terminie. Stan wody w sadzawce i fosach był niski, od wielu dni utrzymywała się susza, nawet z czap śnieżnych nie sączyło się więcej niż parę strumyków. Byłem dobrej myśli.

Noc z dziesiątego na jedenastego stycznia spędzałem z Teti. Zaczęło się od skromnej wieczerzy, na którą złożyły się placki, które moja kobieta sporządziła własnoręcznie, ucierając ziarno kukurydziane z mosco, tutejszym kawiozem, czyli jajeczkami wielkiej muchy błotnej, oraz z ostrą sałatką z frejol zaprawianą chilli. Na deser zaproponowała słodkie tunas. A wszystko popijaliśmy odrobiną pulque. Potem Teti zrzuciła swoją huipil, bluzę wyszywaną złotą nicią i poszliśmy na maty kochać się długo, zapamiętane. Dawno nie bywało między nami tak szaleńczego zespolenia, w którym rozkosz zdawała się łączyć z rozpaczą. Naturalnie nie domyślałem się wówczas powodów onej desperacji.

Poznałem je dopiero, gdy się zbudziłem przed świtem i obaczyłem dziewczynę całą we łzach. Postanowiła nie taić niczego dłużej. Dobięgał kresu ostatni dzień spędzony przez nas razem. Moja śmierć została już postanowiona. Ojciec Teti, okrutny Petlacalcatl wywiadził się jakoś o mych przygotowaniach do ucieczki, odkrył mój magazyn z żywnością i bronią, który miałem pod schodami. Córki nie uprzedził o swych zamiarach, ale służka, która była przypadkowym świadkiem rewizji i posłyszała jego rozmowy z tajnymi strażnikami, przekazała dziewczynie prawdę. Teti, pewna, iż aresztują mnie o świcie, nóż mi przyniosła, błagając, iżbym sam sobie śmierć zadał, nie czekając na męki i serca wyrwanie. I mówiła także, że z wielkiej miłości do mnie chce jak prawa żona towarzyszyć mi na stronę cienia. To mówiąc, otworzyła swe tętnice płacząc cicho i pytając, czy pójdę za nią? Obiecałem jej, iż zaraz to uczynię i udawałem swe do tego czynu przygotowanie...

O Boże mój! Jakże chętnie bym za nią podążył, kończąc czas nieznośnej udręki. Wszelako nie zezwoliła mi na to ani święta wiara, uznająca samobójstwo najhaniebniejszym z ludzkich występków, ani przekonanie, że muszą się stąd wydostać i wiadomość o mieście Azteków na świat wynieść.

Ochrzcilem konającą z wody, gładząc wszystkie jej grzechy, po czym wziąłem nóż, indiańskie ichtlilmatl, czyli poncho wykonane z sizalowego płótna oraz mój stary pas z sakwą. Nie miałem zapasów, a odzyskanie sprzętu do nurkowania ukrytego przeze mnie w świątyni było niemożliwe. Gotów byłem jednak zaryzykować. Cicho podążyłem na górę. Strażnik tarasujący przejście spał osobliwie mocno, toteż chyba nawet nie pojął, iż podcinam mu gardło. Wyszedłem na dach. Szło ku świtaniu. Różowe blaski skrzyły się na śnieżnej koronie wokół krateru, a wierzchołek piramidy wynurzał się już z nocnej pomroki, gdy naraz posłyszałem jakiś rejwach za sobą. Ktoś podniósł larum. Nie oglądając się ani chwili, puściłem się biegiem po dachach, tarasach i gzymsach, obalając tych, którzy chcieli mi przeszkodzić. Jednego nawet ugodziłem nożem, gdy chwycił za mój płaszcz.

Wreszcie okrutnie zdyszany dopadłem krawędzi ostatniego z domów wznoszącego się tuż nad sadzawką cocodrili. Większość bestii wypelzła na brzeg i leniwie drzemiała w mule. Od lustra wody dzieliło mnie dwadzieścia stóp, wszelako czując na plecach oddech pogoni, odbiłem się i skoczyłem na głowę, tak jak za młodych lat, gdy naśladowałem poławiaczy pereł. Uderzenie omal odebrało mi dech. Byłem jednak gotów pierwiej zginąć niż zawrócić. Wykorzystując impet skoku, dopłynąłem pod wodą do narożnika sadzawki i tam wraz z nurtem wdarłem się w głąb ciasnego korytarza. Lecąc, nie zaczerpnąłem wiele oddechu, toteż już po chwili jąłem się dusić. Co gorsza, wypór wody przycisnął mnie do wystającego kamienia. Zaklinowałem się. O Boże mój! — westchnąłem w duchu, przekonany, iż jest już po mnie.

Upuściłem jednak resztkę powietrza i stając się cięższy, opadłem w dół i tak minąłem przeszkodę. Teraz spróbowałem unieść się ku górze. Nade mną nie było skały, mrok tylko... Ale również wolna przestrzeń! Wypłynąłem. Chwyciłem oddech. Jeszcze chwila, a zorientowałem się, że jestem na skraju jaskini ciemnej, okrutnie smrodliwej, do której bestie zwykły zawlekać swe ofiary, iżby gnijąc, stawały się dla nich bardziej smakowite i łatwiejsze w spożyciu. Zapaliłem latarkę, którą miałem w sakwie, starając się nie patrzeć na szkielety i całkiem świeże trupy, spojrzałem w głąb. Korytarz podziemnej rzeki był tylko częściowo zalany wodą. Przypominając najbardziej kanał kloaczny, opadał łagodnie w dół. Pobrnąłem nim dalej, zatykając nos i błogosławiąc niski stan wód.

Długo by szło opowiadać o wszystkim, co przeżyłem w owym królestwie Hadesa, o jaskiniach pełnych stalagmitów i stalaktytów nadzwyczajnych rozmiarów, o stadzie ryb białych, całkiem ślepych, które jak piranie rzuciły się kąsać mnie po łapkach tak, że ledwom im uszedł, o nietoperzach ogromnych niby koty. A jakże nie wspomnieć tych niezliczonych kaskad i katarakt, skalnych przesmyków, podobnych uchu igielnemu, które przyszło mi pokonywać. Jedno istotne dla każdego, ktokolwiek zamierzałby udać się moim szlakiem w przeciwnym kierunku: jaskinia zbierając dopływy z lewej strony z wyjątkiem jednego tunelu, chyba odprowadzającego nieczystości z puebla, nie przyjmowała żadnych korytarzy z prawej. Toteż trzymając się tej strony, trudno byłoby w niej pobłądzić. Rachubę czasu żem utracił wraz z chronometrem, który rozbiłem, ześlizgując się z dziesięciolokciowej kaskady, myślę jednak, że moja podróż przez ową piekielną krainę trwała półtorej doby.

Z każdą godziną nadzieja na szczęśliwe wyjście na świat boży krzepła w moim sercu, choć pod koniec zachwiała się znacznie, gdym postrzegł, iż wody w podziemnej rzece przybywa i przybywa, a dystans między lustrem a stropem zmniejsza się nieustannie. Na Boga, czyżbym jak pechowy pływak miał się utopić, będąc tuż przy plaży?

Woda sięgała mi już po pierś, co gorsza nurt wodny znów stawał się coraz bardziej rwący i naraz porwał mnie, gwałtownie zakręcił (o skałę żebrami tak żem walnął, aż tchu mi zbrakło) i pociągnął ze sobą. Leciałem niby na saniach na stromym stoku górskim, próbując łapać dech wśród dzikich rozbryzgów, aż postrzegłem w świetle latarki pędzące ku mnie skalne sklepienie schodzące pod wodę. Błyskawicznie nabrałem powietrza i dałem głębokiego nura, iżby roztrzaskania uniknąć. Rzuciło mnie, zakręciło raz jeszcze i nagle poczułem, żem postradał latarkę. Per Dios! Znalazłem się teraz w kompletnym mroku. Próbowałem wypłynąć, ale głową uderzyłem w skałę. Tunel znajdował się poniżej poziomu wód. Koniec! Przymknąłem oczy, odmawiając modlitwę ostatnią, lecz gdy je na chwilę otwarłem, ujrzałem słaby rozbłysk dziennego światła.

Z nieprawdopodobną wolą życia ruszyłem ku niemu. Czulem ból, jakby pękały mi płuca. Nurt jednak był mi pomocny i niósł mnie w stronę światła bez mego większego udziału. Jednocześnie zbawczy błękit ciągle był zbyt odległy. I naraz osłabłem, poczułem, jak woda wlewa mi się do ust, do płuc, jak krztuszę się, duszę, tracę przytomność.

Ocknąłem się, leżąc na skraju leniwie płynącej strugi. Żyłem. Za mną piętrzyła się gigantyczna fasada Góry Bogów, przede mną ciągnął się step pusty z rzadką roślinnością. Z woli Opatrzności przeżyłem, woda sama mnie wyniosła.

Padłem na kolana, dziękując Panu za ocalenie.

*

I to właściwie był koniec merytorycznych zapisków Alvara z Monterey. W dalszej części, starannie oglądając brulion od końca, znalazłem plany Ciboli, jakby specjalnie z myślą o oddziale komandosów sporządzone, obejrzałem szkice przedstawiające w rzutach ważniejsze budowle. Przystudiowałem plan miasta z zaznaczonymi świątyniami (oblana zewsząd wodą piramida zajmowała tam miejsce centralne), lądowiskami, układem wód i ulic. Były też mapy dziewięciu poziomów piramidy, rysunki przedstawiające stroje kapłanów, strażników, ich uzbrojenie i instrukcje, jak się nim posługiwać. Alvaro pomyślał o wszystkim. Pozostawił fonetyczny słownik kilkudziesięciu podstawowych wyrażeń w języku *nahuatl*. Godziny i obyczaje wart, rozmieszczenie podstawowych sił... Scharakteryzował czołowych kapłanów dowodzonych przez Petlcalcatla, a także podał ogólne zasady działania canikulańskich mechanizmów, osobliwie odmiennych od naszych.

Jakże wielka musiała być determinacja człowieka ze zgruchotaną kończyną, konającego na dnie gorącej jamy, który mimo bólu i pragnienia nie ustawał w pisaniu, wierząc, że jego praca posłuży kiedyś znalazcom z europejskiego kręgu kulturowego. Część ostatnia, pisana niewątpliwie na dnie rozpadliny, zrobiła na nas wrażenie bardzo osobistej spowiedzi. Wyznania grzechów, namiętności, błędów, chwil pychy i chciwości. Alvaro nie liczył na ocalenie, widać było, iż godzi się z Bogiem, pokornie czeka na śmierć, śledzi zlatujące się sępy. I tylko żywi nadzieję, że nie odnajdą go Aztecy.

Opisuje, jak ogromnym wysiłkiem kreśli znak krzyża na skalnej ścianie swego przyszłego grobu, albowiem do ostatniej chwili wierzy, że Stwórca nie po to go wywiódł z domu niewoli, by potem pozwolić jego trudowi pójść na marne.

Tedy wybaczam wam wszystkim uczynione mi zło, nawet tobie, Petlcalcatlu (oby Bóg zesłał na ciebie oświecenie!). A myśli ostatnie, które mąci mi żar, słabość i pragnienie, kierują ku memu Ojcu i Matce — Chrystusowi i świętemu Kościołowi, ku mej ojczyźnie, ku naszej Europie biednej i ku tobie, najmilsza moja...

Nie dowiemy się nigdy, do kogo wzdychał w ostatnich swych chwilach, pisząc zapiski swą krwią własną dzielny Alvaro. Do jakiejś kobiety pozostawionej w Monterey, a może do wspomianej Teti, która wolała śmierć z własnej ręki niż rozstanie z ukochanym. Przecież nie dokończył tekstu świadomie. Starczyło mu wszak sił, aby jeszcze schować diariusz do sakwy. Najwyraźniej życzył sobie, by na zawsze pozostało to tajemnicą.

15. CZARODZIEJSKA GÓRA

O zmierzchu, gdy w parowie zaległ już cień głęboki, pochowaliśmy Alvara na dnie jego skalnej pułapki, kryjąc szkielet pod kamieniami i stawiając niewielki drewniany krzyż.

— A co to jest? — zawołała naraz Laura, wyciągając ze szczeliny skalnej prostokątny kawałek srebrzystego metalu. Wziąłem go w rękę. Był chłodny, dosyć lekki i wielokrotnie twardszy niż aluminium, które ciężarem przypominał.

— Najprawdopodobniej jakiś aztecki amulet — ocenił znalezisko Froissart. — Dziwne tylko, że nie ma na nim żadnych ozdób oprócz tego złocistego paska, biegnącego wzdłuż blaszki. Ostawmy go biedakowi.

— Sądzę, że lepiej przysłuży się nam — powiedziałem.

Anzelmo popatrzył na mnie pytająco.

— Przychodzi mi do głowy, iż może to być wspomniany w diariuszu klucz do piramidy.

Odczekaliśmy, aż ściemni się całkowicie, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

*

To była ciężka noc. Przyszło nam iść w ciemności przez teren niedostępny, kamienisty, suchy. Zaiste trudno wyobrazić sobie skrawek ziemi bardziej nieżyczliwy człowiekowi. O czwartej nad ranem byliśmy tak utrudzeni marszem, że wszyscy z ulgą przyjęliśmy propozycję wypoczynku w naturalnej niszy między głazami; płożyły się tu jakieś zarośla i o dziwo tryskało nawet małe źródło.

Ustanowiłem warty i natychmiast usnąłem. Długo jednak nie pospałem. Koło ósmej rano ocknął mnie szept Lina, który właśnie zaczął swoją straż:

— Stary, musisz to zobaczyć.

Wyrząłem spod głazu i osłupiałem. Siedem, może dziesięć kilometrów przed nami wśród słabo pofałdowanego płaskowyżu wypiętrzała się ogromna góra o charakterystycznym kształcie wygasłego wulkanu. Stożek szeroki na kilka kilometrów częściowo przykrywały chmury, gdzieś u szczytu widać było białe płyty śniegu. W odróżnieniu jednak od łagodnych zboczy Wezuwiusza ściany tego masywu wydawały się nieprawdopodobnie strome, niemal pionowe, samym widokiem zniechęcające ewentualnych amatorów

wspinaczki. Wedle opisu Alvara jedyna droga prowadząca do zamieszkanego wnętrza krateru wiodła przez przełęcz od północy i była doskonale kontrolowana przez gospodarzy.

Tymczasem ręka Lina opadła niżej, wskazując wąski pas zieleni wijący się u podnóża giganta.

— Jest rzeka!

Czas, który pozostał do zmroku, wykorzystaliśmy na wypoczynek przed forsownymi zadaniami, jakie nas czekały, a także na strategiczne narady. Z Froissartem i Foucheronem przeanalizowaliśmy jeszcze raz zapiski Alvara z Monterey, kopiując, na wypadek pogubienia się, dla każdego plan Tajemnego Miasta z takimi punktami strategicznymi, jak Sadržawka Aligatorów, Święta Piramida, Łąka Gejzerów, lądowisko aparatów latających, a także domy prominentów azteckich rozłożone na północnym Stoku Pałaców. Przed samym wieczorem już w pełnym gronie zaczęliśmy rozważać wszelkie warianty naszych poczynań.

— Czy ojciec Gomez pozostawił jakieś wskazówki, jak mamy działać po dotarciu do Tajemnego Miasta? — zwróciłem się do doktora, asystującego przy ostatnich chwilach Pedra. Ambroise de Lys rozłożył bezradnie ręce.

— Nie. I nie wiem dlaczego. Chyba nie zdążył.

— A może po prostu nie widział już niczego więcej w swoich wizjach — podsunął Froissart.

— A nie uważacie mości panowie, że znajdując ten pamiętnik, zrealizowaliśmy większość naszych założeń — odezwał się Anzelmo. — Wiemy już, kim są wrogowie, co zamierzają, jaką mocą dysponują. Ewentualne wdzieranie się do ich miasta, dodam, iż wielce ryzykowne, o wiele nam tej wiedzy nie poszerzy. Jeśli zaś teraz przepadniemy tam ze szczętem, to i dotychczasowe osiągnięcia pójdą na marne.

— Uważam, że nasze zadanie uchronienia cywilizacji wymaga uczynienia więcej prócz zebrania informacji — zgromił go Pavone.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał Froissart.

— Myślę o małej dywersji — odparł. — Aby choć trochę wyrównać szansę, trzeba poważnie zaszkodzić draniom! Uprowadzić ich wodza, zniszczyć centralny komputer, jeśli mają takowy. A jak się uda, porwać któryś z ich latających krążków i zwiać nim do domu.

— Czyste szaleństwo! — jęknął Anzelmo. W duchu przyznawałem mu rację, ale jako dowódca nie mogłem pokazać tego po sobie.

— Jak jednak mielibyśmy tam się dostać? — Foucheron przeszedł do konkretów, lekceważąc jęki mego *consigliore*.

— Z pewnością przygotowani są na wizytę niezapowiedzianych gości.

— Alvaro zostawił doskonały plan. Wejdziemy korytem podziemnej rzeki. — Lino nie miał cienia wątpliwości.

— Ależ to byłoby samobójstwo! — mój tłusty uczeń złapał się za głowę.

— Skoro jednemu samotnemu Alvarowi udało się wydostać tą drogą z miasta — nieoczekiwanie wsparł Lina de Lys — to i naszej grupie, wyposażonej w liny i parę wodoszczelnych latarek, powinno udać się tam wejść.

— Ja nie dam rady — wyznał mój były sługa z niebywałą otwartością. — Nie potrafię dobrze pływać i w dodatku cierpię na klaustrofobię. Zawadzałbym wam jedynie w wyprawie, zaś pozostawiony tutaj, mógłbym popilnować koni i chronić tyły.

— Tedy ostaniesz — powiedziałem spokojnie. — Skryty wśród tych skał będziesz czekał na nasz powrót, a jeśli nie uda się nam wrócić w ciągu tygodnia, spróbujesz dotrzeć do ludzkich sadyb wraz z diariuszem Hiszpana i moimi zapiskami. Znając twój spryt, tuszę, iż potrafisz przedostać się do Europy i zdać panu Richelieu lub, jeśli nie zastaniesz już go między żywymi, panu Mazzariniemu sprawozdanie z tego, cośmy się wywiedzieli.

— Mam zostać całkiem sam na tym pustkowiu? — zaniepokoił się mój *consigliore*.

— Uważam, że wraz z nim winna zostać panna Catoni — powiedział kapitan Gaspar Froissart. — Mniemam, iż trudy, które nas czekają, przekraczają wielokroć siły nawet tak dzielnej kobiety.

Myślałem, że zgłoszona propozycja spotka się z żarliwym protestem Laury, lecz ku memu zdumieniu dziewczyna skłoniła głowę.

— Będę czekać — powiedziała z łagodną rezygnacją.

I tak zostało przyjęte. Ustaliliśmy, że Anzelmo wraz z Laurą mają czekać na nas dziesięć dni, a potem uchodzić.

— Tylko nie płacz — powiedziałem do dziewczyny, widząc łzy kręcące się w jej oczach. — Pomyśl sobie, że wszystko to, co dzieje się wokół nas, jest jedynie snem, czasem pięknym, czasem strasznym, ale gdy się zbudzimy, nie będziemy go nawet pamiętać.

Przytuliła się do mnie kurczowo.

— Obiecuj mi, że wrócisz, Alfredo, przysięgnij, że wrócisz, bardzo cię proszę. My... Znaczy ja... Nie wiem, co pocznę bez ciebie.

— Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, by powrócić — powiedziałem zgodnie ze swą najszczerzą wola.

— Wszystko?

— Wszystko.

— W takim razie czy kapitan może teraz spełnić moją prośbę? — Laura podeszła do Froissarta. — Chciałabym, panie, byś udzielił nam ślubu.

— Teraz? — zdumiał się Gaspar. — Kapitan bez statku nie posiada takich uprawnień.

— Nie chcę, byś udzielał nam ślubu jako kapitan, uczyn to jako ksiądz. — To mówiąc, dobyteła z wężelka stułę i modlitewnik Pedra.

— Od trzydziestu lat nie jestem kapłanem — rzekł głucho stary pirat. — Jestem łajdakiem, wielokrotnym mordercą.

— Wszelako nikt cię nie uwolnił od ślubów, Gaspar — nie ustępowała dziewczyna. Większość z członków ekspedycji, która nie wiedziała nic o tajemnicach starego korsarza, przysłuchiwała się tej rozmowie z otwartymi ustami.

— Ja... Ja nie mogę... — Froissart upuścił stułę na ziemię.

W tym momencie ozwał się Heban, który do tej pory rzadko kiedy zabierał publicznie głos:

— Uczyn to, kapitanie, jeśli nie dla nich, to dla tej, której nie znam, ale której imię nieraz wykrzykiwałeś we snach. Dla Agnes.

Cała krew odpłynęła z twarzy Froissarta. Naraz zachwiał się jak zwierz rażon grotem w samo serce, myślałem, że broń porwie i na naszych oczach Murzyna rozpląta. Ale nie. Opadł na kolana, podniósł stułę, ucałował ją i zarzucił na siebie.

— Podejdźcie — rzekł chrapliwie.

Nie pamiętam niczego z ceremonii, tak jakbym był tam, ale zarazem nie był. Czułem się dziwnie. Robiłem to dla Laury, świadom, że z jakiegoś powodu pragnie tego nade wszystko. Nie miałem wielkich złudzeń, co do naszego przyszłego spotkania. Jakimś dodatkowym zmysłem czułem, że zbliża się czas mego wyzwolenia, że nie będę już długo chodził po tym świecie.

Pamiętam przewiązanie rąk, mój sygnet, którym od Anny Austriaczki otrzymał, włożony na palec dziewczyny miast obrączki, słodkie usta Laury. Uściski i poklepywania reszty członków wyprawy, wreszcie słowa Anzelma powtarzającego: „Będę ci jej strzegł, panie, aż do krańca dni moich!”

— Wierzę ci, Anzelmo — powiedziałem ze ściśniętym gardłem. — Opiekuj się nią dobrze, a jeśli powrócę, klnę się na wszystkie świętości, załatwię ci ten tytuł hrabiego.

Potem zbliżył się do nas Pavone.

— Wiem, że nigdy nie miałem szans u ciebie — rzekł do Laury — ale gratuluję ci serdecznie. A przy okazji, podobno masz w Montana Rossa siostrę wielce gładką, obiecuję ci wtedy, że po powrocie do Italii zapoznasz mnie z nią.

— Obiecuję, Lino.

Nie było czasu na dłuższe pożegnania. Dano mi pół godziny na ostatnie pieszczoty, po czym wyruszający rozdzielili się z pozostającymi.

— Trzymajcie się — powiedział Froissart do Anzelma i Laury. — Ojciec Gomez powtarzał, że wygramy, twierdził nawet, że niektórzy z nas ostaną przy życiu. Dałby Bóg, żeby te słowa dotyczyły was.

Ja chyba nic już więcej nie rzekłem, jakiś kurcz za gardło mnie ucapił, tak że nie mogłem mówić, a nawet spokojnie oddychać długo po rozstaniu i potem, gdy zginęły mi z oczu sylwetki mej żony i mego sługi oraz widoczne jeszcze przez jakiś czas na tle rozgwieżdżonego nieba dwie połączone skały o kształcie grzybów.

Idący przodem wraz z Miguelem Pavone włożył okulary noktowizyjne. Będąc tak blisko tajemnego miasta, obawialiśmy się zasadzek, czujek, wart.

Nie natrafiliśmy jednak na nic podobnego. Najwyraźniej Aztecy tak byli przekonani o własnej mocy i bezpieczeństwie, iż zaniedbali wszelkich środków ostrożności od tej strony. Wiedzieli o podziemnej rzece, jednak chyba nie dopuszczali myśli, że ktoś mógłby wykorzystać ją jako szlak komunikacyjny. Najwidoczniej uznali, że Alvaro padł ofiarą krokodyli. Nadto uwierzyli chyba, że *fra* Jacopo był ostatnim usiłującym dotrzeć do tajemnic Ciboli.

Noc zapadła pełna, gdyśmy dotarli do strumienia i opuścili się na dno kanionu. Wskutek suszy rzeka zrobiła się płytka, posuwaliśmy się tedy wpół brodząc, wpół stąpając po kamieniach, w ciszy głębokiej, którą wypełniał jedynie szmer toczącej się wody. Staraliśmy się nic nie mówić, a jeśli już, to szeptem. Licho wie, czy ktoś nie sprawował warty w górze na skałach. Woda była lodowato zimna, aż grabiwały nam stopy i z wielkim trudem powstrzymywaliśmy szczęknięcie zębów.

Koło północy dotarliśmy do wywierzyska. Wąwóz kończył się pod ciemną skałą, skąd wybijał spieniony nurt.

— Pójdę pierwszy — zaproponował półgłosem Pavone, obwiązując się w pasie mocną liną. — Pamiętajcie, dwa krótkie pociągnięcia sznura, może ruszać następny. — To powiedziawszy skoczył do rzeki. Po chwili pęd wody wypluł go z powrotem, krztuszącego się i wyraźnie niezadowolonego. — Ostry nurt — warknął i poprosiwszy o czekana zanurkował ponownie.

Tym razem nie wrócił. Liczyłem w myślach sekundy. Gdzieś po upływie drugiej minuty zacząłem się niepokoić, a po trzeciej szepnąłem, żeby ciągnąć linę.

— Policzymy jeszcze do pięćdziesięciu — zaproponował Gaspar.

Przy słowie: „Trzydzieści” poczułem dwa mocne szarpnięcia.

— Następny!

Poszedł Froissart, potem Heban, później przeciągnięte nasze bagaże, dalej ruszyli w kipiel Foucheron i de Lys ja zamykałem stawkę... Nie taję, czułem się jak Jonas; włączący w paszczę potwora. Lub raczej jak szczur, który na przekór hydraulicznej logice postanowił wejść do od kręconego kranu. Na wstrzymanym oddechu, przesuwając ręce po linie, sunąłem do przodu, szorując karkiem skałę. Czas dłużyl mi się niemiłosiernie. Wreszcie zobaczyłem słabą poświatę latarek. Wynurzyłem głowę.

— W porządku, są wszyscy — usłyszałem głos Foucherona.

W słabym świetle ujrzałem czekan zaklinowany między skałami, naprężoną linę i nasz oddziałek rozlokowany na skalnych półkach przepastnej jaskini.

— Czy mogę ruszać dalej? — zapytał Pavone.

*

Kiedy szukam właściwego porównania dla naszej mitręgi, najtrafniejszą metaforą zdaje mi się losoś wytrwale dążący ku źródłom. Katarakty, tunele, syfony podwodne nade wszystko prąd bystry — tworzyły razem zespół utrudnień mogący zniechęcić najwytrwalszego nawet speleologa. Do nielicznych elementów sprzyjających podziemnej wędrówce należał dostatek świeżego powietrza. Najwyraźniej jaskinia posiadała dość szczelin i kominów umożliwiających wentylację. Dawała też swoiste poczucie bezpieczeństwa, tylko wariat zagłębiłby się w podziemne tunele kipiące wodą, by czyhać tu na niezapowiedzianych gości. Nie musieliśmy się też kryć przy rozniecaniu naszej spirytusowej kuchenki.

Narzuciliśmy sobie ostry reżim — trzy godziny posuwania się naprzód, potem godzina wypoczynku, najchętniej snu. Ten mimo zmęczenia nie zawsze nadchodził.

Wtedy rozmawialiśmy. W ciemności, oszczędzając baterie. Podczas jednego z postojów Gaspar zdradził mi, iż ojciec Gomez dzielił się z nami jedynie niektórymi wizjami przyszłości. Atak na Paryż, inwazja pod Lizboną stanowiły jedynie wstępny etap rekonkwisty. Co miało być dalej? Froissart dzięki doskonalej pamięci odtwarzał relację tak plastycznie, że cierpła mi skóra.

Wiele widziałem obrazów piekła, przez różnych mistrzów przedstawianego, wszelako *inferno*, które wieszczył *padre*, musiało przerazić nawet człowieka uodpornionego przez dwudziestowieczne eksperymenty na wszelkie bestialstwo i podłość.

Nie atak na bezbronne miasta, nie szlachtowanie rycerstwa usiłującego z kusz i muszkietów prażyć do najeźdźców władających supertechnologią był w onej opresji najbardziej przerażający. Dławiące przygnębienie i bezradność budził fakt, że po raketowych uderzeniach i desantach indiańskiej piechoty wszędy jak szczury zjawiali się osobnicy chętni do współpracy, gotowi za cenę chwilowego choćby przetrwania służyć nowym panom, denuncjować księży i żołnierzy ocalałych z rozgromu, którzy zapadli w lasy. Kolaboranci bez żadnych skrupułów godzili się dostarczać zarówno dawców serc gorących, jak też kobiet dla zwycięzców. Nadto widział w swych majakach Pedro damy dobrowolnie oddające się najeźdźcom na ruinach Rzymu i Wiednia, kapłanów mordowanych tysiącami przez do niedawna wierny lud oraz dziewice ścigane w leśnych ostępach przez nagonkę niczym łanie. Aztecy musieli znajdować jakąś szczególną radość w tępieniu europejskich przymiotów najbardziej im nienawistnych — wiary i prawa opartego na rzymskim, zaś spośród ludzi — arystokracji, nauczycieli. Tak samo — twierdził Gomez — nieomal fizyczną rozkosz sprawiał im widok Szkotów polujących na Anglików, Rosjan mordujących Polaków, Serbów rezających Turków... Acz kolaborantami gardzili w równym stopniu jak partyzantami. Bywało, nagrodziwszy jakąś grupę przedawczyków, wypuszczali ich na pełne morze dziurawą galerią i patrzyli, jak toną, albo brali szczególnie zasłużonych konfidentów na pokład skrzydlatej delty i następnie strącali pojedynczo z pokładu, śmiejąc się z ich powietrznych fikołków i wrzasków, gdy lecieli na spotkanie Ziemi.

Tymczasem ludzie w swej masie niezdolni byli już do wspólnego działania. Wyglądało na to, iż utracili instynkt samozachowawczy i zbiorową wolę oporu.

Choć wróg zdawał się uderzać chaotycznie i nikt nie mógł być pewny dnia ani godziny, każdy zdrajca ludził się, że służąc pilnie nowym panom, sam uniknie śmierci. Szerzyło się tedy donosicielstwo, wydawał syn ojca, a córka matkę. Aztekowie nie musieli wyściubiać nosa ze swych zakładanych wszędy baz, pozbawieni przywódców i skundleni do imentu Europejczycy robili wszystko za nich. Wśród ludzkich kanałii pojawili się wnet pisarze opiewający gorliwie nowych panów jako ideały męstwa, także filozofowie uzasadniający, iż oto zaczyna się wielka era, z której wykluje się nowy człowiek, *ergo* niszczycielskie naloty i noże z obsydianu były niezbędne, aby zadać cios zmurszałemu chrześcijaństwu — tej religii dla słabeuszy, podczas gdy Pióro Kolibra i Pierzasty Wąż zwiastują epokę prawdziwej mocy. Aztekowie słuchali tych panegiryków, lecz miast okazać zadowolenie, po jakimś czasie nagradzali po swojemu — malarskim chwalcom wydlubywano oczy, muzykom obcinano uszy, śpiewakom języki, a filozofom od razu głowy.

— I on naprawdę to widział? — struchlały pytałem Gaspara.

— Widział i oczu przed koszmarami zmrzyć nie mógł, czując się tak, jakby obcięto mu powieki!

— Tedy nie ma dla nas ratunku!

— Przeciwnie, za każdym razem bowiem, gdy wyrzucał z siebie płataninę tych widzeń, kończył słowami: „Tak może być, ale tak wcale być nie musi!”

Ja snów żadnych nie miałem. Przemoczony i nieustannie zmęczony przysypiałem krótko, nerwowo. Zdawało mi się, że ledwie oczy zmrzył, już szturchnięcie niezmordowanego Froissarta podrywało mnie do dalszego marszu. Gdy odcinek był łatwiejszy, usiłowałem myśleć o czymś przyjemnym. Ale wówczas moje myśli wracały ku Laurze. Chyba kochałem ją, mimo wszystko. Acz nie mogłem pojąć jej zmienności i niekonsekwencji. Szczególnie w ostatnim czasie. Do wczoraj jawiła mi się jako istota niezwykle odważna, zdolna wręcz do brawury. Czemu tym razem się ulękła? Czyżby ojciec Pedro powiedział jej przed śmiercią coś szczególnego?

Czemu jednak nie podzieliła się swą wiedzą ze mną?

Pokonywaliśmy jakąś arcytrudną przewieszkę i Gaspar zauważył, że tłścioch Anzelmo nie miałby szans na przejście tędy.

— Podobnie młoda żona pana Derossiego — dorzucił.

— Laura dałaby radę! — odrzekłem. — Gdyby tylko nie stchórzyła...

W oczach Froissarta pojawił się dziwny błysk.

— Głupcze — syknął. — Czy ty nic nie rozumiesz? To dziewczyna nadzwyczajnej odwagi. Nie mogła jednak ryzykować. Nic ci nie powiedziała?

— A co miała powiedzieć?

— Że od Paryża nosi w łonie dziecko, twoje dziecko, szczęściarzu!

*

Nasza mozolna droga zdawała się trwać w nieskończoność. Aliści to jedynie czas w podziemiach sprawiał wrażenie spowolnionego. Złudzenie to rozpraszały nasze chronometry. Dotarliśmy w końcu do wspomnianego przez Alvara kanału ściekowego i minąwszy go, stanęliśmy na dłuższy wypoczynek. Zrobiło się osobliwie ciepło, zapewne za sprawą gorących źródeł, o których wspominał Alvaro. Wnet Miguel, który wspólnie z Hebanem posuwał się w awangardzie, zameldował, że jesteśmy już blisko jaskiń, w których miejscowe

aligatory przechowują swe ofiary. Poczuli bowiem i rozpoznali charakterystyczny fetor rozkładu. Niebawem dotarł on i do naszych nozdrzy.

Odbyliśmy krótką naradę. Zgodzono się ze mną, iż powinniśmy wejść do miasta w drugiej połowie nocy, kiedy czujność straży jest najslabsza, a wedle zapisków Alvara objedzone cocodryle oddają się trawieniu i ani im w głowie dalsze polowanie.

Jeszcze raz pochylił się nad planem miasta, potem rozdzieliłem sprzęt i ładunki wybuchowe. Przyjęta koncepcja zakładała, iż po przybyciu na miejsce będziemy działać w dwóch grupach — Froissart, Lino i Heban mieli udać się w pobliże lądowiska aparatów latających, zadaniem doktora de Lysa, Foucheron a moim było spenetrowanie Świątej Piramidy. Arawak Miguel, jako jedyny zdolny uchodzić za tubylca, przebrany w kostium zdjęty z martwego pilota (przechowywaliśmy srebrzysty kombinezon troskliwie na podobną okazję w trakcie całej wędrówki), miał pełnić funkcję łącznika.

Wedle chronometru minęła trzecia czasu miejscowego.

— Ruszajmy, przyjaciele, w imię Boże — rzekłem. — Pobłogosław nas, mości Froissart.

Stary pirat wzruszył ramionami, ale nie odmówił.

Moja grupka wyruszyła jako pierwsza. Foucheron w okularach noktowizyjnych wypatrywał aligatorów, my postępowaliśmy za nim, trzymając broń w pogotowiu. Smród spotężniał do nieprawdopodobnych rozmiarów. Naraz podłużny kamień, na który stąpnąłem, sądząc, iż jest stabilny, usunął mi się spod nóg i smygnął w głębinę. Zachłysnąłem się paskudną cieczą. Wypluwając, ujrzałem w świetle latarki kilkoro połykujących ślepi.

— Chwyć się mej ręki! — zawołał Foucheron.

Nim to zdążyłem zrobić, uczułem, jak za nogę chwytają mnie potężne zębiska i pociągają w głąb. Otoczył mnie mroczny żywioł. Ciągniony w dół, daremnie usiłowałem bić wodę rękami. Naraz błysnęło koło mnie coś srebrzystego. Dopiero w chwilę potem zdałem sobie sprawę, że ktoś skoczył mi na ratunek. Miguel?

Indianin dał głębokiego nura i podpłynął do ludojada od spodu. Na szczęście napastnik nie należał do gatunku krokodyli opancerzonych rogowymi płytkami od strony brzusznej. Ostry nóż Arawaka rozciął miękkie podbrzusze potwora. Ucisk szczęk osłabł. Wyszwoodziłem nogę. Przyjaciele wyciągnęli mnie na skalną półkę. Przez chwilę wydawało mi się, że wyrzgam wszystkie wnętrzności. Tymczasem de Lys wydobył nasz jedyny paralizator i wygarnął do paru najbliższych ślepi. Zagasty. Inne też skryły się pod wodą.

Nie wiem, czy aligatory zniechęciły się, czy też uznały nas za zdobycz nie wartą ryzyka, w każdym razie poniechały dalszych ataków.

Jeden za drugim przepłynęliśmy ostatni syfon.

Ostrożnie wysunąłem głowę. Rzeźbiony w apokaliptyczne maskary gzyms ponad sadzawką rzucał głęboki cień. Tym gęstszy, że kontrastował z blaskiem padającym z góry. Nie dostarczał go wcale pocziwy siedemnastowieczny księżyc wiszący ponad krawędzią krateru, światło jego zdawało się ogniem kaganka w zestawieniu z gorejącym wierzchołkiem piramidy. Znicze wokół stołu ofiarnego gorzały niczym neony, poniżej dyskretniejszym fluorescencyjnym światłem migotały schody i kontury budowli. W połowie wysokości świątyni z każdego jej rogu wyrastała monumentalna figura jednego z czterech bogów-żywiółów, zda się ze światła utkana. Resztę miasta spowijał cień i sen.

Dalibóg, jeśli śniłem, był to najrealniejszy z możliwych snów. Nieprawdopodobny jak wszystko, co przydarzało się mi w ostatnim czasie. Któż przypuszczał poza ojcem Pedrem, że to może się udać! Znaleźliśmy się u celu. W środku Czarodziejkiej Góry w tajemnym mieście Cibola.

16. SIEDMIU PRZECIWKO CIBOLI

Dosyć dawno temu, kiedy byłem dużo młodszy, zauważyłem istotną cechę różniącą mnie od reszty mych rówieśników — był nią chroniczny wstręt do brawury. Nawet w wieku, w którym nastolatkom strzelają do głowy najgłupsze pomysły, ja należałem do realistów. Jeśli w szkole czy na ulicy kroiła się nieuchronna bójka, wołałem napuścić na siebie silniejszych kolegów, sam w niej nie uczestnicząc. Rozsądniejszym sposobem zdawało mi się wykorzystywanie siły mej inteligencji niż narażanie zdrowia na szwank.

Pamiętam, jak szkolnemu osiłkowi Ernesto, o grubej szyi bawołu i pięściach wielkości bochnów wiejskiego chleba, cynicznie wmówiłem, że jest mym kuzynem i dzięki temu po kądzieli pochodzi od samego Juliusza Cezara, do którego jest wedle mnie uderzająco podobny. Zyskałem w ten sposób ochroniarza jakich mało. Odtąd w każdej kłopotliwej sytuacji wystarczyło zakrzyknąć: „Kuzynie!” i schować się za plecy Ernesta, aby większość spraw uległa samoczynnemu rozwiązaniu.

Mało to szlachetne. *Scusi*. Ale jakże skuteczne!

Nie lubiłem frajerów. Nie rozumiałem bohaterów *risorgimento*, herosów obu wojen światowych, ludzi oddających życie dla innych.

Co więc robiłem wśród tej grupki ewidentnych szaleńców, gotowych umrzeć za Europę brudną, skłóconą, nurzającą się we krwi, kontynent pełen płonących stosów, zaludniany przez tłumy wielkich i małych łotrzyków? Argument, że był to równocześnie kontynent Corneilla i Racine’a, początkującego Moliera, Pascala i Kartezjusza — pięknie wygląda jedynie na kartach podręcznika. Gorzej, gdy przychodzi nadstawiać zań własną głowę.

Mówiąc otwarcie, nie za bardzo lubię ludzi jako gatunek, powiem więcej, wyjąwszy paru osobników, których szczerze podziwiam, i nieliczne jednostki, które kocham, reszta zawsze obchodziła mnie mniej niż los pingwinów z wysp Galapagos, zagrożonych prądem el Ninio, czy bliskich wymarcia wołów pizmowych na Grenlandii. Znam za dobrze większość motywów, jakimi ludzie kierują się w swych powszednich działaniach. Są zazwyczaj nędzne, prymitywne i płaskie jak talerz, z którego nie może pożywić się bocian. Mierzi mnie wieczne memłanie obiegowych poglądów, nurzanie się w truizmach i cała ta przyziemność większości przedstawicieli *homo sapiens*, którzy miast w świątyniach sztuki i wiary, spędzają wolne chwile w supermarketach i przed telewizorami. Jeszcze w mniejszym stopniu mogłem identyfikować się z obywatelami baroku. Czemu więc uwziąłem się umierać za ich sprawę?

Owszem, neo–Aztecy wkurzali mnie jak mało kto i z ogromną ochotą odpłaciłbym im za ich dotychczasowe zbrodnie, ale najchętniej uczyniłbym to z jakiegoś ciepłego i bezpiecznego bunkra dowodzenia.

Najłatwiej byłoby się wycofać — ale czy mogłem to uczynić? Nie kontrolowałem przecież wydarzeń. W dodatku ich splot uczynił mnie przywódcą wyprawy. Cóż więc mogłem począć? Zrejtrować jak Anzelmo? Stracić twarz, w dodatku bez grama pewności, że ocalę głowę?

Zazdrościłem prostych motywacji moim współtowarzyszom — życie Froissarta było jednym wielkim wyzwaniem i poszukiwaniem śmierci, Hebanem kierowała ślepa lojalność, podobnie chyba było z Miguelem, Foucheronowi wystarczał rozkaz (kapitan muszkietarów nie należał do osób konstruujących swe życie wokół wnikliwych autowiwisekcji), głównym demiurgiem de Lysa była ciekawość. A Pavone?

Znałem go najdłużej ze wszystkich, jednak wciąż pozostawał dla mnie zagadką. Może po prostu był bardziej od innych człowiekiem przetrąconym.

On zaś sam utrzymywał, że kocha przygodę, że po raz pierwszy żyje na pełny gwizdek i na własny rachunek.

— Czego się mam bać, Aldo — powtarzał. — Obaj niczym ludziki w grze komputerowej dostaliśmy drugie życie, zatem czego się tu obawiać?

*

Ponad sadzawkami i siecią kanałów, w które zmieniło się dawne jezioro wokół świątyni, unosiły się mgły. Miasto o tej porze wydawało się bezludne i przypominało filmową dekorację przed rozpoczęciem zdjęć na planie. Złudzenie jednak nie było pełne; dzięki wyjątkowej akustyczności kotliny nawet odległe skomlenie psa czy stuk kroków patrolu przechodzącego koło północnej bramy musiały być słyszalne w każdym punkcie krateru.

Pięć minut po naszym wynurzeniu, przy akompaniamencie cichych plusków dołączyła do nas grupa Froissarta. Gestem wskazałem Gasparowi kierunek marszu. Po ominięciu świątyni miał udać się kanałem odwadniającym (Alvaro wyrysował go na swym planie) w rejon łądowiska. Ustaliliśmy, że w wypadku wyspy obie grupy, unikając za wszelką cenę strat, winny dążyć na powrót do jaskiń podziemnej rzeki. Gdyby zaś nasz całodzienny rekonesans udało się zachować w tajemnicy przed tubylcami, mieliśmy po zmierzchu spotkać się w tym samym miejscu. I wówczas wspólnie postanowić, co czynić dalej.

— A jeśli sytuacja zmusi was do walki — pytał szeptem Froissart — a nam uda się opanować jedną z latających łodzi, co wówczas?

— Uchodźcie z Ciboli bez oglądania się na nas. Damy sobie radę.

— Wykluczone, byśmy was zostawili — upierał się Lino. — Z tego, co wiem, nie mają broni przeciwlotniczej. Jeśli zdołamy przejąć jakąś maszynę, to po pierwsze zniszczymy lądowisko wraz z innymi latającymi obiektami, a potem przylecimy po was. Okrążymy parę razy świątynię i jak tylko wyjdziecie na taras, zabierzemy was, a potem postaramy się urządzić im tutaj Sodomę z Gomorą.

— Nawet jeśli nas nie zabierzecie, a dacie radę zbombardować wnętrze krateru, nie wahajcie się ani przez chwilę — powiedziałem.

Ostatnie uściski rąk i naprzód marsz. Siedmiu przeciw Ciboli.

*

Z powodu niskiego stanu wód taflę sadzawki dzieliło od krawędzi trotuaru dobrych sześć łokci. Ustawivszy się w akrobatyczną piramidę, pomogliśmy Miguelowi wydostać się na zewnątrz, a ten wyciągnął po kolei na górę de Lysa, mnie, a na końcu Foucheron.

Dzięki Bogu blask iluminacji nie sięgał podstawy piramidy. Wysadzaną ostrokrzewami promenadę również ogarniała strefa przyjaznego półmroku. Dotknąłem dłońmi muru pochodzącego jeszcze z czasów przedazteckich. Przypominał wulkaniczne szkło, ale na próżno byłoby domyślać się jego chemicznego składu bez dokładniejszych analiz.

Licząc krokami dystans od narożnika, usiłowałem zlokalizować tajne wejście, o którym wspominał Alvaro. Jedenaście, dwanaście, trzynaście...

Naraz usłyszałem kroki i głosy. Zamarliśmy, przypadając do ściany tworzącej w tym miejscu płytką niszę. Foucheron dobył noża. Zza zakrętu wyłonił się tubylec. Odziany był w skórzane *mextle*, rodzaj spodenek z charakterystycznym fartuszkim z przodu. Należał chyba do sprzątaczy, włókł bowiem za sobą miotłę, ale jego stan wskazywał na silne nadużycie peyotlu czy innej pochodnej meskaliny. Nie zauważył nas, tylko potykając się, poszedł dalej. Foucheron miał ochotę skoczyć za nim, by niezwłocznie przenieść go do Krainy Wiecznego Ćpania, ale powstrzymałem go. Hałas mógłby zaniepokoić strażników.

Tymczasem rozległo się ciche syknięcie. Ambroise natrafił w murze na płytę przypominającą drzwiczki. Gdzie jednak kryła się dziurka, w którą należało włożyć klucz?

Ona srebrzystą płytkę? Bezradnie badaliśmy ścianę opuszkami palców. Robiło się coraz widniej i lada chwila nasze postacie mogły stać się widoczne na tle piramidy.

Tknięty nagłym przecuciem wyjąłem klucz, skierowałem go ku ścianie i natychmiast pojawiła się pozioma, dotąd niewidoczna kreska wypełniona seledynową poświatą, sącząca się z wnętrza. Włożyłem płytkę w to miejsce, wręcz dopraszające się kontaktu. Pasował! Rozległ się cichy zgrzyt, który w panującej ciszy zdał się nam nieomal wystrzałem artyleryjskim, atoli nie zwabił nikogo. Drzwiczki otworzyły się, cała nasza czwórka wślizgnęła się do wnętrza. Właz automatycznie zamknął się za nami.

Sezam w środku zaszokował swą prostotą i brudem. Znajdowaliśmy się w tunelu o ścianach ongiś zapewne jasnych i gładkich, obecnie upstrzonych napisami stanowiącymi najwyraźniej miejscowy odpowiednik dwudziestowiecznych *graffiti*. Na dodatek cuchnęło wszędzie jak ze starego wychodka. Czyżby awaryjne wyjście z przybytku bogów służyło tubylcom za toaletę? Starając się omijać ekskrementy, wśród których pomykały wielkie szczury, doszliśmy do zakrętu chodnika. Tam zdrętwiałem. Wycelowany wprost w nas czerniał obiektyw kamery, którego przeznaczeniem musiało być rejestrowanie nieproszonych gości. Strach jednak ustąpił, gdym ujrzał, że aparatura jest zakurzona, okular rozbity, a kable poprzegryzane, zapewne przez zgłodniałe szczury.

Pięć kroków dalej dostrzegłem szyb windy. Czy raczej to, co z niej pozostało. Dźwig odjechał w niebyt już dawno temu, w środku zaś widać było grube szalowe liny, na których musiano transportować paczki w zdecydowanie mniej komfortowych warunkach niż za czasów Canikulan. Poza tym wstawiono tam dość prymitywne drabiny, służące aktualnym właścicielom świątyni do przemieszczania się z poziomu na poziom. Kiedyś zapewne całą przestrzeń oświetlały kwadratowe płytki, teraz jednak paliła się co pięćdziesiąta.

Właściwie nie powinienem był się dziwić. W zapiskach Alvara de Monterey'a znalazła się wszak doskonała analiza dekadencji Azteków.

Przed podbojem, jeśli idzie o kulturę, sztukę i poziom życia, Mexicas nie ustępowali Hiszpanom. Pod wieloma względami nawet ich przewyższali. W całym imperium znakomicie funkcjonowały szkoły różnych stopni i stadiony do gry w piłkę, a w Tenochtitlanie znajdował się nawet fascynujący ogród botaniczny i zoologiczny. Także życie społeczne regulowały kodeksy, zwyczajowe prawo rodów oraz statuty cechowe rzemieślników i kupców.

Uciekinierzy do Ciboli nie byli, jak widać, w stanie kontynuować osiągnięć swej cywilizacji w całym jej bogactwie — nieliczni członkowie kasty *pipiltin* i uczonych (*tlamantinimów*) nie mieli szans utrzymania dotychczasowego poziomu życia pośród garści przypadkowych wojowników ani też szybkiego wykształcenia okolicznych tubylców, którzy

do nich dołączyli. Aztecy w pierwszej kolejności musieli walczyć o przetrwanie w niekorzystnych warunkach geograficznych, później cały wysiłek poświęcili wydzieraniu tajemnic ukrytych przez przedwiecznych „bogów”. Alvaro podkreślał parokrotnie, iż wąska elita, dysponująca cudami techniki, nie miała czasu na rozwój kultury i sztuki. Pospieszna i z konieczności skrótowa edukacja miała służyć nowym sposobom walki i poszerzaniu wiedzy praktycznej. Zresztą najlepiej wyedukowani członkowie elity prawie w ogóle nie opuszczali podziemi świątyni. Nie mieszała się z pospółstwem. Na piękno, kulturę i elegancję miał przyjść czas po opanowaniu całego świata.

Kondygnację, na którą zeszliliśmy, kierując się wskazówkami zawartymi na wykreślonym przez Alvara planie, zajmowały warsztaty. Nie kończące się pomieszczenia, których przeznaczenia mogliśmy się jedynie domyślać. Większość zakurzonych i zdewastowanych machin zdawała się nie funkcjonować od dawna. Kiedy natrafiliśmy na przedziałnię owego srebrzystego, niezwykle wytrzymałego barchanu ze sztucznych włókien, w oczy rzuciło się nam, iż użytkowana jest tylko częściowo, a zamiast nieczynnej linii automatycznej w niektórych pomieszczeniach rozstawiono bardziej tradycyjne maszyny włókiennicze.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że po zagładzie robotów i wielkich trudnościach z właściwym posługiwaniem się cibolańskimi odpowiednikami komputerów, perfekcyjna technika przybyszy z Syriusza musiała ustąpić partackiej improwizacji.

— Cóż pan myśli o tym, mistrzu? — pytał de Lys. — Aż żalność bierze na widok tej dewastacji.

— Odnoszę wrażenie, że uzyskane psim swędem cuda techniki kompletnie ich przerosły. Od momentu, kiedy zniszczyli myślące automaty, skazali się na samych sobie. A są zbyt mało liczni, za słabo wykształceni, zbyt biedni...

— Pstt! — Miguel wykonał gwałtowny krok do tyłu i przytknął palec do ust. Umilkłem; miałem pełne zaufanie do Indianina, który widział zawsze dalej i słyszał lepiej niż my. Przycupnęliśmy za machinami. Wkrótce dobiegły nas prędkie kroki, szepty jakieś ciche. Po czym przez halę przebiegło dwóch biednie odzianych mężczyzn z workami na plecach. Nie rozglądając się, szybko zniknęli w jednym z bocznych korytarzy.

— Któż to mógł być? — zastanawiał się Foucheron.

— Podejrzewam, że złodzieje — odparłem. — Dookoła poniewiera się całe mnóstwo cennych surowców wtórnych, a zwykli mieszkańcy Ciboli do krezusów nie należą.

Po kolejnych dziesięciu minutach doszliśmy do bardziej zadbanej części obiektu. Na ścianach pojawiły się reliefy godne najlepszych kadrów z *Parku Jurajskiego*, na kolejny poziom wiodły całkiem schludne schody przegrodzone w połowie kratą. W szparze czytelnika

gorzało purpurowe światło. Wsunąłem klucz. Krata nie uchyliła się, całe oświetlenie zapłonęło za to żywiej i przenikliwym tremolem zawyła syrena alarmowa. Rzuciliśmy się na powrót ku magazynom. Miałem nadzieję, że zostaniemy wzięci za zwykłych złodziei.

— Stać — zabrzmiało w języku *nahuatl* i drogę zagroził nam rosły Aztek unoszący znany nam już paralizator.

Strzeliłem z biodra, a strażnik zwałił się jak podcięty dąb. Innego, który wypadł z korytarza, Foucheron pchnął sztyletem. Pobiegliśmy co sił z powrotem. Potem drabinami w górę. Jednak harmider powyżej nas i pod nami wskazywał, że zostaliśmy wzięci w dwa ognie. Jeśli nie strzelano do nas dotąd, to chyba tylko dlatego, iżby nie razić się nawzajem. Odbezpieczyłem jeden z granatów produkcji Mardinu i cisnąłem w sztolnię. Z dołu dobiegł mnie odgłos detonacji i wrzawa umilkła. Widząc otwierającą się gardziel pustego korytarza, nie wahaliśmy się i skoczyliśmy w nią, ścigani świstem grotów.

Obfitość szczurów i ludzkich fekalii świadczyła, że jesteśmy na dobrej drodze do wyjścia. Wrychle zamajaczyła płyta zewnętrzna i na wysokości mych oczu pojawiła się szpara czytelnika. Dobyłem klucza, wcisnąłem go w otwór.

Nic!

Obróciłem otwieracz do góry nogami i ponowiłem próbę. Niestety płyta nie ustąpiła. Albo pomyliliśmy korytarz, albo podczas nieudanej próby klucz Alvara uległ jakiejś neutralizacji.

— Panowie, nie dajmy się wziąć żywcem! — zawołał Foucheron.

— Zatrzymaj ich choć przez minutę, André — zakrzyknął de Lys. Nie tracąc głowy, klęknął koło drzwi i zaczął instalować pod nimi przyniesione ładunki. Czy eksplozja utoruje nam drogę na zewnątrz? Czy wystarczy materiału wybuchowego? Rozejrzałem się za Miguelem. Większość ładunków miał w swym bagażu Arawak. Indianin jednak zniknął.

Napastnicy nadchodzili ze wszystkich stron. Skradali się jak koty. Ale nie mogli ukryć swojej obecności. Świadomi naszego uzbrojenia nie chcieli ryzykować walki wręcz. Woleli wykorzystać przewagę techniczną. Naraz z grzechotem upadły koło nas pojemniki z gazem. Nim ktokolwiek zdołał sięgnąć po prowizoryczne maski, nieprzytomni opadliśmy na kamienne dno tunelu.

*

Budziłem się wolno niczym niedźwiedź z zimowego snu. Miałem wrażenie, że wypływam z niezwykle głębokiej topieli. Czy mogła być to studnia czasu? W oczy uderzyło mnie

jaskrawe światło. Nareszcie! Jestem w klinice w Rosettinie. Wyszedłem ze stanu tej przeklętej nirwany, zaraz uściskam Monikę, a doktor Mason powie, że operacja zakończyła się pomyślnie.

— Witaj — usłyszałem krótkie powitanie po hiszpańsku. — Długo spałeś.

Uchyliłem powieki. Mówiącym nie był niestety żaden kastylijski doktor anestezjolog na stażu w Rosettinie, a gruba *ayata*, tkanina z sizalowego włókna, na której leżałem, nie przypominała higienicznego prześcieradła w najdroższej z włoskich klinik.

— Itzacoyotl — powiedział Indianin w srebrzystej szacie, wskazując na siebie.

— Derossi — odpowiedziałem. W międzyczasie zorientowałem się, iż mam związane ręce i nogi.

— Jesteś naszym więźniem — ciągnął gospodarz głosem melodyjnym, zdradzającym dużą godność i spokój wewnętrzny. — Odpowiadaj na pytania, a unikniesz zbędnych cierpień.

— Pytania? Co chcecie wiedzieć? — rzekłem uprzejmie, gotów przedłużyć rozmowę, byle tylko zyskać na czasie.

— Jak tu dotarłeś, skąd na waszym wyposażeniu wzięły się bronie i instrumenty, których żadną miarą nie mogliście znać?

— Jestem tylko marynarzem... — rzekłem, dziwiąc się własnej hiszpańszczyźnie. W dwudziestym wieku, i owszem, posługiwałem się z biedą językiem Lopego de Vegi, ale bardzo kulawo. — Jestem prostym marynarzem i nie znam się na instrumentach poza muzycznymi.

— Nie masz rąk marynarza — przerwał Aztek najwyraźniej zadowolony, iż przyłapał mnie na kłamstwie. — Sądząc po dłoniach, możesz być mędrce lub księdzem. Dla ciebie lepiej by było, byś nie był księdzem.

— Nie jestem księdzem — próbowałem się uśmiechnąć blado.

— Powiedz zatem, ilu was przybyło do Świętego Miasta.

— Trzech, ze mną trzech...

— Czy aby na pewno dobrze rachujesz, italski geniuszu? — zapytał z naciskiem, a widząc moje zdumienie, dodał: — Myślisz, że przebywając tutaj na odludziu, nie wiemy nic o szerokim świecie, nie mamy szpiegów wśród Hiszpanów, nie czytamy ksiąg? Parę dni po zniszczeniu waszej kwatery w sercu Galii nasz zwiad złapał w pobliżu skażonej strefy żołnierza nazwiskiem Lucon, który, zanim odarto go ze skóry i wyrwano wnętrzności, okazał się wielce gadatliwy. Mówił o was, *maestro*, o waszych eksperymentach i niezwykłych conceptach świadczących, iż posiadacie większą wiedzę niż wszyscy uczeni całego waszego

świata razem wzięci. Powiem szczerze, już wtedy zapragnąłem poznać kogoś równie zmyślnego.

— Dziękuję za komplement.

— Niestety nie wszyscy podzielali moje przekonanie, iż odważycie się tu przybyć. Nadto za każdym razem, gdy dochodziło do starcia z waszą ekspedycją, uważano, że problem został rozwiązany. Wpierw w zatoce, potem na płaskowyżu. Ja jednak czułem, że się spotkamy. Kim jesteś? Jak cię tam nazywają? Il Cane? Jesteś obdarzonym nadzwyczajnymi cechami śmiertelnikiem czy może jednak przybywasz z innego świata?

Domyślając się, jak by zareagował, gdybym wyjawiał mu prawdę, na wszelki wypadek zmilczałem.

— Jeśli będziesz ze mną szczery, Europejczyku, jeśli zechcesz dla nas pracować, uchronię cię przed egzekucją niechybną, zachowasz życie, a nawet będziesz świadkiem naszego ogólnoświatowego tryumfu. Wszelako, jeśli zaprziesz się w odmowie... Cóż, kapłani Huitzilopochtliego mają wielką ochotę dobrać ci się do skóry. A wówczas bardzo prędko twoja krew zrosi kamień ofiarny, a twe serce pójdzie na chwałę Żywego Wcielenia Słońca.

— Pytasz mnie, kim jestem? A ty, kim jesteś, Itzacoyotlu?

— Uczonym i głową klanu Kojota — odrzekł. — Dziesięć lat temu poszedłem na pięć lat między Hiszpany, poznać wasz sposób myślenia, wasze plany i to, czym się kierujecie w swoich uczynkach. Bywałem wtedy w Monterey i Vera Gruz, znam Hawanę oraz Carthagenę.

— Nienawidzisz nas?

— Jaguar nie musi nienawidzić niedźwiedzia. Może go nawet na swój sposób cenić. Wszelako, jeśli znajdą się w jednej klatce, jedno zwierzę musi zagryźć drugie. Ziemia jest taką klatką.

— Widzę, że idee etnocentryzmu są wiecznie żywe. A nie przychodzi ci do głowy, panie, że w tej ziemskiej klatce jest dość miejsca dla wszystkich?

— Nie ja pierwszy zabrałem wam domy, zabiłem krewnych, splugawiłem świątynie.

— Ubolewam nad tym, co się stało za sprawą Corteza, ale czy jedynym rozwiązaniem geopolitycznym ma być odpłacenie pięknym za nadobne?

— Jeśli jest taka wola bogów.

— Wola bogów? Śmierć i zniszczenie?

— Gdyby bogowie chcieli inaczej, nie otwarliby przed nami swych mądrości ze Świętego Miasta — odparł Aztek. — Poza tym poznałem was, Białych: waszą niepohamowaną chciwość, wiarołomność i hipokryzję nie mającą miary. Nie chcę nawet wyobrażać sobie, co uczynilibyście z całą Ziemią, mając takie możliwości, jakie nam dali bogowie, jakich

dokonalibyście spustoszeń w naturze, jakich nieprawości w życiu... Szydziecie z naszej tradycji, wyrzucając, iż poświęcamy krew i serca wrogów naszym bogom, a przecież wasza religia rozpoczęła się od zabicia własnego Boga.

Dalszą rozmowę przerwał harmider głosów, narastający za ścianą. Itzacoyotl urwał w pół słowa i wyszedł z pomieszczenia. Po chwili usłyszałem, jak spiera się gwałtownie z kimś mówiącym podniesionym tonem. Parokrotnie usłyszałem wymienione z szacunkiem imię Petlalcatl, po czym Indianin powrócił do mnie.

— Do czasu, aż przesłucha cię sam Dostojny Arcykapłan, który rychło powróci z łowów, pozostaniesz w tej celi — oznajmił sucho. — Rozważ, co ci rzekłem, i przystań na współpracę. Teraz najlepiej usnij, potem długo możesz nie mieć ku temu sposobności. — Po czym wyszedł, a wraz z nim zniknęło światło. Czyżbym chwilowe odroczenie tortur zawdzięczał sporowi kompetencyjnemu nauki z władzą?

*

W ciągu godziny oddział Froissarta okrążył piramidę i posuwając się kanałem nie szerszym niż wzdęta krowa, ominął łąkę gejzerów, pełną ciepłolubnych gadów, wygrzewających się wśród gorących źródeł. Następnie przemknął pod spichrzami i magazynami oddzielającymi tereny przyświątynne od lądowiska. Nad wybetonowanymi pasami wisiała jeszcze mgła, ale wyściubiwszy głowę z kanału ściekowego, osłoniętego krzewami sasafrasu, Pavone mógł dokonać lustracji całego obiektu. Kilka rozbebeszonych maszyn odholowanych nad sam skraj pola, pod gaj opuncjowy, można było spisać na straty, reszta wyglądała na sprawne — dwa hydroplaty, trzy delty i cztery latające krążki. Nie było tego wiele, jednak więcej po prostu by się nie zmieściło na niewielkim tarasie. Prawdopodobnie jeszcze jakieś maszyny znajdowały się w powietrzu. Nigdzie nie zauważył żadnych hangarów, a jedynie zbiorniki paliwa. Teren był pilnowany przez trzyosobowe patrole, poruszające się na wózkach elektrycznych. Z pobieżnego rekonesansu wynikało też, że główny punkt dowodzenia znajdował się wysoko na skalnej półce, pełniącej równocześnie funkcję wieży kontrolnej. Lino zarejestrował to w pamięci, po czym zsunął się na dół i szybko podzielił się spostrzeżeniami z resztą ekipy.

— Powinniśmy wrócić tu o zmierzchu — powiedział Gaspar. — A właściwie jeszcze lepiej będzie, jeśli zaczekamy tu do wieczora.

— A nie możemy iść dalej? — pytał Lino. — Ściek winien nas doprowadzić aż do samych kwater pilotów, moglibyśmy tam...

— Niestety, pięćdziesiąt stóp stąd kanał przegradza solidna krata — powiedział Heban. — Oglądałem ją, raczej nie da się jej przepiłować.

— Można by ją wysadzić, wykorzystując moment, gdy hałas kołującej maszyny osiągnie maksimum — konsekwentnie proponował Pavone.

Deliberacje przerwał głośny chlupot za ich plecami. Ktoś biegł ściekiem. Zamajaczył srebrzysty kostium... Lino uniósł paralizator.

— Nie strzelaj, panie, to ja — syknął Miguel. — Ledwo was dogoniłem!

Arawak dyszał ciężko, a ton jego głosu wskazywał, że nie przynosi dobrych wieści.

— Co się stało?

— Złapali mistrza il Cane.

— A resztę?

— Też. Użyli gazu usypiającego.

— W takim razie, jak się tobie udało?

— Nim doszło do starcia, oblawszy się krwią poległego Azteka wmieszałem się między strażników. Upojeni sukcesem nie zachowywali zbytnej czujności. Udając ranionego, opuściłem świątynię.

— Złapali ich... Tak. To zmienia sytuację — powiedział po krótkim namyśle Froissart. — Gaz, którym ich ogłuszono, może działać około trzech godzin, potem zechcą ich przesłuchać i prędzej czy później wyciągną wiadomość o nas. Nie mamy co czekać na zmierzch. Trzeba się spieszyć!

— Chcesz ich odbić? — ożywił się Lino. — Czy też zamierzasz kontynuować nasz program?

— Musimy spróbować dokonać jednego i drugiego.

*

Rezygnacja!

To słowo najlepiej odzwierciedlało mój stan.

Nie udało się nam! Ale czy kiedykolwiek mogło się udać? Może gdybym miał ze sobą dwudziestowiecznych komandosów, jakąś „parszywą dwunastkę”, nasze szanse byłyby większe... Nie miałem też złudzeń co do szans drugiej ekipy. Szczytem marzeń było w tej

sytuacji życzenie im pomyślnej ewakuacji. Jeśli idzie o mój los, straciłem wszelkie nadzieje, cholernie bałem się tortur, ale jeszcze bardziej obawiałem się, że nie wytrzymam przesłuchań, że wyduszą ze mnie informacje o grupie Froissarta, o Anzelmie, o Laurze. Itzacoyotl wydawał się przeciwnikiem inteligentnym, nie mogłem jednak spodziewać się po nim litości. Chwilę zastanawiałem się, co zyskałbym, mówiąc prawdę. Nie sądzę, żeby mi uwierzył, każdemu łatwej przyszłoby zaakceptować wersję, iż przeciwnik pochodzi z innej galaktyki lub że posiadał arkana czarnej magii, niż przyjąć do wiadomości, że ich samych nie ma, a właściwie są jedynie cieniami, w których życie tchnęła imaginacja pewnego umierającego faceta.

Kiedyś potrafiłem przesywać problemy. W najtrudniejszych nawet sytuacjach w przerwie konferencji czy nagrania wystarczały mi dwa zsunięte krzesła i jakiś szalik na twarz. Zasypiałem natychmiast i budziłem się we właściwym momencie. Teraz mimo mroku opuściła mnie także ta umiejętność. Nadmiar adrenaliny? Poruszyłem się na moim wyrku. Lubo skrępowany, nie zostałem przywiązany do podłoża. Kolebiąc się na grzbiecie, doturlałem się do ściany. Przytknąłem ucho. Cisza. Ani pisku szczura. Kontrolnie stuknąłem w nią głową raz i dwa... A nuż siedział za nią ktoś z naszych. Oczekiwałem w napięciu. Odpowiedziały mi dwa krótkie stuknięcia. Oczywiście stukać mógł każdy. Jednak przypomniałem sobie szkolenie z alfabetu Morse'a, które Lino zaaplikował całej ekspedycji. Szybko wystukałem sygnał SOS.

Odpowiedź nadeszła bezzwłocznie.

KTO?

ALFREDO

WEIGEL

Kurczę blade — olbrzymi pirat żył!

TWÓJ STAN? — wystukałem kolejne pytanie.

NIEZŁY. KOGO JESZCZE MAJĄ?

FOUCHERONA I DE ŁYSA.

A KAPITAN, HEBAN, LINO?

WOLNI.

*

Przez dobrą godzinę na lądowisku nie widać było większego ruchu, nie odleciała ani nie przyleciała żadna maszyna. Ospała ekipa krzątająca się wokół jednego z latających krążków, stojącego opodal budynków aerportu, zajmowała się jedynie przygotowaniem technicznymi do lotu; dopiero gdy słońce wzniosło się ponad krawędź krateru, pojawiło się dwóch pilotów w srebrzystych kombinezonach i energicznie pomaszerowało w stronę latającego aparatu.

W tym samym momencie pomiędzy opuncji wyszedł na lotnisko stary Indianin w postrzępionym kapeluszu i brudnym poncho i zataczając się, ruszył wolno ku środkowi pasa. Błyskawicznie zwróciła nań uwagę ochrona. Wózek z trzema strażnikami zakręcił w miejscu i pogonił za pijakiem. Ten snadź zorientował się, co się święci, bowiem szybko, chyba nawet jak na upojonego osobnika za szybko, zawrócił i gubiąc kapelusz, skoczył ku najbliższemu krzakom. Pościg za nim zdał się Aztekom z wózka pyszną zabawą, zamiast więc od razu wygarnąć do brudasa, gonili za nim, krzycząc z uciechy. A nawet gdy już zaczęli strzelać, celowali tak, by chybić. Wózek minął parkan z opuncji i zagłębił się w gaju owocowym, gdzie uprawiano jabłkom podobne *zapoty* oraz większe od nich *mameje*, także *avocado i capulines*.

Goniącym sprzykrzył się w końcu pościg po nierównym gruncie, toteż wygarnęli do pijaka z paralizatora. Brak reakcji! Cud?! (Skąd mogli wiedzieć o srebrzystym elektroodpornym kaftanie ukrytym pod brudnym płaszczem Miguela?)

By zamienić broń na miotacze gazu, nie mieli już czasu — ukryci wśród rozłożystych konarów drzew Europejczycy spadli na nich niczym dojrzałe owoce. Froissart zarzucił pętlę na szyję pierwszemu z Azteków, drugiego ogłuszył pałąką Pavone, a trzeciego Heban po prostu zmiażdżył w uścisku. W trzy, może cztery minuty potem wózek wiozący indiańskiego pijaka i jego srebrzystą asystę znów znalazł się na pasie. Trzej Srebrzyści wydawali się bardzo zajęci więźniem, nie zwracali bowiem najmniejszej uwagi na azteckie gdakania dochodzące z radiostacji. Sunęli łukiem, skrajem lądowiska, przybliżając się ku zbiornikom paliw. Mijając je w pędzie, największy ze strażników, o niezwykle ciemnej twarzy jak na Indianina, wyrzucił spory pakunek, który wpadł między rury przepompowni. Ktoś bardzo spostrzegawczy mógłby dostrzec gorejący sznurek wystający z onej przesyłki. Równocześnie wózek zakręcił i przeciąwszy pas, znalazł się przy gotowej do lotu maszynie. Wrzask w odbiorniku stał się ogłuszający. Dwaj piloci będący już w środku latającego spodka wychylili się z kabiny. Równocześnie z niskich, wtopionych w ścianę skalną budynków, mieszczących zapewne garnizon, wysypali się Aztecy w srebrzystych uniformach.

W tym momencie rozległa się pierwsza, jeszcze niewielka detonacja. Jej odgłos zwielokrotniło po chwili echo wewnątrz krateru. Pęknięty rurociąg stanął w ogniu. Pożar

rozprzestrzeniał się błyskawicznie, wypełniając dolinę żółtoczarnym dymem. Zawyły syreny. Na moment nastąpiła konsternacja, tak jakby Aztecy nie wiedzieli, czy skoncentrować się na nieposłusznej załodze wózka, czy zająć gaszeniem. Wahanie przesądziło o śmierci obu pilotów, trafionych z automatycznych króćc produkcji świętej pamięci Idrysa. Chwilę potem dym spowijał większą część płyty lądowiska. Czwórka śmiałków tymczasem wskoczyła do środka talerza.

— Potrafisz tym latać? — spytał Lina Froissart, zakłopotany mnogością urządzeń pokładowych.

— Potrafię prowadzić wszystko, co się rusza, za wyjątkiem osła — zaśmiał się Pavone i począł rozglądać się po pulpicie sterowniczym. Tutaj opis Alvara z Monterey okazał się praktycznie nieprzydatny, Hiszpan odbył zaledwie jeden podniebny lot jako pasażer i wiedział o funkcjonowaniu talerza niewiele więcej niż Lino po parominutowej wizycie w kabinie podczas walki o „Henriette”. Wprawdzie rosettińczykowi udało się zlokalizować system autodestrukcji i rozbić strzałem urządzenie, które brał za moduł łączności pozwalający zniszczyć statek z bazy, ale jak miał poderwać to чудо do lotu? Na intuicję? Dla Europejczyka większość tutejszych ideogramów wyglądała identycznie. Lino nacisnął kilka przycisków i uniósł do pionu jakąś wajchę. Talerz zakręcił się jak bąk. Mężczyźni potracili równowagę. Miguel rozbił sobie nos.

— O, przepraszam, nie o to chodziło! — zawołał kandydat na pilota. — Zapnijcie, z łaski, tę uprząż!

Dymu na lądowisku przybywało, czarnożłote płomienie lizać poczęły ściany zbiornika, z hukiem eksplodowały pobliskie szopy.

— Uciekajmy, zanim zapanuje tu piekło — ponaglał Gaspar.

— Robię, co mogę — mamrotał spocony Lino. — Muszę jednak przeciwżyć parę wariantów. — Tu talerz wykonał kilka skoków jak kura próbująca poderwać się do lotu i naraz zgasły wszystkie silniki. Chwilę toczył się jeszcze siłą rozpędu, staranował ogrodzenie i ugrzązł w kępach opuncji niczym przechylone na jedną stronę sombrero.

Murzyn i Indianin pobledli.

— Co teraz? — zapytał Froissart.

— Skoro nie da rady wystartować, musimy uciekać pieszo, pod osłoną dymu.

Atoli ilość dymu zmalała, z tego, co było widać przez wizjery, ekipy straży podjęły skuteczną walkę z ogniem. Pożar przestał się rozszerzać. Również do spodziewanej detonacji zbiornika nie doszło. Równocześnie kilka bojowych wózków zaczęło zbliżać się do unieruchomionego talerza.

— Otwieraj właz! — zawołał Heban. — Szybciej!

— Nie mogę! Wszystko zablokowane! Skurczygnaty! Jak oni to zrobili na odległość!? — Zdesperowany Pavone niczym małpa w kąpielni szarpał wszystkie dźwignie, walił pięściami w urządzenia i nagle odniosło to skutek: rozległ się zgrzyt, potem narastający łoskot i cały statek wpadł w wibrację. Pasażerowie nadjeżdżających wózków wyskoczyli z nich i padli twarzami na płytę.

— Coś ty zrobił? — wołał Gaspar

— Cholera! Nie wiem!

Huk tymczasem przemienił się w grzmot. Z lewej strony, spod zadartej do góry części ronda zdobycznego pojazdu wystrzeliło w niebo srebrzyste cygaro. Siła odrzutu była tak wielka, że bezwładny talerz jeszcze raz zakręcił się jak uderzony pociskiem garnek. Dobrą chwilę tańczący pojazd szatkował kaktusy i toczył się po skałach. Nieludzko jęczał materiał obudowy i darte poszycie. Rakieta zaś poszybowała w niebo.

Strzeliłem Panu Bogu w okno, pomyślał rosettińczyk, wiodąc wzrokiem za wystrzelonym cygarem.

Pocisk jednak nie sięgnął stratosfery, zaraz ponad kraterem wykonał wdzięczny piruet i zawrócił.

— Walnie w nas? — zapytał dość spokojnie Heban.

— Jeśli ma czujniki termiczne, raczej nie.

W samej rzeczy. Rakieta wybrała źródło ognia. Natychmiast eksplodował zbiornik. Potoki płonącego paliwa zalały płytę lądowiska, ogarnęły budynki gospodarcze. Załogi wózków rzuciły się uciekać przed rzeką płomieni i ratować pozostałe maszyny. Z ogromnym grzmotem eksplodowała jedna z maszyn typu delta.

— Yahooo! — zawołał wniebowzięty Lino. — Zrobiliśmy im niezły bałagan!

Froissart z twarzą przy okienku obserwował pilnie, czy ogień może również ich dosięgnąć. Na razie nic tego nie zapowiadało. Podobnie jak żadna siła nie była w stanie otworzyć, rozchylić lub przeciąć pancerza statku, który uwięził ich niczym koncha bezcenną perłę.

Mimo ogromu zniszczeń Aztecy w pół godziny opanowali pożogę. A potem ze wszystkich stron, osłonięci przezroczystymi kokonami, zbliżać się poczęli do sprawców zamieszania.

— Nic nie mogę zrobić, nic nie mogę zrobić — krzyczał z bezsilną wściekłością Lino.

Froissart zachowywał jak zwykle spokój. Arawak zapadł we właściwą dla siebie katatonię. Natomiast nieskory zwykle do emocji Heban nie wytrzymał i zaczął wygrażać w stronę nadciągającego wroga:

— Chodźcie tu, brudasy! Zobaczcie, jak dobrzy chrześcijanie drogo sprzedają swoją skórę!

17. DOLINA TRWOGI

Gra w stukanego z bosmanem Weiglem nie trwała długo. Zazgrzytał mechanizm w drzwiach, a ja czym prędzej odturlałem się na środek maty. Plafon pojaśniał jednostajną turkusową poświatą. Spodziewałem się wizyty Itzacoyotla, atoli pojawili się jedynie dwaj azteccy strażnicy, prezentujący się odrobinę lepiej od dotychczas przeze mnie spotkanych, bo przynajmniej nie cuchnęli miejscowym samogonem. Zdjąwszy mi więzy z nóg, wyciągnęli mnie z celi i poprowadzili korytarzem, czystszy i dużo lepiej oświetlony od dotąd odwiedzanych. Urządzenia techniczne też funkcjonowały znacznie lepiej, grodzie pomiędzy korytarzami rozsuwały się cicho, może niezupełnie na sam nasz widok, ale raczej na uniesienie przez starszego z cerberów insygnium jego władzy. Najbardziej przypominało ono krzyżówkę berdysza z buławą, zakończoną jaspisowym grzebieniem. Po kilku ostrych zakrętach i ostatniej bramie, przed którą starszy strażnik aż trzykroć znak swój podnosił, otwarła się przed nami komnata owalna, pełna głębokich wnęk, z ustawionym centralnie stołem o kształcie migdału, gładkim i ciemnym jak płyta onyksu. Ściany wnęk pozostawały mroczne, gładkie, przypominające nieco sklepienie w planetarium. Chwilę po naszym wejściu sączące się z niewiadomych źródeł amarantowe, słabe światło zabarwiło całe sklepienie na kolor delikatnego różu, jaki przybiera niebo tuż przed wschodem słońca. Za stołem dostrzegłem dwie nieruchome sylwetki mężczyzn w długich płaszczach. W chwili, gdym znalazł się w połowie drogi do stołu, niczym na scenie operowej otoczył ich krąg świetlny.

Efektami specjalnymi chcą mnie oszołomić, cwaniaczki — przemknęło mi. Strażnicy tymczasem podcięli mi nogi, usiłując, mimo mych oporów, zmusić mnie do padnięcia na twarz przed mężczyzną w płaszczu z kolorowych piór, stojącym obok skromniej odzianego Itzacoyotla. Zresztą rzucał się w oczy nie tylko kontrast strojów obu Azteków. Naukowiec miał okrągłą i w zasadzie dość pocziwą twarz Indianina z prerii. Żółtawa cera i wystające kości policzkowe nakazywały szukać jego przodków wśród Azjatów, przybyłych przed tysiącami przez Cieśninę Beringa, natomiast „pierzasty” wyglądał na przedstawiciela zgoła innej, arystokratycznej kasty, przypominał jakiegoś hollywoodzkiego gwiazdora średniego pokolenia, zaangażowanego do roli SuperWinnetou. Rosła sylwetka, wspaniały profil, włosy czarne jak skrzydło kruka. Zaiste nie miałem wątpliwości, że stoi przede mną sam arcykapłan i wódz Azteków, Petlalcatl, prawnuk Człowieka bez Imienia.

— Wstań, Europejczyku — powiedział przywódca Azteków po hiszpańsku, z silnym akcentem *nahuatl*, gestem odprawiając strażników, którzy pokornie schyleni wycofali się do swoich kawern. — Jak widzisz, znalazłeś się w przedsionku bogów.

— Wygląda mi to raczej na centrum całego waszego miasta, sterownię, z której usunięto instrumenty, Wielki Petlalcatlu — rzekłem z kurtuazją, która w żadnej sytuacji nie powinna zaszkodzić.

Znajomość jego imienia chyba go zaskoczyła, ale nie dał tego poznać po sobie.

— Powiadasz, usunięto instrumenty — powiedział. — Mylisz się, zawsze tu były, patrz tedy! — Podeszedł i oburącz dotknął stołu. Natychmiast ten martwy dotąd blat zapłonął całą tęczą barw i rysunków, zmieniając się w prawdziwą konsolę zarządzającą, jak mniemałem, miastem–państwem: naraz ujawniły się dziesiątki kół, rombów, trójkątów, małych ekranów i ciemnych punktów, mogących służyć za przyciski bliżej nieznanego przeznaczenia.

Arcykapłan poruszył dłonią i natychmiast bladuróżowa czasza ponad nami ściemniała i przekształciła się w ogromną mapę nieba (przypomniały mi się widzenia *padre Gomeza*). Przywódca wykonał palcami ruch wirowy i już cały ten zodiak począł obracać się niczym podczas projekcji w wielkim planetarium. Nie miałem czasu delektować się obrazem. Zwłaszcza że kolejne delikatne dotknięcie stołu kciukiem zmieniło kosmos w panoramiczny obraz kaldery wokół piramidy (zatem nie wszystkie kable zjadły szczury). Tedy ujrzałem całą Cibolę w świetle wstającego dnia — biedną, ale żywotną. Mogłem obserwować ludzi wstających ze snu na tarasach, kobiety piorące w kanałach i gotujące poranną strawę oraz karawany dostawców ściągających od strony przełęczy na plac targowy, dostrzegłem także na polu do gry w świętą piłkę grupkę młodzieży, która z drewnianymi maczugami w dłoniach ćwiczyła musztrę połączoną ze sztuką walki wręcz. Plastikowy obraz sięgał aż po gaje owocowe, rozłożone na wewnętrznych stokach krateru, i nagie turnie. Rozdzielczość i nasycenie obrazu były tak doskonałe, iż nieomal czuło się tchnienie wiatru. Z łatwością rozpoznawałem wśród skał złotawe żyły siarki, zielonkawe pasemka miedzi i rozbłyśki krystalicznego kwarcu.

Oczywiście niedawnego posiadacza sieci eksperymentalnych sal projekcyjnych w całej Europie (cineramicznych, holograficznych itp.) nie zadziwił specjalnie ów cud techniki, a co najwyżej zaskoczyła jego obecność i doskonale funkcjonowanie w podziemiach prehistorycznej piramidy. Zresztą Petlalcatlu nie zostawił mi wiele czasu na podziwianie pejzażu.

— Dostojny Itzacoyotl powiedział mi, że nie pochodzisz z tego świata — rzekł. — Twoje czyny świadczą za tą tezę. A jaka jest prawda?

Byłem przygotowany na owo pytanie.

— Dostojny Itzacoyotl się nie myli — odpowiedziałem spokojnie. — Nie jestem z tego świata.

Nie pokazali po sobie poruszenia, jednak arcykapłanowi błysnęły oczy.

— Przybyłeś z gwiazd?

— Nie, z przyszłości.

Znów popatrzyli na siebie, po czym Itzacoyotl rzekł karcąco:

— Kłamiesz! Nawet bogowie nie mają swobodnej władzy nad czasem. Przecie jeśli wiedziałbyś, co się ma zdarzyć jutro, mógłbyś to zmienić, a gdybyś to zmienił, przyszłość byłaby inna niż faktycznie była.

— Mogę nie znać wszystkich szczegółów dotyczących jutra. Znam historię w zarysie, jednak w wystarczającym stopniu, by wiedzieć, iż nasze spotkanie winno zapoczątkować zmianę dziejów świata. Zresztą, o wielmożni, skąd przekonanie, że nawet znając przyszłość, mógłbym ją zmienić? Powiedzmy, że wiedziałbym na przykład, iż skręcając w prawo wpadnę w przepaść. Chcąc uniknąć przeznaczenia, mógłbym tedy skrócić w lewo, wszelako skąd pewność, że podążając w tym kierunku, również nie skończę w przepaści. W konsekwencji skutek byłby ten sam, choć dojście do niego nieco inne.

Nie wyglądali na przekonanych, ale chyba nie odrzucali mojej wersji. Toteż gorączkowo szukałem jakiegoś argumentu na poparcie mych tez. Znalazłem jeden.

— Czasem też mam wątpliwości co do prawdziwości tej hipotezy. Wiem na przykład z podręczników szkolnych, że jednym z tych, którzy w chwili naszego porozumienia podpiszą się wraz ze mną, winien być człowiek, o którym wiem, iż nie żyje, zginął bowiem w starciu naszych sił nad Zatoką Meksykańską.

— Jaki to człowiek?

— Bosman z okrętu „Henrietta”, Horst Weigel, potężny rudy mężczyzna o uciętym języku.

— On przecież żyje! — wyrwało się z ust „pierzastego”, nim gwałtowny gest Itzacoyotla zdołał powstrzymać go przed spontanicznym wybuchem.

— Niemożliwe — powiedziałem, udając pełne przekonanie co do swej wersji. — Doskonale wiem, iż zginął dwa tygodnie temu.

Uśmiech pełen wyższości pojawił się na wargach dostojnika. Petlalcatl rzucił gardłowo parę słów w języku *nahuatl*. I po chwili doprowadzono do nas Weigla. Zagrałem wielkie zdumienie jego widokiem. Zresztą naprawdę zostałem mocno poruszony tym spotkaniem. Wielki bosman, którego dostarczono z łańcuchami na rękach i nogach, kompletnie posiwiął,

jego ciało pokrywały niezliczone blizny, niewątpliwe ślady po torturach, jakie mu zadawano. Miał też wybite jedno oko, drugie jednak gorzało niezłomnie.

Nie zdołaliśmy się jednak nawet przywitać. Raptownie rozległ się wysoki gwizd. Ujrzałem zmianę na twarzy arcykapłana. Odmalował się na niej niepokój pomieszany ze złością, że oto coś przerywa mu doskonale zaczynające się widowisko. Odprawił nas machnięciem ręki. Sam zaś razem z Itzacoyotlem podskoczył ku pulpitowi. Obaj wydawali się zakłopotani i wzburzeni.

Trzej strażnicy popchnęli nas w głąb korytarza. Nim zamknęły się za mną grodzie, zdążyłem zauważyć na panoramicznym obrazie kłąb dymu, jaki uniósł się nad zachodnim skrajem lądowiska. Czyżby...

Srebrzyści „klawisze” odczuwali wyraźny mores przed Weiglem, pomimo skuwających go łańcuchów. Kroczący przed nami Aztek z otwierającą wszelkie wrota buławą stąpał niepewnie, czując zapewne na plecach oddech olbrzyma. Drugi, idący między nami, trzymał ręce blisko bioder, u których wisiały mordercze miotacze, nadto co chwila przenosił wzrok ze mnie na bosmana i z niego na mnie. Trzeci, zamykający stawkę, ani przez chwilę nie opuszczał paralizatora wycelowanego w wielkiego pirata.

— Zdaje się, że nasi chłopcy zaczęli akcję — powiedziałem półgłosem do bremeńczyka, gdyśmy dochodzili prawie do naszych cel. — Da Bóg, przynajmniej im się coś uda.

I w tym momencie zgasło światło, pogrążając całe podziemia w aksamitnym mroku.

Mogło się wydawać, że Weigel tylko czekał na taką okazję.

Naraz usłyszałem krzyk Indianina kroczącego dotąd pomiędzy nami, a zaraz potem ohydne chrupnięcie, jakie wydaje pękający kręgosłup, i odgłos wystrzału z paralizatora. W nagłym błysku ujrzałem jednak, że Weigel pochylił się nisko, toteż cały przeznaczony dla niego ładunek elektryczny trafił w twarz dowódcę patrolu, który właśnie w tym momencie postanowił się odwrócić. Rozległo się nieludzkie wycie. Potem usłyszałem jeszcze złowróźbny brzęk unoszonych łańcuchów. Ostatni z eskortujących nas Azteków usiłował prawdopodobnie uskoczyć, ale Horst odgadł jego ruch. Mimo ciemności cios doszedł celu. Posłyszałem trzask łamanych kości, łomot upadającego ciała. I zaległa cisza.

Światła awaryjne zapaliły się po trzydziestu sekundach. Trzej strażnicy leżeli martwi. Weigel wyrwał z kabury starszego z nich mały miotacz laserowy i przeciął nim swoje kajdany. Moje więzy rozerwał lekko, rękami, jakby to były sparciałe sznurowadła, a nie solidne kawałki sizalowej liny. Przymknął na moment swoje jedyne zdrowe oko, a potem wykrzywił bezzębne usta w namiastce uśmiechu.

*

Bezzwłocznie przebraliśmy się w kombinezony strażników. Ogromny bosman nie mógł wprawdzie dopiąć się na plecach, ale ponieważ go już dość dobrze poznałem, wiedziałem, że i tak nie da się zejść od tyłu.

— I co dalej? — zapytałem Horsta.

Wskazał ręką kierunek, z którego dopiero przyszliśmy, i pociągnął dłonią pod brodą.

— Aha, wracamy dokończyć tak interesująco zaczęłą rozmowę z naszymi gospodarzami?

Skinął głową.

Niestety po przejściu kilku kroków zastaliśmy zamkniętą grodz. Nie przejąłem się tym, gdyż zauważyłem wcześniej, że przejście otwierało się, gdy najstarszy ze strażników podnosił buławę. Toteż przebierając się, zabrałem ze sobą złociste insygnium, a przy okazji ściągnąłem z ręki martwego Indianina złotą bransoletę przedstawiającą trójkę splecionych węży. Założyłem ją na przegub i podchodząc do grodzi, próbowałem powtórzyć gest strażnika. Rozległ się cichy brzęk mechanizmu, ale przegroda ani drgnęła. Zapewne ogłoszony alarm zablokował ją na dobre. Rozejrzałem się zdezorientowany. Weigel dotknął mego ramienia i wskazał na górę. Ujrzałem nad sobą otwór wentylatora.

— Proponujesz, byśmy przemieszczali się kanałami wentylacyjnymi? — zapytałem.

Cmoknął potwierdzająco. Korytarze robiono najwyraźniej na miarę kosmitów i nie miały one więcej niż dwa i pół metra wysokości. Wdrapałem się na bark bosmana i zaczepiłem o obudowę kratki inkrustowany srebrem pas, również zabrany strażnikowi. Weigel wyrwał osłonę jednym śmiałym szarpnięciem. Potem podskoczył i ze zwinnością, o jaką nigdy nie podejrzewałbym kogoś podobnej postury, złapał za krawędź i podciągnął się do wnętrza. Potem wysunął do mnie rękę i podniósł do góry, jakbym był dzieciakiem.

Obawiałem się, że ze względu na rozmiary bremeńczyka utkniemy prędko w ciasnym tunelu, ale jakoś udawało się nam przecisnąć. W kwadrans później znaleźliśmy się nad salą owalną. Niestety tu system wentylacyjny ograniczał się do małych otworów w litym stropie ponad stołem dyspozycyjnym. Nie mogliśmy zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz piramid, jednak nerwowo rozbłyskujące światła i szybko przemieszczające się głowy azteckich prominentów miotających się wokół stołu wskazywały, iż panuje tam co najmniej stan paniki. Dostrzegłem charakterystyczną głowę arcykapłana, nie zauważyłem jednak nigdzie Itzacoyotla. Czyżby wysłano go na pierwszą linię frontu? Wielce żałowałem, iż nie rozumiem języka *nahuatl*, bo to pozwoliłoby mi zorientować się w sytuacji.

Tymczasem Weigel wyciągnął miotacz zabrany strażnikowi i podetknął mi go pod nos. O co mu chodziło, skoro w obecnej sytuacji nie mogliśmy użyć broni? Strzał ładunkiem elektrycznym poprzez metalową kratkę groził porażeniem strzelających i zdradziłby natychmiast miejsce naszego pobytu. Weigel jednak wskazał mi przełącznik oraz rezerwowy magazynek, w którym znajdowały się ładunki gazowe, gotowe do wprowadzenia w komorę zamka.

— Tak chcesz załatwić drani? — szepnąłem wprost do ucha bosmana. — Faktycznie, te dwa ładunki powinny wystarczyć, aby na dłuższy czas obezwładnić towarzystwo przebywające w pomieszczeniu pod nami, ale... — tu zawahałem się — twój pomysł ma istotny mankament, przy okazji sami stracimy przytomność.

Horst pokręcił głową. Czyżby zakładał, iż wystrzelony gaz będzie cięższy od powietrza? Nie. Gestami podsunął inne rozwiązanie. Wyciągnął sznur, który jeszcze do niedawna krępował moje ręce, rozplótł go na cieńsze pasma i związaawszy kilkunastołokciową linkę, przywiązał ją do spustu azteckiego automatu. Następnie wraził miotacz lufą w jeden z otworów wentylacyjnych i gestem kazał mi się wycofać.

Czy ktoś z was cofał się kiedyś tunelem ciasnym jak dren melioracyjny? Nie dziw, że już po chwili z całym impetem wałęnałem w jakąś przeszkodę. Huk rozszedł się głośny. Byłem przekonany, że Aztekowie musieli go usłyszeć. Weigel przestał się wahać. Szarpnął za linkę, uwalniając spust. Zaklaskał miotacz — zabrzmiało suche: „Pac, pac”. Po sekundzie dotarły do nas krzyki i kaszel. Uciekaliśmy dalej tyłem na czworakach, lękając się, że lada chwila i nas gaz dogoni. Aliści nie dogonił. Żałowałem tylko, że nie mogliśmy sprawdzić efektu naszego działania. Jednak coś mi podpowiadało, że Tajemne Miasto właśnie zostało pozbawione swego przywództwa.

Po paru minutach znaleźliśmy się poza grodzią, w punkcie naszej niedawnej potyczki. Nikt tu na nas nie czekał, jak dotąd odarte z uniformów trupy nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Pustymi chodnikami dotarliśmy do drzwi naszych niedawnych cel. Buława starszego strażnika wystarczyła, aby pootwierać wszystkie wejścia. Cela obok pomieszczenia, w której więziono Weigla, okazała się pusta. W następnej dogorywał jakiś skatowany Indianin. W trzeciej zaś...

— Cholera, to ty, Foucheron!

André poderwał się na równe nogi.

— Mistrzu, tyś wolny?! I Weigel! *Mon Dieu!* Myślałem, że już mnie wypatroszą. Dacie wiarę? Te dzikusy ogoliły mi wszystkie włosy na piersi. Czysta zawiść! Nic im nie rośnie i najwyraźniej nie mogą znieść takich oznak męskości cechujących białego człowieka.

Dwie cele dalej odnaleźliśmy de Lysa. Lekarz, lubo lekko ranny, trzymał się na nogach i wręcz dyszał wolą walki. *Ergo* można powiedzieć, że ten etap rozgrywki zakończyliśmy bez strat własnych.

Z oddali dobiegł nas warkot jakiegoś zbliżającego się urządzenia. Kazaliśmy naszym przyjaciółom schować się w głębi cel, a sami w srebrzystych uniformach czekaliśmy w pozornie nonszalanckich pozach, wszelako z bronią odbezpieczoną, w pełnej gotowości.

Wnet w perspektywie głównego korytarza pojawił się dwuosobowy patrol — najprawdopodobniej pogotowie przeciwgazowe. Funkcjonariuszy okrywały skafandry i maski, u pasów mieli dodatkowe niewielkie butle, służące zapewne do odtruwania pacjentów.

Weigel klasnął w dłoń.

Stanęli. I to był ich poważny błąd. Nie wdając się w niezbyt przyjemne szczegóły, mogę powiedzieć, że umarli na stojąco.

Tym sposobem zyskaliśmy jeszcze dwa miejscowe uniformy, w które przyodziali się natychmiast de Lys i Foucheron. Ze zdobycznych masek jedną nałożyłem sam, drugą pozostawiłem dla André. Elektrycznym wózkiem, jak się okazało dziecinnie prostym w obsłudze, ruszyliśmy na powrót ku centrali. Tym razem, być może reagując na impulsy wysyłane przez wehikuł, wszystkie wrota otwierały się ze staroindiańską gościnnością.

W sali owalnej, czy raczej krypcie, panował nastrój jak w świeżym grobowcu: dwóch, kapłanów, w tym Petlałcalatl, oraz dwóch techników leżało wokół konsoli, przywodząc na myśl marionetki, którym urwano sznurki. Idąc ku podium, czułem na dłoniach powiew chłodnego wiatru dowodzący, że intensywnie działają nawiewy i wyciągi. Jednak póki co nie miałem zamiaru sprawdzać, czy gaz był w pomieszczeniu nadal, czy też się ulotnił. Panoramiczny ekran ukazywał płonące budynki wokół lotniska. Spostrzegłem również małą replikę tego obrazu, pulsującą na konsolecie. De Lys, wskazując epicentrum pożogi, dotknął palcem tafli i w tym momencie obraz na zachodniej części wielkiego ekranu zaczął się gwałtownie przybliżać. Teraz mieliśmy do czynienia już nie z pełną panoramą, ale z jej wycinkiem. Płonęły dwa z czterech zbiorników, ale ekipy ratunkowe gasiły je dość sprawnie. Na samej płycie zobaczyłem parę wypalonych wraków aparatów latających, większość jednak powietrznych statków odciągnięto w bezpieczne miejsce.

Straty musiały być znaczne, chociaż zapewne nie takie, na jakie liczyła grupa starego pirata. Teraz z kolei ja przesunąłem palcem w lewo po miniaturce obrazu znajdującej się na pulpicie. Jedna czwarta panoramy ograniczyła się do sporego zbiegowiska tubylców w gaju opuncjowym. Wokół leżącego pod kątem srebrzystego dysku zebrało się co najmniej trzydziestu zbrojnych, nie kryjących krwiożerczej furii. Mogliśmy obserwować, jak

odskakuje właz maszyny i jak z uniesionymi do góry rękami wychodzą kolejno Froissart, Miguel, Heban oraz Lino. Biedacy! Aztecy rozerwą ich na strzępy.

I w tym momencie zobaczyłem, jak między nich a żadną krwi tłuszczę wchodzi mężczyzna w bieli. Itzacoyotl! A więc tam cię zaniósł, kolego mądralo!

*

De Lys odważył się zdjąć maskę. Po krótkiej chwili wahania poszedłem w jego ślady. Gaz rzeczywiście się ulotnił. Bez kosmicznych hełmów słyszeliśmy dźwięk z okolic obłożonego talerza. Niezrozumiałe wrzaski Azteków, lecz nie tylko. Zaskakująco czytelnie dotarła do mnie cicha klątwa Hebana, gdy pochwycili go dwaj oprawcy i poczęli okładać pejcami. I jak tu nie wierzyć, że w Ameryce nie biją Murzynów!

Jeszcze gorszy los czekał Arawaka. Uznany za renegata czerwonej rasy, dosłownie znikł pod lawiną ciosów, nie wydając jednak nawet jęku.

— Niech Bóg wam wybaczy — usłyszałem śpiewny głos Froissarta.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że skoro ja mogę ich słyszeć, to być może komunikacja jest dwustronna. Pochyliłem się nad konsolę. I wrzasnąłem ile sił:

— Itzacoyotl! Itzacoyotl! Słyszysz mnie? *Carramba!* Aztek drgnął. Wyciągnął z naszyjnika, który okalał jego szyję, jakiś maleńki pręt.

— Kto to mówi?

— Wstrzymaj, do cholery, tę egzekucję albo zrobię to samo z twoim arcykapłanem.

Zawahał się, ale posłuchał. Chwilę wołał coś w swoim narzeczu, ale nie mogąc przekrzyczeć tłum, wystrzelił w górę. Razy sypiące się na więźniów ustały. Ludzie odsuwali się i kłaniali Itzacoyotlowi z wielkim szacunkiem. Heban i Lino podnieśli się z ziemi. Arawak zalany krwią już się nie poruszał.

Itzacoyotl rozkazawszy ludziom, aby powstrzymali się od dalszego bicia jeńców, oddalił się parę kroków od tłum.

— Il Cane, to ty?

— Ja i mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. Jestem w waszym centrum dyspozycyjnym czy jak je nazywacie.

— To nic ci nie da. Nie potrafisz się posługiwać naszym sprzętem.

— A jednak wydaje mi się, że potrafię sprawić wam sporo kłopotów, nadto mam arcykapłana. Na razie jest nieprzytomny.

— Słyszałem o awarii gazowej...

— Ta awaria to my. W tej chwili możemy jeszcze coś zdziałać, zanim sytuacja ostatecznie wymknie się nam spod kontroli. Powinniśmy porozmawiać.

— Jak to sobie wyobrażasz? — spytał po chwili milczenia. — Przybądź wraz z moimi ludźmi do Piramidy, do owalnej sterowni. Będziemy tam negocjować.

— Nie jestem naiwny, Europejczyku. Spotkajmy się w połowie drogi. Ty wypuścisz dostojnego Petlalcatla...

— Wykluczone, mogę na znak dobrej woli uwolnić tego drugiego kurdupła, ty zaś obiecaj, iż uczynisz to samo z tym szpakowatym brodaczem, który ostatni wyszedł z pojazdu, zowie się Lino.

— Niech i tak będzie. Uwolnimy po jednym zakładniku. I spotkamy się w wielkiej złotej sali, to trzy kondygnacje nad poziomem, gdzie się obecnie znajdujecie. Tylko my dwaj.

— A moi ludzie?

— Pozostaną tam, gdzie są. Będą mogli nas widzieć w trakcie rozmów, a jeśli zechcemy, również słyszeć.

— W porządku. Oczywiście wydaj polecenie, żeby nikt nie próbował nawet zbliżyć się do sterowni w trakcie negocjacji. Moi ludzie są nerwowi. A życie arcykapłana kruche. I niech ktoś od was zajmie się tym naszym Arawakiem. Jest chyba ciężko poraniony.

— Wydam odpowiednie polecenia. Choć obawiam się, że nikt mu nie jest w stanie pomóc. Zobaczymy się za pół waszej godziny — rzekł, a ścisząc głos, dodał: — Kapłani przekonywali, byśmy zabili was wszystkich. Natychmiast... Powinienem ich być posłuchać. Niestety! Moja przeklęta naukowa ciekawość!

*

Nie miałem większych doświadczeń negocjacyjnych. Wyjąwszy wczesny okres działalności SGC, pertraktacje handlowe prowadzili dla mnie renomowani fachowcy, wynajęci prawnicy. Przeważnie wygrywaliśmy.

Do legend należy możliwość sformułowania ugody, w której nie ma wygranych i nie ma przegranych, nie ma zwycięzców ani zwyciężonych. Zawsze ktoś odnosi większą korzyść, a drugiemu trudno pozbyć się wrażenia, że został wykołegowany. Świat nie jest ligą dzentelmenów, a rokowania — pojedynkiem na szlachetne gesty. Nawet przy mojej skromnej praktyce wiedziałem, iż w każdej sytuacji, czy chodziło o fuzję, wypchnięcie kogoś z rynku,

czy pospolite pożarcie, zawsze decyduje siła i spryt układających się stron. W dodatku im większa sprawa i potężniejsza jej waga, tym alternatywa dla kompromisu bardziej niebezpieczna. Znana historia! Pięściarze wagi piórkowej mogą się okładać kuksańcami aż do znudzenia, dobrze wyprowadzony cios boksera superciężkiej zabija.

Miałem poczucie znaczenia tych rokowań. Stawkę stanowiło nie tylko nasze życie, ale los całej cywilizacji. Itzacoyotl tylko pozornie był w bardziej komfortowej sytuacji. Na szali leżało nie tylko życie arcykapłana, za którym, co zdołałem zauważyć, szczególnie nie przepadał. Nasza ucieczka, dotarcie do Europy, komplikowały plany rekonkwisty, być może nawet ją udaremniały. Jak oceniałem, siły Azteków ograniczały się do małej kadrowej armii i ledwie paru sztuk machin latających (oczywiście nie wykluczam, że mieli jeszcze ukryte gdzieś inne aparaty, na pewno jednak nie w nieprzebranej liczbie). Posiadając broń jądrową, zapewne mogli zniszczyć świat, ale podbicie go i utrzymanie nad nim panowania bez kolaborantów i renegatów zakrawało na niepodobieństwo. A przecież po naszym powrocie Europa ujrzałaby jasno, z kim ma do czynienia. A nie lepiej nie sprzyjałoby jedności niż świadomość, że prędzej czy później wróg czy sojusznik pospołu skończył pod nożem z obsydianu. Sądzę, że dobra propaganda potrafiłaby przemówić do największego durnia — w końcu wyrywanie serca niesie ze sobą przejmujący sens metaforyczny. Czymże byłaby próba usunięcia z naszego organizmu chrześcijaństwa, rzymskiego prawa i greckiej filozofii, czyli za jednym zamachem serca, płuc i mózgu? Zagładą!

Naturalnie zgoda Itzacoyotla nie usypiała mej czujności. Nie przestawałem sobie zadawać pytania: „Podstęp li jest to czy gra na zwłokę?” A może zmiękczyła go wiara, iż znam przyszłość, *ergo* panując nad sterownią, mogę dokonać w Ciboli szkód zaiste nieobliczalnych?

Zresztą jakie miał możliwości zaszkodzenia nam? Z tego, co zdołałem pojąć, od pierwszych wybuchów owalne centrum funkcjonowało na zasilaniu awaryjnym. Prawdopodobnie niemożliwym do wyłączenia z zewnątrz, w przeciwnym razie z pewnością by to zrobili. Mogli próbować potraktować nas gazem, wiedzieli jednak, że posiadamy maski. Żałowałem tylko, iż nie znamy ich pisma i nie posiadamy instrukcji obsługi systemu. Dysponując nimi, zapewne moglibyśmy sterować satelitami, wyrzutniami. Nie przypadkowo tak zależało mi na wyrwaniu z ich rąk Lina. On jeden mógł rozszyfrować zasady działania niektórych z ich technicznych cudeniek.

Tymczasem do wywietrzonej sterowni dotarli pozostali członkowie mej grupki. Weigel wzięła na plecy nieprzytomnego kapłana (jak się później dowiedziałem, konus zwał się Atlix),

de Lys i Foucheron założyli sprzęt przeciwgazowy na wypadek ataku i tak przygotowani ruszyliśmy ku drzwiom.

Zaraz się okazało, że lubo uśpiony, Atlix posiada szczególną właściwość, charakteryzującą tutejszych kapłanów: otwierały się przed nim wszystkie drzwi i tajemne przejścia ukryte w miejscach, w których nikt ich się nie spodziewał. Nie wierząc w równie wielką siłę charyzmy, podejrzewałem, iż w roli pilota występowała romboidalna złota płyta, którą podobnie jak jego zwierchnik miał wprawioną bezpośrednio w czaszkę, powyżej nasady nosa. Już za pierwszym zakrętem korytarza w zda się idealnie gładkiej, pozbawionej reliefów ścianie ujawniły się niewidoczne dotąd drzwi. A za nimi oczekiwała nas okrągła winda o połyskliwych ścianach, przez które jak przez okna można było widzieć poszczególne piętra, nie będąc, jak się zdaje, widzianym z zewnątrz.

Mimo iż nie dostrzegałem nigdzie głośników, cały czas docierał do mnie głos Itzacoyotla. Mędrzec kazał mi trzymać rękę opartą na ścianie i odjąć po przejechaniu trzech poziomów. Tak też uczyniłem. Dźwig stanął, a my weszliśmy do Złotej Sali.

Dużo skarbów w życiu widziałem, kolekcje Kremla i Watykanu, regalia imperium brytyjskiego zgromadzone w londyńskim Tower, przebogie zbiory złota Inków w Museo Miguel Mujica Galio na przedmieściu Limy, jednak to, co wypełniało ową salę, wysoką na dziesięć metrów, długą na sto, przekraczało nawet wyobraźnię najbogatszego amsterdamskiego jubilera. Wszystko było tu złote. Podłoga z romboidalnych płyt, ściany pokryte reliefami przedstawiającymi ornamenty roślinne, wreszcie figury zwierząt z dawnych epok, uformowane z podziwu godnym naturalizmem niespotykanym u późniejszych kultur prekolumbijskiej Ameryki, po prostu jak żywe. Dinozaury wszelkich odmian, megatheria, tygrysy szablozębe, mamuty naturalnych rozmiarów tworzyły galerię wypełniającą chyba całą długość piramidy. Strop zdobiły kasetony, w których świeciły podświetlane na nieznaną mi zasadzie oszlifowane wielościanny szlachetnych kamieni: rubiny, opale, szmaragdy, topazy, większość rozmiarów kokosa w oprawach z malachitu, jadeitu, lapis-lazuli...

— Niech mnie szlag trafi, Aldo — usłyszałem głos Pavonego. — Za ten skarbiec można chyba kupić pół galaktyki!

Itzacoyotl stał w połowie sali między łapami imponującego tyranozaura rexa. Obok zastygł rosły półnagi Aztek trzymający na srebrnej smyczy naszego drogiego Lina.

— Zaczniemy wymianę — powiedział indiański naukowiec.

Ruszyli. Objuczony kapłanem Weigel i złotoskóry osiłek prowadzący swego jeńca. Dokładnie w połowie drogi indiański moczarny przejął Atlixa, który właśnie zdawał się budzić i mamrotał coś sennie pod nosem, a końcówka smyczy trafiła do rąk Weigla.

— Do cholery, niech mi zdejmie tę pieprzoną kolczatkę, bo go ugryzę — zawołał rosettińczyk.

Jego postulat został spełniony, obaj uwolnieni znikli w windach umieszczonych po obu stronach korytarza, po czym w wielkiej sali pozostaliśmy tylko my dwaj. Itzacoyotl poprosił, bym się przybliżył. W samym środku galerii umieszczono dwa siedziska, ma się rozumieć złote, przykryte brokatowymi poduszkami.

— A zatem, o co chcesz prosić, Europejczyku? — zagał Indianin. — O wolność dla ciebie i twych przyjaciół? Zuchwała to prośba. Przypomnę, że nie zapraszaliśmy was tutaj, sami wdarliście się podstępem, zabiliście mnóstwo Synów Słońca, zniszczyliście wiele cennych aparatów, splugawiliście święte miejsce.

— Pięknie mówisz, dostojny Itzacoyotlu — odrzekłem z podobną dystynkcją. — Godzi się wszelako przypomnieć, że wcześniej to wasze statki powietrzne zrównały z ziemią nasze francuskie laboratoria, to wy posłaliście na dno Zatoki Meksykańskiej „Henriette” i „Świętą Łucję”, zniszczyliście bogu ducha winną misję San Antonio, torturowaliście naszego bosmana Weigla, nie wspominani już o innych zatopionych statkach, spustoszonych osadach, wybitych ekspedycjach...

— Wcześniej był Cortez i Pizarro — ripostował indiański intelektualista. — Pogrom całych narodów, próby zamieniania naszych braci w niewolników, przeważnie nieudane, narzucanie nam obcej wiary, której regułami sami zazwyczaj rzadko się kierujecie.

— Nie neguję pożałowania godnych zaszłości ani grzechów naszych ojców i dziadów — odparłem energicznie, jakbym odbijał silnie bitą piłkę. — Czyż jednak to nie wy, obdarzeni, jak twierdzicie, przez bogów cudownymi narzędziami, chcecie używać ich nie aby pokój czynić, ale nienawiść pogłębiać?

— Nie będzie pokoju na planecie białego człowieka — powiedział z przekonaniem Aztek. — Wasza kłótność, łapczywość, egoizm, myślenie jedynie o interesie własnym, nie ogółu, czyni z was gatunek niebezpieczny dla równowagi planety.

— Dajcie nam szansę. Może potrafimy się zmienić. Popatrzyl, jakby nie rozumiał. Ja zaś kontynuowałem:

— Pozwólcie nam powrócić do Europy. Przekonamy królów i cesarzy o waszej nadludzkiej mocy, której nieprędko, a może nigdy nie dorównamy. Sądzę, że jest szansa załatwienia czegoś więcej niż ocalenia życia paru ludziom. Zawrzemy pokój wieczysty. Wy udostępnicie nam pokojowe technologie przemysłowe, my zajmiemy się rozwojem waszej medycyny, humanistyki...

Wydawał się zaskoczony tym, co mówiłem, choć nie przekonany.

— Mówisz pięknie. Ale czy sam w to wierzysz? A wasze kolonie? Czy skłonisz króla Hiszpanii, by zlikwidował wicekrólestwa Meksyku, Nowej Granady, Peru i La Płaty, zrezygnował z drenowania ich z bogactw, zabrał precz kolonistów, porzucił kościoły? A jeśli nawet, il Cane, zali możesz mi przysiąc, że Anglicy opuszczą Wirginię, Francuzi Quebec, a Holendrzy Nowy Amsterdam na wyspie Manhattan, który piętnaście lat temu wyłudzili za grosze od naszych otumanionych alkoholem pobratymców? (Dobrze znał, szelma, geografę!)

— Oczywiście w tej chwili zagwarantować tego wszystkiego nie mogę. Jednak obiecuję podjąć się takiej próby. Ze swej strony wiele nie ryzykujecie, bo przecież posiadacie broń atomową. Jeśli wypadki potoczą się w niekorzystnym kierunku i jeśli dwory panujące i narody europejskie nie przystaną na pokojowe propozycje, zawsze będziecie mogli jej użyć. Sądzę, że Europejczycy przystaną na wasz postulat: „Ameryka dla Amerykanów”. Nie są samobójcami.

— A biali koloniści? Mam li wierzyć, iż zabiorą swoje manatki, zlikwidują latyfundia i wrócą do biednej Kastylii czy chłodnej Brytanii?

— Na razie, przynajmniej w Ameryce Północnej, nie są zbyt liczni. Poza tym, dajmy sobie trochę czasu. Może zabrzmi to naiwnie, ale spróbujmy się poznać nawzajem, porozumieć nawet z kolonizatorami. Zademonstrujcie im swą siłę, ale bez przemocy — jestem pewien, że uwolnią niewolników, a Indian zaczną traktować jak partnerów. Zresztą i u was są równi i równiejsi. Czy nie lepiej zamiast marzyć o rekonkwiescie, zadbać o to, by uczynić własnych braci dostatnimi, szczęśliwymi, sytymi? Dać im oświatę i pokój.

Itzacoyotl w zamyśleniu począł trzeć brodę.

— Odważny jesteś, Europejczyku. Proponować świat bez niewolników... Teoretycznie piękny to pomysł, choć trudno wykonalny. Cóż bowiem uczynisz z przyrodzoną nierównością człowieka? Obaj wiemy, iż ludzie nie tylko z urodzenia, ale z charakteru dzielą się na bardziej skłonnych do myślenia i na bardziej skłonnych do umysłowego lenistwa, na nielicznych zdolnych do panowania i mrowie godne w najlepszym razie spełniania poleceń. Zali myślisz, że nie zastanawiamy się i u nas nad naturą człowieka? Jednych wolność uskrzydla, innych ogłupia. Dasz prawo równego decydowania wszystkim, a nastanie bałagan, pomieszanie wartości, zatrata wszelkich reguł. Głupi zechcą być rządzeni przez głupszych od siebie. Nawet my, za sprawą dzisiejszych ograniczeń w znacznym stopniu uzależnieni od ciemnych mas, nie możemy poradzić sobie z ich brudem, pijaństwem i lenistwem.

— Może tedy ratunek dla ludzkości leży w porozumieniu elit obu półkul. We wzajemnej tolerancji. Czy naprawdę wierzysz, mój dostojny rozmówco, w celowość krwawych ofiar?

Znasz prawdę o Canikulanach, z pewnością wiesz, jak to się zaczęło, i wiesz również, że dziś ten ponury rytuał niczemu nie służy.

— To ważny element tradycji i naszej tożsamości — rzekł, unikając odpowiedzi wprost.

— Może dałoby się ją zmienić?

— Czasami mówisz, jakbyś znał przyszłość, a czasem jakbyś jej nie znał. Skoro dalsza historia nie ma przed tobą tajemnic, i tak wiesz, co się stanie.

— Sądzę, że stoimy przed alternatywą harmonijnego pokoju albo zagłady. Pojmujesz chyba, o czym mówię w imieniu mych towarzyszy. Nie mając innego wyjścia, zabijemy nie tylko arcykapłana, ale spróbujemy obrócić w perzynę wasze miasto. Wiem, że się to może udać.

— Przestań mnie straszyć, powiedz, co będzie dalej. Jak jest w czasach, z których pochodzisz?

— Nie jest to może idealny świat, ale znośny. Ludzie stanęli na Księżycu. Mexico City, czyli dawny Tenochtitlan, liczy ponad trzydzieści milionów mieszkańców. Północna Ameryka jest największym i jedynym mocarstwem świata — mocarstwem, w którym biali, czarni, żółci i oliwkowi mają zagwarantowane prawa, a wszelkie wierzenia są równouprawnione.

Popatrzył mi głęboko w oczy. A jego źrenice miały ostrość noży z obsydianu.

— Mówisz prawdę?

Wytrzymałem jego spojrzenie. W końcu była to prawda. Chociaż niecała.

*

Trudno określić mi, jak długo trwały nasze rozmowy, Pavone twierdził, że dzień i pół nocy. Mnie zdały się fascynującą chwilą. Ze Złotej Galerii przeszliśmy do innych sal, gdzie zażywać mogliśmy relaksującej kąpieli. Woda docierała zapewne prosto z gorących wulkanicznych źródeł i żadne pachnidła nie były w stanie zatrzeć zapachu siarki. Usługiwały nam Indianeczki piękne, zuchwale bezpośrednie, że aż żal byłoby nie skorzystać z ich dowodów przyjaźni. Niestety zmęczenie i stres nie przyzwoliły mi stanąć na wysokości zadania. Zjedliśmy też posiłek, pyszny, złożony z różnorodnych przysmaków: mięs, owoców, słodkich kłaczy i znakomicie wypieczonych placków. Aż spytałem, jak jest możliwe, żeby ta ograniczona terytorialnie kotlina górską, nawet żyzna i dobrze uprawiana, zdolna była wyżywić kilkunastotysięczną wspólnotę. Gospodarz odparł mi, że miejscowe

zasoby uzupełniane są od ponad dekady w trakcie wypraw wirującymi spodkami. Z podróży tych przywożone są w wielkiej obfitości: ryby, tran z wielorybów, mięso bizonów i tropikalne owoce z nie zamieszkanymi wysp Oceanu.

Także samo ekspedycje te dostarczają surowców i rozmaitych materiałów.

— Również rozszczepialnych do waszych reaktorów? —zapytałem.

— Powiedziałem: rozmaitych!

— Rozumiem, tajemnica wojskowa — uśmiechnąłem się. — Może jednak zdradzisz, co robicie z odpadami atomowymi?

— Zwracamy je bogom — odparł.

— Bogom? Co masz na myśli. Zaśmiecacie kosmos?

— Bynajmniej, ale co pewien czas, kiedy w pobliżu ziemi przelatuje kometa, ekspedujemy owe odpadki w jej pobliże, a ona ponosi je dalej ku Słońcu, ku gwiazdom...

Nie chcąc nudzić czytelnika szczegółami negocjacji, w czasie których nie brakło chwil, kiedyśmy skakali sobie do oczu, a zerwanie wisiało na włosku, ani przytaczać całego misternego fechtunku na argumenty, owych targów i przetargów — powiem jedynie, że kompromis zapisany na pięciu stronach *in folio* po hiszpańsku i w tłumaczeniu na *nahuatl* przedstawiał się nader interesująco.

Aztecy podejmowali się dostarczyć mnie w asyście Weigła do Francji. Gwarantem bezpieczeństwa miał być towarzyszący nam Petlalcalatl. Arcykapłan rok jeszcze pozostałby we Francji, aż do odbudowy większości centrów naukowych, kontynuujących dzieło rozpoczęte w Mont Romain. Miałby też uczestniczyć w kongresie monarchów, na którym zawarto by wieczysty pokój europejski, a także trwałą ugodę z Imperium Słońca.

Dopiero po onym traktacie Petlalcalatl w asyście ambasadorów ważniejszych mocarstw powróciłby do domu. Przez cały ten czas pozostali członkowie mej wyprawy pozostawaliby zakładnikami w Ciboli.

Zapisałiśmy też pod hasłem: „Ameryka dla Amerykanów” ramowy plan przejmowania kolonii przez wspólne władze aztecko-europejskie. Trzecim członem, samorządowym, mieliby być przedstawiciele miejscowych plemion: Inków, Aymarów, Arawaków, Irokezów, Seminolów.

Mimo obciążeń wynikających z tradycji, wychowania i antyeuropejskich uprzedzeń, Itzacoyotl okazał się wspaniałym partnerem, inteligentnym, bystrym, nie pozbawionym samorefleksji i autokrytycyzmu. Już podczas pierwszej rozmowy zauważyłem, jak cięży mu balast uprzedzeń, ponurego okrucieństwa i imperialnych roszczeń swoich ziomeków. Nie powiedział tego wprost, ale czułem, że i dla niego sytuacja, w której nie musiał bezkrytycznie

wypełniać poleceń swego zwierzchnika, jest podarunkiem losu. W końcu dostał w ręce władzę, o jakiej nie mógł marzyć.

W połowie nocy, nieprawdopodobnie zmęczeni, uścisnęliśmy sobie ręce.

— Gotowe! — powiedziałem. — Teraz tylko wprowadzić nasz traktat w życie.

Otarł pot z czoła.

— I przekonać do naszej wizji innych — powiedział. A potem, gdyśmy się rozstawali, dodał cichym głosem: — Oby twoi i nasi bogowie zesłali wszystkim dar mądrości.

Wtedy lekkie drżenie jego głosu brałem za efekt zmęczenia, teraz dopuszczam myśl, że mógł to być strach...

Zjeżdżając windą, czułem się dziwnie. Jak po narkotyku (może zresztą w spożywanym pokarmie były jakieś alkaloidy), nieludzko zmęczony fizycznie widziałem zarazem wszystko bardziej ostro, czysto, jasno.

Dobry Boże, czyżbym naprawdę zmienił historię? To przecież niemożliwe?

W błyskawicznym tempie przesuwała mi się przez głowę wizja innego świata. Świata bez Ameryki, w każdym razie bez takiej Ameryki, jaką ja znałem, a raczej jakiej nikt nigdy nie pozna — bez coca-coli, dzinsów, Statuy Wolności, Empire State Building, pomników w Mount Rushmore, bez Waszyngtona, Lincolna i Kennedy'ego. Bez Hollywoodu i Myszki Micky, Marylin Monroe i Johna Steinbecka, hamburgera i McDonalda — niezmiennymi elementami w tym nowym pejzażu pozostawał jedynie kanion Colorado, Niagara i gejzery w Yellowstone.

Gurbiani, stary łajdaku, raz jeszcze udało ci się zrobić coś dobrego.

18. ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY

Kto wymyślił określenie, że diabeł tkwi w szczegółach? Oczywiście diabeł.

Wracając na dół, spodziewałem się co najmniej komitetu powitalnego. Okazało się, że wszyscy śpią oprócz de Lysa, który wyznaczony na kolejną wartę spać nie mógł, oraz zakneblowanego i skrępowanego Petlalcatla, który spać nie chciał.

— Nie jest dobrze — powiedział Ambroise.

— Co nie jest dobrze?

— Niech sami ci powiedzą.

Moi towarzysze wyprawy budzili się niechętnie i schodzili powoli. Spotkaliśmy się w małym wytłumionym pomieszczeniu obok sali owalnej, gdzie zdaniem Pavonego nikt nie mógł nas podsłuchać. Wysłuchali sprawozdania z rokowań i poznali tekst dokumentu.

— Nie podpiszę tego — rzekł stanowczym tonem Foucheron. — To byłaby kapitulacja.

— Ani ja — dodał Lino. — Chyba że dla zmylenia przeciwnika.

Nogi ugięły się pode mną i ogarnęła mnie zimna wściekłość. To ja wypruwam żyły, załatwiam geopolityczny przełom, walczę o każdy przecinek, a moi przyjaciele są przeciw ugodzie!

— Co was ugryzło, ludzie?!

— Realia — powiedział Foucheron. — Nie ma najmniejszego powodu, by ufać tym krwiożerczym bestiom.

— Bestiom?! — wykrzyknąłem. — Żebyście poznali Itzacoyotla...

— Itzacoyotl jest jeden, wedle naszego rozeznania to dopiero piąty, może szósty Aztek w tutejszej hierarchii. Wiesz, co myślę o tym inni? Żebyś widział, co podczas negocjacji wyprawiał ten czerwonoskóry przystojniaczek. Aż musieliśmy go skrępować i zakneblować. Gdyby mógł, wydarłby oczy twemu rozmówcy i zjadł je w rosole!

— Nie rozumiem jego furii. Porozumienie jest korzystne dla obu stron — przekonywałem.

— A mnie wydaje się zwykłym oszustwem — powiedział zwykle biorący moją stronę de Lys. — Tygrys schwyty w klatkę też będzie gotów podpisać zobowiązanie, iż ostatecznie będzie wegetarianinem. Niech jednak tylko się wyrwie zza krat...

— Mamy zakładnika w osobie arcykapłana. Będzie towarzyszyć mi do Francji. Jego osoba stanowi gwarancję...

— A ileż to roboty stracić spodek razem z arcykapłanem — mruknął Lino. — Dla nich stawka jest dużo większa. Poza tym to zaślepione nienawiścią dzikusy. Dla zrealizowania swego celu nie będą się liczyć z kosztami.

— Nadto — wsparł go de Lys — trudno porównywać ich z nami, oni nie liczą jednostkowych ofiar, myślą zbiorowością, to ludzie klanów.

— To nie wszystko — w głosie Pavonego narastała ekspresja. — Kiedy ty bankietowałeś sobie jak filozof z filozofem, Aztecy podjęli przygotowania.

— Jakie?

— Wyłączyli ekrany umożliwiające nam dotąd ogląd Ciboli.

— Trudno się im dziwić. Pewnie oszczędzają energię. Zwłaszcza nocą.

Nikt się nie roześmiał.

— Zanim jednak to zrobili — ciągnął Foucheron — widzieliśmy, jak w całym mieście przeprowadzają mobilizację i koncentrują sprzęt u południowego podnóża Świątyni.

— Przypuszczacie, że...

— Jestem pewien, że chcą nas stąd wykurzyć! — w głosie rosettińczyka brzmiały coraz bardziej histeryczne tony. — Musimy zacząć się bronić wszelkimi dostępnymi siłami. Tak, żeby nawet jeśli zginiemy, oni prędko się nie pozbierali.

— Żadnych rokowań — wsparli go de Lys z Foucheronem, a Weigel tylko pokiwał głową.

— Ludzie! — krzyknąłem, ledwie panując nad sobą. — Naturalnie, jestem świadom całego ryzyka, jakie niesie w sobie układ, ale uważam, że powinniśmy pójść na ugodę. Po prostu nie mamy innego wyjścia.

— A jeśli mamy? — zapytał Lino.

*

Nie wiem, czy plan Lina był bardziej zuchwały, czy też bardziej przerażający. Udać grę na zwłokę, a w tym czasie uciec podziemną rzeką. Wątpliwość, że prędzej czy później dopadną nas na pustyni, zbił argumentem: „Musi mieć kto!”

Jak się okazało, nie tracił czasu i gdy ja oddawał się rokowaniom, rozgryzł sporo tajemnic konsolety. Rozszyfrował plany podziemi, wgryzł się w zasady systemu energetycznego. Znalazł nawet drogę do siłowni atomowej — nareszcie pojąłem, skąd brała się gorąca woda i subtropikalny klimat Ciboli.

— Wiesz przecież, że sabotaże w tego typu obiektach to mój konik! Gdyby udało im się zafundować tutaj drugi Czarnobyl albo nawet coś większego...

— O czym myślisz?

— Ci Canikulanie cholernie oszczędzali miejsca, siłownia, magazyny ładunków nuklearnych, zakłady przekształcania ciężkich pierwiastków, a nawet silosy wyrzutni są bardzo blisko siebie. Eksplozja w elektrowni mogłaby wywołać całkiem wielkie BUM!

— Chyba nie mówisz tego poważnie. Poza tym muszą być przecież jakieś zabezpieczenia.

— Z pewnością, na schemacie są trzy niezależne obiegi chłodzenia, pewnie jakieś pręty grafitowe...

— No właśnie.

— Przyjmij zatem do wiadomości, że rezerwowego układu chłodzenia już nie ma.

— Jak to?

— Po gaszeniu pożaru na lotnisku górny zbiornik wody jest praktycznie pusty. Pompy obiegu zamkniętego można uszkodzić, podobnie jak bezpieczniki grafitowe.

— Ale do tego potrzebne są środki wybuchowe! Nie sądzę, żeby Aztecy oddali nam do dyspozycji swoje magazyny.

— O to się nie obawiaj! — Tu uniósł do góry koszulę i okazało się, że jak samobójca islamski wyruszający na *dżihad*, opasany jest kilkunastoma co najmniej ładunkami. — To powinno wystarczyć!

W tym momencie połapałem się, że dyskutuję na temat środków technicznych, nie zaakceptowawszy samej idei.

— Nie mogę na to przystać, Lino — zawołałem. — Dałem swoje słowo Itzacoyotłowi. Muszę go dotrzymać.

— Piękny rycerski gest — parsknął rosettińczyk. — Bardzo na miejscu, kiedy w grę wchodzi przyszłość całej cywilizacji. Wybacz, mistrzu, ale musisz przyjąć nasz plan.

— Ja tu dowodzę.

— Dopóki działamy solidarnie. Ale może przegłosujemy. Kto jest za moim planem? De Lys, Foucheron, Weigel?

Czwórka rąk uniosła się w górę.

— Jak widzisz, posiadam większość bezwzględną, a nawet kwalifikowaną. Jesteś z nami czy przeciw nam? — Lino zaśmiał się diabolicznie, od niechcienia bawiąc się samopowtarzalną króciwą.

Itzacoyotl odezwał się dokładnie po godzinie. Miał zmęczony głos człowieka, który w ciągu krótkiego czasu postarzał się o lata:

— Czy uzgodniłeś już stanowisko z towarzyszami, il Cane?

— Oczywiście! Akceptują porozumienie. Chcieliby jednak, aby w podjęciu decyzji uczestniczyli trzej nasi towarzysze.

— Tego Arawaka nie udało się nam odratować. Pozostali są za.

— Chcielibyśmy usłyszeć ich opinię.

— Zaraz ich sprowadzę.

— Niech zejdą na dół.

— Jeśli oddacie nam naszych asystentów, Murzyn zejdzie. Wojak chwilowo pozostanie z nami.

— Ale...

— Taka jest decyzja starszych klanów. Po chwili usłyszałem głos Froissarta.

— Wszystko w porządku, przyjaciele, błogosławię was *in nomine patris et filii et de profundis*... A Heban już do was jedzie.

Nie dałem poznać po sobie, jak mocno poruszyły mnie słowa wypowiedziane przez byłego księdza. Zwłaszcza ostatnia formuła: „z głębokości...” Gaspar z pewnością nie pomylił się; zmieniając tekst błogosławieństwa, chciał nam coś przekazać. Jednak co? Czy sformułowanie „z głębokości” miało dodać nam otuchy, wieszcząc wybawienie z otchłani, czy też przeciwnie i Froissart dawał nam do zrozumienia, że jest sterroryzowanym więźniem?

— Teraz twoja kolej na znak dobrej woli, il Cane. Zanim dojdziemy do szczegółowych ustaleń twego uwolnienia, chcemy usłyszeć głos dostojnego Petlalcatla. Mam nadzieję, że już odzyskał przytomność.

Rzuciłem okiem na kapłana, skrępowanego jak baleron, i na moich kolegów.

Nie podobał się im pomysł dopuszczenia Azteka do głosu. Mnie, szczerze powiedziawszy, też nie.

Nie pozostało mi nic innego, jak wykręcić się zmęczeniem. Stwierdziłem, że Petlalcatl właśnie usnął i zaproponowałem ostateczną rozmowę w godzinach porannych. Ku memu zdziwieniu Itzacoyotl przystał na tę propozycję dość chętnie. Pożegnaliśmy się, obiecując się ze sobą skontaktować za pięć godzin.

Powrót Murzyna niewiele rozjaśnił sprawę. Heban cały czas przebywał rozdzielony z Froissartem, co doprowadzało go do wściekłości, pomimo że krajowcy traktowali go całkiem znośnie. Nie zauważył żadnych grup szturmowych gotujących się do ataku na sterownię, co naturalnie nie wykluczało takiej ewentualności.

*

Powieki opadały mi same jak zepsute rolety, ale o żadnym spaniu nie mogło być mowy. Musiałem działać, jeśli nie chciałem stracić resztek autorytetu. Chociaż właściwie wszystko rozgrywało się już bez mojego wpływu. Weigel, słuchając poleceń Pavonego, wziął skrepowanego arcykapłana i zawlókł go na drugą stronę konsoli, tam pochylił twarzą ku ziemi. I otwarła się kłapa w podłodze, ujawniając schody prowadzące w dół. Foucheron w masce przeciwgazowej z odbezpieczoną bronią wkroczył tam pierwszy, jednak nikt nie czaił się na niższym poziomie. Zresztą wedle planu znajdował się tam tylko jeden chodnik prowadzący w rejon lotniska, używany okresowo do celów transportowych, a obecnie zamknięty na cztery spusty i, jak twierdził Lino, świetnie zabezpieczony i zablokowany. Jego otwarcie wymagało wcześniejszego dotarcia do sterowni, a tam pod konsolą rosettińczyk przygotował dla Azteków wybuchową niespodziankę. Po osiągnięciu kolejnego poziomu poszliśmy za Francuzem i towarzyszącym mu Weiglem, który niósł arcykapłana, korytarzem idącym prosto jak strzelił. Kolejna groź otwarła się sama.

— Właściwie trzeba by mu wydłubać tę magiczną płytkę z czerepu, zamiast taszczyć tego grzyba — powiedział Heban, poklepując zakneblowanego Azteka. Petlalcalcatl szarpnął się konwulsyjnie, jakby uznał dotknięcie Murzyna za nieczyste. Wszyscyśmy wybuchnęli śmiechem. Pavone najgłośniej.

Tymczasem rosnący szum i delikatna vibracja ścian wskazywały, że zbliżamy się do punktu docelowego.

— Jeśli dobrze rozgryzłem plany — zastanawiał się głośno rosettińczyk — nie ma innej drogi do siłowni niż ta, którą podążamy. Aztekowie mogą nam więc naskoczyć...

— Oznacza to jednak, że sami pakujemy się w pułapkę bez wyjścia.

— Niezupełnie, musi istnieć odpływ nadmiaru wody do podziemnej rzeki, a znając zamiłowanie Canikulan do perfekcji, woda nie powinna być skażona.

Tymczasem korytarz, zrazu opadający w dół, ponownie zaczął wspinać się w górę. Doszliśmy do olbrzymiej bramy pokrytej wielkimi hieroglifami. Weigel zbliżył się do niej z przerzuconym przez ramię arcykapłanem, który chyba ostatecznie skapitulował, bo przestał się szarpać. Wrota drgnęły. Przeszliśmy przez nie, wstępując na wąskie schody prowadzące w głąb wysoko sklepionej sali. Bremeńczyk położył swoje brzemie na ziemi, po czym nos zatkał i począł parskać bezzębnymi ustami.

— Co on chce nam powiedzieć? — zainteresował się Foucheron.

— Niewiele — odparł Heban — poza tym, że dostojny Indianin się zesrał.

*

Nieprawdopodobne, ale w siłowni nie spodziewano się naszej wizyty, być może zresztą łączność z resztą miasta odbywała się tylko za pośrednictwem kontrolowanej przez nas centrali. W każdym razie nikt nie strzegł wrót. Zresztą w szczupłej, sześciuosobowej ekipie czuwającej nad reaktorem i w pełni zmechanizowanymi działami energetyki oraz produkcji w ogóle nie zauważyłem ochroniarzy. Pojawienie się grupki uzbrojonych mężczyzn najpierw wprawilo nieliczną załogę w osłupienie, potem na ich twarzach pojawił się przestach. Foucheron z Hebanem, nie czekając na komendę, otworzyli ogień. Weigel poszedł w ich ślady.

— Przestańcie — wołałem. — Nie widzicie, że oni są bezbronni?!

Mogłem sobie długo tak krzyczeć. Instykt zabijania wziął górę nad rozsądkiem. Trudno dociec, zali stres, zmęczenie, strata przyjaciół uczyniły z tych ludzi zupełnie inne istoty niż znane mi uprzednio, czy też wyjątkowa sytuacja wydobyla ich prawdziwą naturę. Mogłem tylko żałować, iż nie było z nami świątobliwego Pedra ni rozsądnego, umiającego wymusić posłuszeństwo Froissarta.

Zastrzelono dwóch naukowców, którzy wyszli na nasze spotkanie. Umarł w mgnieniu oka rozespany Aztek, gramolący się z jakiejś sypialnej kanciapy, podobny los spotkał obsługę pulpitu dyspozytorskiego. Kolejnego naukowca zastrzelono, gdy próbował uciekać w stronę grodzi, zasłaniającej przejście w bezpośrednim sąsiedztwie reaktora. Popatrzyłem na Lina — nie strzelał wprawdzie, ale nie miał zamiaru przeszkadzać naszym towarzyszom.

— Punkt pierwszy zrealizowany — powiedział, gdy ucichły strzały. — Bierzemy się za następne.

W tym momencie usłyszałem szmer, tuż obok mnie rozsunęły się połyskliwe tafle i z toalety wyszła młoda, najwyżej dwudziestoparoletnia Indianka, olśniewającej urody.

— Jeszcze jedna aztecka sucz! — Heban szybko uniósł broń. Zastawiłem kobietę własnym ciałem.

— Dość zabijania! Opętało was?

— Odejdź, il Cane — warknął Foucheron. — Nie czas na czułośćkowość. Sytuacja jest prosta, albo my ich, albo oni nas.

— W takim razie będziecie wpierw musieli mnie zastrzelić!

Po oczach Foucheron a i Hebana sądząc, mogli to zrobić. Na szczęście jakieś resztki człowieczeństwa kołatały w doktorze de Lysie, który wezwał do opamiętania.

— Zostawcie ją. Może się jeszcze przydać. Zawahali się. Sprawę rozstrzygnął Pavone.

— Osobiście ta dupencja też mi się podoba! Kiedy skończymy z obowiązkami, zabierzemy się za przyjemności.

— Jesteś naszym więźniem, *senorita*, ale nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi — powiedziałem po hiszpańsku do skamieniałej z grozy dziewczyny. Nie miałem pojęcia, czy mnie zrozumie. Nie wiedziałem nawet, czy słowa w ogóle do niej docierały.

Nic nie odrzekła — nie zwracając na nas uwagi, przechodziła od ciała do ciała, przystawała przy nich, klękała, paru zabitym zamknęła powieki. Na koniec, co mnie zadziwiło, przeżegnała się. Heban z odbezpieczoną bronią postępował za nią, chyba jednak porzucił myśl o natychmiastowej egzekucji. Spróbowałem przejąć inicjatywę. Zwróciłem się do Pavonego i de Lysa o jak najszybsze zapoznanie się z aparaturą siłowni i rozważenie najlepszych metod sabotażu. Weigłowi nakazałem pilnowanie wrót.

Z kolei Foucheron ruszył szukać kanału odpływowego, którym mieliśmy się ewakuować. O dziwo, przyjęli te polecenia bez szemrania. Znów wróciłem do roli dowódcy.

Nadal zaskakiwały mnie niezwykle reakcje azteckiej kobiety. Jej surowa, choć piękna twarz, przypominająca nieco arystokratyczne rysy Petlalcalcatla, nie drgnęła nawet. Nie uroniła ani łzy nad zabitymi. Jeden bardziej energiczny gest uczyniła, kiedy burza włosów, tak połyskliwych, że nieomal przechodzących w granat, opadła jej na twarz; odgarnęła je niecierpliwie i ujrzałem wówczas jej śniadą, szczupłą rękę, naznaczoną grubą blizną w okolicy tętnicy, charakterystyczną dla niedoszłych samobójczyń. Szalona myśl zaświtała mi w głowie.

— Teti? — zapytałem. — Ty jesteś Teti?

W jej oczach pojawiło się zdumienie i chyba po raz pierwszy błysk zrozumienia. Cofnęła się ku ścianie jak zagonione zwierzę.

Wyciągnąłem z mego bagażu sakwę Alvaro Jimeneza i parę luźnych kartek z jego pamiętnika. Podałem je jej. Z wahaniem wyciągnęła rękę. Czytała chwilę. I obaczyłem łzy cisnące się do jej oczu. I drzenie, które ogarnęło ją całą.

— Alvaro was przysłał? — zapytała po hiszpańsku. Nie chciałem jej oszukiwać, ale również nie zamierzałem ranić szczegółami.

— Niestety on zmarł. Zostawił ten pamiętnik. Dzięki niemu dotarliśmy aż tu. Do końca przekonany był, że nie żyjesz.

— Odratowali mnie. Nie wiem po co.

Naraz rozbłysła jedna ze ścian siłowni, zmieniając się w ekran. Ujrzałem na nim pełną gniewu i nienawiści twarz Atlixa, tego niewysokiego kapłana, któregośmy parę godzin temu wymienili za Lina. W jakiś sposób odzyskali łączność? Czyżby ładunek podłożony w centrali nie detonował?

— Co tam czynicie, białe diabły? — wołał, kalecząc hiszpańszynę.

— Zamierzamy wysłać was do piekła — odkrzyknął Pavone.

— Zaufaliśmy wam.

— Akurat.

Postanowiłem przejąć inicjatywę w tej rozmowie.

— Chcę rozmawiać z Itzacoyotlem — powiedziałem twardo.

— Ale on nie chce rozmawiać z tobą! Mówię wam, powstrzymajcie się, albowiem gniew bogów będzie wielki. A wy wszyscy skończycie jako on!

Odsunął się na bok. Ujrzałem, że wespół z innymi członkami starszyny plemiennej, przybranymi w płaszcze *ichtlilmatli*, stoi na szczycie piramidy obok kamiennego ołtarza inkrustowanego złotem, na którym leżał nagi biały człowiek. Na Boga, Froissart! Kapitan Gaspar Froissart de Marie-Galante. Czekał na śmierć, dokładnie taką, jaką przepowiedziała mu stara Cyganka.

— Kapitanie! — zawołałem. — Kapitanie, zwyciężymy! Wydaje mi się, że mnie usłyszał i próbował się uśmiechnąć. Musiałem go jakoś ratować.

— Atlix! — wykrzyknąłem. — Nie zabijaj go! Dostaniesz w zamian Petlalcalcatla i jego córkę.

— Co? — Moi zbuntowani towarzysze syknęli z gniewu, ale pokazałem im znak, jakim trener w koszykówce zwykł prosić o czas dla drużyny. Gramy na zwłokę!

— Niech tedy dostojny Petlalcalcatl natychmiast do nas przemówi — rzekł Aztek.

— Weigel — powiedziałem do bosmana. — Rozwiąż i przyprowadź tu arcykapłana.

— Niewykonalne — ubiegł bremeńczyka Heban, wskazując schodki prowadzące od wejścia. — Indianiec kopnął w kalendarz. Chyba serducho mu nie wytrzymało.

Nie przypuszczam, żeby Atlix rozumiał po francusku, wszelako sens słów i gestów pojęła Teti.

Krzyknęła jakieś słowo po indiańsku i za wzrokiem Weigela pobiegła ku wejściu, gdzie w cieniu schodków leżał skrępowany zewłok Indianina.

— Zabiliście go! Zbrodniarze!!!

Nie mogłem zaprzeczyć.

Usłyszałem chrapliwą komendę Atlixa, przypominającą poryk rannego niedźwiedzia. Ponad ofiarnym stołem błysnął nóż z wulkanicznego szkła. Nawet dotarł chrzęst rozdzieranej skóry. Jeszcze chwila, a kapłan wydobył wielkie drgające serce, które przypominało roztrzepotanego ptaka.

— Tak skończycie wy wszyscy na chwałę Boga Słońca! — tak wołając, cisnął je przed siebie. Krew zalała obiektyw kamery.

Zaraz potem rozległy się strzały i ekran zgasł.

— Dostyc tego horroru — powiedział Lino, kończąc demolowanie aparatury. — Bierzemy się do fantastyki naukowej.

*

Wstępna faza, polegająca na zniszczeniu pierwszych pomp, poszła mu dosyć łatwo, woda zaczęła wylewać się na kamienną posadzkę siłowni i wnet popłynęła schodkami w głąb korytarza, tworząc barierę dla tych, którzy chcieliby tu przybyć taką samą drogą jak my.

— Uciekajcie — powiedział Lino. — Postaram się dać wam dwadzieścia godzin zapasu. To powinno wystarczyć, aby wydostać się z góry i oddalić na bezpieczną odległość. Miejmy nadzieję, że Anzelmo i Laura czekają z końmi tam, gdzieśmy ich zostawili. Po tym czasie unieruchamiam drugą pompę i niszczę mechanizmy zabezpieczające reaktor. Przepraszam z góry, jeśli z jakichś powodów będę musiał uczynić to wcześniej.

— Chcesz tu zostać? Aż do wybuchu?

— Ktoś musi! — Zachichotał nerwowo, a potem szepnął mi do ucha: — Przecież obaj wiemy, że to wszystko na niby. Gra komputerowa, parę nowych żyć w zapasie. Przecież i tak osiągnęliśmy najwyższy *level*.

Właściwie odczułem ulgę, że to on to robi. W takich sytuacjach zgłoszenie się kogoś na ochotnika bywa zdecydowanie najlepszym rozwiązaniem. Nie mogłem sobie pozwolić na wahanie ani na długie pożegnania. Właśnie wrócił Foucheron, oznajmiając, że jest kanał dostatecznie wysoki, by nim podążać, ale przegradza go potężna krata.

— Jeśli nie otworzy jej złota płytką Azteka — powiedział de Lys, pokazując azteckiego „pilota” wyciętego z czaszki arcykapłana — spróbujemy lasera.

— Ruszajcie! — popędzał nas Lino. — Im szybciej, tym lepiej.

— Nie musisz się poświęcać. Mogliśmy losować — mruknął Foucheron.

— Nie mam czasu robić dla was przeszkolenia z energetyki jądrowej. Idźcie, do cholery, bo jeszcze się rozmyślę!

Weigel popchnął bezwolną Teti, a my ruszyliśmy za nimi. Heban, Foucheron, de Lys i ja.

Krata otworzyła się posłuszna kapłańskiemu insygnium. Czas jakiś posuwaliśmy się w milczeniu.

— Fajny facet z tego Lina — powiedział w końcu Heban.

— Niezwykle szlachetny — potwierdził Foucheron. — Miałem kiedyś kilku takich przyjaciół: wszyscy nie żyją.

— I tak wiedział, że rychło umrze — odezwał się doktor de Lys. — Badałem go.

— Rak? — domyśliłem się.

— Syfilis w najgorszym wydaniu z przerzutami na węzły chłonne — odparł Ambroise. — Za swobodnie żył.

Następna krata również podniosła się, gdyśmy zbliżyli się do niej z amuletem w dłoni. Wnet zaczął docierać do nas oprócz spokojnego chlupotu naszego kanałku narastający szum, który zwiastował bliskość rzeki lub przynajmniej bardziej wartkiego ścieku. Również potężniejszy fetor przemawiał za hipotezą, iż docieramy do zbiegu kanałów odprowadzających cibolańskie nieczystości. Wedle mego rozeznania musiała to być jeszcze nie właściwa rzeka, tylko miejska kloaka kanalizacyjna.

Rychło w świetle latarek ujrzeliśmy wielką komorę kolektora. Weigel, nadal otwierający naszą stawkę, wyszedł na środek, prowadząc Teti.

I wówczas padły strzały.

Aztecy, którzy musieli tu przyplłynąć rzeką od strony puebla, nie bawili się w paralizatory ani w naboje gazowe. Do decydującego starcia wybrali ostrą amunicję. Trafiona w pierś Teti bez jęku osunęła się w brudną ciecz. Olbrzym zaś, siekany pociskami z różnych stron, obracał się jak zaskoczony przez nagonkę bizon, zastanawiający się, skąd przychodzą ciosy. Wreszcie i on padł.

— Co robimy? — ukryty za kamiennym występem zwróciłem się do Foucherona, który miał większe doświadczenie bitewne niż ja.

— Nie przebijemy się. Trzeba się wycofać — odparł.

— Dokąd?

— Tego jeszcze nie wiem.

Wędrówka z powrotem w górę kanału okazała się znacznie cięższa, zwłaszcza że przyszło nam posuwać się bez świateł. Pościg następował nam na pięty, choć Aztecy nie palili się do śmierci i prowadzili ostrzał z dystansu. Nie widząc nas, po prostu strzelali na ślepo w głąb

korytarza. Pociski świstały nam koło uszu. De Lys oberwał w rękę. Mnie jakiś rykoszet rozorał udo. Dostanę teżca w tym gównie jak nic, przemknęło mi.

Uratowała nas pierwsza krata; my przekroczyliśmy ją łatwo, ścigający nas nie dysponowali najwyraźniej odpowiednim amuletem. Rzecz jasna czułem, że prędzej czy później Indianie pokonają tę przeszkodę, podobnie jak następne, ale na razie zyskiwaliśmy trochę czasu.

— Czy ma pan jakiś plan awaryjny? — pytał Heban. — Nie chcę zdychać w tym piekle!

— Porozmawiamy o tym z Pavonem, on najlepiej orientuje się w szczegółach — odparłem wymijająco.

Przy następnej kracie przejąłem amulet od de Lysa, narzekającego na rękę, w której powoli tracił czucie. Znów dochodziliśmy do siłowni. Woda w korytarzach sięgała już do pasa i stale jej przybywało. Czyżby Pavone przed czasem unieruchomił resztę pomp? Wszędzie były brzęczyki alarmowe. Wchodząc do wielkiej hali, ujrzałem pływającego trupa. Miał na sobie kombinezon nurka, ktoś jednak pozbawił go maski. Obróciłem go na wznak. Cholera, był to arcykapłan Atlis; musiał dotrzeć tu z góry, a więc wzięto nas w dwa ognie.

— Kryć się — zawołałem, padając w wodę; prawie równocześnie zagrzecotały strzały.

Dotarł do mnie krzyk Hebana. Przycupnięty za jakimś wspornikiem obserwowałem Murzyna — stał pośrodku korytarza z brzuchem rozprutym kilkunastoma kulami. Foucheron i de Lys odpowiedzieli ogniem. I natychmiast wychylający się zza filaru strzelec oberwał w pierś. Płynąc częściowo pod powierzchnią i trzymając się jak najbliżej ścian, szukaliśmy niewidocznych przeciwników. Naraz z góry padł kolejny strzał. Na szlachetnym czole de Lysa wykwitła czerwona plamka. Foucheron odpowiedział błyskawicznie i snajper, młody, najwyżej nastoletni Aztek, również w kostiumie nurkowym, upuścił broń i rozkrzyżowawszy ręce, runął z galerii w wodę. Ostrzał umilkł. Czybyśmy załatwili ostatniego?

Nigdzie nie widać było Pavonego. Bardziej płynąc niż brnąc z wysiłkiem w wodzie, dotarliśmy do sterowni i ruszyliśmy w stronę reaktora. Ja z przodu, Foucheron za mną.

— Czyżby te skunksy załatwiły Lina?

Poza brzęczykami i szumem wody nie było słyhać żadnych odgłosów. Naraz jakiś szósty zmysł nakazał mi się odwrócić. Tuż za muszkietierem ujrzałem długi kształt sunący w wodzie. Kajman?

— Foucheron, za tobą — wrzasnąłem. Za późno jednak. Nurek wyprysnął z wody i wbił nóż w dopiero podnoszącego broń Francuza. Ranny zdołał jeszcze strzelić w brzuch napastnika. Ale nogi się pod nim ugięły i zniknął pod wodą. Dobiłem Azteka. Chwyciwszy muszkietera za włosy, wyciągnąłem go na powierzchnię. Jego lica pokrywała śmiertelna bladość. Oczy miał szkliste.

— André, André! — zawołałem. — Nie opuszczaj mnie w takiej chwili.

Nie wiem, czy mnie słyszał, jego zachodzące mgłą gałki oczne wpatrywały się w dal.

— Trzeba iść dalej, do ataku, *en avant, allons enfants* — wyszeptał i skonał na mych rękach.

Nie miałem wątpliwości, że to koniec naszej ekspedycji.

— Aldo, Aldo — usłyszałem naraz cichy głos. Odnalazłem Lina tuż obok wejścia do komory reaktora.

Broczył krwią z licznych ran. Jakaś kula zdruzgotała mu prawą dłoń, inna przeorała czaszkę.

— Zmyliłem ich — zachichotał, gdym doznał do niego. — Myśleli, że nie żyję. Smutne fiuty!

— Jak to się odbyło?

— Uwzięli się, żeby mi przeszkodzić w pracy. Wpierw przypląnęło dwóch, ale było jeszcze mało wody, brnąc tutaj, robili masę hałasu, załatwiłem więc ich, nim mnie dopadli. Spokojnie wywaliłem kolejną pompę i ruszyłem unieruchomić zabezpieczenia. Wiesz doskonale, jeśli grafity nie wejdą do reaktora, dojdzie do niekontrolowanej reakcji. I *adios, muchachos*. Niestety, następni Aztecy okazali się sprytniejsi. Podpłynęli pod wodą. Wynurzyli się tuż koło mnie. Zanim rozwiązałem i ten problem, jak widzisz, trochę oberwałem. Potem jednak zabrałem jednemu gościowi aparat z maską, więc mogłem także się schować pod wodą przed następnym atakiem. No i szanse się wyrównały, nie mogli mnie znaleźć, zresztą wróciłeś ty. Mój sierżant z komandosów postawiłby mi piątkę... Żeby nie ta cholerna ręka, byłbym już w środku. Ale zawołaj chłopaków, powiem im, co robić, i niedługo wszyscy pójdziemy się wyspać.

— Jestem sam — rzekłem.

— Sam? — w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie.

— Tak wyszło.

— A więc będziesz musiał zostać bohaterem, Aldo. Zawsze wiedziałem, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy. — Tu wysupłał z zanadru pokaźny ładunek wybuchowy — Mam nadzieję, że trenowałeś koszykówkę! Jeśli trafisz tym gadżetem w mechanizm wysięgnika, pręty zostaną zablokowane w dotychczasowej pozycji.

— Jak mam to zrobić? — spytałem bez wahania.

— Wejść przez te wrota, dupnąć, wyjść... Oczywiście wiesz, co cię czeka za tymi drzwiami? Wiedziałem. Promieniowanie. Pokiwałem tylko głową.

— Radioaktywność jak cholera. Kombinezony niestety gdzieś wcięło. Nie ma czasu, żeby ich szukać, bo znów jakieś rybki mogą tu nadpłynąć. Głupia sprawa. Coś jak dymanko bez gumki. Ale nie ryzykujesz, nie pojedziesz. Na razie jednak mamy inny problem. Trzeba jakoś otworzyć ten sezam.

Uniosłem złotą odznakę Petlalcalcatla. Drzwi ani drgnęły. Co jest?

— Aldo, Aldo! Nie przypuszczasz chyba, że nawet naczelnik tego kurwidołka może w dowolnej chwili wchodzić tam i opalać się w reaktorze. Zainstalowano z pewnością specjalne zabezpieczenia, wprowadzono kody, procedury. Nie ma czasu tego rozgryzać, załatwimy więc sprawę na skrót. Zawsze lubiłem chodzić na skrót, może dlatego nie wyszedłem na ludzi. — Wyciągnął długi impregnowany ładunek. — Sam się tym zajmę. Jest tylko jeden mały problem. Nie ma zapalnika czasowego ani udarowego (ostatni umieściłem w twojej bombce). Nie mam nawet lontu.

— Jak więc chcesz utorować tym przejście?

— Tą rączką, jeszcze ciepłą, zewrę druciki w detonatorze. Wycofaj się za tamten filar. Kiedy ci powiem: „I raa–az”, odwróć głowę.

— Lino, nie chcesz chyba sam...

— Zawsze imponowali mi terroryści samobójcy.

— Jesteś niesamowity!

— Powtórz to jeszcze raz. Bo już nie pamiętam, kiedy mówiono mi to ostatnio. Chyba jedna Tajka w Bangkoku. Ależ nie, to te kurwiszczki w Rzymie, od której złapałem tę francję. Mam nadzieję, że opiszesz to kiedyś.

— Chyba nie będę miał okazji.

Spowaźniał.

— To przecież tylko gra? Sam mi mówiłeś, Aldo. Nas tutaj nie ma.

Nie wiedziałem, co rzec.

— Przyznaj jednak, że przydałem się wam do czegoś, co? Los zafundował dobrą końcówkę jak na takiego palanta jak ja.

— Jesteś wielki, Lino.

— To właśnie chciałem usłyszeć. Teraz skryj się za tamtą kolumnę i odwróć oczy.

Posłuchałem go. Grzmot targnął podziemiami.

Kiedy po dłuższej chwili odważyłem się popatrzeć w jego kierunku, oprócz strug krwi, które zachlapały ścianę powyżej linii wody, nie dostrzegłem śladu rosettińczyka. Bystry potok wdzierał się do komory. Wpłynąłem tam i ja. Z miejsca uderzyła mnie fala gorąca. Nic to. Da

się jeszcze wytrzymać. Odszukałem wzrokiem mechanizm opisany przez Pavonego. Zadanie wyglądało na łatwe, wyrwałem tuleję blokującą ładunek, wziąłem szeroki zamach...

*

Myślałem, że umiera się szybciej. Ale nie. Ciągle jeszcze żyję. Siedzę sobie na jakiejś podtopionej platformie i zastanawiam się, czy szybciej zabije mnie radioaktywna dawka, którą wchłonąłem, czy jednak doczekam jeszcze atomowego superfajerwerku. Nikt mi nie przeszkadza w tej kontemplacji. Więcej nurków już nie przyплыnęło. Zastanawiam się, co dzieje się tam na górze w Ciboli. Czy zarządzono ewakuację miasta, a tłum mieszkańców depreczając się i tratując, ucieka przez jedyną bramę prowadzącą na pustynię? A może starszyzna wsiadła na swe latające spodki, uruchomiła resztę floty powietrznej i szykuje jakiś rajd odwetowy na Europę...?

Tylko czy jest to możliwe? Bez siłowni dostarczającej energii, ze zdewastowaną sterownią... Bez naczelnego wodza. Bez głównego inżyniera. Jestem przekonany, że zabili Itzacoyotla, uznawszy go za zdrajcę doktryny rekonkwisty. Cóż tedy robią? Możliwe, a nawet wielce prawdopodobne jest, że nie czynią nic. Nie powiadomili ludu, nie ostrzegli żołnierzy. Zgromadzili się w wielkiej Złotej Sali. Czekają na raporty nurków i na ostateczny werdykt Huitzilopochtliego — Boga Słońca i zarazem Niszczącego Ognia. Chyba moi zmarli towarzysze wyprawy mieli rację, uznając porozumienie obu cywilizacji za mrzonkę. „Nie da rady, oba samce” — jakby rzekł Anzelmo. Nadal jednak uważam, że musiałem spróbować. A że mi nie pozwolili...

Trudno mi ich winić za cokolwiek. Bo za co? Za zdanie się na instynkt? Za wybór konfrontacji miast podjęcia próby porozumienia się? Trudno oskarżać mi ich nawet o okrucieństwo charakterystyczne przecież dla ich czasów. I pewne dla każdego.

Mój Boże, zali to możliwe, że wszyscy zginęli? Podobnie jak ci z Mont Romain i ci z „Henrietty”, i ci ze „Świętej Łucji”?

W głowie mi się mąci. Robi się coraz ciemniej. Zmierzch już? Zarenek był dopiero? Szybko ci życie zbiegło, Derossi. Za szybko...

Buczki wyją potępieńczo, skowyczą alarmy, temperatura rośnie, niedługo pewnie dojdzie do stanu krytycznego, mnie tymczasem osaczają twarze, setki twarzy, przypominające połączone obrazy ze wszystkich widzianych filmów i przeczytanych książek. I oto znów Foucheron w rozwianym płaszczu muszkietera galopuje po nadbrzeżu w Nantes. Posępny, ale

pewny siebie Froissart krąży po mostku kapitańskim, wreszcie w nowym kaftanie, który sprawił sobie w Paryżu u pierwszych krojczych dworu. Poniżej, na szpuli lin Heban, ostrzący brzytwę, przewraca białkami podczas nawykowego wodzenia oczyma za dowódcą jako pies za swym panem. Zaś Lino! Inna sceneria: Lino na dziedzińcyku w Palais Royal znów stoi pod murem niczym studium do obrazu Goyi. I kolejny wodospad obrazów: Turek Mardinu i de Lys przy łożu operowanego Delfina, Mirski z zapalem kreślący zdrową ręką projekty rakiet balistycznych, Palestrini z retortą, van Haarlem przy szlifierce, Fawley o błękitnych oczach rozmarzonego dziecka, przypatrujący się kształtnym pośladowcom młodego ciury, rozmodlony Gomez w oczekiwaniu na kolejne wizje. Weigel w zapasach z Pavonem. Armand śpiewający wesoło za sterem. A za każdą twarzą idą wspomnienia zdarzeń, dźwięków, zapachów, emocji... I znów pszczoły złociste zbierają nektar w ogrodach Montana Rossa, ryby latające tną wierzchołki zielonkawogranatowych fal, dzwony budzą Paryż w chłodne grudniowe popołudnie, pachnie świeżo skoszona trawa w Taizé. A ponad pędzącą z wiatrem „Henriettą” rozpogadza się niebo, chmury roztapiają się w agresywnym błękicie niczym kałuże na piasku i znów słyszeć rubaszne śmiechy, kiedy gruby André tłumaczy załodze, że z armatą można jak z kobietą, i od tyłu, i od przodu. Słyszeć drobne kroczki Laury po śródkręciu żaglowca. Zaś stary Arawak znów zasiadł na bukszprycie, wypatrując ojczystych wybrzeży. I jeszcze gdzieś na pograniczu niepamięci mały pucołowaty Alfredo Derossi biega po wzgórzach z siatką na motyle. Gdzie podzieliście się wy wszyscy? Czekacie na mnie? Dobra! Róbcie szpaler. Przybywam!

19. POWRÓCIĆ TU!

— Przybywam — słyszę krzyk własny, zduszony, oderwany od siebie i dziwnie słaby, jak to zdarza się w snach, gdy usiłujemy biec, a nogi grzęzną nam w podłodze, próbujemy zapalić światło, ale kontakty się nie przekręcają, ćmi się tylko jedna żarówka niczym w fotograficznej ciemni, a wołanie: „Pomocy!” tonie w lepkiej wacie bezsiły.

Kroki, szybkie, czujne wokół mnie, straż — to może Aztecy...

— Doktorze, on się budzi — zza dziesiątej waty dolatuje głos ciepły, troskliwy, najdroższy. Laura też tu jest?

— Dlaczego miałby się nie obudzić, pani Moniko, kryzys minął.

Czyżby halucynacje, pierwszy efekt promieniowania wchłoniętego przez kogoś, kto był w epicentrum nuklearnego wycieku?

— Siostró, proszę jeszcze bardziej przysłonić okno.

Światło może go porazić.

Ostrożnie uchylam powieki, które zdają się ważyć tyle co most zwodzony. Uderzony jasnością zamykam je znowu, znów otwieram...

— Aldo! Nareszcie!

Widzę cię... Czuję pocałunek.

— Mo... Monika... — usiłuję wyszeptać coś więcej, ale nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku. Jestem zaszokowany i bardzo ostrożny w ocenie sytuacji, boję się spłoszyć otaczającą mnie rzeczywistość, jakby było to tylko jedno z pięter snu. Tymczasem stabilizuje się ostrość widzenia...

Monika, uśmiechnięta, wyciera zaczerwienione oczy, za jej plecami stoi, opierając się o krzesło doktor Mason i również promienieje życzliwością. Koniec snu — stacja Rosettina?

— Napędziłeś nam trochę strachu, Aldo — mówi Frank Laurel Mason. — Za żadne skarby nie chciałeś się obudzić.

— Długo spałem? — pytam cicho, głosem świszczącym jak wiatr na starym strychu. Równocześnie świat dookoła z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej rzeczywisty.

— Dość długo.

— Prawie rok? — Usiłuję sobie przypomnieć moje podróże.

— Nie przesadzajmy. Dwa tygodnie. Ale i to wystarczyło, by napędzić nam stracha.

— Dwa tygodnie?

Niemożliwe, to nie mogło trwać tylko pół miesiąca.

— Konsultanci z Kliniki Gemelli uspokajali mnie, że właśnie tyle czasu powinna trwać readaptacja twojego mózgu po zabiegu. Takie, można powiedzieć, porządkowanie twardego dysku. Niepokoili ich tylko twoje reakcje...

— To znaczy?

— Początkowo spałeś jak zabity. I dopiero ostatniej doby zacząłeś wołać przez sen.

— Co wołałem?

— Puścimy ci nagrania, mnóstwo słów w nieznanym nam językach, potem całe partie barokową hiszpańszczyznę, czasami zachowywałeś się, jakbyś pływał, innymi momentami próbowałeś walczyć z pielęgniarkami. Raz, nie byłem przy tym, ale dyżurująca dziewczyna przysięgała, że to prawda, oderwałeś się od łóżka i przez dobrą minutę lewitowałeś ponad pościelą, nie pozbywając się jednak kroplówek.

— A przy okazji — przerwała Masonowi Monika. — Kto to jest Laura?

— Dlaczego pytasz? — próbowałem ukryć zmieszanie.

— Bardzo często powtarzałeś to imię.

— Znałem jedną Laurę, dawno temu.

— Piękne imię — wtrącił znakomity lekarz. — Na przykład u nas nadawanie go jest poniekąd tradycją rodzinną, sam mam na drugie Laurel.

Zapytałem o moją operację i o dalsze rokowania. Mason był ostrożny. Choć twierdził, że są duże szanse. — Na zatrzymanie rozrostu nowotworu?

— Na poważne cofnięcie, na razie jednak jest za wcześnie, żeby mówić...

— Najważniejsze, że jesteś ze mną, kochany — powiedziała moja żona.

*

Tylko ktoś skazany na śmierć odczuwa potęgę ułaskawienia. Może raczej właściwszym słowem będzie „odroczenie”. Ale przecież wszyscy żyjemy na tym łez padole z odroczonym wyrokiem. Ja znów żyłem! Zdarzył się cud. Prawdopodobnie przyjdzie mi ufundować jakiś kościół w charakterze wotum, kto wie, czy nie zdecyduję się na odbudowę opactwa w Cluny, dziś pozostającego w dość żalonym stanie. Jednego jestem pewien — uczynię wszystko, aby rozpocząć proces beatyfikacyjny Raymonda Priestla. Na razie rozkoszuję się najprostszymi doznaniem, oddychaniem bez bólu, czytaniem bez zawrotów głowy. Powrócił smak potraw,

czucie w kończynach. Z dnia na dzień, wręcz z godziny na godzinę, czuję się lepiej. Spisuję niniejszą relację na laptopie, choć Monika nie pozwala mi za bardzo się przemęczać.

„Masz jeszcze dziesiątki lat przed sobą” — powtarza. Niepotrzebnie. Chęć pracy narasta we mnie na kształt fali przyływu, zdumiewa mnie szybkość, z jaką powraca dawna energia. Chodzę o własnych siłach do toalety, zaczynam robić dłuższe spacery po korytarzu. I rozpiera mnie radość.

Mego samopoczucia nie jest w stanie zmącić lekka irytacja, że ciągle nie mogę zrozumieć, co mi się właściwie przytrafiło. Próbuję poskładać wrażenia, analizować fakty. Nie wychodzi. Czy był to tylko długi sen? Szaleństwa wyobraźni, fantasmagorie niedzielnego literata na skraju wieczności?

Już pierwszego dnia po przebudzeniu podkusiło mnie zapytać o Lina Pavonego. Nikt taki nie figurował w ewidencji szpitalnej. Dopiero wczoraj przyszło mi do głowy spytać o ofiarę awarii nuklearnej w Lago Vanina. No i zaskoczenie, rzeczywiście przebywał w naszej klinice człowiek poszkodowany we wspomnianej eksplozji, niejaki Luigi Piombi (skubańcowi nie chciało się zmieniać inicjałów!). Podobnie jak ja, przez dwa tygodnie pogrążony był w śpiączce. Zdziwiającym zbiegiem okoliczności zmarł na krótko przed moim przebudzeniem. Przypadek?

Wytrąciło mnie to do tego stopnia z równowagi, że poniechawszy pisanie wspomnień, oddałem się surfowaniu po Internecie i dość niespodziewanie natrafiłem na znamiennej wzmiankę. Oto grupa ekologów z Phoenix oskarżyła rząd Stanów Zjednoczonych o prowadzenie tajnych eksplozji nuklearnych poza terenami oficjalnych poligonów. Podstawy zarzutom dostarczyło odkrycie silnego promieniowania w wielkim, przysypanym piaskiem kraterze na pograniczu Arizony i Nowego Meksyku, dotąd uważanego za dzieło wielkiego meteorytu, który runął tam przed tysiącami.

Oдноśne agencje konsekwentnie zaprzeczały oskarżeniom, wreszcie komisja niezależnych ekspertów zbadała teren — potwierdziła występowanie tam dość silnego promieniowania, zdjęła jednak odium z rządu USA, bezapelacyjnie datując wybuch na połowę XVII wieku. Interpretatorzy tego zdarzenia podzielili się na zwolenników upadku jądra małej komety, zawierającej promieniotwórcze pierwiastki, oraz tych, którzy gotowi byli raczej wierzyć w katastrofę pozaziemskiego statku kosmicznego. Na poparcie tych teorii obie frakcje przytaczały stare legendy miejscowych Indian o zstąpieniu na ziemię zagniewanego Manitou, o morzu ognia i zagładzie wielkiej liczby zwierząt, roślin i ludzi. Nikt jednak dotąd nie przypuszczał, że mogło to mieć miejsce w czasach historycznych, i przesuwano podobne mity w zamierzoną przeszłość.

Rozumiecie jednak, jakie wrażenie wywołało to na mnie. Począłem gorliwie badać historię tamtych czasów. W biografjach Richelieugo (zmarł rychło po opisywanych wydarzeniach) i kardynała Mazzariniego, nie znalazłem niestety wzmianek o eksperymencie w Mont Romain (kiedyś pojedę tam z licznikiem Geigera sprawdzić poziom radioaktywności), odnalazłem jednak parę budzących wątpliwości faktów, nad którymi historycy przechodzili dotąd do porządku. Nie wiadomo, na przykład, na co parę lat przed śmiercią Wielki Kardynał wydał znaczną część swego imponującego majątku. Zachowały się również wzmianki o odosobnionym ognisku czarnej śmierci na północ od Lyonu, na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych XVII stulecia, oraz o wielkim pożarze lasów koło Cluny mniej więcej w tamtym okresie. Wprawdzie młodzieńcze prace Sawiniusza Cyrana de Bergeraca pełne podobno historii niesamowitych zagięły, zachowała się jednak jego *Podróż na księżyc*, wyprzedzająca na długo narodziny literatury *science fiction*.

Ponieważ jestem, póki co, człowiekiem normalnym, uznałem, że mój umysł, który mógł kiedyś zetknąć się z tymi faktami, mimo że świadomość ich nie zapamiętała samodzielnie, połączył je, produkując baśń o wyprawie Alfreda Derossiego do Nowego Świata.

*

Dziś rano zapadła wreszcie decyzja o wypisaniu mnie ze szpitala. Czyż można sobie wyobrazić szczęśliwszy dzień? Przywieziony przed miesiącem na wózku, teraz mogłem opuścić klinikę na własnych nogach.

Monika musiała na tę okazję przywieźć z domu jeden z moich dawniejszych garniturów, tak bowiem przybrałem na wadze, że to, w czym chodziłem ostatnio, po prostu by się na mnie nie dopięło. Godzinę wyjścia trzymaliśmy w tajemnicy, chcieliśmy uciec przed prasą, odpocząć z dala od wścibskich *paparazzich*, nacieszyć się sobą. Nie byłem jeszcze zdecydowany, dokąd pojedziemy. Przy Lido di Rosettina czekał mój jacht, zawsze można było udać się do Hiszpanii, zaś śmigłowiec garażujący w hangarku przy mej rezydencji gwarantował możliwość szybkiego przemieszczenia się do domku myśliwskiego w Kenii lub ustronnej chatki na wybrzeżu seszelskiej wysepki La Digue.

Zastanawiałem się, jaką minę zrobi Monika, gdy zaproponuję na miejsce mej rekonwalescencji staroświeckie uzdrowisko Vichy i mały pensjonat położony na uboczu. Vichy, bo stamtąd blisko do Cluny. I do Taizé.

Nie sposób nie zauważyć, w jak osobliwy sposób spełniło się średniowieczne proroctwo o nowej perspektywie dla świata, która miała się tam urodzić. Nie za sprawą nauki, ale wiary i nadziei. Od wielu lat do Taizé ściąga młodzież różnych wyznań, wierząca w odnowę chrześcijaństwa. Ostatnio mnóstwo wśród nich krzyżobłękitnych...

Wyjście „po angielsku” i odjazd z parkingu dla personelu, z zachowaniem pełnego incognito, nie oznaczało, że opuszczając szpital, zaniebam pożegnania z Frankiem L. Masonem — moim zbawcą. Kalifornijczyk rychło zamierzał wracać za ocean i mogło nie być okazji do spotkania. Odwiedziłem zatem gabinet, którego użyczyło mu kierownictwo kliniki, i jeszcze raz podziękowałem za nadzwyczajny remont mej osoby.

— To była dla mnie prawdziwa przyjemność, Aldo — powiedział. Gdy ścisnął mi rękę, wzrok mój padł na noszony przezeń na serdecznym palcu piękny, staroświeckiej roboty sygnet z krwawnikiem, ozdobionym zamaszystą literą „L”.

Frank Laurel Mason zauważył moje zainteresowanie.

— Rodzinna pamiątka, podobnie jak me drugie imię. Ale to stare dzieje...

Wyraziłem życzliwe zainteresowanie. Nie musiałem go długo prosić.

— Z moim rodowodem związana jest dość tajemnicza historia. Proszę sobie wyobrazić, że z początkiem roku 1645 mnisi z misji w San Diego znaleźli w rejonie Doliny Śmierci dwójkę ociemniałych ludzi — kobietę, młodą i mimo wielkiego wyczerpania niezwykle piękną, oraz towarzyszącego jej wychudłego mężczyznę, o skórze ze śladami licznych poparzeń. Był z nimi jeszcze jej synek Laurel — silny i rezolutny. Wedle franciszkańskich opinii musieli mieszkać na tym odludziu dobrych parę lat. Jak udało im się przeżyć po omacku wśród grzechotników i dzikich bestii, Bóg jeden wie. Wedle zapisków przechowywanych w mojej rodzinie, mężczyzna, którego imienia nikt nie zapamiętał, wkrótce zmarł na niespotykaną dotąd chorobę, przypominającą anemię, kobieta natomiast dożyła sędziwego wieku, doczekała się wnuka i prawnuka. Nigdy dobrze nie nauczyła się po hiszpańsku. Mimo licznych konkurentów nigdy też nie wyszła za mąż. Przy jakiejś okazji powiedziała komuś, że jest już zamężna. Dużo czasu spędzała w kościele, potrafiła też niezwykle pięknie śpiewać. Miejscowi nazywali ją Starą Włoszką. Nigdy nie chciała mówić o swojej przeszłości, twierdząc, że i tak nikt by jej nie uwierzył. Umarła, mając około stu lat, na początku XVIII wieku. Jej prapraprawnuczka — Laura jak i ona — w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia wyszła za mąż za dziarskiego poszukiwacza złota Willy’ego Masona, przekazując ich wspólnemu dziecku ten oto starodawny sygnet. Ot i cała historia. Znudzilem was bardzo?

— Bynajmniej! Gdybym był literatem, zainspirowałoby mnie to do napisania jakiejś sagi.

— Uścisnąłem doktorowi rękę i wyszedłem wzruszony. Może powinienem był wyznać

Frankowi, iż ocalił życie nie byłego imperatora telewizyjnej tandety, lecz własnego protoplasty. Jaki jednak byłby efekt? Neurochirurg zakrzyknąłby do mnie: „Prapradziadku luby!” czy raczej przekazałby w ręce psychiatry?

— Co cię tak poruszyło w tej legendzie? — pytała mnie Monika, zauważywszy już po wyjściu, jak bardzo drżą mi ręce.

— Kiedyś ci to opowiem, kochanie.

Wawer, maj–październik 2000